

MŁODZI

ES

Też autorstwa poprzednio wydane:

	Rb. k.
Dola. Powieść. Z przedmową E. Orzeszkowej. Wyd. 2-gie	1 20
Płomyk. Z pamiętnika instytutki. Wyd. 2-gie	1 20
Serduszko. Dzieje pożycia	1 50
Z pamiętnika niedosłej literatki. Nowele i obrazki	— 80

EUGENIA ŻMIJEWSKA

==

MŁODZI

POWIEŚĆ



Eugenia Żmijewska

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

1942 r.
WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

EMERITA ZIMBOWSKA

WŁODZI



535

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



I.

— O, jest list i dla pana Talki! Pismo kobiece. Winszuję! — mówi do starego nauczyciela pan Stefan Pohorecki, przeglądając świeżo nadeszłą pocztę.

Pan Talko bierze kopertę, ogląda ją i ramionami wzrusza.

— Przypomniała sobie! — mruczy.

— Najgorzej, jak sobie kobieta przypomni — rzuca pan Stefan aforyzm, zaczerpnięty z własnego doświadczenia.

— Utrapienie z kobietami! Niewiadomo nigdy, co im strzeli do głowy.

— To właśnie cały ich powab.

— E! Stefana trzymają się żarty, a ja...

— Musiał pan Talko dobrze nabroić, kiedy nie śmie otworzyć koperty.

Istotnie, pan Talko trzyma ją ostrożnie, jakgdyby się bał, że z niej wypadnie jaki pocisk morderczy.

— Toć przecie od siostry — odpowiada na dworowanie dawnego ucznia. — Już chyba rok nie pisała. Niema karesu bez interesu.

Pan Pohorecki, zajęty przeglądaniem korespondencji i dzienników, które mu przed chwilą przywiózł

»kozak« dworski, wysłany do Łucka, zapomina o obecności dawnego nauczyciela.

Z dalekich krańców świata przywołuje go okrzyk.

— A nie mówiłem? Z kobietami zawsze kłopot! — woła pan Talko po przeczytaniu listu. W swem zafrasowaniu jest jeszcze brzydszy, niż na codzień.

Śpiczasta, liniejąca głowa, blade, okrągłe oczy i nos, zamykający usta na kłódkę, czynią go podobnym do oskubanego ptaka.

Pan Stefan podnosi oczy, wpatruje się w tę twarz suchą, pomarszczoną i rzuca ziarnko doświadczenia:

— Kłopot z kobietami zawsze miły.

— Jak dla kogo i jak kiedy.

— Niechże pan nie będzie taki ogólnikowy.

— Bo gdybyż to kobieta, ale to bęben!

— Siostra pana Talki — bęben. A to ciekawe!

— Siostra ma córkę, a nawet dwie; ale chodzi o jedną — o tę udaną.

— Nic mi pan Talko nigdy nie mówił, że ma siostrzenicę »udaną«.

— Bo z zasady, niby, nie mówię o rodzinie. Z rodziną jak najmniej się zadaję... I raptem zachciało się Bóg wie czego... Taka panna, niby, zdrowa...

— »Niby« pannom zachciewa się zwykle tego właśnie, o czym Bóg wiedzieć nie powinien. Jakaż jest zachcianka pańskiej siostrzenicy?

— Kiedy-bo nie przechodzi przez usta.

— Coś tak strasznego! Zaczynam być naprawdę ciekawy.

— Odpiszę siostrze: nie — i basta!... Powiedzą:

samolub! Mniejsza o to. Bo co za koncept! Siedzę to, niby, we własnym domu...

— Toć pan tu jest, jak u siebie.

— Nie na tyle, żeby sprowadzać siostrzenice.

— Jeżeli o to chodzi, niepotrzebnie się pan frasuje. Proszę napisać — zaprosić w mojem imieniu.

— A co na to powie pani?... matka?

— Moja matka nie będzie miała nic przeciwko temu. Zresztą oficyna to pańskie królestwo...

— Bardzo Stefanowi dziękuję, ale możeby się bez tego obeszło. I dla mnie kłopot. Przywykłem do spokoju, do ciszy, a taka dziewczyna będzie paplać, szastać się, przerzucać mi papiery na biurku. Przemęczyła się, zdając na patent. I zaraz jakiś osieł, niby doktor, zaleca świeże powietrze... Można odpocząć i w mieście. A siostra do mnie, jak w dym...

— Jakże wygląda siostrzenica? — pytał pan Stefan, zawsze ciekawy, gdy chodziło o wygląd kobiety.

Pan Talko machnął ręką.

— Ha! Widziałem ją jeszcze bębniem. Była, niby, czarna, brzydka...

— Z czarnych i brzydkich wyrastają czasem ładne i białe.

— A niechże Pan Bóg broni! To jużbym jej za nic nie sprowadził!

— A cóż się pan zrobił nagle takim wrogiem urody kobiecej?

— Bo to przecież siostrzenica i pod moją opieką. Stefan musi mi dać słowo honoru, że za nią, niby, się nie obejrzy.

— Ja nigdy się nie oglądam za kobietami na *niby*.

Pan Talko wiedział o tem dobrze i dlatego był zafrasowany.

— A właśnie — rzekł — one sobie wyobrażają, że Stefan jest jakiś patryarcha.

W swej naiwności sądził, że go tem źle usposobi dla Mani. I, chcąc pana Stefana w tej niechęci utwierdzić, przeczytał odnośny ustęp z listu siostry:

— »Wiem, że pani Pohorecka jest sroga dla młodzieży. Tego właśnie potrzeba Mani. A i pan Pohorecki, jako człowiek starszy, będzie ją onieśmiał, więc liczę, że się utemperuje.«

— A dlaczego trzeba ją temperować? — pytał pan Stefan zaciekawiony.

Stary pedagog czytał dalej:

— »Proszę się nie bać. Mania jest dobra dziewczyna i ogromnie inteligentna, nie tak, jak biedna Różia...«

— To druga siostrzenica. Uczyć się nie chciała. Trzeba ją było oddać do magazynu — objaśnił pan Talko i czytał dalej:

— »Ta utrapiona rewolucya przewróciła im w głowie. Przyznaję, że jestem dla nich słaba, zwłaszcza dla Mani i, zresztą, czasu nie mam ich pilnować, więc latały po wiecach i zrobiły się strasznie postępowe. Chciałabym, żeby choć Mani wywietrzały te brewerye...«

— Te brewerye mogą być bardzo ciekawe — przerwał pan Stefan.

— A ja właśnie tego najwięcej się boję. A nuż Mania wyrwie się, niby, z jakim postępowem zdaniem?

— I owszem. To bardzo ożywi Pohorce. Niechże

i ta biedna Nisia usłyszy nareszcie jakie słowo zakazane: mężczyzna, wieczór, nocna lampka, łózko...

— Wolalbym doprawdy odpisać, żeby nie przyjeżdżała. Więcej będzie przykrości, niż pożytku.

— Pan jest egoista i tchórz. Ale tak nie można. Trzeba coś zrobić dla rodziny, no i dla dobra ludzkości. Nawrócimy tę rewolucyonistkę.

-- Tylko niechże jej Stefan nie nawraca. Proszę mi dać słowo, koniecznie.

— Słowa nigdy nie daję z góry. Niech pan odpisze, zaprosi w imieniu... patryarchy.

— Ale ja nie ośmielę się powiedzieć pani.

— I to biorę na siebie — oświadczył pan Stefan, przejęty najlepszymi chęciami wobec »udanej« siostrzenicy.

Trzęsąca bryczka, zaprzężona w parę chudych szkapiąt, skręciła obok stajni i zajechała przed oficynę.

Z bryczki wyskoczyła lekko duża, zgrabna panna.

Na bardzo śniadej twarzy bardzo niebieskie oczy tworzyły plamę jasną, a bardzo grube usta — plamę ponsową, że zaś włosy były czarne i bujne, więc nie raziała śniadość cery.

— To Mania? — spytał pan Talko, stojący na ganku oficyny.

— A to wuj Kornel?

Uścisnęła zamasyście rękę, wyciągniętą do pocałowania.

— Ależ się wytrzęsłam! — zawołała, strzepując kurz z granatowego płaszczyka. — Jak wieś, to wieś! Używanie!

— Rozbierz się i rozgość. Będziesz rezydowała naprzeciwko mnie, po drugiej stronie sieni.

Wprowadził ją do pokoiku, bielonego wapnem. Żelazne łóżko, pokryte białą kapą, taboret z miednicą i stół, pobejcowany na bronzowo, przedstawiały gościnność domu.

Panienka była uszczęśliwiona, że ma nie tylko osobną miednicę, ale i pokój dla siebie samej; zdarzało jej się to pierwszy raz w życiu.

— Pycha! — zawołała, stając w oknie, które wychodziło na sadek wiśniowy.

— Sama pani kazała wyprzątnąć — objaśnił ją pan Talko z ogromnem namaszczeniem.

— Kto? Stara?

— Moja ty — upominał ją — tutaj trzeba się wyrażać... delikatniej, a dla starszych, niby, trzeba mieć szacunek.

— A cóż to ubliżam jej? Przecież jest stara, i nie na »niby«, jeżeli ma już syna starego i córkę zamężną i dużego wnuka.

— Mówi się: »starsza pani«.

— Takie ceregiele! Ja-bo nazywam wszystko tak, jak się nazywa: fotel, to fotel, a nie krzesło; stary, to stary, a nie młody. I chyba gorzej być *starszym*, niż starym, poprostu.

— Tak, widzę, że was tam niby uczyli stopniowania, ale nie nauczyli moresu i dobrych manier.

— Maniery? Poco? To przeżytek burżujski. Nie jestem żadna hrabianka, ani się ze mną żaden wielki hrabia nie ożeni. I nie chciałabym nawet, bo z hrabiami teraz krucho.

— Moje dziecko, takie poglądy może dobre w Warszawie na Tamce, w trzech pokoikach, ale nie w pałacu, w Pohorcach.

— Bo ja też nie przyjechałam do pałacu, ale do oficyny, do wuja.

— Przecież nie jestem u siebie. Musisz pójść do pałacu, i to niedługo, na obiad. Sama pani dziedziczka zaprosiła. To, niby, wielki zaszczyt.

— Co? Zaszczyt? Obejdzie się bez zaszczytu, i niewiadomo, kto komu. I co znowu za »dziedziczka«? Ładna mi równość! E! gdybym wiedziała, nie ściągnęlibyście mnie tutaj powrozami.

— Moja Maniu, że się żenujesz, to rozumiem, ale trzeba się przemódz.

— Miałabym się żenować? Co sobie wujek wyobraża. Nie z takimi mówiłam. Z samym Szprottem.

— Właśnie, moja droga, zapomnij, że mówiłaś i co mówiłaś z takim, niby, Szprottem.

— To nie żaden *taki*, ale więcej wart od wszystkich Pohoreckich w pałacach. A wuj jest zacofany i my się nigdy nie zrozumiemy.

— Wielka szkoda dla ciebie. Lecz skoro tu, niby, jesteś, musisz się stosować.

— To wujek nie wie, że teraz nikt do nikogo się nie stosuje.

— Wiem, że teraz dzieją się różne zgrozy.

— Gorsze działa się dawniej.

— Moja Maniu, przekonywać cię nie będę, a i tobie radzę nie przekonywać nikogo tutaj.

— Wiem, że to groch na ścianę takiego pałacu.

— To też jak najmniej się odzywaj, ale iść trzeba. Zrób to dla mnie.

— Chyba dla wuja — zgodziła się Mania, ulegając trochę własnej ciekawości. — Ale to pierwszy i ostatni raz — zapowiedziała.

— Ja chodzę na obiady, na kolacye i ty będziesz musiała.

— Jakto? Po dwa razy na dzień! To wujek nie jada u siebie?

— Skądże?

— I tak codzień od trzydziestu lat: z oficyny do pałacu i z pałacu do oficyny... Biedny wujaszek!

Spojrzała na niego ze współczuciem, on na nią ze zdziwieniem.

Toć mu było, jak u Pana Boga za piecem, na tym łaskawym chlebie, na tej gracyi...

II.

W ogromnej jadalni na zsuniętym stole siedm nakryć. Szerniałe oblicza kasztelanów patrzą ze złożonych ram na siedm osób, jedzących zupe.

Z ram portretu przygląda się także owemu zajęciu piękna dama w krynolinie, z różą w dłoni. Zda się dziwić, skąd w tem gronie znalazła się osoba, która podnosi łyżkę do ust bokiem i połyka zupe głośno. Dziwi się jeszcze bardziej oryginał portretu, daleko mniej młody, niż na płótnie.

Zamiast ciemnych włosów srebrzyste nioby, okryte czarną koronką, ale ten sam orli profil i oczy stalowe tak dumne, że Mania, która mówiła z samym

Szprottem, przewodnikiem i bożyszczem młodzieży, choć miną nadrabia, nie czuje się jednak zupełnie swobodną pod stalowem spojrzeniem oczu pani Pohoreckiej.

Więcej zaufania wzbudza w niej złocista, trochę może za złocista blondynka, o ściągłej twarzy gazeli, o ślicznym, ale czerwonym nosku i trochę skośnych oczach, oprawionych w tę twarz, jakby przez omyłkę.

Pani Lula Rojewska jest bardzo łaskawa na Manię. Pan Stefan nie patrzy na nią wcale, a jednak widzi to nawet, że ona przygląda się bardziej jego siostrze, niż jemu. Pan Talko jest zatrwożony, co się objawia zacieraniami rąk pod stołem. Nawprost Mani młodziutka, bezbarwna paniątka i brzydka osoba, nieokreślonego wieku, siedzą w milczeniu.

Pani Pohorecka jest w złym humorze. Zaprosiła tę pannę Łopacką... trzeba czasem coś zrobić dla ludzi, zwłaszcza dla podwładnych. Że panna Łopacka jest ordynarna, to trudno: skądże ma być inna, ale niechże przynajmniej będzie potulna i nie odzywa się... I czemu nie taka brzydka, jak upewniał Talko, może naumyślnie. Będzie znowu bieda.

W tym punkcie pani Pohorecka westchnęła i ofiarowała tę biedę Bogu za odpuszczenie grzechów... starszej córki. Uczyniwszy to, odwróciła dalszą kartę z rozdziału swej martyrologii i oburzała się w duchu na Lulę, że wciąga do rozmowy pannę Łopacką, aby jej, matce, zrobić na złość. W te smutne rozważania wpadł okrzyk Mani:

— Nareszcie! Od początku łamię sobie głowę, gdzie ja panią widziałam. Bo pani się jakoś zmieniła.

Już wiem!... To było w czasie rewolucyi. W przedpokoju u pana Szprotta. Ja byłam z delegacją. Pamięta pani?

Słowa zwrócone są do pani Luli Rojewskiej, która rzuca okiem na matkę i uśmiecha się złośliwie.

Pan Talko daje znaki siostrzenicy oczyma i ręką.

— Czego wujek na mnie kiwa? Ja nic złego nie mówię.

— Można nie mówić wogóle — odzywa się chłodny, dobitny głos pani Pohoreckiej.

— Ależ, moja mamó, i owszem. Panna Łopacka ma rację. Myśmy się już istotnie widziały.

— Te wspomnienia nas nie zajmują.

— Szkoda, bo są ciekawe. Zwłaszcza dla Nisi. Mogłaby i ona usłyszeć nareszcie coś nowego.

— Pozwól, że Nisia będzie słuchała tego tylko, co ja uznam za stosowne.

— Pozwalam, najchętniej — odpowiedziała matce pani Lula i, zwracając się do Mani, dodała takim tonem, jak gdyby to wynikało z poprzedniej rozmowy:

— Pani musi nauczyć się jeździć konno.

Poczem rzekła do brata:

— Urządzimy kawalkatę. Przyjadę we wtorek z trzema panami.

Obiad się skończył.

Pani Pohorecka wstała od stołu.

— Żegnaj panienkę — rzekła do Mani z ciepłym uśmiechem i przeszła do salonu.

Pan Stefan spojrział na matkę chłodno.

— Mama jest niemożliwa — szepnęła pani Lula do brata, zatrzymując go na progu.

— I ty także! Mogłybyście zawieszać broń przy-

najmniej podczas obiadu — odpowiedział i wyszedł na taras.

— Widzi mateczka, jak dobry czyn nigdy się nie ukryje — mówiła pani Lula do matki w salonie.

— Może się przejdiesz z panną Anielą — zwróciła się pani Pohorecka do młodszej córki.

Brzydka osoba nieokreślonego wieku wstała i wyszła z bladą panienką.

— Zdaje mi się, moja Lulu, że nie miałaś nigdy wspominać o swojej rewolucyjnej zabawie. Ja dotrymałam układu — mówiła pani Pohorecka chłodno, wyniośle.

— Nie potrzebuje mi mama przypominać. Zbyt dobrze pamiętam! I nie ja się zdradziłam. To był »palec Boży« lub oko Opatrzności nad Nisią. Pan Bóg zesłał siostrzenicę Talki. Inaczej święta Nisia nie dowiedziałaby się nigdy o rewolucyi.

— Mam nadzieję, że się nie dowie.

— I to możliwe! Ona ciągle śpi, więc pewno nie słyszała.

— A noga panny Łopackiej już tu więcej nie postanie!

— Cóż powie na to Stefan? Jemu bardzo chodzi o Talkę.

— Zdaje mi się, że i ja tu jestem panią. I może mi także chodzić o Nisię.

— Nisia źle na tem wyjdzie, jeżeli Stefan obrazi się na mamę. Choć może się i nie obrazi. On zna drogę do oficyny... I ja tam będę zaglądać... Mnie panna Łopacka nie zgorszy.

*

*

*

Pan Talko, wracając z Manią do oficyny, mówił głosem przyciszonym:

— Nawet nie wiesz, jakie palnęłaś głupstwo.

— To nie żadne głupstwo, ale prawda i przynosi tylko zaszczyt tej pani.

— Tutaj się o tem nie mówi, zwłaszcza przy Nisi.

— Nie moja wina, że tutaj ludzie są strupieszali.

— Jak ty się wyrażasz! Zlituj się. A nużby kto usłyszał?

— Niech słyszą. Dużo mnie to obchodzi!

— Powinno cię obchodzić, bo inaczej będziesz musiała wyjechać.

— To wyjadę. I owszem. Nie wytrzymałabym długo między temi mumiami.

— Myślę, że ja z tobą nie wytrzymam — rzekł pan Talko oburzony i zamknął się w swoim pokoju.

Mania minęła podwórze. Wyszła na pole. Była wzburzona, a nie rozumiała, dlaczego. Bo przecież nie dotknęły jej tak dalece ani wymówki wuja, ani dumne obejście się z nią »arystokratki«.

Pewna była, że się nikogo nie ulęknie, a jednak, po tem pierwszym starciu ze światem, zgoła sobie nieznanym, uczuła, że jej demokratyczne teorye i cała jej pogarda dla tego świata są bezsilne wobec stałych oczu pani Pohoreckiej, a nawet wobec lokajów, podających półmiski. I miała o to żal do siebie i do nich wszystkich.

Szła krokiem szybkim, a im dalej szła, tem czuła się swobodniejszą. Orzeźwił ją widok pola, które przed paru godzinami witało ją na tej drodze, przebywanej trzęsącą bryczką, ale wesoło, z młodą uciechą w duszy.

Wbiegła w łan pszenney; sięgał jej powyżej pasa. Pierwszy raz była wśród zboża; owionął ją zapach ziemi, uczuła ostrość kłosów, a jednocześnie do duszy zajrzała znowu radość życia — większa jeszcze, niż przedtem, nieznana. W upojeniu nachyliła czarną głowę nad złocistem morzem i, otworzywszy ramiona, zagarnęła oburącz, ile tylko mogła zagarnąć tych ostrych kłosów i przyłożyła do nich policzek. Żal jej się zrobiło odjeżdżać od tego łanu.

III.

— Dobry wieczór pani — zabrzmiał nagle głos męski.

W świetle zachodzącego już słońca, na gościńcu ukazała jej się wyniosła, gibka postać męska. Oczy szafirowe, ocienione długą rzęsą, patrzyły na Manię ciekawie.

Zmieszała się. Zrobiło się jej wstyd, że jest tak dziecinna, i wyskoczyła na drogę.

— Ładnie tutaj — rzekła — choć niema nic, tylko zboże i zboże.

Już odczuwała, jeszcze nie rozumiejąc, urok nieznanej dotychczas jej oczom rozległości horyzontu. Zaduma ociosała jej grube, pospolite rysy.

Szli obok siebie. Pan Stefan przyglądał jej się ciekawie.

— Pani lubi naturę — stwierdził, idąc obok niej gościńcem.

Mania szła bardzo ostrożnie, powoli, bo nowe pantofelki uwierały ją dotkliwie, a przytem umiała chodzić tylko po bruku.

— Czy ja wiem — odpowiedziała. — Bo jaka tam natura w mieście... A i pod miastem! Zdawało mi się, że Wilanów i Czerniaków to wieś, a teraz widzę, że na prawdziwej wsi inaczej. Mieszkaćbym za nic nie chciała, zwłaszcza tutaj, ale, że zobaczyłam jak jest, cieszę się.

— I ja się cieszę — zawtórował.

— Z czego? — spytała zdziwiona.

— Że pani do nas przyjechała.

— To są takie hrabiowskie komplementy. Ale ja nie wierzę byle komu.

— Więc ja jestem byle kto?

— Że pan siedzi na majątku — cóż z tego. Pan dla mnie żadna kompania.

— Woli pani jakiegoś kancelistę?

— A wołę. Tysiąc razy. Bo nie patrzy na mnie, jak na raroga.

— Może i ja nie będę patrzył.

Mania uśmiechnęła się, przymrużyła jedno oko i rzekła:

— Jeszcze się nie urodził taki, któryby mi zawrócił kontramarkę.

— Jeżeli się jeszcze nie urodził, to, jak się urodzi i wyrośnie, pani będzie dla niego za stara.

Roześmiała się.

— Pan to ma dobre koncepty.

— A widzi pani, ja jestem bardzo miły. Warto mnie poznać bliżej.

— POCO? Przyjechałam na świeże powietrze, a nie na flirty. Tego dobrego mam dosyć w Warszawie. Oj! oj!

— Wartoby jeszcze poznać, jak flirtują na wsi.

— Nie jestem ciekawa. Chce pan ze mną rozmawiać po ludzku, to dobrze, a nie, to do widzenia.

— Zatem przyjaźń?

— Jaka tam przyjaźń między kobietą a mężczyzną! To także stare sztuki. Ot, lepiej niech pan tak zrobi, żebym nie potrzebowała chodzić do pałacu.

— A dlaczego? — zapytał.

— Bo pańska matka »zgrywa« matronę. A ja nie potrafię siedzieć i milczeć... Pan także wyglądał na gorszego, niż teraz.

— Będę wyglądał na coraz lepszego. Zobacz pani.

— Nie zobaczę, bo mam nadzieję, że pierwszy i ostatni raz byłam w tej ogromnej jadalni... Mój panie, jabym koniecznie chciała jadać w oficynie z wujem Talką. Jest aż trzech lokajów. Toć jeden może nam przynosić jedzenie... Choćby trochę zimne. Ja wcale nie pasuję do pałacu i wołę oficynę. Przywykłam. Bo i w Warszawie — od urodzenia nie zdarzyło mi się mieszkać od frontu.

— A chciałaby pani?

— Ej, nie! Zresztą, bo ja wiem... Nie zawracałam sobie głowy takimi chęciami. Po co? Samem chęciem nie przeprowadzę się na front.

— Pani jest paradna!

— Paradna, czy nie paradna, a nie pokażę się już w pałacu. Będę sobie jadła obiad w matince. To będzie używanie! Bo w domu przychodzą stołownicy i nie można, choćby w największy upał... Po obiedzie wyjdę na spacer — ostrzegali, że na wsi są psy i bandyci, ale ja się psów, ani bandytów nie boję. A jak

kiedy zobaczę, że nikogo niema, to sobie pójdę do ogrodu.

— W matince? — zapytał.

— Skądże... Tutaj większe jeszcze ceregiele, niż ze stołownikami. A nużby mnie kto spotkał?

— Jeżeli ja, to nie mam nic przeciw matince. I owszem.

Spojrzała mu prosto w oczy, zaśmiała się i rzekła:

— Z pana to ciekawy numer!

— A z pani jeszcze ciekawszy! — odpowiedział ubawiony.

— Pewno, że nie jestem salonową lalką i nigdy nie będę, choćbym jadała w pałacu.

— Niech pani zostanie sobą. To zabawniejsze.

— Wam, arystokratom, chodzi tylko o zabawę.

— Pani jest demokratką?

— Czemże mam być? Może hrabianką Łopacką?

— Znakomite! — zawołał, stając przed nią i ogarniając spojrzeniem jej bujną figurę, ujętą w zły gorset i źle skrojony stanik.

— Więc, mój panie, proszę koniecznie tak zrobić, żeby mnie zwolnili z tych obiadów, bo już chciałam wracać do Warszawy, ale mi się zrobiło żal...

— Kogo?

— Pewno, że nie pana: tych kłósów i tego, że widać, jak słońce zachodzi... A podobała mi się także pańska siostra... Ona musi być bardzo postępową!

— Ogromnie — rzekł pan Stefan, przygryzając wargi.

— Wyrodziła się! Ach, przepraszam!...

— Może i ja się wyrodziłem ?

— Coś wątpię — odpowiedziała, przechylając głowę i patrząc na niego z ciekawością w oczach i z przekornym uśmiechem. — Pan mnie ma za głupszą, niż jestem. Mniejsza o to. Ale ta pańska siostra nadzwyczajna. Sam Szprott mówił z nią chyba godzinę... Myśmy czekały na schodach. Tylko teraz ona inna: ma nos czerwony.

— Tak, darować tego nie może rewolucyi.

— Rewolucyi ?

— Moja »postępowa« siostra zwiększyła liczbę jej ofiar: zaziębiła się na jakimś wiecu. Widzi pani, jak to niebezpiecznie robić rewolucyę.

— E, z panem o tem mówić nie warto. Taki dziedzic to naturalnie musi być zacofany...

— I burżuj ?

— A pewno.

— Niechże mnie pani nawraca.

— Ej, panie! Znowu pan zaczyna — rzekła Mania, grożąc mu palcem wesoło. — Ja się na takie arabski nie wezmę.

Kiwnęła mu głową i odeszła, zostawiając go na środku drogi.

Patrzył na nią i myślał, że kobieta jest cudownym tworem, bo jej nie szpeci ani zła suknia, ani złe wychowanie.

A panna Łopacka, wracając do oficyny, myślała o wszystkim potrosze: i o czerwonym nosku pani Luli, i o wiecach i, wreszcie, o panu Stefanie. Ale już nie myślała o wyjeździe.

P. Talko zaczął jadać sam na sam z siostrzenicą.

A tęsknił za obiadami w pałacu tem goręcej, że potrawy dochodziły go zimne.

To umartwienie skończyło się jednak prędko.

IV.

Słowo: »konstytucya« huknęło, jak grom, wstrząsnęło sercami. Zajaśniało, jak jutrzeńka, rozświeciło mroki. Uderzyło, jak młot, rozłukło życie osobiste. Ludzie przestali być jednostkami, poczuli się ciałem zbiorowem i, jak strumyki, zasilali rzekę potężną.

Wezbrały fale. Z głębin podniosły się męty. Płynęły wartko nadzieje. Tworzyły się wiry. Rzeka rosła. A nad jej wzburzonymi falami rozbrzmiewało wielkie słowo: my, wtlaczając ludziom w gardła tak głośne przedtem ja.

Bohaterstwo i zbrodnia, rabunek i ofiara — walczyły, uciskały, poświęcały się i... kradły zbiorowo. Egoizm przyczał się. Umilkł.

Nie wszędzie i nie na długo.

Dusze małe, niezdolne ani na chwilę zapomnieć o błahostkach, wyrosnąć ponad siebie, widząc ten wylew, bały się, że im zakłóci porządek dnia, przesunie w tył lub naprzód godzinę obiadową, zawala starannie oczyszczone obuwie.

Inni znowu przyglądali się ciekawie, radzi, że rewolucya dostarczy im podnieć silniejszych od flirtu, zapasów cyrkowych i pornograficznej literatury.

Było to dla nich coś w rodzaju walki byków, gdzie krew stanowi nieodłączną przyprawę widowiska.

Pani Lula dowiedziała się, że jest Polką pewnego dnia listopadowego, z okna pałacu swej przyjaciółki, hrabiny Oleckiej, patrząc na setki tysięcy głów, owianych amarantem i bielą. Była z natury wrażliwą i rozmiłowaną w rzeczach niepowszednich, więc ten widok przemówił do jej nerwów; że zaś nerwy nie pozwalały jej odgrywać w życiu roli widza, ani świadka, idąc, jak zwykle, za pierwszym porywem, wybiegła na ulicę, stanęła w szeregu pomiędzy posłańcem i jakąś damą w niemodnym kapeluszu — czego nawet nie spostrzegła — i głos swój przyłączyła do ogólnego zespołu.

Od owego dnia była wciąż podniecona. Szukała dla siebie solowej partyi w chórze, intonowanym przez tłumy na różne nuty. I wreszcie znalazła.

Postanowiła ratować kraj.

W niespełną godzinę potem dzwoniła do mieszkania siostry swego męża, pani Kasi Bogdańskiej.

— Jest pani w domu? — spytała służącego.

— Jest.

— Gdzie?

— W jadalni.

Z wielkim szelestem jedwabnych »dessous« wbiegła do wskazanego pokoju.

Wysmukła kobieta o jasnej cerze i jasnym spojrzeniu, co tworzyło barwne tło dla posrebrzonych już włosów, zajęta była przyprawianiem sałaty.

— Tak, pora właśnie myśleć o obiedzie — rzuciła pani Lula szyderczo. — Kraj zagrożony. Byłam już w dwudziestu miejscach. Zrobiłam ze sto piątr. A ty tutaj stoisz i lejesz oliwę i ocet.

— Co cię tak wzburzyło ?

— Zapewne. Niema się czem wzburzać ani wzruszać. Wszystko idzie dobrze. Najstosowniejsza chwila do myślenia o sałacie. To się nazywa patryotyzm tej waszej świętej rodziny... Nad krajem wisi nieszczęście.

— Niejedno — wtrąca pani Kasia.

— W tej chwili jedno, największe... Dowiedziałam się rzeczy strasznych. Jeżeli temu nie przeszkodzę, może być bardzo źle.

— Ty temu przeszkodzisz ?

— Tak, ja. W rodzinie Rojewskich nie mam miru. Ale zobaczycie, co waży moje słowo u innych. Jest w Warszawie człowiek bardzo niebezpieczny, jakiś Szprott. Mówiono o nim wczoraj na raucie u hrabiny Oleckiej. Dowiedziałam się, gdzie mieszka, napisałam do niego jeszcze wczoraj. A dziś idę — oznajmia pani Lula z dumą.

— I cóż on takiego niebezpiecznego robi ? — pyta pani Kasia, ciekawa usłyszeć o działalności tego trybuna z ust swojej bratowej.

— Myślałam, że ty mi powiesz — odpowiada pani Lula trochę zaambarasowana.

— Musisz i ty chyba wiedzieć, skoro chcesz iść.

— Wiem, naturalnie, że wiem. Cóż taki niebezpieczny człowiek mógłby robić w dzisiejszych czasach ? Napewno aranżuje jakieś awantury.

— Cóż do niego pisałaś ?

— Że proszę o rozmowę w bardzo ważnej sprawie. Wyznaczył mi trzecią godzinę. Przyszłam, żeby ciebie zabrać.

— Dlaczego mnie ?

— Chciałam iść z Dada, ale zapowiedziała się jej hrabina Olecka, więc musi na nią czekać, a powtóre my obie jesteśmy za ładne. Toby wyglądało na coup de tête młodych kobiet. Zupełnie co innego, jeżeli pójdę z tobą. Poważniej, uroczyściej. Pomyśli, że deputacya.

— Nie pytasz mnie nawet, czy i ja czuję się na siłach przekonywać p. Szprotta.

— Możesz nic nie mówić. Tem lepiej.

W chwili tej do jadalni wszedł pan Marceli Bogdański, siwiejący szatyn, z wąsami obwisłymi i smutną twarzą.

— Zabieram Kasię — oznajmiła pani Lula.

— Gdzie? Po co?

— Nie po sprawunki. Do tego mi ona niepotrzebna.

— A do czego?

— Potrzebne są moje siwe włosy — objaśniła go żona z uśmiechem.

— Idę do jaskini smoka — chępiła się pani Lula.

— I rzucisz mu Kasię na pastwę.

— A! jeżeli robicie takie historie, to się obejdzcie. Polskich matron jeszcze nie brak... Chciałam dla niej, nie dla siebie. Toć i wy macie syna, a ten pan buntuje młodzież!

— Pójdiesz? — spytał żonę pan Marceli.

— Pójdę — oznajmiła pani Kasia. I wyszła, żeby się ubrać.

— A kiedy wrócicie? — pytał pan Marceli bratową.

— Niewiadomo — odpowiedziała tajemniczo.

— Możeby Kasia zjadła wpierw obiad? — zaproponował.

— Bywają przecież chwile, w których można zapomnieć o obiedzie — wygłosiła pani Lula z oburzeniem.

— Przepraszam bratową, muszę coś Kasi powiedzieć — rzekł, wysuwając się w głąb mieszkania.

— Czemu idziesz z tą waryatką? — mówił do żony w pokoju sypialnym.

— Dlatego właśnie, że waryatka — odpowiedziała mu pani Kasia.

— Od żadnego głupstwa jej nie powstrzymasz, a tylko się zirytujesz.

— Wiesz, że nie łatwo się irytuję.

— I nie obchodzi cię nic, że ja się tu będę niepokoił?

— Po co? Lepiej pogadaj z Antosiem. Zajrzyj mu do duszy.

— Nie umiem. On mruk i ja mruk. Tylko z tobą mówić umiemy... Przyznam ci się, że ta Lula jest niemożliwa — dodał pan Marcelem, zatrzymując żonę na progu. — Ona o tobie mówi, jakgdybyś mogła być jej matką. A jesteście w równym wieku.

— Jeśli jej to sprawia przyjemność, cóż mnie to szkodzi.

— Ale mnie to szkodzi.

Ponuremu panu Marcelemu przeszkadzało, co prawda, wiele rzeczy.

Na schodach panie spotkały szczupłego, wyrostniętego ucznia, podobnego do matki z oczu szafirowych, a do ojca i z twarzy i ze smutnego jej wyrazu.

— Mama wychodzi? — zadziwił się.

— Tak, staraj się ojca rozerwać.

— Cóż za tragedye rodzinne o byle co! Jabym nie wytrzymała w takiej atmosferze — niecierpliwiła się pani Lula.

Gdy już powóz ruszył, wioząc je pod wskazany adres, rzekła do Kasi od niechcienia:

— Powiedz mi w paru słowach, co ów Szprott naprawdę robi? Dlaczego jest niebezpieczny?

* * *

W gabinecie, wyglądającym na muzeum, elegancka pani Lula i dystyngowana pani Kasia czekają na ukazanie się trybuna ludowego i bożyszcza młodzieży.

Pani Lula przygląda się pięknym meblom, słuckim pasom, obrazom szkoły flamandzkiej, makatom i starym sztychom, porozwieszanym na ścianach.

I dziwi się.

— Skąd taki Szprott ma na to wszystko? Powiedz mi wszystko prędzej!

— Toć jego matka... — zaczyna pani Kasia.

Nie sążone jest pani Luli powziąć bliższych wiadomości o rodzinie pana Szprotta, bo właśnie pomiędzy pytaniem a odpowiedzią otwierają się drzwi i do pokoju, krokiem zamaszystym z podniesioną głową, jak do ataku, wpada mężczyzna chudy, wysoki, z kędzierzawym wianuszkiem dokoła łysiny. Głowa na bok przekrzywiona, twarz apostoła, a oczy lubieżnika.

— Przepraszam najmocniej, że dałem paniom czekać, ale nawał pracy — mówi, zwracając się do młodszej i ładniejszej z delegatek.

— Właśnie przyszedłem, żeby się z panem wyklócić o tę pracę — oznajmia pani Lula takim tonem, jak gdyby mu zapowiadała salonową sprzeczkę.

Ani na chwilę nie wątpi, że niebezpieczny człowiek pójdzie drogą, którą mu ona wskaże.

— Niechże się pan zastanowi, czy to jest sens buntować dzieci, robić rewolucję.

— Istotnie, rewolucya jest rzeczą niewygodną dla wielu.

— Niech pan nie myśli, że mówi przeze mnie sybarytyzm. O, nie. Gotowa jestem ponosić największe zmęczenie dla dobrej sprawy, i już ponosiłam — dodaje tajemniczo, myśląc o maszerowaniu przez całe miasto między posłańcem a damą w niemodnym kapeluszu. — Ale — kończy myśl swoją — w tem, co wy robicie, niema sensu. Dzieci są przecież na to, żeby słuchały i szanowały rodziców. Myśmy w takich zasadach wyrosli, i dobrze.

— Pani znajduje, że jest dobrze?

— Będzie gorzej, gdy malcy zaczną przewodzić. Mnie do dziś dnia nie przyszłoby na myśl sprzeciwić się woli mojej matki.

Pani Kasia oczy przymruża, bo miałaby ochotę w tej chwili widzieć wyraz twarzy swojej bratowej, a utrudnia jej to wzrok krótki.

Pan Szprott zdaje się nie słyszeć słów, ale dostrzega, że padają z ust, wykrojonych w kształt łuku.

Pani Lula, zachęcona jego roziskrzonym spojrze-

niem, zasiada głębiej w fotelu i prowadzi swe apostołstwo tonem maskaradowej intrygi.

— Dużo, bardzo dużo o panu słyszałam — powiada — wiem, że pan jest groźny, ale ja jestem odważna. Powiedziałam sobie: pójdę! przemówię do rozumu, do sumienia pana Szprotta i nie ruszę się, dopóki mi nie obieca, że rewolucyi nie będzie.

Agitator schował pod wąsem uśmiech, wywołany tym szczebiotem.

A ona, przechylając główkę, spytała:

— Zapewne pan o mnie słyszał?

— Choć zajmuję się czem innym, ale i mnie dochodzi sława pięknych i strojnych kobiet.

Rzuciła mu uśmiech za komplement.

— O! ja już nie jestem strojna — zaprzeczyła. — Któżby się stroił, wychodząc na burzę! Bo przecież burza wisi w powietrzu. I to pan wywołuje pioruny, prawda?

Przesunął ręką po nagiej czaszce takim gestem, jakgdyby ją zanurzał w bujnej czuprynie

— Pioruny gromadzą się same — mówił z oczyma utkwionemi w ścianę. — Ja tylko, jak Apollin, ująłem cugle rydwanu słońca, toczącego się w przepaść.

— To z mitologii. Wiem. Ale niech pan rozważy, co my na tem wskóramy? Tyle tylko, że mocniej dadzą nam w skórę... w s k ó r ę — wyskandowała, rada z tej gry słów.

— To trudno, ofiary być muszą — odpowiedział — to nawóz pod przyszłe zwycięstwo. Idzie po nich pług, kraje, odwała skiby, a tam daleko... daleko plon! Widzę go...

Popadł w zadumę.

— Co pan widzi? — dopytywała pani Lula ciekawie.

Znowu przed siebie rękę wyciągnął i mówił:

— Wieszczem nie tylko ten, co natchnienie przelewa na papier. I ten także, co wieszczy narodowi przyszłość, wskazuje, na jakiej drodze dla niego ratunek.

Pani Lula, wpatrzona w pana Szprota, widziała w nim takiego właśnie wieszca.

— I pan może wywróżyć, co będzie? — spytała.

— Pan to może, dlatego zapewne, że sam przyszłość urabia.

Na te słowa pani Kasi, pan Szprott odrzucił głowę, jak koń, niespodziewanie ściągnięty uzdą; oczy przymrużył, popatrzył uważniej na tę milczącą osobę, która odzywała się po raz pierwszy, i rzekł:

— Żeby widzieć smugę, idącą naprzód od czynów, trzeba mieć rząd nad duszami i trzeba także natchnienia. Tylko wieszcz natchnionym być może!

— Więc cóż będzie za rok? za miesiąc? — dopytywała się pani Lula.

A on rękę wyciągnął i, wodząc nią dokoła, mówił:

— Brzęczą kosy, padają strzały... idzie lud zbrojny... Zabrzmiała pobudka bojowa. Huk, błysk, ruiny, pożoga. Na gruzach, na zgliszczach wbijam drzewce nowego sztandaru...

— Panie, na miłość Boską! Co pan mówi — zawołała pani Lula — czy pan nie wie, że za takie rzeczy idzie się do więzienia, do cytadeli!

— Takbym chciał — szepcze pan Szprott.

— Nie wierzę! Nie wierzę! — mówi pani Lula z oburzeniem.

— Ludziom to dziwne, nie rozumieją, że, kto żyje tylko dla drugich, znudzony być może. Ten pokój to konfesyonał; gdy od świtu do nocy kapłan słucha spowiedzi, to nie ma czasu wsłuchiwać się w tętno własnej duszy. A ono mogłoby wydzwonić światu prawdy nowe. Mam je w sobie, płód dojrzewa. W ciszy więzienia dałbym mu życie.

— Ależ pana mogą powiesić!

— Życia sobie sam nie odbieram, bo jest niezbędne dla drugich. Jednak, gdyby obca ręka uwolniła mnie od tego cierpienia za cały kraj, za całą ludzkość... Co za ulga!

— I nie byłoby panu żal... przyjemności, uciech tego świata?

— Moje uciechy mogą być krwawe.

Pani Lula, zaciekawiona i przerażona w równej mierze, patrzyła na niego roziskrzonymi oczyma.

A on rzucił:

— Widzę przyszłość w łunie pożarów...

Piękna pani pod żakietem karakułowym uczuła dreszcz zgrozy. Dało jej to rozkosz nieznaną jeszcze wzruszeń.

— Cóż jeszcze będzie? Niech pan mówi, prędzej! — pytała.

— Będzie naprzód bardzo ciemno, a potem jasno...

— Co to znaczy: ciemno?

— To znaczy, że dym wystrzałów zakryje słońce.

— Będą strzelali?

— Tak.

— W Warszawie?

— W Warszawie i wszędzie.

— Jakto, wszędzie? I u nas, na Wołyniu?

— W całym kraju.

— Nigdzie bezpiecznego schronienia?

— Któżby się chronił w takiej chwili! Trzeba będzie piersi odsłonić, wystawić na pociski!

Pani Lula nie ma wcale ochoty wystawiać na szwank swoich cudnie zaokrąglonych piersi. Wszak nie chciała ich psuć karmieniem ukochanego syna, tem mniej miała ochotę podawać ją na takie eksperymenty. Czerpie otuchę w myśli, że zna bardzo wpływową figurę. Jedno słowo tego dostojnika wystarczy, aby jej dano paszport na poczekaniu.

— Więc pan tej rewolucyi nie chce zaniechać? Może ją pan chociaż odłoży — próbuje nawrócić groźnego męża.

— Dosyć już kunktatorstwa — woła trybun. — Przyszła chwila działania!

— Takie chwile przychodziły już parę razy i pozostawiały zgliszczą, ruiny. Dziesiątkowały naród bezużytecznie — wtrąca pani Kasia.

— Bo nie było przewodników mądrych. Teraz są.

— A jeżeli powiodą na manowce?

Pan Szprott na to odpowiadać nie chce. Zimnym wyrazem oczu daje pani Bogdańskiej do poznania, że wątpliwości w tym względzie są niedelikatne.

— Pan jest bardzo interesujący, ale stosunki z panem niebezpieczne — oznajmia mu pani Lula. —

Wezmą pana do więzienia. Zrobią tutaj rewizyę, przewrócą mieszkanie do góry nogami. Niechże mi pan odda mój list i bilet wizytowy, którym się zameldowałam. Mniejsza o mnie. Ale nie mogę narażać męża, syna...

Pan Szprott sięgnął do tużurka i podał te kompromitujące dowody, ogarniając panią Lulę oczyma, nie groźnemi bynajmniej.

— Pan mi nie ma za złe — rzekła z przymilem — a jak wrócę...

— Pani wyjeżdża?

— Naturalnie.

— Szkoda.

— Nie zachęcił mnie pan do pozostania. Ale, jak wrócę, jeżeli pan wyjdzie cało z tych awantur, proszę mnie koniecznie odwiedzić. Przyjmuję we środy.

— Na jak długo pani wyjeżdża?

— To będzie zależało... od pana. Wrócę, jak się zupełnie uspokoi.

— Więc nieprędko, niestety!

Wziął jej rączkę, jak się bierze okaz rzadki, powoli do ust ją poniósł i na białej skórcie rękawiczki wycisnął pocałunek, trochę za długi, jak na człowieka, który miał tak mało czasu dla siebie.

A ona, przypomniawszy sobie, że nie wyczerpała jeszcze do dna argumentów, spojrzała na niego łaskawie i rzekła:

— Nie tracę jeszcze nadziei, że się pan opamięta... przemówią tradycye rodzinne — wspomnienie matki.

Pan Szprott zmieszał się, uderzył w panią Lulę gniewnemi oczyma, ale padły już na jej plecy.

Wychodząc, panie minęły się z zaczerwienionemi pensyonarkami. Szły widocznie do konfesyonału pana Szprota.

Wówczas to Mania widziała po raz pierwszy panią Lulę.

A ona, gdy drzwi zamknęły się za nimi, rzekła do pani Kasi:

— Przyznaj, że to człowiek niepospolity!

— Przyznam, że to niepospolity frazesowicz i blagier.

— Ty musisz być zawsze rozumniejsza od wszystkich.

— Straciłyśmy czas na próżno.

— Ja nie straciłam. Zabawiłam się wybornie.

— Jeżeli tylko o to chodziło...

— Zapewne, że i o tę waszą rewolucję. Ale już mnie to nic nie obchodzi. Wyjeżdżam. A wy, jak jesteście tacy mądrzy, obmyślajcie sposoby na Szprottów.

Pani Kasia milczała.

— Zła jesteś, że mówił więcej ze mną, niż z tobą — odezwała się do niej po chwili pani Lula.

Nie otrzymując odpowiedzi, utwierdziła się w swoich domysłach. Schodziły z trzeciego piętra w milczeniu.

Na połowie drugiego pani Lula stanęła i rzekła:

— Odrazu poznałam, że jest blagier. Dlatego nie próbowałam go przekonać. On zresztą nie ma takiego wpływu, jak mówi.

Zanim zeszły z pierwszego piętra, pani Lula była już głęboko przekonana, że ani na chwilę nie olśniły jej frazesy pana Szprota.

Nagle coś sobie przypomniała.

— Ale prawda — rzekła już w bramie — zaczęłaś mówić o jego matce. Pewno była szlachcianką i zrobiła mezalians ?

— Tego nie wiem, ale wiadomo, że wypożyczała na fanty.

Pani Lula, która już szła do powozu, odwróciła się. Oczy jej zaćmiły blaskiem płomyk gazu, migający w bramie.

— I pozwoliłaś mi go zaprosić do siebie na j o u r ! — zawołała z pasyą.

Ciężki wyrzut został odparowany milczeniem.

Panie wyszły na ulicę.

— Wolę się przejść — rzekła pani Kasia w odpowiedzi na gest, którym ją bratowa zapraszała do karety.

Po drodze pani Lula ochłonęła z oburzenia, pocieszając się, że, zanim otworzy znowu salon, nie będzie już pana Szprotta na świecie. A tymczasem śpieszno jej było podzielić się wrażeniami. Kazała się zawięzić do drugiej siostry męża, pani Dady Borzymowej.

Zastała u niej jeszcze hrabinę Olecką.

— Więc byłam u Szprotta! — oznajmiła tryumfalnie. — Wiecie, to ten, co uchodzi za najniebezpieczniejszego, urządza jakieś awantury, strzelaniny... Perswadowałam mu. Obiecał, że da temu pokój. Dziękował mi za rady... Chciał pocałować w rękę, ale tak się zręcznie odwróciłam, że nie mógł... Bo to Bóg wie kto — lichwiarz. Co za czasy! Tacy ludzie odgrywają pierwsze role! A my musimy paktować

z nimi dla dobra kraju... Wyobraźcie sobie, on ma śliczny garnitur czeczotkowy, pewnie jaki fant. Byłby mi go sprzedał za tysiąc rubli, ale mi to niepotrzebne, teraz na wyjeźdnem...

— Wyjeżdżasz? — spytała pani Dada.

— No, naturalnie. Tu będą strzelać.

* * *

Tego dnia na raucie u hrabiny Gozdawskiej, w salonach, otwierających podwoje nie tylko miastu, lecz i okalającym go fortom, bawiono się tem weselej, że na wulkanie.

Echa burzy odbijały się w rozmowie, dodając jej du piquant. Flirt przeplatany był odrobinką strachu o całość szyb w oknach pałaców.

Wśród wesołych rozmów zgrzytało co chwila słowo: rewolucya.

— Pan musi za mną się wstawić — mówiła po kolacyi pani Lula do wysokiego dostojnika.

— Wolałbym wstawić się za sobą do pani — odpowiedział jej z ukłonem.

— I owszem, wskażę panu nawet drogę *via* Aleksandrów. Muszę koniecznie jutro mieć paszport dla siebie i dla syna.

— Syn chyba jeszcze paszportu nie potrzebuje. Ma ze trzy lata najwyżej.

— Trochę więcej.

— Czemu pani wyjeżdża?

— Powietrze warszawskie mi nie służy...

— Tak, teraz ono bardzo niezdrowe — przyznał dostojnik.

— A kiedy się oczyści? — spytała, wtrącając się do rozmowy, baronowa Silberg, o typie semickim.

— To nie od nas zależy — tłumaczył dygnitarz.

— A od kogo?

— Od pań.

— Wszak my nie robimy rewolucyi — oburzyła się baronowa.

— Jak tylko panie zechcą, rewolucyi nie będzie. Trzeba anarchistów skokietować.

— Ja już to zrobiłam — oświadcza pani Lula.

— Którego? — pyta dostojnik, zaciekawiony.

— Najgroźniejszego.

— Cóż to za jeden?

— *Nomina sunt odiosa* — wrzuca szybko jeden z panów, przysłuchujących się rozmowie.

Pani Lula miarkuje wreszcie, że, choćby się opowiadało inaczej, niż było, lepiej nie opowiadać wcale.

— Ja już jestem jedną nogą w Paryżu — oznajmia baronowa.

— A ja się nie ruszę — oświadcza, podchodząc, gospodyni domu. — Nie wyszłabym z teatru przed końcem ciekawego przedstawienia, a ten spektakl jeszcze ciekawszy. Więc zostaję, bo nigdzie w Europie nic podobnego nie zobaczę. *Spécialité* krajowe. A ciągle nam mówią, że trzeba popierać miejscową produkcję. I niechże już raz przestaną nam zarzucać absenteizm. Niech widzą, że się niczego nie boimy.

— I ja zostanę — decyduje się nagle pani Lula.

— Polki bywały zawsze chobre — odzywa się dostojnik w języku tych pań, którym chętnie przeplata francuską rozmowę.

— Chobre! Jako to ślicznie powiedziane! Przypomina się Złota Brama i Szczerbiec — mówi baronowa z nagłym wzruszeniem.

Chciałaby przed oczyma wywołać długi szereg swych przodków w zbroicach.

Rozmowa toczy się dalej bardzo lekko o rzeczach poważnych i bardzo poważnie o błahych.

* * *

Pani Lula została, przekonana argumentem hr. Gozdawskiej. A zostawszy, chciała przyjrzeć się zblizka tym »produkcjom«. Przeważała je dowcipnie *articles de Varsovie*. Jej *bon mot* obiegiło wszystkie salony i cieszyło się wielkiem powodzeniem.

Od rana do wieczora, w żakiecie zeszlórocznym, krążyła po ulicach, wchodząc w najliczniejsze zbiegowiska. Rozpętane słowa, szary tłum, którego emanacyom trzeba było przeciwstawiać sole angielskie, wszystko to było niesłychanie podniecające.

— Duszę się w apartamentach — mówiła, zachwycona szerokiem tchnieniem ulicy. I nie czuła, że raz marzną, to znowu mokną jej nóżki, nieprzyzwyczajone do tak bezpośredniego zetknięcia z ulicą. Aż wreszcie, pewnej nocy, po kilkunastu dniach zespiania się z tłumem, pani Lula uczuła dreszcze. Wezwany lekarz stwierdził groźne zapalenie wewnętrzne. Przeleżała dwa tygodnie i wstała... z czerwonym noskiem.

Odtąd nie mogła się go pozbyć ani w Beaulieu, ani we Florencyi.

Pozostał, jako żywe wspomnienie rewolucyjnych upojeń. A jego barwa wpłynęła na humor i poglądy pani Luli.

V.

W tydzień po przybyciu do Pohorców panna Łopacka skreśliła swe wrażenia siostrze »nieudanej«.

»Mama to zawsze Bóg wie co sobie wyobraża. Słyszałaś, jak po liście wuja Talki mówiła mi od rana do wieczora. A to: »Nie chodź po swojemu, bo się tam poślizniesz na posadzkach«. A to: »Nie rozpieraj się przy stole, bo będziesz tam jadła srebrną łyżką«. A to: »Nie gadaj od śliny, bo cię odeślą z powrotem«.

»Dokuczyły mi te Pohorce, zanim je zobaczyłam. Ale dokuczyły mi także wasze strachy: że z blednicy wpadnę w suchoty, że was nie kocham, bo chcę umrzeć. Jak zaczniecie w ten deseń, dla świętego spokoju robię ustępstwa. Więc pojechałam.

»Jadąc, byłam pewna, że będą święte nudy.

»A wiesz? — wcale nie. Odrazu, od mojego pierwszego wejrzenia, trup. I nie jakiś tam pierwszy lepszy. Powiadam ci, byczy facet, ma ze czterdzieści lat. Cóż to szkodzi? Bierze się do mnie ostro. Gdzie się ruszę, on już jest. Ani myślę się zakochać. Po co mi to? Ożenićby się nie ożenił, a miałabym tylko awantury ze Starą.

»To jego matka. »Robi« dystynkcyę i na mnie patrzy gorzej, niż na ogrodnika albo na chłopca sta-

jennego. Bo oni tu mają ogród własny, dla siebie wyłącznie, i stajnię, pełną koni. W pałacu chyba z piętnaście pokoi, a może i więcej, bo wszędzie nie byłam. Meble złoczone. Obrazy, dywany, jak w jakim sklepie, albo w sali licytacyjnej. A on, to jest pan Stefan, ma chyba ze trzydzieści garniturów. Przebiera się po trzy razy na dzień, jak jaka kokota... Inaczej do konnej jazdy, inaczej do śniadania, inaczej do obiadu. Mieszkam w oficynie, ale w takiej bez schodów. Mam pokój własny! Wyobraź sobie! Z początku nie chciałam wcale chodzić do pałacu, bo Stara ciągle siedzi na cnocie i dystynkcyi. Nie można przy niej ust otworzyć. Ale na szczęście pojechała sobie do Lwowa z tą swoją nieznośną córeczką, z którą się ciągle kokosi. A tutaj przyjechała druga córka, mężatka. Niepospolita kobieta, bo nawet nie burżujka i ma nos czerwony od czasu rewolucyi, tak latała po ulicach. To ta sama, co miała śliczny kostyum granatowy u Szprota i takie pióro strusie. Opowiadałam ci. Pamiętasz? Czy mogłam wtedy myśleć, że znowu ją spotkam, i to w pałacu. Ona przywiozła z sobą aż trzech facetów. Przystojni, ale pan Stefan ładniejszy. Włosy mu trochę siwieją na skroniach, i to mu nawet piękności dodaje. I tamci podbierali się trochę do mnie, ale pani Lula była widocznie o to zła, więc zostawiłam ich w spokoju. Mnie tam jeden wystarczy, zwłaszcza taki! Choć siedzi na wsi, daleko warszawskim szykowcom do niego. Ten literat, co do nas chodzi na obiady i udaje dystynkcyę, ani się umywał do niego. Pani Lula sznytowa. I bardzo sprytna. Opowiada tak, że boki zrywać. Patrząc na nią, niktby nie

powiedział, że ma syna w klasie szóstej. A wyobraź sobie, ma także... kochanka. Sama mi powiedziała. I mówi, że tak było zawsze, i za tych świętych, dawnych czasów; nie ręczyłaby za rodzoną matkę. Prawdziwie postępowa! Jeden z tych facetów, co z nią przyjechali, siarczyście się do niej podbiera. To pewno jej kochanek.

»Tylko nic nie mów mamie o tym kochanku, bo to naturalnie sekret. Nie powinnam była napisać, ale wiem, że nie jesteś papłą. Takbym chciała, żeby pani Pohorecka z tą swoją świętą Nisią wcale nie wracały! Teraz jest bardzo wesoło. Kończę już, bo czasu nie mam. Pan Stefan uczy mnie jeździć konno. Moja droga, pisz do twej kochającej *Mani*.

»P. S. Ta jedwabna bluzka z wyciętym kołnierzem robi tutaj efekt, zwłaszcza goła szyja. Chodzę ciągle w pantofelkach, choć mi trochę żal, bo co zrobić, jak się podeszwy zedrą? Suknię podnoszę, żeby widzieli, że mam ładną nogę. A czasem, jak chodzę sama po ogrodzie z panem Stefanem, podnoszę jeszcze wyżej, tak, że prawie widać... łyd... Trzeba pokazywać mężczyznom, co warte widzenia. Oni są bajecznie głupi. Zawsze to mówiłam. A ty nie chciałaś wierzyć, feministko!«

Na ten list Mania otrzymała odpowiedź taką:

»...Że trup, to bardzo naturalne, bo on przecież naprawdę takiej, jak ty, nie widział między swojemi lalami. Ale, że tobie się zdaje, że nie mógłby się z tobą

ożenić, to mnie oburza. Bo czemu nie? I po co była ta cała rewolucya, jeżeli takie państwo z pałaców patrzy na osobę, która skończyła pensyę sześcioklasową, jak na ogrodnika, albo stajennego chłopca? Jakto! A co nam mówili, że teraz będzie równość, to zawracanie głowy? Ładna mi równość! Nie tylko oni sami wyobrażają sobie Bóg wie co, ale nawet nas i.

»I taka panna, jak ty, myśli, że nie jest godna chodzić do pałacu. A cóż to ten ich pałac? I skąd go mają! Nie pamiętasz, co mówili, że każdy szlachcic, a nie dopiero hrabia, dlatego ma dwór, albo pałac, że jego przodkowie rabowali po drogach? A on wyzyskuje i służbę, i ekonomów, i rządców.

»A ty tam zgrywasz pokorę. Nie spodziewałam się, że będziesz taka, Maniu. Jeszczeby dużo o tem gadać, czyj to naprawdę ten pałac. I jak długo będzie ich. I czemu byś nie mogła i ty zostać dziedziczką.

»Tylko się nie daj deptać, jak kaczkom, bo kto nas będzie szanował, jeżeli my sami nie.

»A z tym jakimś Stefanem trzymaj się ostro i wcale mu nie pokazuj ani nogi, ani nic więcej. Popatrzeć, popatrzeć, bo jest na co, ale nie taki on głupi, jak się tobie wydaje. Na takie rzeczy każdy mężczyzna ma rozum, a potem kobietom płacz i bieda.

»Przypomnij sobie tę Józkę. I to nawet nie był żaden arystokrata, co jest z natury zepsuty od czupka do pient, ale zwyczajny rzondca domu.

»Na to także trzeba osobnej rewolucyi. I żeby kobiety nie były takie głupie.

»A ty przecież jesteś inteligentna. To trzymaj się fest. Jak małżeństwo, to dobrze, a nie, to a d j u.

Przecież to jeden, jedyny użytek z kościołów, że można w nich brać szlub, i że jak klamka zapadła to już kobiety nie kopną i nie wyrzucą za drzwi, jak jakiego niepotrzebnego śmiecia. Więc pamiętaj! Bez żadnych łydek! I leć na sakrament. A nie, to wracaj.

»Ten literat, co chodzi na obiady, możeby się z tobą ożenił, bo ciągle o ciebie dopytuje. Byłoby lepiej, żebyś została wielką panią. To pewno, ale, jak nie można, i to dobre, bo u nas te lata bardzo ciężkie. Wszyscy się porozjeżdżali. Jest tylko dwóch stołowników, a ja biorę wieczorami robotę do domu. Szyję teraz kostyum popielaty płócienny. Dla tej doktorowej z pierwszego piętra. Taka ma dobrze, wyjeżdża sobie zagranicę i bierze nawet służącą i bonę. A ty siedz po nocach i ściubłaj dla niej za marne cztery ruble. I to jeszcze chce, żeby było prędko. Nie, niema sprawiedliwości na świecie. A i to pewno prawda, co mówiła ta panna w pogadance dla szwaczek, że i na tamtym świecie niema piekła i żadnej nie będzie kary dla wyzyskiwaczy-burżujów. To też nie trzeba czekać i nie spuszczać się na Boga, a samemu o siebie się upominać. A ty, Maniu, nie bądź głupia i upamiętaj się. A ja żadną feministką nie jestem. — Także wymyśliłaś! Nawet niecierpię tych bab. Gdyby wszystkie tak chodziły ubrane, jak one, to płaciliby jeszcze mniej szwaczkom po pracowniach, bo nie byłoby dla kogo szyć.

Twoja siostra *Różia*«,

List Mani.

»Róziu, to ty pisałaś głupstwa, a nie ja. Wiesz przecież, że mam więcej od ciebie wykształcenia. Przepraszam; ja ci tego nie wypominam. Przewrócili ci w głowie i wszystkiemu wierzysz, bo nie uczyłaś się historii i różnych politycznych nauk, więc nie wiesz, że na świecie zawsze tak było i będzie, że jedni mają za dużo, a drudzy za mało. I sama chcesz, żebym ja miała pałac i majątek, a innym chciałabyś odbierać.

Tutaj wiele rzeczy zrozumiałam. Bo dotychczas, co myśmy widziały? Okna oficyn i balkony ze skórami wypatroszonych zajęcy i z doniczkami bez kwiatów. Trzeba to i owo zobaczyć i poznać świat, żeby mózdz sądzić. A my, czy sobie nie wyobrażamy, że jesteśmy coś lepszego od stróżki, która nie mieszka w trzech pokojach, tylko w suterenie? Tak samo oni. I wcale nie jestem pokorna, jak ci się zdaje, i nie wyobrażam sobie, żebym była wiele gorsza od nich. Co do inteligencji, to oni ze mną mierzyć się nie mogą (z wyjątkiem Stefana) i dlatego, że mam wszystko świeżo w głowie po egzaminach, i dlatego, że, nie mówiąc już o matce, nawet pani Lula i ta glista Nisia nie uczyły się z pewnością fizyki ani chemii, a o trygonometrii to już nawet nie słyszały. A ja to wszystko umiem. Powiem ci, że i pod względem urodzenia bardzo niepotrzebnie robisz demokratkę, bo my jesteśmy wyborna szlachta. Nasza łopata nie z byle jakiego drzewa.

»Dowiedziałam się o tem, dzięki fumom Starej.

Już wróciła, niestety, i poprzyjeżdżali różni goście, hrabiowie i nie hrabiowie. Pani Lula ciągnie mnie do pałacu, więc znowu chodzę na obiady i kolacje, bo wuj nie lubi jadać w oficynie. I mnie z nim nudno.

»Ale nie do tego prowadzę. Trzeba było słyszeć, jak mnie Stara prezentowała gościom. Krztusiła się tą łopata. I mnie ona stawiała kością w gardle. Z początku byłam głupia. Zgrywałam demokratkę. Potrzebne mi było mówić, że chodziłam darmo na pensję, że ty chodzisz do magazynu i że tatko nieboszczyk brał raptem 50 rubli miesięcznie na kolei.

»Mam zawsze za długi język! Ale już się stało. Więc myślę sobie: poczekajcie! I, kiedyś, niby od niechcienia, mówię przy obiedzie, że pojedę stąd do gubernii Suwalskiej, do koleżanki, panny Bukowskiej, której rodzice mieszkają także na wsi, w majątku. Stara spytała: z jakich to Bukowskich i jak jej matka z domu? Nie wiedziałam, bo mnie to dawniej nie obchodziło. Teraz, co innego. Oni zadzierają nosa. I ja im zadrę. Więc znowu, jak była mowa o różnych familiantach, powiadam:

»— Dużo mi z tego przyjdzie, że moja rodzina, choć brzydtko się nazywa, a pochodzi z bardzo starej szlachty. Nasze papiery aż pożółkły.

»Pamiętasz przecież, ojciec miał bardzo żółte papiery w kuferku i mówił, że to dokumenty szlacheckie; ale my wtenczas uważałyśmy, że to zacofaństwo, i śmiałyśmy się po kątach. Teraz dopiero widzę, jaka byłam głupia. A ty jeszcze jesteś, ale cię przerobię.

»Słuchaj. Jak to powiedziałam, Stara spojrzała

na mnie i wydeła usta, bo ona się ciągle wydyma. Myśli, że pochodzi wprost od króla Ćwieczka.

»Prawda, że Pohoreccy to znakomita rodzina i siedzą na Pohorcach może z tysiąc lat. Ale ona mogłaby nie być taka fumiasta. Mnie te fupy coraz mniej ziębią i grzeją: miałabym też pokazać, że ta cała parada to dla mnie nowina, i że, oprócz sosnowych łózek z pluskwami, nic nie widziałam w życiu!

»Ani się jednak spodziewałam, co wyjdzie z tej mojej blagi. Nazajutrz idę do biblioteki, bo mi pozwolili brać książki (oni mają cały pokój z szafami, nawet oszklonemi, jak w jakiej czytelnicy, albo wypożyczalni). Otóż widzę, leży na stole książka otwarta. I wyobraż sobie, co mi wpada w oczy: Łopacki, herbu Trzywdar, województwo sandomierskie. W r. 1498 wyprawili pieszego zastępcę na wojnę turecką w orszaku Macieja Gościjewskiego«.

»Patrzę, a nad naszym nazwiskiem wypisani królowie: Jan Kazimierz, Jan III, August II i Stanisław August. Mało mnie nie rozsadziła pycha. Myślę sobie: pochodzimy aż od czterech królów? Zapędzę w kozie róg starą Pohorecką!

»Niedługo było tej uciechy. Pokazało się, że myśmy tylko głosowali za owymi królami. Ale i to dobre. Byłabym ucałowała książkę. Bardzo stara, wydrukowana aż w roku 1845. I nazywa się »Elektorów poczet«.

»Niedarmo była otwarta na Łopackich. Widośnie wstrzyknęłam Starej wątpliwość. Zajrzała i przekonała się, że jestem dobrą szlachcianką.

»A jakie tam są nazwiska! Gorsze od naszego:

Fajgle, Pękalscy, Mordy, Wyjce. W porównaniu z tymi wszystkimi wyjcami, co znaczy nasza łopata! Zaraz po powrocie wywalę 60 kop. na bilety wizytowe takie: Marya Łopacka, herbu Trzywdar.

»A wczoraj, znowu przy stole, kiedy mówili, że trzeba będzie dać do odczyszczenia portret jakiegoś tam przodka, ja wyjechałam z moimi antenatami i tak sobie mimochodem wspomniałam, że Bohdan Łopacki w roku 1630 miał sprawy niedaleko stąd, w Łucku. To wszystko stało w tej książce elektorów.

»Nie myśl, że się zrobiłam arystokratką, ale miło wiedzieć, że się nie jest byle kim i że przodkowie wpływali na losy kraju.

»Dobrze mi tutaj bardzo. Powietrza huk. Nie trzeba lecieć po zieloność do Botanicznego ani do Łazienek, bo ogród pod bokiem. Wstaję czasem o świcie, żeby się tem wszystkim nacieszyć.

»Jak tylko oczy otworzę, widzę przez okno sadek wiśniowy. A wczoraj, wracając wieczorem, zastałam w pokoju szezlong i fotel i szafę. Pewno pan Stefan kazał wstawić. Onby mi nieba przychylił. A pani Lula darowała mi śliczną bluzkę jedwabną. Już jaka ona dla mnie dobra, to coś nadzwyczajnego! Aż wierzyć się nie chce. I opowiada mi takie rzeczy! Ja ci tego napisać nie mogę. Kiedyś ci powiem! A teraz całuję cię i nie myśl, że jestem zakochana. Ani mi się śni.

Twoja *Mania*.

»List podrzyj. A za tego literata za nicbym nie poszła. Co się tobie wydaje?«

List Rózi.

»Maniu, ja widzę, że zupełnie przewróciło się tobie w głowie od tych herbów. Wyjść za swojego Stefana możesz. Czemu nie. Lepiej, żebyś ty siedziała w pałacu, a nie jakaś hrabianka, tylko ty hrabianki nie zgrywaj i to, co piszesz o naszych przodkach, to funta kłaków nie warte. Bo czy tak było, czy nie, ja muszę szyć w magazynie. A potem jeszcze po nocy. I mama chodzi już trzy lata w jednym kapeluszu. Chyba jak kiedy »starsza panna« nawymyśla mnie od niedbalej roboty, to jej wyjadę z moimi żółtymi papierami i z tym głupim Trzy wdarem. Ale mnie to tyle obchodzi, co nic, i ty miej rozum i stawiaj się temu facetowi. Może już czas, żebyś wróciła, bo jeszcze zrobisz się burżujką na tych szezlongach i fotelach. Pewno już mniej dbasz o nas.

Twoja siostra *Rózia*.

List Mani.

»Kochana Róziu! Ty mnie nie znasz. Wcale o was nie zapominam, nawet często myślę. Choć bardzo mi się nie chce wracać. Kocham was także. Ale to co innego. Chwilami rozpacz mnie ogarnia, jak widzę te wszystkie ich parady i cęregiele. I on czasem wydaje mi się bardzo daleki. Z początku byłam głupia i myślałam, że tak od razu... trup.

» Teraz sama nie wiem, co myśleć. Ale on chyba widzi, że ja także... i daleko więcej od niego i na całe życie. Nie potrzebujesz mi zalecać, sama trzymam się ostro. Taka już jestem. A ile mnie to kosztuje! Uciekam od niego i bardzo mi bywa smutno, bo jednak, jednak, Róziu, nie wiesz nawet, co to jest mężczyzna, bo jego nie widziałaś. Taki śliczny! Ogromny, szczupły, ma wąsy nastroszone, usta wąskie, a co za nos! Garbaty. Nie taki połamany po żydowsku. Długi, cienki, z dużymi nozdrzami. Choćbym miała być przez niego nieszczęśliwą!... Ale nie będę. To ty właśnie jesteś burżujką, że ci koniecznie chodzi o ten pałac i o tę obrączkę. Małośmy się nasłuchały o wolnej miłości... I jak możesz nawet porównywać Stefana z jakimś rządcą. On jest ogromnie szlachetny. I gdyby nawet... toby mnie nie wyrzucił za drzwi, a tem bardziej nie kopnął. Pewno, że i ja wolę być jego żoną, ale nie wiesz, jak to trudno! I coby wyprawiała matka. O niczem nie masz pojęcia i mówisz. I proszę cię, raz daj pokój z burżujami. Co ty tam wiesz. Każdy na burżujów wymyśla, a każdy chce zostać burżujem. To tak, jak przy tramwajowym przystanku. Póki stoisz, czekasz w tłumie i przechodzi jeden, drugi, trzeci tramwaj pełny, to się oburzasz, że nie można dostać miejsca; a jak się dostaniesz, to pierwsza wołasz, że miejsca już niema, i oburzasz się, że ludzie się cisną. Teraz, kiedy poznałam świat poza naszą oficyną, na wiele rzeczy patrzę inaczej i oduczyłam się rozmaitych głupich odezwań. Czasem jeszcze wyklóczę się z wujem ^{Kornel} Marcelem, jak mnie zanadto mustruje.

» Tak mi smutno, że już trzeba wyjeżdżać, a on

mi jeszcze miłości nie wyznał. Może walczy z matką. Może jeszcze będę zupełnie szczęśliwa... Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, niestety!

Całuję cię, *Mania*

VI.

— A! nareszcie! Znalazłem panią.

Pan Stefan zastąpił drogę Mani, która szła bocznią aleją parku.

Przez gęstwinę liści świeżo powstałe słońce oplotało jej głowę siecią drgających blasków.

— Czemu pani wczoraj wyszła zaraz po kolacyi? — zapytał.

— Bo musiałam list napisać.

— Do narzeczonego?

— A gdyby?

— Pewno jaki młodzik.

— Nie cierpię młodzików.

— Taak?

— Tak.

— A jakich pani lubi?

— Żadnych.

— Niech pani tak odpowiada mojej matce. To ją wzruszy. A mnie proszę powiedzieć, jaki rodzaj mężczyzn pani się podoba?

— Taki rodzaj, któremu ja się podobam.

— Wdzięczne serce!

— Miałabym też kochać się bez wzajemności! Bóg wie po co i na co.

— Czy pani wie, po co się ludzie kochają?

— Mój panie, ja wszystko wiem od *a* do *b*, jak mówili u nas, na pensyi.

— Więc cóż jest *b*?

— *B* to nie jest bocian.

— A, jaka cięta!

— Nauczyłam się odcinać pannom na pensyi, boby oskubały, jak groch przy drodze.

— Pani oskubać się nie da nikomu, ani pannom, ani chłopcom.

— Ranoby musiał wstać taki, któryby mnie wyprowadził w pole.

— Dla takiego właśnie spaceru wstałem o świcie. Pod Manią ugięły się nogi ze wzruszenia, lecz chciała udąć obojętność.

— Na takie opowiadanie pan mnie nie weźmie — rzekła, spoglądając na niego z ukradka.

Widziała, że się uśmiechnął.

— A na co wezmę? — zapytał.

— Nie myślę panu dawać broni do ręki — odpowiedziała głosem, który miał być obojętny, a drżał z tłumionej uciechy.

— Skoro pani nie jest przeciwna kochaniu się... z wzajemnością.

— To ma znaczyć, że pan się we mnie zakochał. Nie wierzę! — rzekła, podnosząc oczy, które mu powiedziały zupełnie co innego.

— Czemu pani nie wierzy? — zapytał.

— Bo gdyby tak było, toby pan nie szukał mnie po kątach, lecz rozmawiał ze mną przy wszystkich.

— I znudzilibyśmy się oboje. Czy nie lepiej tutaj?

— Jak komu.

— A pani ?

— Wszystko mi jedno.

— Ale nie byłoby pani wszystko jedno, gdyby mnie się pani nie podobała ?

— A to zarozumiałość! Że pan jest piękny, to jeszcze nie dowód...

— Więc jestem piękny ?

— Niby to pan nie wie.

— Miło mi jest usłyszeć, że moja powierzchowność znajduje łaskę w oczach pani.

— Żadnej łaski niema. I niech pan tak do mnie nie mówi, bo ja tego nie lubię.

— A jak mam mówić ?

— Tak, jak pan myśli.

— Dobrze, to powiem, że pani bardzo wyładniała.

— Doprawdy ? — pochwyciła uradowana.

— Ogromnie ! — przytwierdził.

— Bo mi tu teraz bardzo dobrze. I szkoda, że już trzeba wyjeżdżać.

— Ucieka pani przede mną ?

— O! proszę sobie nie wyobrażać! Wcale nie uciekam, tylko wyjeżdżam. Byłam zaproszona na dwa tygodnie. Już się nawet skończyły.

— Ależ pani robi nam łaskę.

— Znowu łaska ?

— Naturalnie, że łaska. Żeby pani wiedziała, jakie tutaj nudy bez pani !

— Skądżebym wiedziała, nie będąc tutaj. Zresztą ja nie jestem pajac ani błazen do zabawy. I nie chcę doczekać się, żeby mi powiedziano: dosyć tej gościny.

— Tego się pani nigdy nie doczeka.

— Zapewne. Jesteście zanadto wielcy państwo, żeby tak powiedzieć wręcz, ale ja zrozumieć bez słów.

— Pani przecież wie, że ja pani nie puszcze.

— A na co ja jestem panu potrzebna?

— Ot na to. Na to! Na to!

Chwycił ją w pól, przechylił jej głowę i wziął ustami jej usta.

Zaskoczona znienacka, w pierwszej chwili nie zdążyła się obronić, a potem nie mogła i nie chciała.

Dreszcz biegł od jej ust po całym ciele.

— Teraz już nie pojedziesz — oświadczył pan Stefan, odrywając wargi nasycone.

— To był pierwszy, ale i ostatni raz — szepnęła.

— Zobaczmy — odpowiedział. — I tobie było przyjemnie? Podnieś głowę. A widzisz? Oczy powieździały: tak. No, daj, niech jeszcze powiedzą usta.

Wziął ich odpowiedź.

Próbowała się usunąć. Ujął jej głowę w obie dłonie i brał pocałunek za pocałunkiem.

Wreszcie zabrakło mu tchu.

— Całowałaś już? Prawda? — spytał, obejmując ją w pól.

— Nigdy! — zawołała z oburzeniem szczerem.

Poznał odrazu, że mówi prawdę, ale nie chciał tego uznać, nawet przed sobą.

— Mnie to nie przeszkadza. I owszem. Wolę nie być pierwszym — rzekł.

— Co pan myśli? Ja jestem uczciwa dziewczyna i nie żadna ty dla pana.

— Dla pana nie, ale dla Stefana, dla Stefa...

— Nie chcę. Wyjadę.

— Nie odgrażaj się, bo zacznę znowu.

— Zobaczymy!

— Zobaczysz! I cóż się tak bronisz? Sama mówiłaś, że panińska skromność to głupstwo.

— Mało się mówi, a co innego robić.

Wysunął znowu rękę, żeby ją objąć.

— Zdaleka! zdaleka! — mówiła, uśmiechając się — oczkami patrzeć, rączkami nie dotykać.

Opasał ją ramieniem tak silnie, że nie mogła wyrwać się z uścisku.

— Ty nie jesteś stworzona do tragedyi.

— Niech pan nie myśli, że ze mną żarty.

— Wcale nie żartuję. Podobasz mi się bardzo.

— Ja przecież ładna nie jestem.

Czekała zaprzeczenia, spoglądając na niego z pod ciemnej rzęsy.

— Masz dyabła w sobie — odpowiedział, przygarniając ją bliżej.

— Ale czy pan mnie kocha? — upomniała się nieśmiało.

— Wystaw mnie na próbę. Zobacysz — rzekł wymijająco.

— Matce-by się pan do tego nie przyznał? — badała coraz trwoźniej.

— Matce? — podchwycił, wzruszając ramionami. — Nie jestem Nisią, żebym się miał spowiadać z każdego kroku. Czy nie wyglądam na dorosłego?

— To są wykręty! — zawołała, próbując się wyrwać z jego uścisku.

Nie puszczał. Weszli w ciemny szpaler grabowy.

— No, proszę cię, wystaw mnie na próbę. Powiedz, jakiego chcesz dowodu? — mówił, jak do rozkapryśzonego dziecka.

Milczała, nie rozumiejąc, dlaczego tak jej trudno wyrazić to życzenie.

— Pojechałby pan za mną do Warszawy? — spytała trwożnie.

— Z największą przyjemnością! — oświadczył, popatrzawszy na nią chwilę rozśmieszonymi oczyma. — Pojechałbym i dalej po te usta, po te oczy!

Kładł na nie wargi łakome.

Już mu się nie broniła. Stała w jego objęciach, wzruszona słowami, które wzięła za obietnicę.

Dłoń jego zakradała się, jak wąż, pełną ku lubieżnej pieszczocie.

— Będziesz dobra? Będziesz? — prosił nie tylko słowami, lecz spojrzeniem, od którego opadły jej powieki, i tem pełną muskaniem, od którego chwycił ją bezwład.

Więc gdy znowu, ciszej i bliżej, powtórzył: — »Będziesz dobra?« — pochyliła głowę, bo już mówić nie mogła i bronić się nie chciała, a cała jej natura, nie mniej wymownie od jego prośby, wzywała ją do takiej dobroci.

— Można pocałować na dobranoc? — szepnęła.

I w jej zdysane milczenie rzucił:

— Przyjdę przez sad, oknem. Drzwi na klucz zamknij.

List Mani.

»Róziu! Ja ci wszystkiego napisać nie mogę i może nigdy wszystkiego nie powiem, ale muszę zawołać, krzyknąć, że jestem szczęśliwa! To coś nadzwyczajnego! Zdawało mi się, że wiem wszystko, a nic nie wiedziałam. Bo to tak: choćby ci opowiadali od rana do wieczora, co to jest ananas, nie będziesz miała o nim pojęcia, dopóki sama nie spróbujesz. A potem się zdziwisz, że można żyć bez tego. I cały świat wyda ci się inny. Nic złego nie myśl. On się ze mną ożeni — napewno! A choćby nie!... Pani Lula mówi, że na wielkim świecie nikt się nie wstydzi miłości. Wszystko, co naturalne, to jest: co wypływa z natury — jest dobre, a wielkie panie mają każda przynajmniej po jednym kochanku, bo jeżeli mężowi nie wystarcza żona, to czemuż żonie ma wystarczać mąż? I zawsze tak było, tylko dawniej kwitło udawanie, a dzisiaj ludzie są szczeri.

»Ale niech sobie hrabiny mają po kilku kochanków, ja przez całe życie nie zdradzę Stefa ani razu. Tylko, na miłość Boską, nie wygadaj się, bo, gdyby doszło do uszu jego matki, wypędziłaby mnie z domu. Wcześniej, później, musiało to nastąpić. I on nawet przyznaje, że trzymałam się bardzo długo. Ale jakże się utrzymać z takim!

»Teraz, to już mi wszystko jedno, czy on Pohorecki, czy mieszka w pałacu i czy ja kiedy w tym pałacu zamieszkam. Naturalnie, że wolałabym! A ty nie rób żadnych uwag, bo wszystko, co możesz po-

wiedzieć, wiem dobrze. I mamie nie mów. Onaby się martwiła. Zacošana!

»A choć ty jesteś bezwyznaniowa, może to dla mnie zrobisz i zaczniesz odmawiać nowennę do św. Antoniego na intencję — wiesz jaką... Twoja modlitwa będzie nawet skuteczniejsza od maminej, bo taki święty chce pewno do siebie przekonać tych, co nie wierzą, i dlatego spełnia ich prośby. Naturalnie, że gdyby... to nie będziesz potrzebowała szyć po nocach. I wyprowadzicie się z oficyny na front. Tylko ani mrumru!

»List spal w piecu!

Mania«.

VII.

— Cóż to znów za grymasy! Wczoraj zamknęłaś okno? Udawałaś, że śpisz. A jeżeli ja się rozgrymaszę...

Pan Stefan jest w złym humorze. Mania boi się go trochę, ale nadrabia miną.

— A grymaś sobie, ile chcesz. Dużo mnie to obchodzi. Także! — odpowiada, podrzucając ramionami.

— Może cię to obejdzie, że mam już dosyć tej gwary ulicznej.

W jasnych oczach Mani odbija się i ból, i zdziwienie, i pokora.

— Mówiłaś, że ci się mój »styl« bardzo podoba — przypomina mu nieśmiało.

— Na kilka dni, tak. Ale nie na dłużej.

— I ja byłam dobra tylko na kilka dni. Wiem! Widzę! Nie będę ci się narzucać. Zabiorę się i wyjadę.

— Zrobiłabyś wielkie głupstwo. Źle ci ze mną?

— Jak jesteśmy we dwoje, bardzo dobrze. Ale przy ludziach ani spojrzysz.

— Tak, i nie całuję przy ludziach. Masz mi to za złe?

— Ale na panią Dadę to patrzysz — przerwała mu, nie mogąc już powstrzymać tej wymówki.

— Scena zazdrości? Więc dlatego wieczorem okno było zamknięte.

— Dlatego i nie dlatego. Ale powiedz, czy ja nie mam zgrabniejszej figury od tej nieznośnej Dady? I bardzo jestem brzydka? No, powiedz?

— Masz mniej rasy, ale więcej temperamentu.

— Ja? Nie mam rasy? Ja? Brzydkie może ręce? nogi? A w pasie 58 centymetrów. Sama pani Lula mierzyła. Zresztą niech wam się nie zdaje, że jestem byle kto. Łopaccy, szlachta, i dobra, już w roku 1498 wyprawili dwu zbrojnych pachołków na wojnę turecką. Możesz przeczytać w waszej bibliotece.

— Moja droga, czy myślisz, że ja tu przyszedłem na rozprawy heraldyczne? Wszystkich twoich antenatów, nawet z piętnastego wieku, oddałbym... Robisz ceregiele? Do widzenia!

— Czemu się zaraz obrażać? No, zostań, zostań! Po dłuższej chwili, cichy, zdyszany, szept:

— A nie będziesz się mnie wstydził przy ludziach? Przy tej Dadzie? Pocałujesz mnie w rękę... mój złoty!

Podczas gdy zgoda na takich warunkach odbywała się w oficynie, pani Dada mówiła do Luli w pokojach gościnnych:

— Mnie się zdaje, że ta mała zakochała się w twoim bracie.

— Tobie się tylko zdaje. Ja jestem pewna.

— Szkoda dziewczyny!

— Masz też kogo żałować! Ona wie dobrze, co robi. A co robi, to i ja wiem. Moja panna służąca podpatrzyła, jak Stef nad ranem wychodził od niej przez okno.

— To oszczerstwo!

— Tak! Waszej rodzinie zawsze się zdaje, że świat jest czysty, jak szklanka, albo jak ta święta Kasia.

— Ty jedna chyba na świecie nie lubisz Kasi.

— I owszem, uznaję, że to cnota chodząca... w niemodnych sukniach. Ale Stef nie da się tobie tak zmarnować.

— Jak możesz?...

— Mogę, bo widzę, że to mu leży na sercu. I nie masz powodu być zazdrosną o tę małą.

— Lulu! Przecież ja nie z zazdrości to mówię. Mnie jej naprawdę żal.

— A mnie ona bardzo bawi... trochę mniej od czasu, jak się zaczęła uważać za... Pohorecką. Próbuje być dystygowaną... a nie rozumie, że się tem właśnie gubi w oczach Stefana.

— Więc przypuszczasz, że naprawdę pomiędzy nią a twoim bratem...?

— Moja droga, Stef, choć jest uczniem Talki, w takich sprawach nie uznawał: niby od lat najmłodszych, mimo, że bał się ojca, a ojciec bardzo tego nie lubił. Z mamą się nie krępuje, bo ją ma w rękę

jak nas wszystkich. Mogę ci zaręczyć, że już po paru dniach był z nią a u m i e u x. Stef nie bawi się w długie wstępy.

— A teraz co będzie?

— To, co było ze wszystkimi ładnymi bonami i z jedną nauczycielką Nisi. Stef jest bardzo large. Daje zawsze odszkodowanie. Czasem nawet po kilka tysięcy. To zależy, jak która umie go zażyć.

— Mówisz, jak gdyby chodziło tylko o pieniądze.

— To dowodzi mojej bezinteresowności, bo każdy taki romans i mnie przecież kosztuje... pośrednio, a co gorsza, robi wyłom w sukcesyi Rysia. Lecz miłość na eksport kosztowałaby jeszcze drożej...

— Ależ to okropne! Dziewczyna uboga, przyjechała tu czysta...

— Nie wiem. Zapytaj o to Stefa.

— Jak możesz, Lulu!

— Tak, Rojewscy robią ze wszystkiego tragedye. Pozbędziesz się swoich egzaltacyi, gdy poznasz prawdziwy świat, nie jakiś tam partykularz w Sandomierskiem.

Pani Dada przypomniała sobie, jak po zdeklarowaniu się jej męża, świetnego pana Gustawa Borzomy, matka była zaniepokojona o jej przyszłość i mówiła do najstarszej córki, pani Kasi Bogdańskiej:

— Byle tylko i to dziecko się nie zmarnowało, jak Zygmus.

Zmarnowaniem nazywano w Czerniowcach małżeństwo syna ze świetną panną Lulą Pohorecką z Pohorców.

Kasia odpowiedziała matce:

— Niebezpieczne są wprawdzie świetne partye, ale nasza Wandzia (ona była wtedy jeszcze Wandzią — nie Dada) potrafi niebezpieczeństwa uniknąć.

Na razie, przed rokiem owo »niebezpieczeństwo« wydało jej się jakimś dziwnym poglądem.

Teraz dopiero przypomniały jej się te słowa. Nie rozumiała jeszcze ich głębokiego znaczenia, ale już zaczynała pojmować, że pomiędzy pałacem w Pohorcach, a starym dworem w Czerniowcach zachodzi wielka różnica — nie tylko w rozmiarach i w strukturze.

VIII.

Pani Pohorecka leży w swoim sypialnym pokoju na szeslongu z zawiązaną głową i przedstawia obraz znękania i moralnego rozbicia.

— Mama mnie wołała? — pyta przez drzwi pani Lula.

— Proszę cię, wejdz — odpowiada głos, przepojony rezygnacją.

— Cóż to mamie? — dowiadyuje się pani Lula z ciekawością raczej, niżli z niepokojem.

— Takie są zawsze skutki dobroci — obwieszcza jej pani Pohorecka, przykładając rękę do głowy. — Zrobi się ludziom łaskę, a za to same przykrości.

— Mama chyba rzadko miewa takie przykrości — wsuwa złośliwie pani Lula.

Pani Pohorecka jest zanadto znękana, aby zastanawiać się nad ironicznym słów znaczeniem, zresztą woli je puścić mimo uszu. Nie czas teraz na utarczki słowne.

— Cóż się stało? — dowiadyuje się pani Lula.

— Mówiłam sto razy Anieli, że nie powinna jej odstępować na krok.

— Nisia z kimś uciekła?

— Moja droga, mogłabyś mi przynajmniej nie dokuczać, widząc mnie w takim okropnym stanie...

— Bo już nie wiem, co przypuszczać...

— I ja przypuszczałam wszystko, tylko nie to...

— Bardzo się mamie dziwię, wszak nie pierwszy raz Stefan...

— Stefan może robić co chce w oficynie, poza mojami oczyma!... Ale żeby o n a śmiała zadawać się z Nisią! Taka zepsuta kreatura! Zdarła już może niewinność z tego dziecka...

— Moja mamó, wcześniej czy później, wszystko jedno.

— Wyjdź, wyjdź, nie morduj mnie!

— Więc pocóż mnie mama wzywała?

— Myślałam, że choć w takiej chwili zechcesz iść ze mną ręką w rękę.

— Chwila istotnie tragiczna!

Matka i tym razem nie chciała zrozumieć tonu, przyjęła tylko do wiadomości słowa.

— Tak, tragiczna! — powtórzyła z przejęciem — przez siedmnaście lat...

— Dajmy na to, że dziewiętnaście wtrąciła córka.

— ...Strzegę tego dziecka, jak żrenicy oka — ciągnęła dalej myśl swoją pani Pohorecka, puszczając mimo uszu sprostowanie Luli. — I cała moja praca zniweczona.

— Naprzód mama jeszcze nie wie, czy zniwe-

czona, a powtóre ta praca jest po to tylko, aby ktoś kiedyś ją zniszczył. W najlepszym razie — mąż. Toć mama i mnie strzegła, jak żrenicy oka. I co z tego?

— Proszę cię! Tak zawsze mówisz o sobie, jak gdybyś była...

— Rozpustnicą! Lâchez le mot. To mnie nie obrazi.

— Jeżeli nie szanujesz siebie samej, to uszanuj moje siwe włosy.

— Niechże mama nie wchodzi na stos męczeński... Nie warto... A co do Nisi, im gorliwiej mama będzie strzegła jej uszu, tem ona prędzej się dowie, czego... trzeba. Wiem, jak było ze mną.

— Ty miałaś zawsze złe skłonności.

— Tak? A przed chwilą ujmowała się mama za mną wobec mnie samej. I póki byłam panną, mówiła mama, że jestem: »święte dziecko«, jak teraz o Nisi..

— O tobie nie mówiłam tak nigdy.

— Jak byliśmy sami, nigdy, ale przy ludziach — zawsze, a zwłaszcza przy matkach moich konkurentów. Więc niechże i Nisia będzie »świętem dzieckiem« na zewnątrz, ale między sobą, w rozmowie poufnej, można powiedzieć, że to »święte dziecko« wie na pewno daleko więcej od mamy... naturalnie tylko w teorii...

Pani Pohorecka zerwała z głowy ręcznik i, siadając na szeslongu, przeszła córkę spojrzeniem badawczem.

— Dawłaś jej objaśnienia? — jęknęła.

— Ja — nie! Ona dla mnie taka nudna, że nie umiałabym do niej dwu słów przemówić.

Pani Pohorecka opadła na szeslong z westchnieniem ulgi.

— Ale teraz uświadomienie panien krąży w powietrzu — kończyła Lula.

— Dzięki Bogu, powietrze pohoreckie wolne jeszcze od tej zarazy.

— Może powietrze — pałacowe, bo w oficynie już niejedną pannę Stef uświadomił.

— To niema nic do rzeczy — przerwała jej matka. — Na Stefie i na tobie położyłam już krzyżyk.

— Nareszcie! — zawołała Lula, nachylając się, aby pocałować matkę w rękę, lecz ręka podniosła się do rozpalonego czoła.

— Mam obowiązek bronić to ostatnie dziecko od zepsucia — odpowiedziała pani Pohorecka.

— Strzeżonego... dyabeł kusi.

— W czasie waszej rewolucyi pozmienialiście wszystko, nawet przysłowia, ale ja, dzięki Bogu, nie jestem postępową i prowadzę Nisię po staremu.

— Jak swego czasu — mnie.

— Ciebie prowadziła zawsze samowola i zu-chwalstwo.

— Jeżeli mam słuchać o swoich zbrodniach, to wyjdę zaraz, bo już to pięć tysięcy dwieście razy sły-szałam.

— I ja już miałam czas przywyknąć do twego deptania po uczuciach macierzyńskich... Nic innego nie robisz całe życie.

— Upewniam mamę, że robię rzeczy daleko milsze.

— Na złość mnie wyszłaś za mąż za szlachetkę.

Na złość mnie spoufaliłaś tę dziewczynę, zbliżyłaś ją do Stefa.

— On nie potrzebuje moich ułatwień. A nawet powiem mamie na pociechę, że zbliżał się do niej daleko wolniej, niż do innych.

— Mogłabyś mi oszczędzić tych szczegółów. Ja o niczem wiedzieć nie chcę.

— Ale mama wie dobrze.

Pani Pohorecka przyłożyła rękę do głowy i westchnęła.

— Słuchaj — rzekła, przerywając córce — rzadko cię o co proszę, a wiesz, że umiem... dziękować.

Lula poprawiła się na krześle i spoważniała odrazu. Matka namyślała się. Po chwili rzekła:

— Będę cię prosić, żebyś zaprzestała poufałości z tą dziewczyną. I ty daj jej uczuć, że każda gościna wreszcie się kończy.

— Dziękuję mamie! Nie myślę się narażać Stefowi!

— Wszak wiesz, że i ja nie chcę go źle usposabiać, choćby ze względu na Nisię. Ona potrzebuje wielkich wygód, południowego słońca.

— Nisia, zawsze tylko Nisia! — wybuchła pani Lula — o moją czternastkę mama się wcale nie frasuje.

— Bo ty sama sobie poradzisz, a to dziecko biedne, wątłe. Zresztą możesz bezpiecznie odwrócić się od Łopackiej. Ona już się Stefanowi znudziła. Szymek zna swego pana na wylot. A mówił właśnie mojej Ludwice, że Stef chciałby się pozbyć tej dziewczyny.

— W takim razie...

— Ale prawda. Byłabym zapomniała... Tyle mam na głowie!...

Pani Pohorecka wstaje i podchodzi do komody. Z jej głębin wydobywa i rozpościera pajęczą iście tkankę. Pani Lula widzi ten manewr, ale udaje, że go nie dostrzega.

— Wczoraj właśnie porządkowałam w szufladach... — zagaja matka. — Chwaliłaś kiedyś ten koronkowy wolant. Może ci się przyda.

— Ależ to dar królewski! — woła pani Lula, osuwając się do jej rąk z uniesieniem. — Mateczka kochana gotowa zawsze wyzuć się ze wszystkiego dla nas.

Przez chwilę nasycy oczy widokiem pożądanej oddawna fałbany, a obmyśliwszy dla niej najwłaściwszy użytek, nachyla się i poufnie, dusza w duszę, pyta:

— Jeśli mateczka chce, wybadam Nisię, dowiem się, co ona mówiła z Manią. Ja zawsze z każdego wydobędę, co chcę wiedzieć.

— Tylko ostrożnie, taktownie. Bo Aniela w tych rzeczach do niczego. Ile razy chcę się przez nią, albo od niej czegoś dowiedzieć, zawsze mi odpowie ni to ni owo.

— Czemu mateczka ją trzyma?

— Wiesz, jak ja się przyzwyczajam do ludzkich twarzy! Stefan ma to po mnie.

— No, nie bardzo. Odzwyczał się już od niejednej twarzy.

— Nie o tem mówię. Ale Talko... Szymek. Za nicby się z nimi nie rozstał... Aniela, co prawda,

ma swoje zalety. Bardzo brzydka, dobrze ułożona, nie odstępuje na krok Nisi. A zresztą żadna Francuzka nie mówiłaby tak po angielsku, ani żadna Angielka tak po francusku.

— To prawda — przyznaje pani Lula.

Zgoda między matką a córką bywa zwykle tem lepsza, im ostrzejsze były utarczki i wyższa wartość argumentów, używanych przez panią Pohorecką.

Rozmowę, bardzo serdeczną, przerywa wejście wysokiej, bladej panny z zapadniętą klatką piersiową i smutnymi, wylęknionymi oczyma.

Stąpa, naprzód pochyłona, jakby ugięta pod jakimś, niewidocznym ciężarem; kroki jej chwiejne, a może wahające się, ręce zwieszane; w całej postaci, w ruchu głowy — bezwład, obojętność i bierność. Zda się ustępować z drogi, nie chce zabierać miejsca na świecie. I głos zharmonizowany z tą nikłością postaci.

— Czy mogę pojechać na spacer z panną Anielą? — pyta Nisia szeptem niemal.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiada jej matka — ale widzę, że jesteś blada. Czy cię boli w piersiach?

— Nie, mamu.

— Może ból w boku?

— Dziękuję mamie. Jestem zupełnie zdrowa.

— Bo ty mi nigdy nie powiesz, choćby ci co dolegało.

— Nic mi nie dolega, proszę mamy — odpowiada panienka głosem bezdźwięcznym.

— Widzisz, tak zawsze: mogłaby mieć czter-

dzieści stopni gorączki, będzie ukrywać. To nagroda za moją troskliwość, za moje serce!

Pani Pohorecka zwraca się z temi słowami do starszej córki, wiedząc, że ma w niej sprzymierzeńca — na razie.

— Bo też istotnie, moja Nisiu, jesteś taka tajemnicza i skryta, jak gdybyś się kochała w ekonomie — rzuca pani Lula.

Pragnąc zapobiedz dalszym badaniom, matka wyprawia Nisię co prędzej.

— Przejdź się, moje dziecko — mówi, trzymając się za głowę oburącz — a nie zapomnij wziąć pledu na nogi. Wracajcie przed zmierzchem. I nie mów pod wiatr.

Nisia nachyla się nad ręką matki, dotyka ją chłodnemi wargami i oddala się cicho, bezdźwięcznie.

— Moja droga, ty już jej lepiej nie badaj. Nasuwasz jej tylko złe myśli — mówi po jej odejściu pani Pohorecka do starszej córki.

— Rzeczywiście! zapomniałam już, jak się rozmawia z panienkami — przyznaje Lula... bez żalu wszelako.

IX.

— Jak ja zazdrozczę mojej siostrze, która umarła!

Zaledwie powóz wyjechał za bramę, Nisia, nie poruszając wargami, rzuca ten okrzyk rozpaczony z intonacją taką, jak gdyby pytała: która godzina?

Jej twarz pozostaje martwa.

Panna Aniela nie po raz pierwszy zapewne otrzymuje zwierzenia podobne: słowa jej nie dziwią nauczycielki, choć wywołują oddźwięk bolesny.

— Znowu czarne myśli — odpowiada głosem przyciszonym.

Obie mówią po francusku.

— I zazdroszczę pannie Łopackiej — dodaje Nisia po chwili milczenia.

— Nie masz powodu. Ona będzie bardzo nie-szczęśliwa.

Obwisała twarz panny Anieli wydaje się równie obojętna, jak chuda twarz jej pupilki.

— Wiem. Kocha się w Stefie. Żal mi jej serdecznie. Ale zazdroszczę jej odwagi. Ona robi i mówi, co chce.

— Jej środowisko inne.

— I charakter inny. Mama nawet nie zabiłaby w niej woli. Tylko to, co słabe, da się zabić. Tylko to, co słabe.

— I to, co samolubne.

Po tej wymianie zdań zapada milczenie.

— Mówiłam dziś z Manią — odzywa się po chwili Nisia.

— Mówiłaś? — w głosie panny Anieli czuć zdumienie, przestrasz niemal.

— Niech się pani uspokoi — rzuca jej przez zacisnięte wargi Nisia. — Mama zobaczyła przez okno i odwołała mnie zaraz.

Na bladym czole osiada zaduma. I znowu, bezdźwięczne, padają słowa:

— Chciałabym ją ostrzedz.

— Manię?

— Tak, żeby nie wierzyła Stefanowi, ani Luli.

— Po co?

Panna Aniela nie pyta: zaznacza bezcelowość ostrzeżenia.

— Tak. Po co? — wtóruje ze smutkiem Nisia. — Po co żyć? Po co cierpieć? Po co zbliżać się do ludzi?

— Żyć trzeba i cierpieć także, to konieczność. Ale przestrogi niczyjego życia nie zmieniają.

— Zdawało mi się, że to mój obowiązek. Pomimo to nie ostrzegłam. Zbrakło mi odwagi, jak zawsze. Powiedziałam tylko, że ją lubię i że jej życzę bardzo dobrze.

— I to było niepotrzebne. Co jej z tego przyjdzie?

— Dużo. Kiedyś, w złej chwili, to jej nie da zwątpić o ludziach... Można o nich zwątpić w Pohorcach. Gdyby nie pani, myślałabym, że wszyscy tacy.

— Nie wolno ci patrzeć na swoich takimi oczyma.

— A im wolno zagarniać na własność wszystko, co moje? Słowa, myśli, pragnienia?

— Oni to robią w najlepszej wierze i chęci. Matka cię kocha.

— O, tak, boi się, żebym nie umarła na suchoty. Po parę razy na dzień pyta, czy mnie nie kłuje w boku, czy mi w nogi nie zimno. A nigdy nie zapyta, czy mi nie zimno w sercu. I na myśl jej nawet nie przychodzi, że ja jestem czemś odrębnem od niej, że mogę

żyć w sobie i dla siebie, a nie dla ulżenia jej niepokojom.

— Że jej to na myśl nie przychodzi, to właśnie ją usprawiedliwia.

— Ale mnie nie osładza losu. Zrobiła ze mnie maszynę do spełniania rozkazów.

— Bo tak rozumieli wychowanie za jej młodych lat, a to było dawno. Różnica wieku między wami zbyt wielka. Dziś życie biegnie jeszcze prędzej, i wierzaj mi, nawet w innych sferach rodzice pozostali za dziećmi dalej, niż przegroda lat!

— Panna Łopacka napewno nie kryje się z niczem przed matką. Chciałam i o to ją zapytać, ale ona nie dość dystygowana, nie odmierzali jej codziennie pewnej liczby słów do użytku. Mogłabym usłyszeć to, co widzę od małego dziecka, choć mnie tak osłaniają. Żadne plecy nie zasłonią tego, co robi Stefan i Lula.

— Lula nie robi nic złego. Mówi tylko dużo rzeczy niepotrzebnych.

— A słowa, czy nie są robieniem złego? A obmowa? To wyszydzanie wszystkiego? Wolno mi słyszeć, że ludzie się nienawidzą, a nie wolno — że się kochają. I czy pani doprawdy myśli, że kobieta nie może zrobić nic gorszego, jak mieć kochanka? Czy nie gorsze dzielenie ludzi na panów i podwładnych? Czy nie gorsze schlebianie Stefanowi o pieniądze?

— Nisiu!

— Niech się pani oburza na siebie. Nie trzeba było rozwijać we mnie duszy. Byłoby mi lepiej. Wy-

milczałabym się do ślubu, a potem odgadałabym to pustymi frazesami, jak Lula. W Pohorcach myśleć nie warto. Dochodzi się do zbyt smutnych refleksyi.

— Zdawało mi się, że właśnie w takich Pohorcach trzeba rozwijać myśl, żeby ogarnęła szerzej obowiązki wobec ludzi, kraju — tłumaczyła się panna Aniela ze skrucą.

— Jakie obowiązki? Że ludźmi są nie tylko osoby, należące do towarzystwa, to już wiem. Ale cóż ja mogę dla nich zrobić, kiedy mi nie wolno wyjść samej, nawet do ogrodu. Na świecie była rewolucya — tego mama ukryć przede mną nie mogła, choć tak starannie chowała dzienniki. Ludzie umierali dla jakiejś sprawy, nawet Lula coś robiła, choć nie mogę się dowiedzieć co — a mama widziała w tem jedno tylko nieszczęście: że moje wejście w świat się opóźnia. Tak. Pohorce to tylko pałac, a w nim ludzie bardzo dobrze wychowani z wielką dystynkcyą robią różne rzeczy wstrętne. I czy warto było we mnie myśl rozwijać?

Panna Aniela przytrzymała ją mocno za rękę.

Nisia, nie wysuwając swojej z tego uścisku, mówiła:

— Nie, nie, raz w życiu powiem wszystko, co myślę. Już dłużej milczeć nie mogę.

— Nie rozumiem, co ci się stało — dziwiła się panna Aniela.

— Co mi się stało — rzekła Nisia po chwili. — Może krzywda Mani, a może, może powiew z innego świata. Nie słyszałam jeszcze, żeby kto tak mówił, jak ona.

— Ależ Nisiu, ona nie objawiła żadnych nowych prawd i nic osobliwego nie mówi.

— Może, ale to jest dla mnie i nowe i osobliwe, że ona mówi zawsze to, co myśli. Wniosła tu rzecz niesłychaną: szczerłość. I pani nawet nie powiedziałaby przy mamie, co pani naprawdę myśli. A Luli nawet wtedy nie wierzę, kiedy mówi źle o sobie, bo wiem, że chce dokuczyć mamie. Jak się z mamą pogodzi i dostanie jaki prezent, gotowa udawać świętą. Niema tutaj prawdy. Czemu mnie pani wtedy zapytała: co ja wolę? Szkoda! Wyrośląbym na salonową lalkę. A teraz?... Pani jest inteligentna i wymowna. Jednak pani milczy, bo ja mam rację, a przytakiwać mi nie wypada.

— Obliczam się ze sobą...

— I ja także. Mówię o nich, że są obłudni. A ja? Czy nie powinnam zrzucić maski, stanąć przed nimi i zawołać: »Mówię, robię, jak mama każe, ale chcę zawsze inaczej; i wolałabym umrzeć, niż żyć z wami«... Pani aż zbladła.

Nie odwracając oczu, dostrzegła odbicie swych słów na twarzy panny Anieli.

— Niech się pani nie boi — dodała — nigdy tego nie powiem. Na to trzeba mieć odwagę.

Panna Aniela siedziała sztywna, wyprostowana. Nieprędko się odezwała.

— Masz słuszność — rzekła wreszcie. — Jestem bardzo winna. Zdawało mi się, że budzę w tobie myśl, serce, a zbudziłam tylko bunt. Twoich stosunków rodzinnych zmienić nie mogę. A nie mam prawa

słuchać takich skarg, jak dzisiaj. Już wiem, co powinienam zrobić, i zrobię to. Wyjadę.

Nisia siedziała tak samo blada, jak przed chwilą. Kąciki jej ust nieznacznie zadrżały, lecz głosem obojętnym rzuciła:

— Jeżeli pani odjedzie, ja sobie życie odbiorę.

Panna Aniela odwróciła się, objęła sztywną postać i chłodną twarz oczyma ciepłymi, mocniej jeszcze ścisnęła trzymaną rękę. A Nisia, nie patrząc na nią, wymierzała słowa powoli:

— Ja tu sama nie zostanę.

Panna Aniela pochyliła głowę.

Nie odzywały się do siebie długo.

— Dopóki ci będę potrzebna, nie odjadę — rzekła wreszcie starsza.

— Więc tylko ze strachu? — podjęła młodsza. — I pani mnie nie kocha prawdziwie.

— Żyję tylko tobą, twojem życiem.

— Szkoda. Przeze mnie pani zmarnowała młodość.

— Nikt inny jej nie chciał.

— Nikt? — pochwyciła Nisia i po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy spojrzała na pannę Anielę.

Mięsiste policzki, mały nos i szerokie usta tworzyły brzydkie połączenie. A i wyraz tej brzydkiej twarzy był ponury. W oczach jedynie było piękno.

— I mojej młodości nikt nie zechce — rzekła Nisia, wpatrzona znowu w plecy stangreta. — A jak już będę stara i wolno mi będzie robić, co chcę, zamieszkamy razem gdzieś daleko.

— Wpierw wyjdiesz za męża.

— Jeżeli Stefan dopuści nas do równego działu.

Ale choćbym wyszła za mąż, to z panią będziemy przez całe życie.

W ciepłych słowach nie zadrgała cieplejsza nuta.

Panna Aniela otrząsnęła się z zadumy. Spojrzała na zegarek.

— Niech Krysztalewicz zawraca — rzekła do stangreta.

* * *

Nie mówiąc do siebie, czuły, że zagląдают im do serca te same wspomnienia. Przed oczyma panny Anieli stanął obraz dwunastoletniej dziewczynki, która przed laty siedmiu spojrzała na nią po raz pierwszy wylęknionemi oczyma.

A do Nisi, z odległości lat dziecinnych, doleciały słowa, które tak bardzo zaważyły w jej smutnem życiu:

— Co ty wolisz?

Było to dawno. Ojciec żył jeszcze. Bała go się nawet mama, nie mówiąc o Stefanie i Luli. Po czwartej z rzędu Francuzce, która, jak jej poprzedniczki, wyjechała nagle, bez pożegnania, przybyła nowa nauczycielka, prosto z Paryża, z Hôtel Lambert. Nisia teraz się dziwi, że ta droga twarz wydała jej się wtedy taką niemiłą.

Dziewczyna, przyzwyczajona do bon i nauczycielek ładnych i modnie ubranych, postanowiła sobie, że już do tej nie przywiąże się, jak do każdej z poprzednich.

A każda odjeżdżała nagle, późnym wieczorem, kiedy już Nisia spała. Nazajutrz mówiono, że ktoś z rodziny *mademoiselle* umarł, albo ciężko zachorował. Śmiertelność wśród rodzin przewodniczek duchowych Nisi była niesłychana.

Po każdym takim wyjeździe, Nisia płakała w nocy. ...Już płakać nie będzie! Brzydkiej, ponurej panny Anieli nie pokocha!

Upłynęło kilka miesięcy. Czas schodził na wykładaniu z jednej strony, na słuchaniu z drugiej. Żyły obok siebie, tyle tylko o sobie wiedząc, że jedna jest bardzo małowówna, a druga — bardzo mało wymagająca.

Napełniało to dziewczynkę nieufnością i lękiem, jak każdy nowy objaw, nieudolnych dotychczas, prób wychowawczych.

W powietrzu była już wiosna, lecz na ziemi jeszcze smutno i szaro. Nad polem, przeoranem pod zasiew, nachylało się niebo ze strzępami chmur, portarganymi przez wiatry. Słońce smutne, blade, wyczerpane jakby odżywczą pracą wiosny, usuwało się na spoczynek.

Tą szarą, bezkresną równiną szły dwie postaci kobiece. Szły krokiem równym, miarowym. Obie miały twarze bezbarwne, jak ta ziemia, i smutne, jak to niebo i to słońce.

A niosły swój smutek w milczeniu, odgrrodzone nim nie tylko od świata, lecz i od siebie wzajem. Panna Aniela umilkła, po kilku nieudanych próbach wyłowienia choć paru słów z serca Nisi, nie zaś

z jej bladych warg, ułożonych do biernej formułki posłuszeństwa.

Zdało jej się, że nigdy nie zdoła obalić tej przegrody, która od pierwszej chwili stała pomiędzy nią a uczennicą. I zaczynała przypuszczać, że poza tą przegrodą nie stoi może nic zgoła, oprócz biernego, apatycznego poddawania się nakazom i zakazom.

Czyżby cicha tragedia duszy dziecięcej istniała tylko w wyobraźni nauczycielki!

Pod powłoką obojętności jest może tylko — obojętność.

Żał się zrobiło pannie Anieli własnych, bezowocnych wysiłków, a jeszcze bardziej żał tego dziecka. Jeśli cierpi w milczeniu, jest nieszczęśliwe, i nieszczęśliwe jest, jeśli nawet swego smutnego losu odczuwać nie umie.

— Ta szara natura źle oddziaływa na jej usposobienie — pomyślała nauczycielka i rzuciła okiem na Nisię.

Znienacka uchwyciła jej spojrzenie, zapuszczone w bezkresną równinę.

W tem spojrzeniu była nie myślowa pustka, lecz otchłań. Powiał od niego chłód zamkniętych podziemi.

— Może wolisz wrócić? — spytała panna Aniela. Nie było odpowiedzi.

— Co wolisz? Iść, czy wracać? — powtórzyła z mocą w głosie, nie zastosowaną do słów znaczenia.

Dziewczynka stanęła, podniosła powieki. W jej oczach było osłupienie, czy też olśnienie. Milczała jednak.

— Co ty wolisz? — powtórzył głos cichy, a ciepły. I wtedy, po raz pierwszy w swem krótkim życiu, Nisia odważyła się powiedzieć nie to, co chcieli z ust jej słyszeć, lecz to, co sama powiedzieć chciała:

— Czy ja mogę coś woleć?

Był to okrzyk zdziwienia i radości.

Panna Aniela wzięła chudą rączkę i, tuląc ją mocno, rzekła:

— Możesz! Powinnaś!

— A mama? — wyrwał się z ust dziecka szept złąkniony. Oczy uciekły znowu pod powieki.

— I z mamą trzeba być szczerą.

W dłoni panny Anieli zadrgała chuda rączka.

— To pani mamy nie zna — rzekła Nisia, obejmując się wpierw dokoła.

Na pannę Anielę słowa te padły, jak kropla krwi z rany.

Trzymając się za ręce, wrócili do domu w milczeniu.

Owej nocy Nisia zasnąć nie mogła.

Oczy jej, oślepione nowem pojęciem, wpatrywały się w nie z radością, jak w przedmiot, niezdatny wprawdzie do użytku, lecz najdroższy na świecie.

Nazajutrz jednak była znowu chłodna, posłuszna i unikała panny Anieli.

Bała się do niej przywiązać.

A nuż i ona wyjedzie którego dnia, ukradkiem, jak tamte?

Ale panna Aniela pozostała i cierpliwie, dzień

po dniu, zdobywała zaufanie i serce uczennicy przez lat dwa.

A po latach siedmiu Nisia nie rozumiała już bez niej życia.

X.

Nazajutrz po serdecznych wynurzeniach matki ze starszą córką, Mania spotkała panią Lulę w ogrodzie.

Podbiegła do niej z uradowaniem.

— Czy pojedziemy dziś konno? — spytała.

— Ja pojedę — odrzekła pani Rojewska, kładąc nacisk na tę liczbę pojedynczą.

— Pan Stefan mówił wczoraj... — zaczęła znowu Mania.

— Co mówi mój brat pannie Maryi, tego nie jestem ciekawa.

Mania spojrzała na panią Lulę, i nie poznała jej twarzy, zwłaszcza ust, zaciętych wzgardliwie. W słowach było gorsze od wzgardy — lekceważenie.

Chciała się łudzić, więc wzięła te słowa nie na własny rachunek, lecz na karb złego humoru. Doświadczała go po raz pierwszy, lecz wiedziała jednak od służby, że pani Rojewska dość często podlega różnym »chandrom«.

Podczas obiadu chłodny nastrój przerywały niezwykle objawy troskliwości.

— Jakże się mateczka teraz czuje? — pytała pani Lula.

— Dziękuję ci, jestem jeszcze osłabiona.

— Na takie zawroty głowy niema jak Wiesbaden — ordynowała starsza córka.

— Wiesz przecie, że o własne zdrowie nie dbam. Jeślibym się zdecydowała na wyjazd, to chyba dla Nisi.

— I Nisi dobrzeby zrobił Wiesbaden.

— Niewątpliwie, ale czasy ciężkie. Turzański nie zapłacił mi tenuty z Milanowic. Kobietę bezbronną każdy wyzyska.

— O tak — potwierdziła z westchnieniem pani Lula. — A gorzej jeszcze mieć obrońcę, który bronić nie umie. I ja powinnabym wyjechać. Ale czy można z Zygmuntem? Daje się okradać na każdym kroku.

Panie, siedząc obok siebie, mówiły jakby tylko do siebie, głosami przyciszonymi, ale że poza tem nikt się przy stole nie odzywał, więc słowa ich, padające w milczenie, odbijały się głośniejsz, niż należało, od ścian, zawieszonych portretami.

Po tej wymianie skarg i życzeń, pani Lula utopiła wzrok w młodziutkim chłopaczku, siedzącym obok panny Anieli.

— Nie mogę patrzeć na Rysia! — zawołała nagle, odwracając głowę w przeciwnym kierunku.

Młodzieniec uśmiechnął się drwiąco, a pani Lula, nachylona w stronę pani Pohoreckiej wezwała patetycznie jej świadectwa:

— Niech mama spojrzy, jak on wygląda.

— Istotnie, mizerny — stwierdziła babka, prześliznąwszy się oczyma po twarzy wnuka.

— Doktor zaleca mu koniecznie kąpiele w Abazyi. Było to wypowiedziane z takim patosem, jak

gdyby pani Lula obwieszczała — nie przepis lekarza, lecz wyrok sądu wojennego.

Stefan, milczący dotychczas, odezwał się.

— Kiedy rozpoczynają się szkoły? — spytał siostrę.

— Nawet nie wiem.

— Ryś już do nauki nie wraca?

— Gdyby ode mnie zależało, byłby w innej szkole, zagranicznej. Ale Zygmunt się uparł.

— A to mu się tak rzadko zdarza — wtrącił pan Stefan — że bodaj *pour la rareté du fait...*

— Nie jest on taki łatwy w pożyciu, jak ci się zdaje.

— Więc szkoła poczeka, aż Ryś wróci z Abazyi.

— Naturalnie. Dostyc ponieśliśmy ofiar dla tej szkoły...

— ...Żeby się nie liczyć z jej terminami — kończył pan Stefan.

— Naturalnie. Jeżeli ma być lepiej, niż było...

— ...Niechże będzie wolno wracać do nauki, albo wcale nie wracać.

— Zapewne. Nie na to zwalczaliśmy srogość przepisów, żeby sobie narzucać nowe. Inaczej nie warto było robić...

Lula nie dokończyła. Spojrzenie matki w ostrym błysku wyrwało jej z ust słowo, nie przeznaczone dla uszu Nisi.

— Zresztą Ryś uczyć się teraz nie może: jest zanadto wyczerpany — oznajmiła Lula bratu.

On zaś odpowiedział jej pytaniem, skierowanym do pana Talki:

— Czy za pańskich czasów chłopcy wracali do szkół, kiedy im się podobało ?

Pan Talko nie miał możliwości objaśnić w tym względzie towarzystwa. Odebrała mu słowo pani Lula.

— Za czasów pana Talki — orzekła — uczniowie nie byli tak zdenerwowani, jak dzisiaj.

— Choć przeżywali gorsze czasy.

— Bardzo wątpię, czy gorsze od obecnych.

— Zwłaszcza, że Ryś tak się tymi »czasami« przejmuję — szydził pan Stefan.

— Ryś nie objawia swych wzruszeń. To natura skryta.

W tem miejscu młody Rojewski uznał za potrzebne wyrównać różnicę zdań o sobie.

— Nic do ukrycia nie mam, ani tego nawet, że mnie te »czasy« nic nie obchodzą — oznajmił z uśmiechem szyderyczym.

Pani Pohorecka chrząknęła i znowu próbowała pohamować oczyma starszą córkę, a osłonić młodszą od niewłaściwej rozmowy.

— Czasy są zawsze jednakowe — rzekła sentencyonalnie.

— O tak, świat drepce truchcikiem — rzucił pan Stefan niecierpliwie i spojrzał na Manię, bo nie chciał patrzeć na swą najbliższą rodzinę. A Ryś, który już od dłuższej chwili przypatrywał się odbiciu tej sprzeczki na twarzy panienki, mrugnął lewem okiem w jej stronę i bardzo poważnie zapytał:

— Co pani myśli o tym truchciku ?

Pragnąc się popisać odwagą, której nie wypełnił jeszcze pobyt w Pohorcach, wydobyła z pamięci zda-

nie, zasłyszane na jakimś wiecu, i przewietrzyła je, głosząc:

— Świat galopuje teraz po trupach i zgliszczach.

— Panna Łopacka może śledzić tempo czasu na swój wyłączny użytek — zaleciła jej pani Pohorecka.

— Istotnie — poparła ją Lula — nikt nie jest ciekaw tych badań.

Poczem zwróciła się znowu do brata i zakończyła, pomijając nawias, który przerwał jej słowa:

— ...A Ryś był nerwowy od urodzenia, kiedy jeszcze czasy były zupełnie normalne.

— Są normalne — zdecydowała pani Pohorecka tonem, przecinającym dyskusję.

Młody Rojewski wciąż się uśmiechał i, choć patrzył przed siebie, widział Manię, siedzącą po tej samej stronie o dwa krzesła dalej. Usta jego, wykrojone w łuk, szpeciła smuga, zarysowująca nudę. Twarz była prawdziwie gładka, urodą i młodzieńczą delikatnością cery, lecz zbrózdźzona piętnem, które zazwyczaj kładą lata, lub doświadczenie. W szafirowych źrenicach, pod długą rzęsą, czaiła się złośliwość, ale jednocześnie... przyćmiony nią smutek.

Za każdym odezwaniem się matki lub babki, Ryś, nie podnosząc powiek, patrzył na wuja i wtedy leciuchna smuga szyderstwa, idąca od kątów jego ust, rzucała cień dłuższy.

Nie tylko osłonięte spojrzenie Rysia, lecz oczy wszystkich, oprócz Nisi i panny Anieli, zawisały na pochmurnej twarzy pana domu. Oczy Mani pęzły ku niej z miłosną trwogą i niepokojem, oczy matki i Luli

czaiły się drapieżnie. Jeden tylko pan Talko nie ukrywał swego wzroku i wpatrywał się w twarz dawnego ucznia ze szczerym, nienasyconym zachwytem. Wpatrywał się tak niezmiennie od lat prawie trzydziestu, a w nieobecności pana Stefana gotów był patrzeć tak samo na miejsce, które on zwykł był zajmować.

Te oczy sowie, przepojone podziwem, były dla pana Pohoreckiego niezbędną przyprawą nie tylko obiadów, lecz i życia w Pohorcach.

Wiedział, że ów bezkrytyczny zachwyt ostoi się wobec wszelkich jego słów i czynów.

Mało się licząc z ludźmi wogóle, najmniej liczył się z panem Talką, bo wiedział, że jest dla starego nauczyciela największą na świecie liczbą, która, jak milion, pochłania wszystkie w nim zawarte krocie i tysiące. Dziś, oprócz podziwu, w oczach sowych była wymówka, lub może prośba.

Od kilku tygodni ustały pogawędki w oficynie, wśród których pan Stefan zwykł był wtajemniczać swego mentora w badaną wciąż z wielkim zapałem, a niezbadaną jeszcze do dna — zagadkę serca kobiecego.

Pan Talko, w młodych nawet latach, obojętny na nią osobiście, wnikał w nią oczyma drogiego ucznia i tak się temi dociekaniem przejmował, jak gdyby w jego cichej izdebce rozgrywały się wszystkie fortele, którymi Stefan oskrzydlał i rozbrajał zdobywane pozycje.

Pan Talko nigdy do tryumfów się nie przykładał, bodaj dlatego, że jego uczeń nie potrzebował

sprzymierzeńców: sam przeciwnik bywał mu zwykle sojusznikiem.

Stary pedagog dzielił ze Stefanem rozkosze wspomnień, brał żywy udział w opisie zwycięstw, których sam, na własny rachunek, nigdy nie zaznał. Owe barwne obrazy, rozsnuwane przed jego oczyma, nie były zdradą zaufania, które obowiązuje szlachetnego zwycięzcę; raczej głośnem uprzytomnieniem tryumfów pana Stefana przed sobą samym: wszak mentor był jego drugim ja... dyskretniejszem o wiele.

Zgromiwszy oczyma siostrzenicę za jej wmieszanie się do sprzeczki, pan Talko patrzył znowu na ucznia.

I nagle pomarszczona twarz wygładziła się. Stalowe spojrzenie Stefana zatrzymało się na niej chwilkę, a w tej chwili powiedziało:

— Rozumiesz!

Pan Talko rozumiał, że sojusz obu pań zapowiada nowe wydatki i w odpowiedzi pokiwał głową ze smutkiem, niezupełnie szczerym, bo sam nie wiedział: czy bardziej się martwi tymi nowymi ekspensami, czyhającymi na pana Stefana, czy też się cieszy, iż jego zaufanie odzyskał.

XI.

Pierwszy raz od czasu pobytu Mani w Pohorcach pani Lula przyjechała z Rysiem.

Nie służyło mu powietrze »rodzinnego gniazda«, jak mawiał, twierdząc, że »dość mu spojrzeć na suchą Niszę, żeby dostać chrypki«.

Przez całe wakacje matka nie namawiała go na odwiedziny, z powodu Mani. A nużby zechciał stanąć

do współzawodnictwa z wujem? Pokrzyżowałoby to plany pani Luli, zabiegającej o łaski brata. Lecz teraz przyjazd Rysia do Pohorców stawał się koniecznym: musiał on osobiście złożyć świadectwo swej mizerności. Mizerny był istotnie, gdyż wczasów letnich nie marnował nad książkami, uprawiając natomiast różne inne zajęcia, zarówno wyczerpujące siły, jak nauka, lecz znacznie milsze.

Podążał śladami wuja szybkim krokiem, z tą różnicą, że się mniej ukrywał, bo zgoła się już z rodzicami nie liczył, oboje lekceważąc zarówno.

O Mani słyszał od matki, jak o »czupiradle«; wiedział jednak, że w jej oczach nie znajduje łaski żadna kobieta. Lula była zazdrosna o wszystkie jego uczucia, o te nawet, które nie czyniły uszczerbku miłości synowskiej.

Osiemnastoletni Ryś, bardzo bystry z natury i świadomy różnych sytuacji erotycznych, z wielu odezwań i niedomówień matki domyślał się tego, co pragnęła przed nim ukryć, a dość mu było spojrzeć na Manię w chwili, gdy patrzyła na wuja, aby się w tych domysłach utwierdzić.

Panie, po obiedzie, przeszły na czarną kawę do salonu, pan Stefan zamknął się w swoim gabinecie, Mania z wujem wróciła do oficyny. W chwilę po jej odejściu, Ryś wyszedł na dziedziniec. Przyglądał się psom, wyprawiającym harce. Obejrzał się na okna pałacowe; krokiem powolnym minął dziedziniec, skręcił koło pałacowych kuchni i wszedł na podwórze folwarczne.

Na ganku oficyny pana Talki siedziała Mania. Nie pytając, czy pozwala, obok niej usiadł.

— I pani w złym humorze — zagał rozmowę.
— A! już mam dosyć tych Pohorców — wybuchła.

— Miłe są, prawda? I tak zawsze.

— Słowa nie można się odezwać...

— Piekielne nudy.

Spojrzał na nią z pod długiej rzęsy, nawpół figlarnie, nawpół cynicznie.

— Pani mniej się tutaj nudziła ode mnie — rzekł. Nie odrazu zmiarkowała, do czego zmierza.

— Dla pani wuj Stefan jest zabawniejszy, niż dla mnie — podkreślił.

Od tych słów, nie tylko na twarz, ale i na szyję Mani padł krwawy odbłysek.

— Pani się jeszcze rumieni — stwierdził Ryś tonem wyższości.

Milczała, zmieszana. Niezmiernie go to bawiło.

— Niechże pani dziecinną nie będzie — rzekł z pocieszoną, w jego ustach, perswazyą. — Nie darmo jestem siostrzeńcem mojego wuja i synem mojej matki: nic w tem złego nie widzę.

Zaglądając pod jej spuszczone powieki, dodał:

— Ja wuja zupełnie rozumiem.

Podniosła na niego oczy gniewne. Rozbroił ją uśmiechem pełnym wdzięku. Mimowoli na jej usta przyszło pytanie zdziwione:

— Czy pan naprawdę jest tak zepsuty?

— Okropnie — upewnił z przechwałką.

Popatrzyła na niego i rzekła:

— A jest pan w dodatku zuchwały.

— Naturalnie. Bywam zawsze zuchwały, gdy mi

się kobieta podoba. A pani mi się podoba — oznajmił, przybierając głos i wyraz twarzy znudzony.

— Pan jest dla mnie wstrętny — oznajmiła mu ze wzburzeniem zbyt wielkiem, aby mogło być szczere.

— Nie — zaprzeczył. — Na to jestem za ładny. Był istotnie śliczny i stwierdził to z prostotą.

Chciała mu okazać, że jest obrażona.

— Jaki pan jest, to jest, a ja już idę do mego pokoju — rzekła, wstając.

— I owszem. Wolę rozmawiać z panią w czterech ścianach — odpowiedział, wstając również.

— Ja pana nie myślę zapraszać — oznajmiła mu chłodno, lecz nie zdołała zgasić uśmiechu w oczach.

— Nie jestem ceremonialny. Przyjdę bez zaproszenia — rzekł żartobliwie.

Smugi, idące od jego ust, wygładziły się.

Zapomniał, że ma być zuchwałym i cynicznym; był młodym chłopcem, przekomarzającym się dla figlów z młodą dziewczyną.

Mania nie gasiła już uśmiechu w oczach, ani na ustach.

— W panu siedzi dwóch chłopców — rzekła wesoło.

— Dwóch? — powtórzył i, przechylając głowę, spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Może pani ma rację — dodał po króciutkiej zadumie. — Tak, jestem synem mojego ojca i mojej matki... Odkryliśmy Amerykę, prawda? — zaśmiał się. — A więc idziemy do pokoju pani?

Cofnął się uprzejmie, aby ją puścić naprzód.

Wydał jej się znowu dzieckiem, odgrywającym rolę dorosłego.

— Nie, zostajemy tutaj — zdecydowała. Usiedli znowu na ławce.

— Zostańmy — zgodził się i usiadł przy niej.

— Ja ojca pańskiego nie znam, choć już tu jestem sześć tygodni — mówiła, prowadząc dalej rozmowę.

— Niełatwo go poznać... w Pohorcach. I jemu tutejsza atmosfera nie służy, z innych powodów, niż mnie — objaśnił.

Mania była bardzo ciekawa tych powodów, nie śmiała jednak pytać wręcz.

— Pańscy rodzice pobrali się z miłości? — spytała ubocznie.

Kąty jego ust przedłużyły się znowu.

— Pani jeszcze wierzy w miłość? — zapytał.

— Jestem pewna, że i pan także.

— To tylko dowodzi naiwności pani.

— Bardzo proszę — oburzyła się.

Trzymał na jej twarzy oczy, znowu stare.

— Z pani jeszcze dziecko — odrzekł.

— To mi się podoba! — zawołała. — Mam z pewnością o parę lat więcej od pana i doskonale znam ludzi.

Uśmiechnął się gorzko.

— Tak pani sądzi? — powątpiewał.

— Tak sądzę i tak jest — upewniła go.

Patrzył na nią badawczo.

Odwróciła głowę.

— Nie lubię takiego świdrowania oczyma.

— Wyobrażałem sobie panią inaczej — rzekł.

— Gorzej? — spytała zaciekawiona.

— Lepiej, dla pani.

— A gorzej dla kogo?

— Może dla wuja Stefana... Znowu się pani rumieni... To dziwne, *malgré tout* nie zepsuła się pani w Pohorcach.

Jego szafirowe oczy kładły się na jej twarzy ze zdziwieniem.

— O, niech pani tak nie drży i proszę nie myśleć, że mówię o tem — uspokajał ją Ryś. — Tutaj można się zepsuć na różne sposoby.

Po nagłym podniesieniu brwi nad spuszczone oczyma poznał, że Mania się dziwi i wymiarkował, że nie odczuła właściwej atmosfery Pohorców.

— Pani jednak bardzo świeża! — zdecydował.

Mani zdawało się w tej chwili, że jest znacznie starszy od niej i nie oburzył jej nawet ton wyższości. Lecz nie chciała tego okazać.

— Niech pan tak nie myśli — upewniła go. — Ja jestem bardzo dojrzała duchowo.

— Czyż być może?

— A pan jest zarozumiały i nieznośny — rzuciła mu nawpół gniewnie, nawpół figlarnie.

— Miałem już raz szczęście to słyszeć — odpowiedział, schylając głowę.

Z tego ruchu przypomniał jej wuja i wydał jej się piękniejszym jeszcze i miłszym.

— A chcę pani jeszcze powiedzieć — dodał z naciskiem — że ja nie skandalizuję się niczem.

Udzielił tej wiadomości w przekonaniu, że ją to powinno cieszyć. Był trochę ubawiony swoją rolą, a trochę nią przejęty.

— Znowu pan zaczyna — obruszyła się.

— Znowu się pani rumieni. Szkoda... przerywają nam tak miłą rozmowę.

Na podwórzu folwarcznem zajaśniała fularowa suknia i popielaty garnitur.

— A kto miał rację? Widzisz — mówiła do brata pani Lula, wskazując mu oczyma Rysia i prześlizgując się wzrokiem po Mani.

A Rys zwrócony do swej towarzyszki, kończył rozmowę.

— Widzę, że pani jest zupełnie inna, niż mi mówiono.

Zaakcentował głosem, że ta »inność« jest dla niej pochlebna.

— Już zacząłeś studia na ten temat — wtrąciła pani Lula szyderczo.

— Nie łatwo uzyskać na to zgodę pani — odpowiedział, podkreślając te słowa ruchem ręki, spuszczonej, jakby w ukłonie.

Pan Stefan patrzył na oboje młodych w sposób taki, że nie tylko Mania, ale nawet pani Lula nie mogła wymiarkować, czy jest rad, lub niezadowolony, że ich widzi razem.

Przestąpił próg ganku i wszedł do pokoju pana Talki.

— Babka cię prosi — rzekła pani Lula do syna po francusku i wzięła go pod rękę.

Odchodząc, nachylił głowę przed Manią i uśmiechem podkreślił, że rozumie dobrze, o co chodzi.

Nagle do duszy dziewczyny zajrzała trwoga.

Czyżby istotnie ona, tak »mądra«, wedle pojęcia

Rózi, i zresztą własnego — nie poznała się na pani Luli, na Pohorcach... i może, może — na nim?...

Pierwszy raz ufność Mani została zachwiana.

Bo co innego prawić ustami, że ludzie są marni; a rzecz inna odczuć to w głębi siebie, w swych osobistych nadziejach i wiarach, spojrzeć na nie, jak na... złudzenia.

...Trudno jej było uwierzyć, aby Ryś był wytrawniejszy od niej, która »tak dobrze znała życie«, napiwszy go się wielkimi łykami w czasach, gdy płynęło wartko i groźnie.

...A jednak pani Lula zmieniła się oczywiście, i nie pod wpływem »chandry«. Więc dlaczego?

...Bo choćby się dowiedziała o wizytach brata w oficynie, jest przecież postępową i przyznaje się sama do kochanka.

Jakże trudno zrozumieć różne sprawy tego świata, mimo zapoznania się z nim na wiecach!

Owego wieczoru sadek wiśniowy patrzył na pierwsze łyzy Mani w Pohorcach.

XII.

Gdy Mania, zamknięta w swoim pokoiku, bała się spojrzeć oko w oko rzeczywistości, po drugiej stronie sieni rozmowa była ożywiona.

— O! Stefan! — zawołał radośnie pan Talko, ujrawszy drogiego ucznia.

Pewien był, że go dziś zobaczy w swej izdebce, lecz niemniej ucieszył się jego widokiem.

— Zapisać w kominie! — pomrukiwał. — Myślałem, żeś zapomniał o starym.

W chwilach uroczystych pan Talko przestawał mówić do swego ucznia w trzeciej osobie.

— Z pewnością pan tak nie myślał — zaprzeczył mu Stefan i rzucił się na starą, rozłożystą kanapę.

Pan Talko krzątał się koło pieca. Wydobywał ulubione konfitury swego dawnego pupila, jak w czasach, gdy on po lekcjach przychodził do niego na gawędkę.

— O, dereń już się zburzył ze złości, że tak długo czeka — gderał mentor i wyjmował z szafki spodeczek i łyżeczkę. Poszczeniwały w rękach drżących ze starości i z uciechy.

Przygotowania trwały długo. Pan Stefan śledził je oczyma, rad, że może milczeć.

Wreszcie stolik z konfiturami został przystawiony do kanapy, pan Talko przysunął się z fotelem.

Stefan pojadał konfitury w zamyśleniu. Dopiero po chwili odezwał się:

— Już się pogodziły — stwierdził.

Pan Talko kiwał głową, wzdychał.

— Widziałem, widziałem niby — rzekł i, niżając głos, dodał: — A Ryś nie taki mizerny. Może wracać do szkoły.

— Słyszał pan: jadą zagranicę!

Pan Talko nachylił się.

— Tem lepiej — wsunął panu Stefanowi wprost do ucha.

Ten zaś oburzył się.

— Lepiej! Łatwo to panu powiedzieć.

— A najlepiej nic nie dać — szepnął stary pedagog, nachylając się znowu.

— Nie zna ich pan jeszcze? — rzucił mu Stefan gniewnie.

Nauczyciel machnął ręką.

— Te! niby znam aż nadto. I właśnie dlatego mówię: raz im powiedziec nie, dadzą święty spokój na zawsze.

— Albo nie dadzą spokoju od rana do nocy. I nie chodzi mi nawet o pieniądze, tylko o zasadę. Im się zdaje, że ja mam obowiązek.

— Bo nie trzeba psuć dobrocią. A Stefan zaraz otwiera kasę. Tylko wyciągnąć rękę i brać... niby, kto chce... ile chce.

— Bez przesady! Bez przesady. W oczach pana jestem na przemian bohaterem, lub męczennikiem.

— E, gdzie tam! A już przez cały ten czas, to Stefan był niewdzięcznikiem. Co ja się naczekałem, dzień po dniu! I żeby się choć pokazał na chwilę. Ostatni raz był tutaj cztery tygodnie temu, jak obszył... czte-ry ty-go-dnie! No, czy tak się godzi?

— Miałem bardzo ważne rachunki — tłumaczył się pan Stefan, wyławiając dereń ze słoika.

— Ej, musiały to być obrachunki, ale, niby, nie na papierze. Ja się nawet trochę domyślał.

Wyłupiaste oczy starego pedagoga szukały na twarzy Stefana uśmiechu, a znajdowały zmieszanie.

— Niedarmo pani Borzymowa przejeżdżała tu parę razy — wsunął pan Talko.

Teraz dopiero Stefan uśmiechnął się.

— Że też pan wszystko wypatrzy! — zawołał.

— Ho! ho! zawsze wiem, które sitko na kółku.

— Pan mnie zna — potwierdził Stefan, nie podnosząc jednak oczu.

— Na wylot, niby, na wylot — upewniał pan Talko. — I wcale nie jestem zaślepiony. Co się Stefanowi zdaje? Nie chciałbym za nic być kobietą w Pohorcach, zwłaszcza młodą i ładną.

— Czy one się skarżą przed panem? — spytał Stefan i znowu zanurzył łyżeczkę w słoiku.

— Dałbym im! — odgrażał się pan Talko. — Mówić mi nie trzeba. Widzę bez babskiego gadania i wiem, jak jest. Póki która podoba się, ma raj na ziemi; ale niech się podobać przestanie, choćby się zmieniła w anioła...

— Toby najmniej pomogło. Anioły nie mój typ.

— Jednak pani Dada ma w sobie jakąś taką słodycz...

— Wielką nawet, ale zupełnie ziemską.

— Jej mąż odważny, że ją tak puszcza samą.

— I on się... puszcza. Zresztą mnie żaden mąż nie przeszkodzi.

— Bo nawet Stefan do mężatek jakoś nie bardzo... niby — wpadł mu w słowo pan Talko. — Dotychczas same panny. Zresztą co pod ręką, to nieprzyjaciel.

— Nie zawsze — bronił się Stefan zakłopotany. Ale pan Talko prowadził dalej myśl swoją:

— Chyba już bardzo brzydka, jak panna Aniela.

Albo taki kozak, jak Mania.

Stefan strzepywał starannie kurz z marynarki.

A pan Talko mówił dalej:

— To niezła nawet dziewczyna. Z początku myślałem, niby, że nie wytrzymam. Wpadała tutaj co chwila z jakimiś głupimi zasadami. I bałem się nawet...

Pan Stefan szukał wygodniejszej pozycyi na kanapie.

— Truchlałem zawsze podczas obiadu — mówił pan Talko. — Łaska Boska, że pani nie kazała jej wyjechać.

— Cóż znowu! — protestował pan Stefan.

— Bo ta dziewczyna wrywała się nieraz, jak Filip z Konopi. A i teraz jeszcze się wrywa. Dzisiaj, na przykład... Co prawda, mam już dosyć tej opieki. Czas jej wracać do domu.

— Niechże jeszcze zostanie — wtrącił uprzejmie Stefan.

— Nie, niech wraca — obstawał przy swoim pan Talko — niech się zabierze do roboty. Zrobiło się, co można. Wszyscy byli na nią łaskawi, nie myślałem nawet. A Stefan... w samą miarę. Nie zanadto. Bo przecież pod moją opieką i dało się słowo...

— Słowo? Kiedy? Jakie?

W tym nagłym okrzyku Stefana było tak oburzone zaprzeczenie, że pan Talko się przeląkł, myśląc, że uraził jego szlachetność; więc dodał pojednawczo:

— Ja tylko tak, na żarty. Wiem przecież, że i bez tego... I chciałem nawet podziękować.

— O, niema za co — przyznał Stefan i sięgnął do kieszeni po papierośnicę.

— Brzydka, bo brzydka — mówił pan Talko, szukając dla niego zapalek — ale polubiłem ją dosyć.

— Pan się na kobietach nie zna — przerwał mu Stefan.

— Co mi teraz po nich; ale wiem zawsze, która się Stefanowi podoba.

— Więc pani Borzymowa?

— Gdybym oczy zamknął, to jeszczebym widział, jak Stefan na nią patrzy.

— A ona?

— Aż jej dusza wyskakuje: żeby prędeej...

— Mogę pana zapewnić, że i mnie także. Tylko nie wiem, czy ona...

— A ja wiem.

— E, pan zawsze wie, pierwiej od nich.

— I zawsze mam rację.

— Na moje szczęście, nie. Gdyby mnie tak wszystkie kochały, jak pan myśli, woziliby mnie już w wózku.

— Co za koncepty! — oburzył się pan Talko. — Stefan poradziłby sobie z tysiącem, i będzie miał powodzenie chyba do lat stu.

— Byle do ostatniej chwili życia — odpowiedział na to Stefan, a gorący ton głosu świadczył, że bez szczęścia do kobiet życie nie miałoby dla niego żadnej wartości.

Pan Talko, niesłuchanie przesądny, ilekroć była mowa o śmierci, widmo jej odganiał, wskazującym palcem stukając w suche drzewo.

Na ten znany sobie dźwięk. Stefan roześmiał się.

— Pożyjemy jeszcze! Pożyjemy! — zawołał, zrywając się z kanapy. — Tymczasem muszę już uciekać. Niechże pan nie wstaje.

Był już przy drzwiach. Od progu cofnął się, jak gdyby sobie coś przypomniał.

— Kochany panie Talko! — rzekł, podchodząc do starego pedagoga i kładąc mu rękę na ramieniu. — Pan-by mi nawet zbrodnię przebaczył.

— Ja myślę! — zawołał nauczyciel, podnosząc ku niemu starą twarz, a uwielbienie wygładziło na niej brózdki wieku. — Łatwo mi mówić! — dodał z uśmiechem. — Toć trzydzieści lat blisko, i ani razu Stefan nie zrobił mi przykrości, ot, na tyle — wskazywał koniec paznokcia. — Taki już jest, niby — taki, jak nikt...

Pan Pohorecki bardzo szybko drzwi zamknął i wyszedł na ganek. Stał chwilkę, pocierał czoło. Nagle zawrócił i cichutko podszedł do drzwi Mani.

Łowiła widocznie uchem jego kroki, bo drzwi uchylily się natychmiast.

— Dziś, po jedenastej — rzucił w szparę. Odczuł raczej, niż spostrzegł, że płakała.

XIII.

Wiedział, że go czeka niemiła rozprawa, ale może po przodkach, rycerzach, pan Stefan wziął odwagę. A miał tę największą i najrzadszą u mężczyzn, że potrafił stawić czoło kobietom, które już nasycily jego łakomą wrażliwość.

Nie bał się końcowej sceny miłosnego dramatu.

Z głębokim ukłonem lub zanurzeniem ręki w kieszeń, żegnał kochankę, która stawała się dla niego przeszłością i zwracał się ku nowej.

Zamierzał właśnie odwrócić się od Mani.

Przyśpieszyła jeszcze tę chwilę.

— Tutaj wszyscy po człowieku depcą — skarżyła się tego wieczora, stojąc przed panem Stefanem z rozpuszczonymi włosami, w matince.

Siedział na fotelu i przenosił oczy z jednego przedmiotu na drugi. Spostrzegła, że jej nie słucha i położyła nacisk na skargę.

— Już pani Lula zaczyna mi pokazywać fupy — rzekła.

Spojrzał na nią chłodno i odpowiedział:

— Muszę cię objaśnić, że każda kobieta, która się podoba Rysiowi, traci łaski Luli. Ona jest formalnie o niego zazdrosna.

— I twoja matka widocznie zazdrosna o Nisię. Nie wolno mi do niej słowa przemówić.

— Bo używasz wielu słów, które matka wykreśliła z jej dykcyonarza.

— To znaczy, że nie jestem dość dystyngowana.

— Sama to chyba uznajesz.

Nie uznawała bynajmniej i zabolął ją ten zarzut.

— Jeżeli jestem odpowiednią kompanią dla pana Pohoreckiego, to i dla panny Pohoreckiej.

Nie chciał jej tłómaczyć różnicy.

Odeszła do okna.

— Nie będę się tu narzucać nikomu — zawołała.

A że jej nie spytał, jak zamierza doprowadzić ten zamiar do skutku, więc objaśniła go sama:

— Jutro wyjeżdżam.

Rzuciła mu te słowa, jak wyzwanie.

— Jutro?

Powtórzył je tak, jak gdyby widział w nich tylko prośbę o konie na stacyę.

— Tak, jutro, nieodwołalnie — utwierdziła się w swej decyzji.

— Czy musisz koniecznie? — spytał.

— Muszę! — zawołała patetycznie, udając, że na niego nie patrzy.

Lecz widział błyski pod jej rzęsą i żal mu było, że ona cierpi, albowiem współczuł zwykle ranom, które sam zadawał. Chcąc wprowadzić inny ton do rozmowy, spytał żartobliwie:

— Czemuż jesteś dzisiaj taka liryczna?

— Bo jak pomyślę, że to już ostatni dzień... — szepnęła.

— Więc właśnie trzeba z czasu korzystać. Chodź-no tutaj.

Nie ruszała się od okna. Wstał, wziął ją za rękę i prowadził do fotelu. Czuł, że drży i przykro mu było, że na jej cierpienie rady niema.

Wziął ją na kolana. Mimo to odczuwała, że jest chłodny.

— Wiesz, że bardzo wyładniałaś — rzekł szczerze, podrażniony włosami, które go musnęły po twarzy.

— Co mi już z tego przyjdzie? — zaczęła znowu, w nadziei, że usłyszy to, co usłyszeć pragnęła.

Ten naiwny fortel wzbudził w nim przekorę.

— To ci przyjdzie, że podobałaś się Rysiowi.

— Dużo mnie to obchodzi — odburknęła, ale w tejże chwili na jej twarzy odbiła się radość.

— Może ty jesteś zazdrosny? — spytała ucieszona.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem chłodnym.

— Powodu nie masz, ale mógłbyś mi zrobić tę przyjemność choć raz — prosiła go oczyma i głosem.

— Tej przyjemności nie zrobiłem jeszcze żadnej kobiecie — oświadczył.

— Pewno, że ty możesz być zarozumiałym!

W głosie, w oczach było gorące uznanie tego prawa, więc mógł jej przebaczyć niefortunne określenie. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

A ona objęła go za szyję i, z twarzą przy jego twarzy, mówiła:

— Wiesz, czujesz, że ja ciebie kocham naprawdę. Nie dlatego, że jesteś wielki pan i że masz Pohorce. A ty kochasz? Powiedz?

— Wszak byłaś tego pewna od pierwszej chwili — przypomniał jej żartobliwie.

— Tak, byłam, przez głupotę.

— Zmądrzałaś teraz? — zapytał.

— Szkoda mi mojej głupoty — odpowiedziała w zamyśleniu.

— Nie trzeba z rzeczy naturalnych i prostych robić tragedii — perswadował.

— To nie jest naturalne, że przestałaś mnie kochać — wybuchnęła.

— Byłoby właśnie bardzo naturalne.

— *Byłoby?*... Więc nie jest? — uczepiła się chciwie nadziei.

— Wszystko mija, a dobre od złego prędzej — mówił, bawiąc się jej włosami. — Ale było nam miło? Prawda?

— Było? — podchwyciła znowu, już nie z nadzieją, lecz z trwogą. A on spojrzał jej prosto

w oczy i miękko, ze współczuciem dla niej, powtórzył to słowo okrutne:

— Było!

Wyrwała się z jego objęć, padła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach.

Zrozumiał, że może być jej... przykro, i chciał jej tę »przykrość« osłodzić. Wstał, nachylił się nad nią i szepnął:

— Trzeba się przecież pożegnać...

Odsunęła go.

— Nie, nie. To się skończyło — mówiła ze łkaniem. — Odczepnego nie chcę.

— Ależ nie odczepnego: ty jesteś bardzo pojętna.

— Dlatego mnie odprawiasz! — zawołała, podnosząc głowę z poduszki.

— Sama chcesz jechać — przekładał.

— Nie zająknęłaś się nawet, żeby mnie zatrzymać.

— Ależ i owszem, jeżeli chcesz, zostań jeszcze.

Odepchnęła go ruchem gwałtownym. Te słowa uprzejme zgasiły błysk nadziei, rozpełęły ból.

Był wprawdzie litościwym dla swych ofiar, ale tylko dopóty, dopóki nie zaczynały wybuchać i rzucać się.

Postanowił przerwać tę scenę.

— Ej Maniu, bo wyjdę i już nie wrócę — zagroził.

Usiadła na łóżku, odsłoniła twarz, bardzo bladą. Jasne oczy tak się na niej rozjarzyły, że wydawały się prawie czarne.

— To sobie idź. Prędzej, później — mówiła głosem drżącym. — Idź do swojej Dady, do salonu... Mnie kochasz tylko w oficynie... Żebyś kiedy przy ludziach...

— Rozumiesz chyba, że przy ludziach — nie sposób...

— Dla ciebie wszystko żarty. A ja... co teraz?

— To, co i przedtem — odrzekł chłodno, bo już stracił pobłażliwość.

Wzdrygnęła się; przez chwilę siedziała skulona, ale się przemogła. Wstała i, opierając się o poręcz łóżka, wycodziła powoli, dławiąc się każdą zgłoską:

— Tak pan uważa? Doprawdy?

— Tak uważam — odpowiedział, jak gdyby go istotnie pytała o zdanie. — Wszak wspominałaś o posadzie.

— Będę pracować! — zawołała z gniewnym patosem.

On przyjął to oznajmienie, jako rzecz naturalną, nie zaś jako zapowiedź bohaterskiego czynu.

— Masz zostać kasyerką? — informował się życzliwie.

— To moja rzecz — odrzuciła gniewnie.

— Wszak i mnie to obchodzi — upewnił ją.

— O! bardzo!

Udał, że bierze to za uznanie swej życzliwości, i znowu spytał:

— Dostajesz to miejsce przez panią Bogdańską?

— Tak, przez siostrę tej wstrętnej Dady. Ładniejsza od niej, choć siwa, a oczyma nie przewraca — wołała Mania, trzęsąc się ze wzburzenia, bo już panować

nad sobą nie mogła. — Wiem, wiem. To wszystko przez nią... przez tę szelmę...

— Widzisz! takich właśnie wyrażań Nisia nie zna — przypomniał jej.

— Możecie być spokojni — wołała — już jej niczego nie nauczę... A ona z was wszystkich najlepsza.

— Być może — zgodził się pan Stefan.

Mało go obchodziła wogóle Nisia, a tem mniej w danej chwili.

— I z pani Luli ziółko! Teraz dopiero widzę.

— Dopiero?

— Proszę cię — wybuchła — nie mów tak do mnie, bo... bo... wołałabym, żebyś na mnie krzyczał... żebyś mnie bił...

— To nie leży w moich zwyczajach.

— Tak: byle grzecznie, cicho, to można nie wiem co... Już ja cię poznałam, wiem, jaki jesteś.

— Mogę być tylko takim, jakim jestem i jakim... chcę być...

— Wygodnie się tem zasłaniać!

— Moja droga — rzekł po raz pierwszy ostro — ja się niczem zasłaniać nie myślę i nie potrzebuję...

Podniosła rękę do czoła.

— Jaka ja byłam głupia! Jak ja mogłam tobie wierzyć — jęknęła.

Popatrzył na nią stalowemi, dumnymi oczyma i mówił chłodno, powoli:

— Przypomnij sobie: nigdy nie próbowałem wzbudzać w tobie wiary... żadnej.

— A nie mówiłeś... — zaczęła, ale wobec jego chłodnej twarzy nie mogła skończyć.

— Co ja mówiłem? — spytał, wstając i podchodząc do niej.

— Nic, nic, to już nie pomoże.

Dławiło ją upokorzenie.

Pamiętała dobrze każde słowo... biegł od nich dreszcz po ciele. Biegnie i teraz. Jakże inny! A ona uwierzyła... i w obietnicę i — w jego miłość.

Wtedy nie śmiała mu wyrazić życzenia; dziś nie chce mu rzucić w oczy swoich zdeptanych nadziei.

Uczucia jej, myśli, szarpią się na strzępy. Czai się, pełźnie ku niej prawda.

...Więc nigdy nie miał zamiaru — i wtedy w ogrodzie o świcie, kłamał... że pokłoni się o te usta... o te oczy... że przyjedzie za nią do Warszawy.

Pan Stefan chciał jak najprędzej zakończyć tę scenę; czekał na wymówki, aby je odparować, a gdy milczała, rzekł:

— Bardzo cię proszę, powiedz, czego chcesz. Ja lubię sytuacje jasne.

To chłodne wezwanie rozpętało w niej znowu gniew.

— Co ja ci mam mówić, kiedy pamiętać nie chcesz? — wybuchła.

— Więc racz mi przypomnieć.

Podniosła głowę.

— To ci tylko przypomnę, że byłam uczciwą dziewczyną.

— Bardzo jednak świadomą rzeczy. I chyba lepiej, że ja, niż jaki urzędnik pocztowy — wtrącił ironicznie.

Zacisnęła zęby i pięści, żeby nie krzyknąć, żeby ręki na niego nie podnieść. Zbrakło jej słów, zbrakło oddechu — oczy jej chłonęły w siebie rozpacz, a jemu rzucały w twarz nienawiść i wzgardę.

Brał je chłodno.

— Gałgan! gałgan!

Smagneło go to słowo, rozdarło jego obojętność, lecz nie skruszyło panowania nad sobą.

— Wołaj, że cię morduję, wzywaj ratunku — rzekł głosem spokojnym, urągliwym.

— Na takie mordowanie ratunku niema — zawołała, chłoszcząc go wciąż spojrzeniem.

— Krzycz głośniejsze — mówił. — Niech się zbiegną kuchciki i fornale.

— A niech się zbiegną! Niech widzą, jak wielcy panowie traktują ubogie dziewczyny — mówiła, odrzucając w tył głowę.

— Uspokój się — rzekł wyniośle. — To, że jesteś uboga, nie odgrywa tu żadnej roli.

Wezbrał w niej bunt — i miłosny i kastowy.

— Gdybym była obywatelską córką, tobyś musiał — rzuciła mu.

— Cobym musiał? — wyzwiał ją chłodno.

— Musiałbyś...

Urwała.

Lecz wziął sam odpowiedź z jej oczu.

— Więc o to chodziło? Dlatego dostawałem zadatki? — bryznął.

Taka pretensya wydała mu się wprost niesłychaną.

Podniosła ręce, osłaniając się jakby od ciosu. Z wezbranej piersi padł jęk.

— Osoba tak postępową! — zadrwił Stefan.

— Milcz! — krzyknęła, tupiąc nogą.

A on wycodził powoli, z naciskiem:

— Przyszła pani Pohorecka w żadnym razie nie może być... ordynarną.

— Ja już nie chcę! nie chcę! — jęczała, opierając się o poręcz łóżka, bo pokój a z nim świat cały здаwał się z pod jej nóg usuwać. — Proszę mnie zostawić — ja nic nie chcę... nic... nic... — powtarzała, cisnąc głowę rękoma.

— Odchodzę już — ale wpiery muszę cię pocieszyć... Gdybyś była córką obywatelską, a nawet księżniczką, nie ożeniłbym się — położył nacisk na to słowo — nie ożeniłbym się... w takich okolicznościach — dodał — bo jeżeli przedtem... ze mną, to potem łatwo z... innymi. I wielkich przeszkód nie stawiłaś... sama przyznasz!

Nie była już zdolna przyznać, ani zaprzeczyć.

Cisnęło się znowu na usta słowo: Gałgan! Czula je w sobie, lecz wyrzucić go z siebie nie mogła. Huczało w uszach, w sercu.

Głowa jej nachylała się nisko, coraz niżej.

A on, widząc ją taką, jak jeszcze nigdy, myślał, że jest zwalczona, pokorna, że sama uznała niedorzeczność swoich roszczeń, i wobec jej nachylonej głowy uczuł coś, co było podobne do skruchy. Bo jednak był... pierwszym.

Przedewszystkiem, jako człowiek dobrze wycho-

wany, zawstydził się swego uniesienia, które mu poddyktowało słowa niedelikatne. Chciał je złagodzić.

Postąpił parę kroków naprzód, i stanął, namyślając się, co powiedzieć.

Bujne włosy Mani spadały na twarz pochyloną, więc nie mógł dojrzeć jej wyrazu, lecz z postawy widział, że cierpi.

Może kochała go istotnie i głębiej, niż sądził. Prędko to minie, ale na razie boli...

Zbliżył się do niej i prawie przy jej uchu, głosem zupełnie już innym, miękkim, szepnął:

— Nie gniewaj się. Przyznaj, że byłem ostrożny. Nie zrobiłem ci... nic złego.

Promień puszystych włosów spadł jej na czoło i zakrył twarz zupełnie, lecz w przegięciu głowy, w beładzie ramion, pan Pohorecki dojrzał coś, co mu nakazało liczyć się ze słowami.

Po raz pierwszy Mania nie wydała mu się ordynarną.

Namyślał się chwilę, wreszcie zaczął cicho, ostrożnie:

— Ja rozumiem... że mam... — Chciał powiedzieć: obowiązki, ale wobec tej spuszczonej głowy i ramion zawahał się. — Dużo ci miłych chwil zawdzięczam — mówił coraz cieplej. — Twój los... żywo mnie obchodzi. Mam nadzieję — znowu się zawahał: zdarzało mu się to po raz pierwszy w takiej sytuacji. — Mam prawo... uważać się za twego przyjaciela i jak od przyjaciela... — kończył prędko. — Będzie ci potrzebna kaucya... Spodziewam się...

Ręka jej oderwała się od poręczy łóżka, zatrze-

potąła w powietrzu, jak ptak, ugodzony kulą, a z ust, na które padał cień od włosów, dobył się jakiś dźwięk niezrozumiały, chrapliwy; rząził w gardle, wydobyć się nie mógł.

A to słowo niewypowiedziane miało w sobie taką moc bólu, iż pan Pohorecki teraz dopiero rozumiał, że ta prosta dziewczyna nie ma jednak duszy prostaczej. I uczuł do niej o to urazę.

Nic już jej powiedzieć nie umiał. Z przyzwyczajenia zmierzał do okna, lecz odwrót przez okno wydał mu się nagle śmiesznym. Zawrócił się. Po chwili, klucz zgrzytnął w zamku. Pierwszy raz z tego pokoju pan Stefan wyszedł — drzwiami.

Był zły na nią, a, co gorsza, na siebie. Miał przed oczyma tę głowę nachyloną i rękę, trzepocącą w powietrzu, a choć nie chciał na nie patrzeć — musiał.

— Jednak, co to krew szlachecka! Nawet w takiej Łopackiej — myślał, przypominając sobie, jak gładko z Francuzkami załatwiał takie likwidacye miłosne.

A Mania stała z głową spuszczoną i dyszała ciężko.

W tym pokoju, gdzie pozostało tyle upojeń, teraz pełzły ku niej wyziewy zjadliwe i chwytaly ją za gardło, kładły się kamieniem na jej piersiach.

Dławiły ją niewyrażone słowa, zdeptane uczucia i łzy, które spłynąć nie mogły.

Powietrza! powietrza!

Oderwała się od poręczy łóżka, podbiegła do okna. Stała, wpatrzona w niewidoczny sadek wiśniowy,

i dyszała ciężko. Powiew nocy gwiazdzistej, sierpniowej, rozkietował w niej rozpacz.

Dalej! dalej od tego pokoju, pełnego wspomnień! I dobre — i te ostatnie, te okropne, jątrzyły jej świeżą ranę. Wyskoczyła przez okno, wbiegła w ciemność, jęcząc, jak oćwiczona zwierzę. Zdawało jej się, że tego bólu nie zdierży.

Ciemność była w niej i przed nią; kładła się czarną smugą na długi szlak jej młodego życia.

XIV.

Nazajutrz, wczesnym bardzo rankiem, Mania weszła do pokoju pana Talki. Siedział przy biurku i przesypywał tytuń, suszony na dużym arkuszu bibuły.

— Odjeżdżam — oznajmiła, stając przed nim.

Nieprzyzwyczajony do rozmawiania z ludźmi o tej godzinie, stary pedant naprzód się zdziwił, a potem wpadł w zły humor.

— Toć wiem, że odjeżdżasz. Nie nowina.

— Ale ja odjeżdżam dziś o dwunastej — powtórzyła z naciskiem.

— O dwunastej? To, niby, mamy jeszcze dość czasu.

— Nie tak dużo, jak się wujowi zdaje.

Pan Talko zafrasował się, przeczuwając, że mu coś zmąci spokój; a ona zafrasowała go jeszcze bardziej, dodając:

— Muszę rozmówić się z wujem.

— A nie mogłabyś później, około jedenastej? — spytał lękliwie.

— Nie — zaprzeczyła stanowczo — wuj musi przygotować się do drogi.

— Ja? do drogi? Co ci strześliło? Już chyba ze dwadzieścia lat nie wyjeżdżałem za bramę.

— Wuj pojedzie ze mną — dzisiaj.

— Zwaryowałaś! — zawołał, podnosząc się z fotelu.

— Wuj pojedzie — obstawała przy swoim.

— Ani myślę! — bronił się.

— Zobaczymy!

— Toć mnie gwałtem nie porwiesz!

— Mam nadzieję, że wuj sam zechce.

— To się zawiedziesz.

— Nie, wuj jest może nudziarz... niedołęga...

— Dziękuję ci — przerwał sucho.

— To wujowi nie ubliża — tłumaczyła — bo można przytem być uczciwym, ale uczciwemu człowiekowi ubliża być w Pohorcach.

— Co? Co? — wołał, wlepiając w nią oczy, wprost przerażone.

— Zabieram wuja ze sobą — oznajmiła mu stanowczo.

— Nie! Ty chyba naprawdę zwaryowałaś!

— Że nie zwaryowałam, sama się dziwię, ale jestem przytomna, i dlatego chcę wuja z błota wydobyć.

Ta rozmowa zaczynała go już drażnić.

— Ja tego bredzenia słuchać nie chcę...

Wstał i zmierzał ku drzwiom. W swoim wzburzeniu zapomniał, że jest w szlafroku i w pantoflach.

— To nie bredzenie, i wuj ze mną pojedzie — rzekła, stojąc pomiędzy nim a drzwiami.

Skurczył się, wodził dokoła spojrzeniem, szukając innej drogi ucieczki.

A Mania zasłaniała mu drzwi sobą i mówiła:

— U nas skromnie, biednie, ale znajdzie się miejsce dla wuja... Choćbym miała spać w kuchni.

— Opamiętaj się, Maniu — próbował ją zreflektować.

— Nie, to wuj powinien się opamiętać, zrozumieć...

— Daj pokój, dajże pokój, proszę cię!

— Wuj jest zaślepiony.

— Już ty mi, niby, oczu nie otworzysz.

— Wujek nawet nie wie, nie domyśla się.

— Nie próbuj mi powtarzać plotek.

— To nie plotki. Tutaj...

Nie znajdowała słów. Nagle wróciło do niej jedno z wczorajszej rozmowy.

— Tutaj... mordują — rzuciła mu głosem zdyszczanym, przyćmionym.

— To już teraz wiem, że nie jesteś przytomna! Dostrzegła w jego oczach błysk radości.

— A może i wuj nie lepszy? — zawołała.

— Dziewczyno, czego ty, niby, chcesz? — bronił się.

— Ja chcę... ja chcę... Sama już nie wiem — mówiła z błędnym spojrzeniem. — Na łotrów kary niema — ale od łotrów zdaleka... To zaraza... Wuj się zaraził... Tyle lat...

— Moja Maniu, masz gorączkę. Połóż się, niby — przemawiał, jak do dziecka.

— Nie, ja właśnie wyzdrowiałam i chcę wuja wyleczyć. Wuj ze mną pojedzie? Prawda? — prosiła, chwytając go za rękaw od szlafroka.

Spojrzał na nią trwożnie.

— Po co? Na co? — bronił się.

— Po to, że wuj tutaj być nie powinien.

— Wbiłaś sobie w głowę jakieś głupstwo. Anirusz wybić.

— Czy wujowi chodzi o mój szacunek? — zagadnęła nagle.

— Dzisiaj wszystko do góry nogami: starzy mają dbać o szacunek młodych! Niech i tak będzie... dla świętego pokoju — pomyślał pan Talko.

A głośno rzekł:

— No, zapewne. Ale i tu przecież mnie szanują.

— Tutaj nie szanują nic i nikogo.

— Znowu zaczynasz. I nie wolno ci tak mówić. Byli dla ciebie tacy dobrzy!

— Tacy, że aż...

Urwała.

— Chce wuj wiedzieć, to powiem.

W oczach pana Talki odbił się znowu przestach.

— Coś ci się увидziało... Ktoś nagadał.

Nie chciał utwierdzać się w podejrzeniu, które już zaczynało w nim kiełkować. Dostrzegła je w lęku siwych oczu.

— Wuj się domyśla — zawołała, przebijając go wzrokiem, jak szpilka ćmę przekłuwa.

Spuścił głowę śpiczastą, wyliniałą. Cała jego postać wskazywała Mani bezowocność walki.

— A ja myślałem, że... że on ciebie oszczędzi. Byłbym przysiągł — mówił, kiwając głową.

Gniew ją odstąpił. Patrzyła na ten szczątek człowieka z litością wzgardliwą.

— Bo to widzisz, stary jestem... sama mówisz, niedołęga. Gdzie mnie tam, niby, zmieniać tryb życia... I wam ciężko... Ale tego mu nie daruję — nie zapomnę... Tak go prosiłem! Tak prosiłem! I dał słowo...

Pan Talko wyciągnął drżącą rękę. Chciał pogłaskać Manię po głowie. Ale już jej w pokoju nie było.

Trzasnęła drzwiami i wybiegła.

Ciężko, bezwładnie opadł na fotel.

— Tak prosiłem! Tak prosiłem! — bełkotał, kiwając się nad tytuniem.

Wbiegła do pokoiku z oknem, wychodzącym na sadek, który przed sześciu tygodniami tak jej się pięknym wydawał. Runęła na łóżko.

Teraz dopiero mogła zapłakać.

Gdy po długiej chwili podniosła się, aby zbierać rzeczy do pakowania, na stole spostrzegła list. Był adresowany pismem dużym, zgoła jej nieznanem, ale oprócz pisma wuja nie знаła tutaj niczyjego.

W pierwszej chwili otwierać koperty nie chciała, widocznie jednak ostatni błysk nadziei w sercu jej nie zgasł, bo choć charakter nie wydawał się męskim, chwyciła list i otworzyła go ze drżeniem.

Rzuciła okiem na podpis — był już u dołu pierwszej strony.

— Nisia! Nisia!

Jakże sympatyje zawodzą!

Ona jedna coś warta.

A Nisia pisała:

Droga panno Maryo.

Wiem, że pani odjeżdża, i domyślam się, że pani odjeżdża ze smutkiem. Może z rozpaczą...

Już dawno chciałam panią ostrzedz, ale ja nigdy nie mogę zrobić tego, co chcę. Teraz już zapóźno, więc tylko powiem: rozpaczać nie warto i nie warto było kochać. Smutno pani, ciężko. A jednak ja pani zazdroszczę. Pani wraca do świata, który jest inny od naszego i pewno lepszy, bo gorszym być nie może. Niech pani weźmie ode mnie na drogę serdeczne życzenie: proszę jak najprędzej zapomnieć o Pohorcach.

Anna Pohorecka (Nisia).

List proszę podrzeć i spalić.

Około 1-szej przed pałac zajechała czwórka koni cugowych, zaprzężonych do otwartego powozu.

— Któż to odjeżdża? — spytała stangreta pani Lula, która właśnie wychodziła na przechadzkę.

— Panienska z oficyny — odpowiedział.

— Niech konie zajadą przed oficynę — rzekła.
— Jaśnie pan kazał tutaj — objaśnił ją stangret.
W tej chwili wyszedł Ryś.

— Odprawa z honorami wojennymi — rzekła do niego po francusku.

— *Elle n'aura que ça* — odpowiedział.

— Ręczę ci, że nie tylko to — upewniła.

— A ja ci ręczę, że nic więcej.

— W każdym razie coś jeszcze, bo... twoje zaślepienie.

Zwróciła się do chłopca kredensowego i rzekła:

— Daj znać panie Łopackiej, że konie czekają.

Chłopiec chciał spełnić rozkaz, ale go Ryś powstrzymał.

— Ja właśnie idę do oficyny — oznajmił.

— Czy i tłómoki przyniesiesz? — spytała po francusku, ze źle ukrytem rozdrażnieniem.

— Powiedz jeszcze słówko, a przyniosę — rzekł, odchodząc.

— Idź po kuferek — rzekła pani Lula do chłopca.

Pobiegł za Rysiem.

Przed pałac wyszedł pan Stefan. Siostra podbiegła do niego.

— Jaki ty jesteś dobry! Jaki subtelnie delikatny! — zachwycała się po francusku.

Jego chłodne oczy wstrzymywały pochlebstwo. Nie powstrzymały go jednak. Dodała ze wzruszeniem:

— *Tout bonnement généreux, magnanime*. I ja chcę tej małej zrobić przyjemność. Dam jej tę szpilkę.

Wyjęła z żabota perłową szpileczkę i pokazywała ją bratu.

Lecz i ten dowód wielkiego serca nie zrobił na nim wrażenia.

Mania, już w płaszczyku i w kapeluszu, stała na ganku. Ujrawszy zdaleka Rysia, cofnęła się do sionki.

Przyśpieszył kroku i wszedł za nią.

— Czekamy. Konie już zaszły przed dwór — oznajmił z ukłonem.

Domyślał się, że spojrzą na niego oczy zapłakane; nie przypuszczał, że stanie przed nim twarz, nakazująca szacunek — powagą cierpienia.

Chciała ukryć się w swoim pokoju. Kładła rękę na klamce. On tę rękę wziął, do ust podniósł, a potem, wsuwając ją sobie pod ramię, rzekł:

— Pójdziemy razem. Chodźmy! — a oczyma dopowiedział: — Odwagi!

Nie odbierając mu ręki, wzruszona tym niespodziewanym dowodem współczucia w chwili ciężkiej, szepnęła:

— Ja tam nie pójdę. Nie chcę, nie mogę.

Naprzód ogarnęła go szczerą litość, a potem złośliwa uciecha, na myśl, co o takim odjeździe powie babka.

— Dobrze. Niech pani nie idzie — zdecydował, puszczając jej rękę.

— Franek, powiedz, żeby konie zajęchały tutaj — rzekł do kredensowego chłopca.

Właśnie ze swego pokoju wyszedł pan Talko, bardziej pomarszczony i oskubany, niż zwykle.

— Chodźmy — rzekł, zbliżając się do Mani potulnie.

Odwróciła się plecami.

— Jednak wypada — szepnął.

— Niech im wuj... podziękuje za mnie i za siebie — rzuciła mu ze wzgardą.

Czwórka stanęła przed oficyną.

Chłopak wyniósł z pokoju tłumoczek i położył go u nóg stangreta.

Mania wskoczyła do powozu tak szybko, że Ryś nie zdążył podać jej ręki.

— Jedziemy! — zawołała do stangreta.

Nie zaciął koni, bo pan Stefan, idący od pałacu, dawał mu znaki, żeby nie odjeżdżał.

I Mania to spostrzegła. Zerwała się i, nachylona nad kozłem, krzyknęła:

— Ruszać!

W jej głosie była taka moc rozkazu, że stangret instynktownie puścił konie.

Powóz był już przy wrotach od toku *), gdy pan Stefan doszedł do ganeczka.

Trzej mężczyźni stali chwilę w milczeniu. Ryś je przerwał.

— I ze mną się nie pożegnała — stwierdził, patrząc na wuja tak, że trudno było poznać, czy go chce pocieszyć, czy wydrwić.

— Kobietom zawsze śpieszno na kolej — tłómaczył Stefan panu Talce.

*) Tok — gumno.

Stary pedagog ocknął się z zadumy i spojrzał nieswojami jakby oczyma. Wydawały się mniej wyblakłe, a był w nich lęk i zdziwienie, lecz już nie było zwykłego podziwu dla dawniejszego ucznia.

Machnął ręką.

— Et! — mruknął. I krokiem ociężałym, z głową zwieszoną, wszedł do swojej stancyjki.

XV.

Pani Kasia Bogdańska obudziła się wesola, wypoczęta.

Od czasu, jak siebie pamiętała — a było to lat... nie mało i nie zbyt wiele: przyznawała się do trzydziestu sześciu i, rzecz niesłychana, miała tyle właśnie — a więc odkąd spojrzała na świat oczyma świadomemi tego, co widzą, pani Kasia otwierała je co rana z ochotą i z życzliwością dla różnych tego świata przejawów.

Z natury, z usposobienia była wesola. A jednak lgnęła zawsze do ludzi smutnych. Nie było w tem zresztą sprzeczności żadnej, gdyż jej uciecha życiowa płynęła nie tyle z osobistej pomyślności, ile z przyjaznego spoglądania na ludzi i nie oglądania się na siebie.

Zdumiewało niejednego zadowolenie pani Bogdańskiej. Do uciechy nie usposabiał przedewszystkiem pan Marceli, wiecznie ponury, okiem złowróbnem wpatrzony w przyszłość.

Radość pani Kasi mógł być też mącić wzrok nie-

słuchanie krótki, pozbawiający ją szerokiego widoku natury. A właśnie natura była jednym z jej wielkich ukochań. Krótkowzroczne oczy widziały ją wprawdzie, jak obraz zatarty, niewyraźny, lecz domalowywała go dusza.

— Nic nie tracę, bo nieraz »poprawiam« naturę — mówiła wesoło.

Zdolność widzenia wszystkiego od strony lepszej była jej przyrodzoną właściwością. Płynęła może z prawidłowego krwi obiegu, a może z dziedzicznej miłości do ludzi, branej i przekazywanej z pokolenia w pokolenie.

Rojewscy — od Krzywoustego, jak żartowano w tym rodzie — odznaczali się doskonałym humorem i wielką płodnością.

Z ośmiorga rodzeństwa, pani Kasia i jej brat, Zygmunt, sprzeniewierzali się tej tradycyi, mając tylko po jednym synu, a i pani Dada nie zaczynała jeszcze wchodzić w ślady swej matki, która w jej wieku miała już troje dzieci.

— Cóż to? Nie kochacie się?... Jeżeli rodzice się kochają, to musi być dużo dzieci i dużo śmiechu w rodzinie — mawiał stary pan Rojewski.

Nieraz, patrząc na smutną twarz Antosia i na uśmiechniętą gorzko twarz Rysia, kiwał głową.

— Nie dopisało Lubelskie ani Wołyń — mawiał z żalem do swojej Dorotki.

Świetna synowa, pani Lula, i smutny zięć, pan Marcei, nie mieli łaski w oczach teścia.

»Sandomierski« patryotyzm pana Rojewskiego z Czerniowiec znajdował o tyle potwierdzenie, że pan

Marceli, rodem z Lubelskiego, pierwszy do tej rodziny intronitował smutek i obciążył nim dziedzicznie swego syna. Wszelako Antoś po matce wziął dobroć, która go strzegła od pesymizmu.

Pani Kasia wśród swoich smutnych »panów« nie traciła wesołości.

— Dosyć już, dosyć — mówiła, gdy mąż twierdził, że coraz gorzej na świecie. — Słyszałam to już tysiąc razy. Możebyśmy pomówili o czem innym.

— Naprzykład, że ludzie są dobrzy. Prawda?

— Prawda niewątpliwa, mój Marceli — obstawała przy swoim.

— Ciesz się nią, a ja wolę z tymi »dobrymi« ludźmi nie mieć stosunków, i najchętniej zamieszkałbym na wyspie bezludnej.

— Miałbyś za daleko do teatru — przypomniała mu wesoło.

Teatr był jedynem miejscem, w którym rozchmuzało się oblicze pana Marcelego. Idąc za naturalnym popędem melancholików, bywał tylko na operetce i komedyi.

Jedną z przyczyn, które go skłoniły do sprzedania rodzinnych Wałowic nad Wisłą i do osiedlenia się w Warszawie, była nadzieja, że wesołe widowiska rozerwą jego myśli ponure. Rozrywał się na nich bardzo często. W domu jednak bywał chmurny i coraz chmurniejszy.

Owego dnia, po wyjściu pana Marcelego do biura, a syna do szkoły, pani Kasia zasiadła przy szachownicy i przeciw sobie samej ustawiała nieprzyja-

cielskie pułki, aby móżdż z mężem staczać boje, które myśl jego odciągały od samoudręczeń.

Pochłonięta swą mustrą, uczuła nagle na szyi rękę, a na twarzy pocałunek.

— Wandzia! Wandeczka! — zawołała uszczęśliwiona i posadziła siostrę na kanapce bliźutko, aby móżdż ją dobrze widzieć.

— Dawno przyjechałaś? — pytała.

— Wczoraj wieczorem. I widzisz, zaraz do ciebie przysłam.

Pani Dada przybyła z mężem na wyścigi jesienne do Warszawy, a że »towarzystwo« znajdowało się jeszcze w rozsypce, chwila była najlepsza do uprawiania stosunków rodzinnych.

W parę minut powiedziała siostrze mnóstwo rzeczy, a resztę odkładając na potem, zagadnęła ją ciekawie:

— Czy to prawda, że w waszej Spółce ma pracować Mania Łopacka?

— Tak, będzie sekretarką dyrekcji. Za parę dni obejmuje swe obowiązki. Ma tu właśnie przyjść z matką.

— Tak? Na twojem miejscu nie wpuszczałabym jej do domu.

— Nie jestem taką arystokratką, jak moja siostrzyczka.

— Nie chodzi o arystokrację, ale — o Antosia. To zepsuta dziewczyna.

— Daruj, ale znam ją lepiej od ciebie.

— Niewiadomo.

— Napewno. Widziałaś ją parę dni w Pohor-

cach, a ja na nią patrzę od lat dwu. Poznałam w ciężkich chwilach, po śmierci ojca. Mania jest rubaszna, przyznaję, ale to dzielny charakter.

Pani Kasia wydała się w tej chwili młodszej siostrze naiwną, niemal do śmieszności.

Przebywając w świecie męża, Dada odeszła daleko od rodziny w swych poglądach. Odchodziła coraz dalej i od siebie samej, od tej dawnej, wesołej Wandzi, która dwór w Czerniowcach napępiała gwarem i śmiechem, gromiona czasem za ciekawość i za pustą paplaninę.

A właśnie ta paplanina podobała się bardzo w wielkim świecie. Stąd malutka utrata zaufania i żal do najbliższych, którzy nie poznali się na niej.

I oto spoglądała na siostrę z wyższości swego życiowego doświadczenia.

— Mogłabym ci wiele o tym dzielnym charakterze powiedzieć — wtrąciła tajemniczo.

Pani Kasia spojrzała na Dadę, jak na dziecko, bardzo kochane, wtedy nawet, kiedy bywa niegrzeczne.

— Że Mania ze swoją rubasznością nie podoba się w Pohorcach, to było do przewidzenia — rzekła — ale pani Łopackiej chodziło o świeże powietrze i o nawiązanie stosunków z bratem.

— A nawiązały się z kim innym zupełnie.

— Wandziu, nie powtarzaj plotek — prosiła ją siostra.

— Tylko w rodzinie uchodzę za plotkarkę — oburzyła się Dada. — A ja to wiem już oddawna i nie powiedziałam nikomu, oprócz Alfredowi. Ale, jeżeli masz mi nie wierzyć...

Znając siostrę, pani Kasia spostrzegła odrazu, że przychodzi do niej z jakąś wiadomością i czuje nieprzepartą potrzebę wyjawienia czegoś ważnego.

— To już odrazu powiedz — rzekła.

A pani Dada, pragnąc się usprawiedliwić z zarzutu i ulegając wrodzonej potrzebie mówienia, przysunęła się do siostry i cicho, tajemniczo, wsunęła jej parę słów do ucha.

Pani Kasia zerwała się z kanapki.

— Ależ to infamia! — zawołała.

— Naturalnie, że i on winien — przyznała Dada. Kasia, chodząc po pokoju, szeptała:

— Biedna, biedna Mania!

— Ja jej wcale nie potępiam — upewniała Dada. — I owszem, broniłam jej wobec Luli.

— Więc i Lula wie? Jak mogli dopuścić!

— Widać, że nie znasz Pohorców. I ja teraz dopiero je poznałam... z tej strony.

— Trzeba Manię ratować — przerwała jej siostra, cała pochłonięta oburzeniem i współczuciem.

Pani Dada, pragnąc jak najprędzej opowiedzieć swoją historię, nie dała jej czasu na obmyślanie akcji ratunkowej.

— Posłuchaj naprzód, jak było — rzekła, sadzając ją znowu obok siebie. — Kiedyś, poszłam kąpać się do rzeki. Wtem słyszę, że ktoś płacze w łazience. Zaglądam. Leży Mania. Zobaczywszy mnie, zerwała się i przyskoczyła z pięściami, jak furya: »Nie dam go sobie zabrać! Nie dam! — krzyczała. — On mój, nie ustąpię nikomu«.

Pani Kasia zmrużyła oczy i spojrzała znowu na siostrę.

Dada ciągnęła dalej:

— Wzięłam jej ręce zaciśnięte i mówię: »Niech się pani uspokoi. Ja go pani nie odbieram i nie odbiorę«.

— Ty? — zdziwiła się smutnie pani Kasia.

A młodsza siostra pokryła zmieszanie i odpowiedziała mimochodem:

— No, tak: ja. Zapomniałam ci powiedzieć, że... Stefan *me fait un brin de cour*.

— Już?

— On mówi: »dopiero«.

— Ale ty przecież...

— Naturalnie, że nie wchodziłabym w drogę biednej Mani... Więc żal mi jej było szczerze — kończyła, przechodząc mimo sprawy, zahaczonej nawiasem. — Uciszałam ją, bo za chwilę miała nadejść moja panna służąca z prześcieradłem. — »Nie będę cicho — krzyczała Mania — całemu światu powiem, że on należy do mnie, a ja do niego na zawsze!« — Biedaczka, nie wie, jak długo trwa »na zawsze« Stefana.

— Moja Wandziu... — zaczęła Kasia, ale urwała.

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć, dokończę za ciebie — roześmiała się pani Dada. — Możesz być spokojna: ja na sobie nie doświadczę tego... trwania. I nie miej takich smutnych oczu. Wiesz przecież, że żadnej jeszcze Rojewskiej — od czasów Krzywoustego... nie pośliznęła się noga. Ja tę tradycję uszanuję.

Chciała się przytulić do siostry. Na zawadzie

stanął kapelusz, więc ruchem pośpiesznym odpięła go i, skłaniając główkę na ramię pani Kasi, pokazała jej zbliżka swoje oczy i mówiła:

— Możesz być pewna, możesz. Pozostanę niewzruszona. I nie tylko dla Mani — bo on już z nią zerwał — ale i dla Alfreda... i dla ciebie.

Nagle ciemna główka Dady podniosła się. Niebieskie oczy zanurzyły się w twarzy siostry ciekawie, figlarnie.

— Kasieńko, powiedz. Możesz mi przecież powiedzieć... teraz... Czy ty nigdy... nigdy, nawet w myśli, nie skrzywdziłaś Marceliego?

Oczy pani Kasi wyjrzały z poza rzęs, i ukazały głębię słodyczy i pogody, zmaconą na powierzchni jakąś troską, czy obawą.

— Wandusiu, przed dwoma laty nie przysłoby ci na myśl takie pytanie.

— Może, bo byłam jeszcze dziecinną, ale teraz chcę wiedzieć, koniecznie. No, powiedz. Wszak zupełnie świętą nie jesteś i z Marcelim nie zbyt się ubawisz.

A pani Kasia szczerze, prosto rzekła:

— Wierzaj mi, ja się sama z sobą tak dobrze bawię, że nie potrzebuję szukać rozrywek.

— I ja jestem do ciebie podobna. Wesolo mi zawsze! Wesolo!... Ale muszę ci skończyć o Mani. Więc przytrzymałam znowu jej ręce i szepnęłam: — »Nie trzeba robić awantur. To nie pomoże, tylko zaszkodzi«. — »Wy to nazywacie awanturami — krzyczała. — Upominać się o swoje szczęście, to dla was awantura. A dla mnie... dla mnie...«

Wyrwała mi rękę i pobiegła w pole. Wyjechałam nazajutrz, a ona w kilka dni potem, i nawet nie przyszła podziękować za gościnę. Głową nie kiwnęła. Masz miarę, jaką jest.

— Tak, mam miarę — powtórzyła pani Kasia ze smutkiem.

Siedziały chwilkę w milczeniu. Ale Dada nie była skłonna do długich zadum.

— Już na mnie czas! — zawołała, biorąc ze stołu kapelusz. — Mamy jechać na wyścigi. Do widzenia, Kasieńko, do widzenia — mówiła, nadstawiając jej swój rumiany policzek. — A wiesz — rzekła nagle, zadziwiona widocznie swem spostrzeżeniem — jak o tobie myślę, to mi się wydajesz taka święta, że aż groźna; a jak z tobą rozmawiam, to wydajesz mi się taka, jak wszyscy, tylko sto, tysiąc razy lepsza. Bo ty się wstydzisz, że jesteś lepsza, i starasz się każdego zrozumieć, i choćbyś chciała, nie umiesz prawić morałów.

— A czasem chciałabym — przyznała się pani Kasia.

— Pewno mnie?

— I tobie.

— Zrobiłam się zanadto światowa? Prawda?

— Że się bawisz, to mnie cieszy. I ja lubiłam się bawić. Ale gdzie się bawisz, to mnie trochę martwi i niepokoi.

— Moja siostrzyczka wymagająca. Wszak nie mogę jeszcze bywać na dworze austriackim. Tymczasem bawię się w najlepszym towarzystwie, jakie mamy.

— Najlepszym dla siebie, nie dla nas. Ktokol-

wiek z naszych pomiędzy nich wejdzie, traci grunt pod nogami: albo się zgina, albo się wspina na palce i marnuje tyle czasu na zrównanie się z nimi, że nie starczy mu na nic poza tem.

— I prawdziwi arystokraci mają czas bardzo zajęty — przekładała siostrze pani Dada z powagą. — Nie tak łatwo, jak się zdaje, złożyć wszystkie wizyty w czasie właściwym, być na wszystkich *jour*'ach. No, ale już do widzenia naprawdę.

W bramie Dada skrzyżowała się z Manią, która udała, że jej nie widzi.

Pani Borzymowa w przelocie spostrzegła, że jej twarz pociemniała, nie tyle karnacją skóry, ile wyrazem.

Przy dużej Mani szła niewielka, szczupła kobieta. Za młodu musiała być ładniejszą i wytworniejszą od córki.

— Potrzebnie mnie mama ciągnie — burczała Mania na schodach.

— Moje dziecko, tylko bądź uprzejma — zaklinała ją matka.

— A ja mamę proszę, żeby nie była za grzeczna, bo to nie ma sensu — oświadczyła córka, naciskając dzwonek elektryczny.

Weszła za matką, lecz ją zasłaniała i przytłaczała swoim wzrostem. A potulność matki zacierała uśmiechem wzgardliwym.

Pani Kasia powitała równie serdecznie onieśmioną matkę, jak i butną córkę.

— Mania jeszcze urosła — mówiła, ściskając jej rękę. — Jakie my już jesteśmy stare, pani droga. I mój Antek mnie przerósł — zwróciła się do matki.

— Pani taka zawsze łaskawa. I przyszyliśmy właśnie podziękować.

Mania wzruszyła ramionami i chrząknęła znacząco.

— Rada jestem, że się ułożyło po naszej myśli — mówiła pani Kasia głosem ciepłym. — I pewna jestem, że Mania potrafi tak dobrze pracować, jak umiała się uczyć.

— A ja wcale nie jestem pewna — parsknęła Mania.

— Bóże się Boga! — mitygowała ją matka szeptem.

— Jesteś podrażniona myślą o przyszłych obowiązkach — odezwała się do niej pani Kasia.

— Miałabym też...

— Tak się to mówi, moje dziecko... Choćbyś nawet była z natury śmiałą.

— Cóż to? koniecznie się bać? I kogo?

— Maniu, na miłość Boską!

— Niech mi mama raz da spokój.

Pani Kasia udaje, że nie słyszy tego dwugłosu na stronie.

— Z początku może ci być trudno — przekłada serdecznie. — Gdybyś nie wiedziała, jak sobie poradzić, zwróć się do mojego męża. On ci wszystko wyjaśni. Potrzeba tylko uwagi.

— Skąd pani wie? Stukała pani kiedy na Remingtonie?

— Maniu! — szepcze matka z przerażeniem.

— Nie, nigdy — odpowiada pani Kasia córce — za moich czasów kobiety nie umiały jeszcze pracować zawodowo.

— Choćby umiały, toby pani nie pracowała.

Pani była posażną panną ze wsi — mówi Mania grzeczniej, ujęta mimowoli tem, że pani Kasia stawia się z nią na równi.

— Było nas w domu pięć takich panien posażnych.

— Choćby i dziesięć, to żadnej pannie obywatelskiej nie pozwoliliby iść do biura. Co tu gadać!

— Bo i na wsi jest dużo do roboty dla panien.

— Tak: chodzić po ogrodzie z nauczycielką i broń Boże nie odejść od niej na dwa kroki.

— Różne są panny w różnych dworach, moja Maniu.

— Już pożegnam panią szanowną — odezwała się pani Łopacka, wstając, żeby przerwać dalsze argumenty córki.

— Cóż się panie tak śpieszą? — zatrzymywała je pani Kasia.

— Bo trzeba przygotować do obiadu. Odeszłam od roboty.

— Niech mi pani jeszcze zostawi Manię.

— Dużo pani ze mnie przyjdzie.

— Dużo, moje dziecko. Myślę, że się polubimy — odpowiedziała jej pani Kasia, ściskając rękę, ujętą w bawełnianą rękawiczkę.

Zbuntowane serce Mani wyszło naprzeciw dobroci. Po raz pierwszy uczuła się ordynarną.

Rzecz dziwna: tego uczucia nie miała nigdy wobec dystygowanej pani Pohoreckiej, ani wobec świętej pani Luli. — Doznawała go wobec pani Kasi,

mimo, że ona obchodziła się z nią, jak z równą, a tamte traktowały ją z góry lub były poufałe, jak z panną służącą.

Pani Kasia posadziła Manię obok siebie na tej samej kanapce, na której rozmawiała o niej z siostrą. Manię ogarnęło ciepło serdeczne. Broniła się jednak przed wzruszeniem, bo była twardą i dla siebie.

Pani Katarzyna pytała ją o pensję, o koleżanki, o przyjaciółki.

— Ja tam przyjaciółek nie miałam oprócz jednej Zoni Russockiej — oświadczyła szorstko Mania.

— Dlaczego ?

— Bo albo zadzierały nosa, albo były gęsi.

— A ty, Maniu, bardzo jesteś inteligentna ? — zaskoczyła ją pytaniem pani Kasia.

— O tak ! — upewniła ją dziewczyna.

Pani Kasia stłumiła uśmiech.

— To dobrze — mówiła poważnie — bo, jako osoba inteligentna, zrozumiesz, o co mi chodzi.

Mania uczuła lęk przed tem, o co mogło chodzić bratowej pani Luli. Nie mogła sobie darować, że z nią została sam na sam, i traciła zaufanie do tych szafirowych oczu, które poprzez długie rzęsy patrzyły tak serdecznie.

Odczuła to pani Kasia po szybkim odsunięciu się Mani, po zeszywnieniu ręki, którą trzymała w swych dłoniach, i, chcąc ją odrazu uspokoić, rzekła:

— Pozwolisz mi, jako starszej, dać ci jedną radę: nie bądź tak szorstką...

Te nieprzewidziane słowa sprawiły dziewczynie ulgę, wzbudziły jednak gorycz wspomnień.

— Niech pani wprost powie: ordynarną. Ja już to słyszałam — rzuciła opryskliwie.

A pani Kasia przysunęła się do niej i mówiła:

— Nie, dziecko, to coś więcej: to bunt wewnętrzny, to niechęć do ludzi.

— A za co ja mam mieć »chęć« do nich? Dużo od nich mam?

— Czy koniecznie trzeba mieć o d nich?

— No, a jak?

— Lepiej mieć dla nich — życzliwość, przebaczenie.

— A najlepiej — wzgardę.

— Nie, to zła broń. Wierzaj mi.

— Pani się na tem nie zna. Bo i skąd? Panią zawsze ktoś osłaniał. Ja, co innego... choć siwych włosów nie mam. Ach! przepraszam. Zawsze coś palnę. Ale bo też pani naiwna. Mieć dla ludzi serce! Akurat! Oskubią, jak groch przy drodze.

— Maniu! Maniu! Na jakich ty złych ludzi musiałaś trafić! — szepnęła pani Kasia, ujmując obie jej ręce.

A Mania porywczo, gniewnie jakby, chwyciła jej dłoń i, nie czując nawet, że kapie na nią łzami, wycisnęła na niej pieczęć swoich ust gorących.

— Gdyby pani wiedziała! Gdyby pani wiedziała — sacyła swą skargę rozpaczłą.

— Wiem, Maniu, wiem wszystko! — padło w jej ucho, w jej serce, słowo ciche, ciepłe.

Padło i przejęło ją dreszczem.

— Pani wie?

Zrywała się, chciała uciec, ale zatrzymała ją miękka ręka, a głos ciepły przekonywał ją:

— Każde złe zatrzyć można—dobrem. Tylko chcieć trzeba, chcieć. Będziemy zacierały obie. Zatrzemy.

— Pani! Pani! — jęczała Mania, nie rozumiejąc sama, czy ją unosi żal, czy radość, czy zdziwienie, że i takie istoty są na świecie.

Pani Kasia tuliła ją do siebie w milczeniu i kojącą ręką przesuwiała po smudze łez na jej twarzy, ślad ich zacierając.

A smugę rozpaczy, którą krzywda rzuciła na jej duszę młodą, próbowała zatrzyć słowami, co opatrują rany.

— Otuchy! Odwagi! — szeptała. — Zwalczymy zło. Życie piękne. Życie dobre.

Mania była pewna, że życie jest złe, brzydkie. I dziwno jej było, że, mimo lat ośmnastu, zna lepiej ludzi od tej siwowłosej, która nie wie, że na świecie jest miejsce tylko dla zła i przemocy, że one depcą, wypierają dobroć. A dobroć cicho, słodko ukrywa się i ociera łzy i wlewa otuchę, lecz poza tem nic zdziałać nie może, bo nie jest siłą sama w sobie, jeno miłośnicie, litościwie nad ofiarami zła nachylać się potrafi.

Tak się zdawało Mani. I była pewna, że o n a właśnie zna życie i jego moce.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

XVI.

Zaczynały już milknąć wrzaskliwe głosy i odgłosy rewolucyi. Milknął wtórujący im dyszkant młodzieży. Powoli, w jej zbiorowym organizmie opadała gorączka rewolucyjna, a wraz z obniżeniem się temperatury, zmniejszała się żądza politycznego czynu.

Otrzeźwienie młodzieży przychodziło — nie ze sprawą rodzimego społeczeństwa, nie przez oddziaływanie wpływów dla niej przychylnych, lecz z bardzo dalekich i zupełnie obcych kręgów zewnętrznych. Przychodziło nie jako przyjazna ręka, odwodząca od niewłaściwej drogi, lecz jak pięść zbrojna, wpoprzek tej drogi wysunięta.

Trzeźwiło, lecz nie otrzeźwiło młodych doświadczenie im najbliższych: przekazuje się ono bowiem atawistycznie raczej, niż dziedzicznie, wzbogaca nie pokolenie następne, jeno dalsze, niekiedy bardzo odległe; rzuca smugę mądrości — z perspektywy wstecznej.

W polityczny rozgwar wpadł tętent kopyt i huk salw karabinowych; grzmotnęła pięść zbrojna, o której mocy poczynano już wątpić.

Jej chłosta odegnała młodzież, pędzącą ku burzeniu potężnego gmachu; przekonała ją, że mury ostoją się temu naporowi. Młode hufce poczęły się cofać — nie sromotnie, przez tchórzostwo, lecz chlubnie, przez odwagę życia, ofiarniejszą, niż odwaga śmierci. Pod taranami reakcyi zrozumiały, że własnego domostwa nie zbudują na gruzach twierdz potężnych, i że dźwignąć je mogą i wzmacniać nie za pomocą kilofów i oskardów, co kruszą, lecz — kielni, które budują.

Cofnąwszy się z czoła w szeregi, młodzież odpięła sobie sama generalskie szlify tak, jak niedawno sama je sobie przypięła.

Było to mniej łatwe, a szczytniejsze. W tej bolesnej porażce zdołała odnieść zwycięstwo, godne dusz wielkich: zwycięstwo nad sobą samą.

Podwoje otworzyła szkoła polska. I zaludniła się.

Młode głowy nachyliły się nad księgami, pytając je o inne moce przeciw przemocy. A gdy te jasne i ciemne głowy podnosiły się z nad ksiąg, to szukały owych mocy w życiu, z wiarą w zwycięstwo na polach — nieoreźnych.

Bronić się od zagłady! Ratować się!

Ale jak?

Było dróg mnóstwo — tyle niemal, ile serc, pełnych zapału.

Zbierano się, radzono, szlachetna wiara w nieomylność własnego ideału kazała widzieć każdemu ratunek na tej wyłącznie drodze, jaką mu wskazywało jego usposobienie, jego chęć do tej właśnie pracy, a nie innej. Rozbieżność celów psuła może skuteczność zbiorowych poczynań, szkodliwą jednak dla sprawy ogólnej nie była.

Chcieć za dużo, chcieć różnorodnie — było złem mniejszem, niż popadać w zniechęcenie.

Potrzeba, żądza czynu była przemożna.

Rozbrzmiewały hasła wielkie, choć nie bojowe, a świadczyły o miłości kraju, nie mniejszej od tej, która kazała ginąć bez skargi na San Domingo i chrzęstem oręża niosła się wśród borów, młodemi, zapalonemi głowami zaścielając ich murawy.

Tłumnie, zbrojnie przypuszczano szturm do nadziei — przed wiekiem z górą i przed pół wiekiem niepełna.

Dziś oskrzydłano wroga, nie zwartym szeregiem, nie z bronią w rękę, lecz w pojedynkę, na ochotnika.

Najrozmaitsze ideały, zasady, marzenia ścierały się ze sobą, tworząc zamęt, pełen animuszu. Młodzież szukała drogi sama, po omacku, odrzucając wszelkie przewodnictwo z zewnątrz, uznając tylko swoje cele za dobre i dążąc do celów mnogich, pragnąc zbyt wiele myślą i sercem ogarnąć.

Wtłaczano ideały i zasady w różne »kółka«, »kółeczka« i związki, a bywało w nich nieraz więcej zasad i haseł, niż członków. Istniały nawet kółka z jednym tylko przedstawicielem... na początek. Rodziły się i umierały w ciągu jednego wieczora.

Miejscem narodzin i zgonu wielu »programów« bywał pokój Antosia Bogdańskiego. Gromadzili się tu koledzy. Siódma klasa jednej z najliczniej obsadzonych szkół polskich, stojąc już u jej progu, rozglądała się po gościńcach świata, szukając na nich drogowskazów pracy ideowej.

I oto dziś zesłała się garstka młodzieży, aby kuć oręż ze stali hartownej, choć nie morderczej, lecz życiodajnej właśnie.

W obszernym pokoju Antosia było ciasno i hałaśliwie.

Na żelaznem łóżku, z nogami, zwisającymi za poręcz, leżał wysoki, chudy Janek Wolski, vulgo Onufer, najuboższy z pośród kolegów, syn woźnego pewnej instytucji kredytowej, miłujący ideę z tą samą

namiętnością, z jaką zdawało mu się, że nienawidzi »ludzkiego mrowia«.

Przy oknie, na uboczu, ze zgasłym papierosem w ustach siedział Józef Wreczyński, zażywający powagi dla swej małomówności i wieku. Był najstarszym. Z ostatniej klasy gimnazjalnej przeszedł do szkoły polskiej i odrazu wyrobił sobie w niej stanowisko wyjątkowe. Chłodny, poważny, miał już zarost na twarzy chudej, zimnej na pozór, choć ogrzanej rozumem i jasnymi oczyma; tej jasności nie zdołały przyćmić okulary.

Dużymi krokami szastał się po pokoju, wciąż potrącając o kogoś, mały, czupurny i bardzo brzydki Leon Precler, syn bogatego przemysłowca, niewiadomo dlaczego przezwany Ogórkciem. Wodził szklistemi oczyma tępego fanatyka, zapatrzonego w jedną myśl, zwykle cudzą, poddaną mu, lub narzuconą zęcnie.

Oparty o stół, prawił właśnie, starając się przekrzyczeć kolegów, Jurek Łuskowski.

Miał twarz długą, poplamioną na czarno wągrami, co robiło takie wrażenie, jak gdyby kto zbliżka wystrzelił do niego i upstrzył go śrutem. Małe, głęboko osadzone oczy iskrzyły się oburzonem, czy zbuntowanym cierpieniem. Dla kształtu głowy przezywano go »Kobyłą«.

— Przedewszystkiem zreformować rodziców! — wołał piskliwie, uderzając o stół ręką o szerokich, płaskich palcach.

— Dajże już raz spokój starym — przerwał mu, podbiegając, Precler. — Niech sobie chlapią kartami, jak chlapali przed rewolucją.

— A! przepraszam. Nie mamy prawa na to pozwolić — upierał się przy swoim Janek.

— Nie przeszkodzisz — rzucił z łóżka Wolski. — A zresztą nie wszyscy kartami chłapią. Naprzykład moi, akurat mają czas na to!

— Takich, którzy mają czas na głupstwa, uświadamiać, uspołeczniać! — piszczał, zaperzając się, Jurek.

Z drugiego kąta pokoju odezwał się rozwalony na szezlongu Władek Kocicki, różowy blondynek, syn aptekarza z Leszna, przezwany Róża vel Roża.

— Ten wciąż swoje! — zawołał. — Warto się bawić w wyrywanie podłogi, zjedzonej grzybem. Dajże raz spokój.

— Nie dam spokoju — upierał się Jurek. — Żeby coś zdziałać, trzeba naprzód usunąć przeszkodę, a starzy kładą się w poprzek, jak drzewo spróchniałe, i nie puszczają naprzód.

— Więc ich wystrzelać czy wywieszać? — zadurzył Kocicki.

— Wytruć arsenikiem — bryznął mu Jurek.

— Bardzo proszę! — obraził się Roża, biorąc to za osobistą przymówkę.

— Choć raz jeden bez kłótni — wzywał ich Antoś.

— Ja swojego wniosku nie cofam — obstawał Jurek.

W chwili tej rozległ się dzwonek w przedpokoju i Antoś wybiegł na powitanie nowych gości.

— Jakże ich uspołecznisz? — pytał Łuskowskiego z papierosem w ustach Maryan Lipski, przezwany Łebkiem, lub Półgłówkiem z powodu »ulizanej« głowy.

paniczyk, syn zamożnego obywatela z pod Łomży, który, dostając od ojca po kilkadziesiąt rubli miesięcznie na drobne wydatki, nie uważał instytucji rodzicielskiej za przeżytek.

A Jurek podbiegł do niego i, wymachując czerwonymi rękami, powiedział:

— Trzeba ich naprzód uświadomić, że zrobili sobie przyjemność, a nie nam łaskę, dając nam życie.

— A wy jeszcze o tem samym! Moglibyście już dać spokój — zawołał Antoś, wprowadzając nowego kolegę, Wacka Rotblatta, o kędzierzawej czuprynie i dużych oczach, nalanych jakby atramentem. Dla tych wylupiastych oczu przezywano go: Ryba, a częściej Byra.

— Kto ma porządnych rodziców? Kto? — wołał Jurek.

— Ja na moich nie narzekam — zaświadczył Lipski.

— Ani ja — wtórował mu Kocicki.

— Bo tacy sami burżuje, jak wy.

— Co możesz o tem wiedzieć? — zaperzył się Maryan.

— Dostyc już! — krzyknął Wolski, siadając na łóżku. — Roboty huk, a ci się kłóca.

— I Kobyła wciąż na swoim koniku — wrzucił Precler.

— Tak. Zmienia porządek natury — zaśmiał się Maryan.

— Wybornie! — parsknął wesoło Kocicki i uderzył się po kolanie, zaś Antoś chrząknął i zaczerwienił się.

— Obstawę przy moim wniosku — upierał się Jurek.

— To się wynoś i nam nie przeszkadzaj! — wołał Precler.

— Właśnie, że zostanę.

— Słuchajcie, tracimy czas — upominał Wolski. — Niech każdy wypowiada się po kolei.

— Przedewszystkiem, dlaczegośmy się zeszli — rzucił z pod okna milczący dotychczas Wreczyński.

A Wolski zaczął:

— Żeby nakreślić program pracy.

— Społecznej — kończył Róża.

— Nie, politycznej! — zagrział Ogórek.

— Indywidualnej — domagał się Antoś.

— Pracy najpotrzebniejszej dla kraju! — przekrzykiwał ich Onufer.

— Najpotrzebniejsza praca nad ludem — dowodził Byra.

— Daruj, ale potrzebniejsza czystość obyczajów — głosił Antoś.

— Jak dla kogo — przerwał mu Łebek. — Ja ani myślę.

— Ty myślisz tylko o lakierkach — bryznął Kobyła.

Antoś nie zważał na tę utarczkę i prawił dalej:

— Póki nie zwalczymy w sobie zwierzęcia, póty kraj nie będzie miał obywateli. Wnoszę, żeby to było organizacyjne posiedzenie wielkiego związku czystości.

— Głuponisz! — zadecydował Precler.

— To grunt. Bez tego wszelka robota na nic — dowodził swego Antoś.

— Tak, Antopel ma rację — poparł go Jurek. —
Precz z mięsem! Precz z prostytutką! Wiwat jarstwo!
Niech żyje czystość!

— Powaryowali! — wołał Lipski, zanosząc się
od śmiechu.

I co tu budować z takimi sztabakami — oburzał
się Precler.

— Polska zginęła nierządem — przekładał Antoś.

— Głównie bezrządem, brakiem organizacyi po-
litycznej — dowodził Ogórek.

— Nie mieszamy się już do polityki — oznajmił
Wolski.

— Musimy zacząć znowu.

— Mamy już tego dosyć — oznajmił Antek.

— Mów za siebie — rzucił mu Precler.

— I my mamy dosyć! — wołali Maryan, Władek,
i Jurek.

— Postanowiliśmy polityki zaniechać!

— Postanowienie głupie. Nie wolno usuwać się
od roboty. Słuchajcie! Wypowiecie się potem. Zbie-
ramy wielki fundusz na popieranie strajków ekono-
micznych — przekrzykiwał ich Ogórek.

— Kto co da dzisiaj? — upamiętywał go Wolski.

— Każdy dać musi, czy chce, czy nie chce. Opo-
datkujemy wszystkie sklepy. Muszą płacić po kopiejce
od rubla.

— Ty je zmusisz? Jak?

— Groźbą, że żaden uczeń nie będzie kupował
ani za kopiejkę.

— Nie dużo stracą — zaśmiał się Lipski.

— Stracą, jeżeli wszystkie szkoły solidarnie...

— A rodzice? — wtrącił Jurek. — Oniby się solidaryzowali! Akurat!

— I na nich znajdzie się sposób. Taki fundusz, to pierwsza konieczność. Od tego...

— Pierwsza konieczność — praca nad sobą — przerwał mu Antoś.

— Z wątą w uszach od ludzkiego jęku — rzucił mu Precler szyderczo. — Nie. Was chyba ktoś opętał.

— Nie nas, ale ciebie — odpalił Wolski.

— I wiadomo kto — dodał Kocicki.

— Ta myśl genialna pewnie Szprotta — zadrwił Jurek.

— Szprott już wam nie dość mądry? — oburzył się Precler.

— Za mądry — wrzeszczał Onufer.

— Dla ciebie, pewno — bryznął Ogórek.

— Znowu się kłóćcie. Kiedyż nareszcie... — reflektował Antoś.

— Bo ostatnia pasya może porwać! — wołał Precler. — Ten człowiek dla nas życie naraża, a oni bluźnią.

— Nie bardzo naraża. Uciekł! — krzyczał Wolski.

— Co? Co ty mówisz? Powtórz! — wołał, przyskakując do niego, Precler.

— Mówię to, o czem wiedzą wszyscy. Gdzież on jest?

— Ukaże się niebawem. Zwycięstwo blizkie, byle nie paktować z przemocą, nie ustępować ani kroku. Na m ustąpią.

— Słyszeliśmy to już, ale dotychczas nie widzimy — odezwał się znowu Wreczyński.

— Dość już polityki — rzucił Antoś.

— Znajdujesz? Doprawdy? I odkądże to? — wołał, przyskakując do niego, Precler.

— Szkoda, że nie dawniej.

— Tak. Tak już mówicie? Jak starzy?

— I starzy mogą mieć rację.

— Nigdy — stanął przeciw Antosowi Jurek.

— Szprott ma rację! — krzyczał Precler. — Spodzieliliśmy już z kretešem. Nawet młodzież...

— On szczeka na młodzież? On? A sam co zrobił? — wpadł między nich Wolski, zrywając się z łóżka. — Co on zrobił? — interpelował Precler.

— Wszystko, co mamy, to jego dzieło.

— Co my mamy? — zapytał spokojnie Wreczyński.

— Nędzę, drożyznę — oznajmił Wolski krzykliwie.

— Mamy szkołę — rzucił Precler, miażdżąc go spojrzeniem.

— On do tego palca nie przyłożył. Zamieszał, skotłował i uciekł.

— Kłamstwo!

— Więc gdzież jest? Pokaż go — zawtórował Wolskiemu Rotblatt.

— Nie pokazuje się takim... takim — krzyczał Precler zaperzony.

— Ani innym — wtrącił Rotblatt.

— Prawda. Nie pokazuje się na Nalewkach, ani na Franciszkańskiej — rzucił mu Precler.

— To są argumenty obrony — rzekł chłodno Wreczyński.

— Ani myślę go bronić... przed wami. On się na was już poznał, wie, żeście spodleli. Zbrakło już poświęcenia, ofiarności. Zostało bierne ciało, ciężące ku ziemi.

— My teraz szukamy równowagi — wygłosił Antek.

— Równowagi! — huknął Precler, chwytając go za ramiona — równowagi wam się zachciało! Filistry! Burzuje! Równowaga młodzieży to wrzód na ciele społeczeństwa, wytworzony jego zgnilizną.

— Słowa wzięte ze Szprotta — szydził Wolski.

— Nie rzuca się pereł przed...

— Dokończ, proszę — wtrącił z wyzywającą grzecznością Lipski.

Precler machnął ręką.

— Nie warto. Róbcie sobie, co chcecie — bądźcie brudni, czyści, ucierajcie nosy rodzicom, mnie przy tem nie będzie.

Wybiegł, trzaskając drzwiami.

— Krzyżyk na drogę.

— Osieł! Rozwydrzył się! — posyłano za nim.

Antoś chciał biedz, zatrzymano go.

— Dajże pokój!

— Niech idzie szukać Szprotta! — krzyknął Wolski.

Powstał krzyk, zamęt, wszyscy oburzali się głośno i jednocześnie, biegali po pokoju, nalatywali na siebie wzajem. Tylko Wreczyński nie ruszał

się z miejsca i nie odzywał się. Antoś podbiegł do niego.

— Z nimi tak zawsze! — biadał. — Jeszcze jedno posiedzenie na nic. A czas już nareszcie.

— Koledzy — spróbował ich przekrzyczeć. — Proszę o głos.

Nikt go nie słuchał, nie słyszał.

— Panowie! — wołał znowu.

Uciszyli się nie prędko.

— Więc tworzymy związek — zawołał, gdy wreszcie doszedł do głosu. — Jabym to nazwał związkiem cnót.

— Może teologicznych? — podrwiwał Maryan.

— Nie, obywatelskich — wołał Antoś. — Przede wszystkim czystość, poszanowanie kobiety.

— Pewien jesteś, że kobiety chcą być szanowane? — spytał go Łebek.

— Jeżeli masz drwić, to idź poszukać Preclera — oburzył się Jurek.

— Zaraz pójdę, bo jak o czystości, to mnie niema. W dodatku znudziliście mnie.

— Nam takich wystudzonych nie potrzeba — wpadł na niego Wolski.

— Przyjdzie tu jeszcze jeden taki. Zaprosiłem Płateckiego — oznajmił Łebek.

Wreczyński podniósł głowę ze zdziwieniem.

— Płatecki w Warszawie? — pochwycił Wolski.

— Tak, przyjechał do chorej matki.

— On, wystudzony! — oburzył się Antoś.

— Zobaczycie! — zaśmiał się Łebek.

— Odbiegliśmy znowu od przedmiotu — wzy-

wał gospodarz. — Ja twierdzę, że największą cnotą — silna wola.

— Tak. Polska upadła, bo nie było silnej woli — poparł go Wacek Rotblatt.

— Trzeba chcieć! Chcieć! Chcieć! — dowodził Antoś.

— Dobrze! Ale czego? — pytał Wreczyński.

— Tego wszystkiego, czego się nie chce. To nasz wróg — przekładał Antoś. — Muszę się uczyć, a miałbym ochotę na rozmowę. Otóż nie. Zrobię to właśnie, czego mi się nie chce. I czytałem w Foersterze taką radę: »od samego rana możemy ćwiczyć wolę i siłę moralną, choćby przy sznurowaniu trzewików«.

— A jeżeli kto nosi trzewiki naciągane? — zardrwił Łebek.

— To niech upuści szpilkę, podniesie, znowu upuści i tak dziesięć, dwadzieścia razy...

— Wiecie, ja wolę nic nie podnosić, ani upuszczać i dlatego was pożegnam — przerwał mu Lipski.

— A! to dobrze! To bardzo dobrze! — odpowiedział Jurek w tym samym, grzecznodrwiącym tonie.

— On ma trochę słuszności — rzekł po jego wyjściu Wolski. — Antopel wjechał w błahostki.

— Wcale nie — bronił się Antek — w rzeczach woli błahostek niema. — Wszystko służy do hartowania...

Pomiędzy wrzawę wpadł suchy, dobitny głos Wreczyńskiego.

— Zdajmy sobie wreszcie sprawę, do czego dążymy — wezwał.

— Do podniesienia moralnie środowiska — zapiszczał Jurek.

— Do stłumienia w sobie zwierzęcia — wpadł mu w słowa Antek i w tejże chwili podbiegł na powitanie nowego gościa.

— Płatecki! Płatecki!

Wszyscy go otoczyli; ze swego miejsca przy oknie wstał nawet Wreczyński.

— Ależ wrzeszczycie! — mówił nowoprzybyły. — Słyszać na ulicy. Jeszcze nas wszystkich capną. — I o co wam tak bardzo chodzi?

Witał się protekcyjonalnie, tylko Wreczyńskiego wyróżnił spojrzeniem osobnem; innych ogarnął jednym pobieźnym rzutem oka. Obecność studenta była dla nich miłą niespodzianką.

Ten i ów w głębi duszy uważał ją za pewien zaszczyt, ale strzegł się tego objawiać.

Płatecki przed rokiem ukończył szkołę, z której oni wyjść mieli niebawem. Studyował medycynę w Berlinie.

Złączony ideowo z Wreczyńskim i Wolskim, żył z nimi bardzo blisko, i przez pierwszych parę miesięcy pobytu w Berlinie pisywał do nich często i dużo. Potem korespondencya ustała zupełnie. Widzieli go po raz pierwszy od wyjazdu z kraju, gdyż wakacje spędził zagranicą.

Płatecki był wysoki, chudy, z młodym jeszcze, rzadkim zarostem, miał ruchy twarde, głos suchy i przydymione okulary.

Wolski posadził go na szeszlunku i siadł przy nim na poręczu.

— Radziliśmy właśnie — mówił, wprowadzając

go *in medias res*. — Chcemy coś robić i zrobić, żeby w kraju było lepiej. Kiedyś wchodził, miałem właśnie powiedzieć, że należy przedewszystkiem uspołecznąć się.

— Jak to rozumiesz? — pytał Płatecki tonem wyższości.

— A tak: na drodze kooperatyw. Wszak w Niemczech i w Poznańskim kooperatywy rozwijają się doskonale. Słyszałeś zapewne.

— Nie słyszałem.

— Jakiś Anglik powiedział, że Polacy są urodzonymi kooperatystami.

— Tego z pewnością nie powiedział. Anglik na to za mądry. U nas, gdzie dwu ludzi, tam trzy zdania. Więc czy podobna się zrzeszać?

— Próbować jednak trzeba — nalegał Wolski.

— A ja wam powiadam: to się na nic nie zda. I nic tutaj robić nie warto.

— Jak ty to rozumiesz? — pytał Antoś zdziwiony.

Wreczyński podszedł do szeszlona. Wszyscy obstąpili Płateckiego.

— Nie warto — powtórzył z naciskiem. — Jedyna rada: z tego miłego kraju wyjechać.

Wszystkie oczy zaglądały pod okulary, chcąc z nich wyłowić głębszą myśl, ukrytą niechybnie w tych słowach.

Płatecki czuł, że spodziewają się po nim ważnych wskazówek. Jednym kolanem przykleknął na szeszlona i, górując nad nimi, przez krótką chwilę w oczekiwaniu ich wytrzymał.

— Tak — powtórzył — jedyna rada: wyjechać. Dopiero, jak człowiek na świat wyrzy, otwierają mu się oczy i widzi, że tutaj rupieciarnia, stęchlizna, słabizna i ciągłe lamenty.

Rzucał słowa coraz głośniejsze, a każde odbijało się na twarzach — to zdumieniem, to żalem, to oczekiwaniem słów dalszych, które mogły nadać tamtym inne zgoła znaczenie.

Płatecki uśmiechnął się nawpół wyzywająco, nawpół pobłażliwie i dalej myśl swoją przekładał.

— Wy nie macie pojęcia, jak się żyje w kraju silnym, zdrowym, wolnym.

Oni milczeli, spodziewając się jeszcze, że z tego wstępu wyłoni się jakaś prawda wielka i nowa.

A on mówił:

— Tam swobodnie, wesoło. A u nas? A my co? My jesteśmy urodzeni karawaniarze.

— Nie mamy się z czego weselić — przerwał mu Wolski.

— To są nasze pojęcia! Dlatego byle co nas przygnębi, a lada co nie zabawi. A jak się ludzie łatwo bawią w takich Niemczech.

— Bo są bezwzględni, brutalni — przerwał mu Rotblatt.

— Nie dlatego. Bo umieją się zabawić tem, obok czego my przechodzimy ze znudzeniem.

— To ważne, to bardzo dobre. Naucz nas tego! — zawołał Antoś.

Pewien był, że nareszcie przed ich oczyma zaświeci jakiś program działania, czynu.

Płatecki uśmiechnął się łaskawie.

— Tego trzeba się uczyć na miejscu, we właściwej atmosferze — odpowiedział.

— Więc cóż? — podchwycił Rotblatt.

— Innej rady niema, jak te wszystkie nasze tragedye wziąć w dwa palce i odrzucić, zostawić za sobą, i uciekać.

— Dezertować! — wybuchnął Wolski.

Wreczyński podszedł do okna i stanął przy niem, odwrócony plecami do pokoju.

Inni odsunęli się o parę kroków, zafrasowani, nie mogąc jeszcze uchwycić wątku tych słów, które waliły się na ich głowy, jak deski zapadającego się rusztowania.

— Zaraz wielkie słowa! — zadrwił Płatecki. — Dezertować? Nie!... Ratować się. Nasz okręt utonął, poszły na dno działa, amunicye, kapitan, załoga. Co my na to możemy poradzić, my, z pustemi rękoma? Światem rządzi siła, a kto słaby, niech szuka siły u mocnych, a nie u cherlaków.

— Wicek! Ciebie tam odmienili! — zawołał, chwytając go za ramiona, Wolski, a w głosie jego był ból, rozpacz niemal.

— Tak, odmienili, nauczyli rozumu — świadczył dumnie Płatecki. — I powiadam wam...

— Niech rudera tonie, a my w dyrdy — rzucił Wolski.

— Pewno!

Wreczyński odwrócił się od okna, zmierzył Płateckiego spojrzeniem chłodnem. Zrobiła się cisza. Powoli, twardo, wrzucił w nią słowa:

— Jeżeli po takie teorye mamy wyjeżdżać do obcych, lepiej tonąć z rudera.

— Lepiej! Sto razy lepiej! — zawtórował mu Antek, Jurek i Wacek.

— To są... pojęcia przestarzałe. Przez takie pojęcia giniemy i... zginiemy.

— Nie zginiemy! — krzyknął Wolski.

— Piękny frazes! — szydził Płatecki.

Wyprostował się, stanął — wysoki, urągliwy, i błyskał ciemnymi okularami w prawo i w lewo. Chciał się okazać chłodnym. Skrzyżował ręce na piersiach i całą swą postawą mówił: »Co mi zrobicie?«

— Nie potrzebujemy takich! — krzyczał Jurek.

— To zguba ojczyzny! — przekrzykiwał go Wolski.

Antek podbiegł do Płateckiego i, przenikając go spojrzeniem, pytał:

— Co się z tobą stało? Co się stało?

— To, co się nie stanie z takimi kretynami, jak...

Ciemne okulary błysnęły w stronę Jurka, potem w stronę Wolskiego. Obaj rzucili się naprzód, lecz pomiędzy nimi stanął Antek.

A Płatecki kończył spokojnie:

— Pozbyłem się głupoty. Wam się to nie zdarzy.

Wolski przyskoczył z zaciśniętą pięścią.

— Bez awantur! Proszę was — wpadł w ich wzburzenie głos Wreczyńskiego.

— A! przepraszam! — wołał, zwracając się ku niemu, Wolski — jeżeli cię kto opluje...

— Jeżeli kto zna tylko swój kurnik — odparował chłodno Płatecki.

— Słyszycie! Kurnik! — zwrócił się Wolski ze swem oburzeniem do innych.

A Płatecki, patrząc na niego, powtórzył:

— Kurnik!

Zrobił się zamęt, złożony z wrzasku, zaciśniętych pięści, tupania.

On stał i uśmiechał się drwiąco. Nagle ręką machnął.

— A! gnijcie na własnych śmieciach! — bryznął. — Chciałem wpuścić trochę świeżego powietrza...

— Za chłodne! Dziękujemy! — pisał Jurek.

— I owszem, zostańcie w waszem bagnie! — cisnął Płatecki.

— Ojczyzna, to bagno.

— To bagno?! — huknął Wolski, potrząsając jego ramieniem.

Płatecki usunął się.

— Wypraszam sobie rękoczynny — rzekł wyniośle.

— Hańba! Hańba! — wrzeszczeli wszyscy, z wyjątkiem Wreczyńskiego, który usunął się znowu pod okno.

Płatecki udawał wciąż obojętność.

— Proszę o głos! — zawołał, rękę podnosząc.

Uciszyli się odrazu. Mieli jeszcze nadzieję, że tamto było mistyfikacją. A on chłodno wycodził:

— Skazujcie mnie na szubienicę. Bardzo proszę. Mogę się też z wami rąbać, byle nie słuchać waszych bredni.

Odwrócił się i szedł ku drzwiom. Antoś zastąpił mu drogę.

— Ty przecież tego naprawdę nie myślisz. Mó-

wisz tylko tak, dla przekory — rzekł głosem przyciszonym.

— Myślę... myślę!... — upierał się dziecinnie Płatecki.

W jego głowie był zamęt, utworzony z nieprzetrawionych pojęć nowych, urazy do dawnych, wma-
wianej w siebie pogardy dla zdania o sobie tych
chłopców i żalu do nich o to, że nie wielbią jego
mądrości.

— Proszę cię, puść mnie — wyrywał się Antkowi.

— A puszczajże go! Puszczaj! — wołali wszyscy,
oprócz Wreczyńskiego.

Wśród piekielnej wrzawy Płatecki wyszedł z po-
koju i z mieszkania państwa Bogdańskich.

— Zlitujcie się, ciszej! — prosiła pani Kasia
syna, gdy po chwili wpadł do jadalni, żeby się na-
pić wody.

Chwycił się za głowę, jak człowiek, którą ją
traci, szeroko ręce rozłożył, na znak, że nic temu za-
radzić nie zdoła, i pobiegł do kolegów.

— Dosyć już tych kłótni — wrzucił pomiędzy
ich krzyki swój głos podniesiony.

— Można z nimi się nie kłócić? Można? Ładne
egzemplarze: Precler, Płatecki, Lipski — przekładał mu
Onufer.

— Polityków nam nie trzeba.

— Ani indyferentów.

— Krzyki, swary, nic więcej — biadał Antek.

— Gdzie nasz program? Gdzie hasło? Co myśmy
dotychczas zrobili? — poparł go Jurek.

— Nic nie zrobimy bez kobiet — zdecydował Roża.

— Po co nam baby? — protestował Łuskowski. Wniosek Kocickiego poparł Antek.

— Zdadzą się — orzekł — to wstrzyma kłótnie.

— Ale spęta języki — przekonywał go Jurek. Do pokoju wszedł służący, wnosząc na tacy herbatę i kanapki. Uspokoilo to nieco umysły.

Dalszych obrad nie było już słyhać na ulicy.

* * *

— Pod jednym względem Płatecki ma rację — mówił Antoś, podając ser na bułce Wreczyńskiemu — jesteśmy narodem karawaniarzy.

— Bo ciągle coś grzebiemy — odpowiedział na to Wolski, wrzucając cztery kawałki cukru do herbaty.

— My nie mamy prawa być smutni! — głoślił Antek.

— My mamy obowiązek być smutni — zaprzeczył mu Wolski, przyczem machnął ręką i wylał herbatę.

— Mamy obowiązek nie być smutni — obstawał tamten przy swoim. — Smutek, to kapitulacya, a my chcemy walczyć. I musimy!

— Smutna jest dusza świata — wtrącił Rotblatt, podnosząc ostentacyjnie do ust bułkę z szynką.

— Nie! Dusza świata jest odrodcza — odezwał się Wreczyński.

— Rodzenie jest męką — bronił swej teoryi Wacek.

— Ale i twórczością — przekładał Wreczyński.

— I Słowacki był smutny — wmieszał się Jurek.

— Słowackiemu było wolno: jego smutek był pięknym czynem, był protestem marzenia przeciw rzeczywistości. A my jesteśmy apatyczni, bezwolni — mówił Wreczyński.

— Tak, tak, wola to grunt — podjął Antoś — pierwszym obowiązkiem wzmocnić w sobie wolę.

— A dlaczego? — zagadnął go Wreczyński.

— Jakto dlaczego? — zdziwiło się kilku.

Herbata i kanapki były już pochłonięte. Dyskusja zawrzała znowu.

— Sztuka dla sztuki, czy celowo? I jaki cel? — rzucił im Wreczyński.

Nieprzygotowani na odpowiedź, milczeli. Po chwili odezwał się tylko Antoś.

— Krajowi potrzeba mężczyzn z charakterem — cel swój wyłożył.

— O to mi właśnie chodzi — podjął Wreczyński. W jego oczach radość zabłysła. — Musimy pamiętać, że wyrobienie woli, to nasz materiał budowlany. On nam posłuży do pracy społecznej.

— Naturalnie. Żeby coś dać z siebie społeczeństwu, trzeba mieć coś do dania — podchwycił Wolski — I muszę wyznać, że to nie mój aforyzm: ja to czytałem w dziełku o kooperatywie. Więc tworzymy związek...

— Cnoty — wtrącił Antoś.

— Umoralnienia... — zaczął Jurek.

— Przedewszystkiem siebie — wpadł mu w słowo Wreczyński.

— Nie tylko.

— Wyłącznie.

— I ulepszenia drugich.

— Nie. Siebie. To ważniejsze — obstawał Wreczyński. — Proponuję, żeby go nazwać Związkiem samoulepszenia.

— Trzeba się nad tem zastanowić — rzekł Wolski.

— Odrazu! Odrazu! — domagał się Antoś.

Poparli go Rotblatt i Kocicki. Jurek milczał.

— Zacznijmy od dzisiaj — radził Wreczyński. — Odsłoniemy nasze punkty słabe, żeby je wzmocnić.

— Jak to rozumiesz? — spytał Wolski, budząc się z zamyślenia.

— Wyznajmy sobie wzajem nasze największe winy.

— Więc spowiedź powszechna? Ani myślę — skrzywił się Kocicki.

Błada twarz Wacka rozgorzała nagle. Jurek siedział z głową spuszczoną. Odniósł ją i z determinacją zawołał:

— Dobrze!

— Ja i owszem — oświadczył Antoś.

— Zaczynajcie — wezwał ich Wolski.

Wreczyński wstał, oparł się o krzesło.

— Ja pierwszy — zapowiedział i umilkł. Snadź nie łatwo mu było głosić swe winy. — Ja będę musiał zgnieść... pychę — rzekł wreszcie.

— Pychę — zdziwił się Wolski i Antoś.

— Pychę! — powtórzył Wreczyński. — Moja nieśmiałość, moja małomówność, to pycha, to nadmierne żądanie od siebie i od drugich. Mówię rzadko, bo chcę, żeby każde słowo miało wagę... i uznanie —

kończył z wypiekami na bladej, zapadłej twarzy. — I jestem zarozumiały — dodał.

— Masz prawo! — podchwycił Antek. — Jesteś najrozumniwszy.

— Że wy tak myślicie o mnie, to wasza dobroć. Ale i ja tak myślę o sobie. To moja wina. Będę się z nią borykać.

Oczy wszystkich były na Wreczyńskim.

— Józef! Czemuś ty to powiedział? — szepnęła z wymówką Wolski, stojący najbliżej. — Nie wolno pozbawiać się uroku — dodał tajemniczo.

— Nie wolno sobie uroku przywłaszczać — odpowiedział mu Józef, a głośno rzekł: — Bez tego wyznania, nie mógłbym przystąpić do Związku.

Oczy Antosia wyraziły mu podziw.

— Oskarżenie siebie, to wpisowe do naszego Związku! — zawołał. — Teraz ja. Moją winą smutek i brak odwagi cywilnej. Wstydzilem się! Teraz nie będę... Myślcie o mnie, co chcecie, śmieJCie się... powiem, przyznam się. Ja zachowałem wiarę. Wierzę...

— Co? może i w katechizm? — podchwycił Wolski urągliwie.

— Częściowo — tak.

— Dobrze, że choć — częściowo. A radzę ci pozbyć się i tej cząstki: masz charakter słaby, to cię nauczy obłudy, a żeś głupi, to cię utrzyma w bezmyślności.

— Słowa z »katechizmu« Niemojewskiego — wtrącił Wreczyński.

— A choćby! Wolno Antopłowi czytać katechizm Putiatyckiego, niechże innym będzie wolno czytać tamten — zaperzył się Wolski.

— A czy Niemojewski nie ma racyi? — poparł go Jurek — czy w tamtym katechizmie Bóg nie jest przedstawiony jako azyatycki pyszałek, który oglądanie siebie przez wieki poczytuje za największe szczęście człowieka i każe prosić się swej łaski, jak łaski Pańskiej?

— I czy nie prawda, że dobrowolnie zeszedł na ziemię, gdzie tyle dzieje się okropności, aby urządzić jeszcze jedną okropność — ukrzyżowanie? — wrzucił Rotblatt, przyskakując do Wreczyńskiego z rozgorzałemi oczyma.

— »Kręgowiec w stanie gazowym!« — zacytował Kocicki, wzruszając ramionami.

— Myślisz, że i ja nie czytałem Heckla — rzucił się ku niemu Antoś.

— No, i spłynęło, jak po gęsi — zadrwił Wolski.

— Jeżeli będziemy tak argumentować... — przerwał chłodno Wreczyński.

— I owszem, argumentujcie inaczej. Słuchamy! — odpowiedział Wolski, stając na środku pokoju z założonemi na krzyż rękoma. — Więc dlaczegoż ten doskonały Pan Bóg nie stworzył doskonałego świata?

— Tak, dlaczegoż, bo przecież świat, to zło — rzucił Rotblatt.

— Heckel tak mówi, ale tego nie tłómaczy — wpadł mu w słowo Antoś.

— Może tłómaczy ks. Putiatycki — w swym kodeksie dla niewolników? — przerwał Roża.

— W 486 pytaniach i odpowiedziach — dodał Wolski.

Znowu powstała wrzawa. Wszyscy chcieli prze-

krzykiwać wszystkich. Tylko Wreczyński milczał. Czekał, aż krzyżujące się w powietrzu zdania i okrzyki zetną się i stępieją, jak ostrza floretów. Trwało długo, zanim głos jego wpadł w milknącą już wrzawę.

— Religia na podstawie biologicznej jest nonsensem — rzekł — »Biologia, to właśnie nauka wszelkiego zła na ziemi, to zaprzeczenie boskości. Najlepiej myśli się o Bogu, jak najmniej myśląc o życiu«.

— Słowem, ogłupiając się dobrowolnie. To żaden argument — przerwał Wolski.

— To nie mój argument. Powiedział to mędrszy ode mnie człowiek: Emil Faguet, zbijając Heckla.

— A Kant mówi: »Dwa są dowody istnienia Boga — przytoczył Antoś — wpatrywanie się w gwiazdziste niebo i badanie prawa obowiązku w sercu człowieka«...

Wolski przerwał:

— Rozumniejsze to, co Heckel powiedział: »Świat, to zło«.

— Tak, świat jest złem, bo świat jest niesprawiedliwością, bo nie zna miłosierdzia. A wy chcecie, aby ta walka o byt była Bogiem, aby ten ucisk słabych był Bogiem. Nie! Nie! — wołał Antoś.

— A cóż twój Bóg lepszego, jeżeli na to wszystko patrzy i pozwala — odezwał się Kocicki.

Antoś nie odpowiedział. Wysnuwał swoją myśl dalej.

— On nie jest w świecie, jak chce Heckel, ale nad światem.

— Jak chce ks. Putiatycki — przerwał Wolski.

— A czy monoteizm albo monizm tłómaczy ra-

cyonalnie wszystkie cierpienia i krzywdy tego świata — odpalił Antek.

— Jeszcze mniej tłumaczy go... katechizm — rzucił Kocicki.

— Tłumaczy wszystko manicheizm — przekładał Wolski — Jest dwa bogi: bóg zła i bóg dobra. Zwalczają się wzajem. To nawet jest w Ojcie Nasz, bo co znaczą słowa: »Ale nas zbaw ode złego«. Zresztą, co z wami gadać! Czy który jest przygotowany filozoficznie? Żaden, oprócz Józefa, no i mnie.

— Przedyskutujemy to potem — rzekł Wreczyński. — A teraz, czy kto chce jeszcze... wypowiedzieć się — dokończył Wolski szydlerczo.

Byli jeszcze tak wzburzeni, że myśli w tym kierunku zebrać nie mogli. Pierwszy ocknął się Rotblatt i odrazu spoępniał.

Wezwanie do spowiedzi pogłębiło jeszcze rys boleści dokoła jego ust bladych.

Stał, zasłonięty Jurkiem. Nagle z gorączkową determinacją, naprzód wystąpił i bardzo cicho, głosem drżącym rzekł:

— I mnie... jak Antkowi, brak odwagi cywilnej... I ja się wstydzę... — Jeszcze ciszej dodał: — Wstydzę się... swojego pochodzenia... a w dodatku... jestem antysemitą... To są moje winy... największe.

Koledzy odczuli jego mękę.

— Jesteś Polakiem — zawołał Antoś, podbiegając z ręką wyciągniętą.

Wszyscy poszli za jego przykładem.

Kocicki rzucił się Wackowi na szyję. Był widocznie wzruszony.

— Bo i ja, i ja — mówił, lecz wśród ogólnego zamieszania nikt go nie słuchał.

Wacek, po wysiłku nerwowym, uczuł się tak osłabionym, że zbladł i zachwiał się. Kocicki go podtrzymał i zaprowadził na szezlong, poczem wyskoczył na środek pokoju i patetycznie zawołał:

— A ja wstydzę się także i tchórzę... Co tu gadać długo! Apteka mi śmierdzi. Raz tylko jeden byłem dumny z ojca: kiedy zamknął »budę« w czasie strajków.

Po raz pierwszy w ciągu wieczora, na tem zebraniu młodych, pokój Antosia rozbrzmiał wesołym śmiechem młodzieńczym.

XVII.

Do przedpokoju biura Spółki rolnej wtacza się dama okazała, w karakułowym żakiecie. Na jej twarzy — podkreślone grubo i twardo pretensye do młodości. Oczy malutkie, przenikliwe, policzki duże, tłuste, i rozmiarem i połyskiem; nawet puder nie przyćmiewa blasku tej przyrodzonej politury. I toaleta, i postawa, i wyraz twarzy cechują bezgraniczne do siebie zaufanie.

— Jest pan dyrektor? — pyta okazała dama woźnego.

— Który, proszę pani? — dowiadyuje się Ignacy.

— Co to znaczy: który? — oburza się dama.

— Mamy trzech panów dyrektorów.

— Jest tylko jeden. Woźny powinien o tem wiedzieć, a jeżeli nie wie, to nie ma co tu robić.

— Proszę jaśnie pani, nastąpił onegdaj... — bąka zatrwożony Ignacy.

— A jutro może was nie być.

Ignacy rzuca się do ręki, która w chwili tej dzierży jego losy.

— Jaśnie pani... jaśnie pani... ja już będę wiedział... na zawsze.

— No, no, ostatni raz uszło.

Ignacy zostaje w przedpokoju sam na sam ze strachem: bo jednak nie wie, o którego dyrektora chodziło.

Dama zna widocznie rozkład biura; sunie majestatycznie przez dwa pokoje, zbierając ukłony, jak daninę, i, bez zapukania, otwiera drzwi, wiodące do trzeciego.

W gabinecie siedzi dwu panów łysych — jeden łysy na blond, drugi na czarno.

Pierwszy, na jej widok, zrywa się z ukłonem, świadczącym, że nie jest dyrektorem, należącym do tej właśnie pani dyrektorowej. Zafrasowanie drugiego służy za jasny dowód przynależności do okazałej damy.

W odpowiedzi na ukłon pana, łysiego na blond, dama przybiera taki wyraz twarzy, jak gdyby jej nastąpił na odcisk.

Ten zaś, nie mogąc wątpić o jej nieprzychylnych dla siebie uczuciach, ulatnia się szybko.

— Cóż to? Siedzicie teraz we dwóch? — zwraca się do męża pani dyrektorowa.

— Bo to widzisz...

— Tylko patrzeć, jak się uplasujesz z tym osłem woźnym, który nawet nie wie, kto tutaj dyrektorem.

— Wygodniej nam siedzieć we dwóch — tłumaczy się mąż — potrzebujemy się ciągle porozumiewać.

— Ja wiem, że tobie zawsze wygodnie, co innym dogadza. I gdyby nie ja...

Słychać pukanie do drzwi.

— Proszę — odzywa się dyrektor Łuskowski. Do gabinetu wchodzi Mania z arkuszem papieru.

— Chciałam się zapytać...

Ostre spojrzenie pani Łuskowskiej krzyżuje się z jej śmiałymi oczyma.

Dyrektor jest zmieszany: nie wie, czy ma je zaopoznać. Żadna nie czyni gestu powitania.

— Proszę pana... — pyta sekretarka.

— ...Pana dyrektora — dodaje okazała dama.

— Proszę pana — powtarza Mania z naciśkiem — Spółka sochaczewska zamawia 150 worków żużli Thomasa. Co odpowiedzieć?

— Niech pani chwilkę się wstrzyma.

Mania wychodzi, bez skinienia głową, siląc się na butną i hardą postawę.

— Cóż to za ordynus? — wybucha pani Łuskowska, zanim drzwi się zamknęły.

— To nasza sekretarka. Przepisuje listy na maszynie.

— Moglibyście ją nauczyć manier.

— Jeszcze nie wyrobiona.

— Nic mi nie mówiłeś o tym nowym nabytku.

— Niema o czem.

— Że niema, to widać; ale przede mną zawsze tajemnice. I cóż to za jedna? Jak się wabi?

— Łopacka.

— Ty ją wykopałeś?

— Ależ nie, upewniam cię, duszko. Spytaj pani Bogdańskiej.

— Tak, ona tu rządzi. A jak ty mnie postawiłeś? I sobie nie umiesz nadać tonu. Nie masz żadnej ambicyi... spychają cię na ostatni plan.

— Mogłabyś ciszej. Pełno ludzi dokoła.

— Niech słyszą, niech wiedzą, że jesteś wyzyskiwany na każdym kroku. Przyszłam właśnie, żeby cię zabrać na spacer.

— Zlituj-że się!... Godziny biurowe.

— Godziny biurowe są dla oficjalistów, nie dla szefa.

— Właśnie szef powinien dawać dobry przykład.

— Powiedz to Niedzińskiemu. Wczoraj o 12-ej widzieli go z żoną w Alejach. Jeden ma się zabijać przy biurku, a drugi...

— Nikt go pewno nie widział. To plotki.

— Żadne plotki. Spotkałam Świątkiewiczową. Widziała na własne oczy... Oburzona!... I jak ty wyglądasz! Niedziński i Bogdański w ciebie orzą. Dostyć już tego! Nie ruszę się stąd, dopóki ze mną nie wyjdiesz.

— Toby właśnie osłabiło moją powagę.

— Już ja jej nie osłabię, bądź pewny.

— Moja droga, to nie miejsce na sprzeczki.

— Więc chodźmy.

Pan Łuskowski wie, że będzie musiał ustąpić, i woli to zrobić, zanim pani Eleonora głos podniesie.

— Dobrze — oświadcza — wyjdę, ale nie dłużej, jak na godzinę, i muszę wpierw ten spacer upozorować, dla własnej powagi. Spotkamy się za kwadrans przy środkowej bramie parku Ujazdowskiego.

— Nie, ja cię znam: każesz mi czekać przynajmniej pół godziny.

— Lorciu, daję ci słowo honoru, że za kwadrans, co do minuty. Rozumiesz przecież, że trzeba zachować *decorum*. Sama to mówisz.

— Nie przytaczaj moich słów ni w pięć, ni w dziewięć. Jesteś tu panem i nie potrzebujesz opowiadać się nikomu, ani na nikogo się oglądać.

— Ma się rozumieć, ale...

— Niema żadnego a l e.

— Bo to widzisz — pan dyrektor głos zniżył — muszę natrzeć uszu jednemu urzędnikowi, i to zaraz.

— Jeżeli tak, dobrze — zgadza się pani Eleonora, zawsze rada z objawów władzy męża poza domem. — Więc za dziesięć minut!

— Powiedziałem za kwadrans. Inaczej trzebaby wziąć dorożkę...

— Wielki pan. Nie może tramwajem!

— Otóż właśnie. Przyjdzie może na tramwaj poczekać.

— Więc najdalej za dwadzieścia minut. Gdybyś nie przyszedł na czas...

Niewyrażoną obietnicę dopowiada sobie mąż w duszy.

Zaledwie pani Eleonora zniknęła we drzwiach, pan Łuskowski podchodzi do telefonu i rzuca weń pierwszy lepszy numer. Nie czekając na połączenie, jeszcze głośniejszym głosem, że zaraz się zjawi, poczem otwiera drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Wzywają mnie w ważnej sprawie — obwieszcza kolegom dyrektorom. — Wrócę za godzinę.

Kolega łysy na blond uśmiecha się pod wąsem.

— Nie tak prędko — mówi do pana Bogdańskiego. — Loreczce znowu coś strzeliło do głowy.

W dwadzieścia minut po wyjściu żony z biura, pan dyrektor maszerował już obok niej po alejach Ujazdowskich.

— Nie leć-że tak — upominała go — myślisz, że odrobisz na pytel. Ani minuty mniej! Godzina!... Jak ty wyglądasz? Śledź, moczony w occie, i to byle jakim.

— Przesadzasz, wszyscy mi mówią, że utylęm.

— Biorą ciebie na fundusz, a ty wierzysz... każdemu, tylko nie żonie.

— Bo chciałabyś, żebym łamał podkowy.

— Bez takich konceptów! Ja chcę, żebyś dbał o zdrowie, jeżeli nie dla siebie, to dla mnie. Za życia nie myślałeś o mnie nigdy, a gdybyś umarł, co mi zostanie? Co? Może emerytura? Kapitały?... O! patrz, idzie Rojewska z Borzymową. Dobrały się! Jedna warta drugiej. ...Co za niespodzianka! — woła dyrektorowa, równając się z temi paniami, rada pokazać przechodzącej właśnie znajomej, że zna damy z arystokracji.

Spotykała je parę razy u pani Kasi, lecz wie o nich to nawet, czego one o sobie nie wiedzą.

— Panie same? — zagaja rozmowę, nie bardzo wiedząc, o czem mówić z osobami z wielkiego świata, który jest dla niej wprost nieboty — tym.

— Tak, same, dopóki nie spotkamy naszych panów — odpowiada pani Lula.

— Mężowie zawsze się spóźniają — stwierdza pani Eleonora.

— Któżby wyznaczał *rendez-vous* mężom! To dobre dla kwoczek domowych — rzuca szyderczo pani Lula.

— No, naturalnie — potwierdza pan Łuskowski ze źle ukrytą radością.

— A rada jestem, że pana spotykam — zwraca się do niego pani Lula. — Jakże? Jesteście zadowoleni z panny Łopackiej?

— Tak! Szybko się orientuje.

— Zwłaszcza wśród mężczyzn.

— Pani ją zna? — dziwi się dyrektorowa.

— Och! zanadto — odpowiada tajemniczo Lula. — Czy pani ma syna? brata?... Ach! prawda! pani ma męża — dodaje, spoglądając na pana Łuskowskiego z uśmiechem, który mu wielką sprawia przyjemność. — Radzę nie wpuszczać tej panny do domu.

— Nie zwykliśmy przyjmować podwładnych — oznajmia pani Eleonora tonem obrażonym.

— Panna Łopacka jest pracowita i zdolna. Wiem od mojego szwagra — wtrąca pani Borzymowa, pragnąc osłabić wrażenie słów bratowej.

— Dała dowód swych zdolności — mówi Lula,

dopowiadając pani Eleonorze oczyma, jaki jest zakres tych uzdolnień.

Pani Dada przypomina jej, że umówiły się na 1-szą. Chce zapobiedz dalszym rewelacyom.

— Czemu ty jej psujesz opinię? — mówi z urazą do bratowej, po rozejściu się z małżonkami Łuskowskimi.

— Bo na świecie powinna być sprawiedliwość. Nie wolno bezkarnie... — zaczyna deklamować pani Lula.

— Sama powiadasz, że szanująca się kobieta powinna mieć kochanka.

— Może ich mieć cały tuzin. Ale niech nie udaje świętoszki.

— Mania nic nie udaje.

— Gdyby się nie maskowała, nie wzięliby jej do biura. Trzeba im oczy otworzyć. Bo nie tylko Stef... Przedtem inni, a teraz kolej na Rysia... Jestem cierpliwa do czasu.

Oblicze dyrektorowej promieniało złośliwą uciechą.

Była już nią przejęta po słowach pani Rojewskiej, które otwierały przed nią nowe pole dociekań; ucieszyła się jeszcze złośliwiej, albowiem dostrzegła idących pod rękę państwa Niedzińskich.

-- Widzisz — szepnęła do męża z tryumfem, i spojrzała na szczupłą, zwiędłą blondynkę, jak właściciel menażeryi, oprowadzający po mieście jakiś osobliwy okaz, patrzy na współzawodnika, popisującego się z takim samym okazem.

Obaj panowie patrzyli na siebie z wzajemnem współczuciem.

— Pan doskonale wygląda — oznajmiła pani Niedzińska panu Łuskowskiemu z widoczną urazą.

— Mąż pani chyba jeszcze lepiej. I nie dziw! wypoczęty po kuracyi — odpowiedziała na to pani Łuskowska, już nie z urazą, lecz z obrazą.

— I mąż pani się leczył w tym roku — wypominała jej pani Niedzińska płacźliwie.

— Za mało! O wiele za mało! — stwierdziła pani Łuskowska. — I właśnie wybieramy się do Zakopanego.

— Tak?

— A tak.

— Słyszysz, Julku? Pan Łuskowski ma znowu wyjechać — obwieściła mężowi pani Niedzińska głosem zbolalym.

— Dobrze robi — odpowiedział — niech ucieka przed zimą.

— Szczęśliwy, kto może. Ty ciągle kaszlesz...

— Gorsza zadyszka — dowodziła pani Łuskowska, obrażona widocznie na pana Niedzińskiego, że ośmiela się mieć tylko kaszel.

Panowie wysunęli się naprzód i przyśpieszyli kroku, zostawiając panie zaperzone — jedną na cicho, drugą na głośno.

— Z babami desperacya — zakomunikował pan Łuskowski panu Niedzińskiemu pod sekretem.

— Oj! to prawda! — przyznał mu kolega.

— Ładnie mnie urządziła twoja żona.

— Moja żona? — zdziwił się pan Niedziński.

— No tak. Jej troskliwość o ciebie skrupia się na mnie. Lorcja jest ambitna: nie da się przelicytować w niczem, nikomu. Więc musi być jeszcze troskliwszą.

— Jak się tak zaczną prześcigać, winszuję. Ty zresztą jesteś zdrów, jak ćwik, ale ja naprawdę chory.

— Na imaginację — dowodził pan Łuskowski.

— Uwierzycie, jak mnie włożą do trumny. Doktor kazał mi wychodzić na spacer w samo południe.

— To sobie chodź, ale niech ja mam spokój, przynajmniej w biurze.

— Twoja wina. Parsknąć, huknąć, raz, drugi, i będzie spokój.

— Nie znasz mojej magnifiki.

Pan Łuskowski głos zniżył i dodał:

— Czasem zazdroszczę mężom... zdradzany — mówił. — Ich żony są w dobrym humorze. Gorsza daleko — cnota z dokuczaniem.

— Może być cnota i bez dokuczania — nadmienił pan Niedziński.

— Może być, ale nie bywa. I my sami jesteśmy winni — tu pan Łuskowski zniżył głos do szeptu. — Nie ulegać kobietom! Nie oddawać się w kuratele! I tobie radzę pójść do kabaretu, upić się raz, drugi, i będziesz zdrów, jak ryba.

— Czekam, żebyś ty mi dał przykład.

— Dam! Założmy się, że od jutra nie będę chodził na spacer. Trzeba chytrze... mądrze.

— O! ty jesteś chytry. Wiem.

— Inaczej z kobietami nie dojdzie się do ładu.

— Więc jakiż twój sposób? Może i mnie się przyda.

— Mój sposób dobry tylko dla mojej żony. Po-działa na nią, zobaczysz.

— Co pan Julian ma zobaczyć? — wpadła znie-nacka w te słowa pani Łuskowska, która, przyśpie-szywszy kroku, zrównała się z panami.

Jej mąż podrzucił w górę ramiona, ruchem ko-biet nerwowych, gdy na scenie ślepyimi nabojami strze-lają z pistoletów.

— Mówiłem właśnie do kolegi, że mu pokażę nowy model drapacza — zełgał na poczekaniu chytry małżonek.

— Wiecznie o drapaczach, o superfosfatach. Nie mogliby też panowie opowiadać sobie coś za-bawniejszego.

— A panie wciąż o strojach... o plotkach — wtrą-cił pan Niedziński.

— Właśnie, że nie — zaprzeczyła mu żona. — A ładnych rzeczy dowiaduję się od pani Eleonory. Widziała wczoraj, jak wychodziłeś z baru. Przyznaj się, co tam jadłeś?

— Schab z kapustą, a potem homara z puszkí, a potem kwaśne mleko — odburknął niecierpliwie pan Niedziński.

— Tak, to jest nagroda za nasze serca, za na-szą troskliwość! — oburzyła się pani Eleonora.

— Na miłość Boga, mniej serca, mniej troskliwo-ści, bo można się powiesić! — rzucił pan Niedziński.

— Janku! nie irytuj się. Wiesz, jak ci to szko-dzi — prosiła go żona.

— I ty wiesz, co mnie irytuje, a jednak...

— Nie będziemy państwu przeszkadzać — wtrąciła złośliwie pani Łuskowska.

Skierowała się z mężem w stronę Łazienek.

Ku blademu słońcu listopadowemu poczęła pełznąć chmura.

— Oj, będzie deszcz! — przewidywał pan Łuskowski. — Trzeba wracać.

— Tymczasem nie pada.

— Moja droga, ja i tak muszę wracać do roboty. Czeka już tam na mnie interesant.

— Poczeka. Zanim oni się wyklóca, masz czas. Dopóki Niedziński na spacerze, i ty używaj powietrza.

— On wyszedł w kwadrans po mnie. Zresztą nie mogę brać pensyi za nic.

— A za co bierze ten safandula, albo taki Bogdański... teraz zwłaszcza, kiedy się rozpuścił, jak bicz dziadowski?

— Ty sobie wyobrażasz — przerwał jej mąż.

— Nie stawiaj się! Zaraz znać, że cię tamten buntował.

— Przyznaj, że może go zniecierpliwic taka burżujska troskliwość. Ciągłe szorować razem pod rękę, to dobre dla pana majstra i pani majstrowej z Podwala. Choć tacy Niedzińscy nie lepsi: ona sobie cipcia, a on łyk. Bo czy taka pani Rojewska mówi kiedy do męża: »Nie zapomnij wziąć kaloszy!« »Weź dziś ciepłe palto...«? Ona ma rację: to są obyczaje kwoczek domowych, ale nie prawdziwych dam.

— No, już ona mogłaby nie krytykować nikogo. Z taką opinią.

— W wielkim świecie kochanek rzecz zwykła, jak chleb z masłem.

— Krótkie już jej używanie. Widziałeś? Nie tylko nos czerwony, ale i twarz. Nie pomaga nawet szminka.

— Ale figura zawsze śliczna. I co za ruchy! Co za dystynkcyja!

— Dla was byle patyk, ubrany przez Hersego — tylko nie żona, bo dla żony na Hersego niema...

— Dobra figura lepsza od paryskiego kostyumu. Widziałem, jak się za moją żoneczką oglądają.

Pani Łuskowska nie chciała okazać, że jest udo-bruchana.

— A ładne przyjmujecie panny do waszego biura — zaczęła zrzędzić z innego tonu.

— Że pani Rojewska źle o kim mówi, to nie racya. Nikomu nie daruje. Znana z tego.

— Co ona mówi, mało mnie obchodzi, ale ja wiem swoje. I gdybyś mi był powiedział, że chcecie przyjąć tę pannicę, nigdybym nie dopuściła. Ale czy ty mi kiedy co powiesz?

Pani Łuskowska o egzystencyi Mani usłyszała tego dnia po raz pierwszy, lecz postanowiła sobie uroczyście, że za parę godzin dowie się o niej wszystko, i że »prędzej włosy urosną jej na dłoni«, niżli ta »dziewucha« zostanie na swem stanowisku, »choćby przyszło poruszyć niebo i ziemię«. Miała już nawet w myśli kandydatkę na miejsce Mani.

Te postanowienia i zamierzenia pochłonięły jej uwagę, więc mimo, iż słońce grudniowe zwalczyło

chmurę, pani Eleonora uznała, że istotnie pogoda niepewna, i że czas wracać.

— Mam jeszcze parę interesów do załatwienia — oświadczyła mężowi.

Skorzystał z tego skwapliwie i w pełnym biegu tramwaju wskoczył na platformę. Ona patrzyła na to obojętnie, choć, otoczona jej troskliwością, zadyszka męża nie dozwalała na korzystanie ze środków lokomocyi w sposób tak zapalczywy.

Nazajutrz i dni następnych nie został już wyprowadzony na spacer. Wogóle troskliwość pani Eleonory znacznie osłabła, naprzód dlatego, że przed jej oczyma otworzyły się inne ujścia dla ambycyi. A powtóre, że, mimo rzekomej obojętności dla opinii, wołała ustąpić kroku pani Niedzińskiej w jej zabiegach o zdrowie męża, niż wejść w kategorię »kwoczek domowych«.

XVIII.

Przy obiedzie pani Eleonora była chmurna. Nie odzywała się ani do męża, ani do syna, nie mogąc jednak milczeć, co chwila doradzała służącej jakiś nowy zamach na całość szkła i porcelany:

— A stłucz półmisek! Stłucz! Rzuć karafkę o ziemię. Nie ja odkupię!

Marysia, nie spełniając tych poleceń, szastała się po pokoju z wielkim hałasem.

— Zabieraj kotlety z pod nosa! Leć z pełnym półmiskiem do kuchni! Dla was się gotuje!... Prawda?

Pytania i propozycje zostawały bez odpowiedzi, lecz nie bez echa. Trzasnęły drzwi, a z poza nich doleciało:

— Skaranie Boskie!

— Co. Będziesz jeszcze narzekać! — zawołała pani Eleonora, zrywając się od stołu i biegnąc za Marysią. — Żle ci, to fora ze dwora!

— A ktoby tu wytrzymał! — odburknęła Marysia, stawiając czoło rozsierdzonej pani. — Toć ostrzegali, że dłużej jak tydzień — żadna...

— Milcz!

— Co to ja pies, żeby milczeć?

— Kocmołuchu jeden, nie pokazuj mi się na oczy!

— Oj! oj! Czemu nie. Proszę mnie rozliczyć.

— Właśnie, że dobędziesz do miesiąca.

— A kto mi każe?... Dla takiej pani szkoda sługi ze sługów. Dobry i byle jaki flejtuch....

Pani Eleonora wbiegła do jadalni i, stając przed mężem, krzyknęła:

— Od flejtuchów mi wymyśla... a ty... ty dojdasz kotleta!

Pan Łuskowski krzesłem poruszył, jak gdyby chciał wstać; lecz siedział dalej na miejscu, tylko ręka z widelcem zawisała w powietrzu.

— Tak, czekaj, aż mnie ta małpa wybije. Teraz można się od nich wszystkiego spodziewać, zwłaszcza przy takim panu! — wrzeszczała pani Eleonora.

— Moja duszko, nikt tak nie potrafi z nimi, jak ty... — bąkał.

Jurek spojrział na ojca z pogardą.

— Bo kto się kiedy za mną ujmie! Jak gdybym była wdową... sierotą! Na każdym kroku poniewierka, wszystko się robi za mojemu plecami.

Głos pani Eleonory załamał się od żałości.

Znalazłszy nareszcie odpowiedni wstęp do sceny, którą przygotowywała od rana, wybuchła z całą furją istoty pokrzywdzonej:

— Trzeba przypadku, żebym się dowiedziała, kogo przyjmujecie do biura. Ładne okazy! Panna Łopacka! Hrabiowska metresa!

— Nieprawda! — zapiszczał Jurek.

— A ty co masz do gadania? — zwróciła się ku niemu.

— Nie pozwolę spotwarzać kobiety.

— Nie pozwolisz? Doprawdy? Na to tylko czekałam.

— Ja znam pannę Maryę.

— Ładne masz znajomości!

— Wiem, że to kłamstwo, potwarz.

— Odezdziesz ty się, czy nie? — przyskoczyła pani Eleonora do męża.

— Zebraliśmy o pannie Łopackiej referencye... jak najlepsze — wtrącił pan Łuskowski.

— Trzeba było mnie zapytać. Jabym wam dała referencye... ładne. Ale czy kto się na mnie ogląda! Taka Bogdańska trzęsie biurem, przyjmuje, odprawia... a ja?... Nagadałam jej, co się zmieści.

— Lorko! Na miłość Boską! — zatrwożył się pan Łuskowski.

— Tak, to święta osoba, nie wolno jej dotknąć... a mnie każdy kopie... Ja wam pokażę... Ta pan-

nica musi dostać dymisyę. To wstyd, to kompromitacja dla biura!

— To wstyd oczerniać biedną dziewczynę! — przekrzyczał matkę Jurek.

— Widzisz, najlepszy dowód! — wołała, rozkładając ręce przed mężem. — Takiego nawet opętała. Skończy się na tem, że was okradnie i ucieknie.

Jurek zbladł.

— Jeżeli mama... jeżeli — zakrztusił się gniewem. Nie mógł dokończyć. Twarz mu zbielała, czarne wągry poplamiały ją jeszcze wyraźniej.

Pan Łuskowski, korzystając z zamieszania, wymknął się do swego gabinetu.

— Będziesz mi groził! — wołała matka, trzęsąc się ze złości. — Właśnie, że obejdę wszystkich znajomych... na ulicy... w teatrze... będę opowiadać, co to za jedna.

— Mnie to nie zdziwi — rzucił Jurek, odzyskując panowanie nad sobą. — Nic mnie już tutaj nie dziwi, nic. Ale i ja potrafię...

— Wiem, wiem — przerwała mu z nienawiścią w głosie — wiem i chciałam cię właśnie zapytać: gdzie ten rubel, co leżał wczoraj na mojem biurku?

Fala krwi przysłoniła Jurkowi oczy; zaszumiało mu w głowie. Jedną ręką chwycił się o stół, drugą do czoła podniósł. Nie mógł wydobyć słowa.

Pani Eleonora przeraziła się jego twarzy i wbiegła do gabinetu męża.

— Tego tylko brakło — wołała. — Rękę na mnie

podniósł! Słyszysz, niedołęgo... safandulo? A może już i ogłuchłeś?

— I głuchy-by usłyszał, jak ty się rozwrzeszczysz.

— Ból matki, to wrzask? Obcy-by się ulitował, ujął za nieszczęśliwą! Taki... smarkacz... ujmuje się za ostatnią lafiryndą... a mąż nie staje przy matce... żonie... kobiecie... Pozwala...

— A chodź-no tu, Jurek! — zawołał pan Łuskowski, otwierając drzwi do jadalni.

Jurek stał, oparty o stół ręką trzęsącą się, pocierał czoło drugą.

— Co ty znowu narobiłeś? — rzekł do niego ojciec głosem przyciszonym.

— Zmawiajcie się na mnie, zmawiajcie! — krzyknęła z drugiego pokoju pani Eleonora.

— Co ty wyrabiasz? — zawołał ojciec, nastrojając się na gniew.

— Ze mną wyrabiają — rzucił Jurek.

W głosie jego był ból i wzgarda.

— Tak, tak, masz rację — podchwyciła matka, wbiegając do jadalni — dosyć już tego »wyrabiania« z tobą, dosyć tych ofiar! Od dziecka same kłopoty, zmartwienia. Mało to nasiedziałam się przy tobie... Tyfus, szkarlatyna, wrzody... skrofuły...

— Skrofuły. Tak! To moja wina — podjął wyzywająco Jurek.

— Masz za swoje! — zwróciła się pani Eleonora do męża. — Pobłażaj mu, a doczekasz się pięknych rzeczy. On nas tu kiedy pozabija.

— Jurek! Bój-że się Boga, jak możesz tak przemawiać do rodziców? — wtrącił pan Łuskowski.

— Przemawiać! To się nazywa przemawianie! — I, zwracając się do syna, wołała: — Doigrasz ty się przekleństwa matki. Za moje ofiary... za dobroć!

— To najbardziej! — przerwał Jurek szyderczo.

— Zapewne! Głupia byłam ustępować we wszystkim. Zachciało się rzucać gimnazyum... w środku roku: nowy mundur... całoroczny wpis... książki — na nic.

A Jurek spojrzawszy matce w oczy i chłodno, bezwzględnie odpowiedział:

— To miała być dobroć? Nie, to było tchórzstwo. Baliście się opinii. Gdyby nie to... Zresztą wiedzieliście, że sznurami nie dam się zaciągnąć.

— Znalazłaby się rada.

— Jabym ją znalazł... w grobie samobójców — wygłosił Jurek patetycznie.

Pani Eleonora nie chciała okazać, że te słowa nią wstrząsnęły. W oczach jej odbił się lęk, głos pozostał jednakowo gniewny, kłótlivy.

— To do ciebie podobne: byle zrobić na złość rodzicom! — zawołała.

— Kto zaczął pierwszy, kto winien, że ja jestem na świecie?

Gniew pani Eleonory, przygłuszony chwilowo strachem, wezbrał znowu.

— Tego was nauczyli na wiecach! — krzychała.

— I wielu innych rzeczy — stawiał się hardo.

— A do kościoła, do spowiedzi — nie łaska.

— Raz już powiedziałem, że chodzić nie będę.

— A ja ci mówię, że pójdziesz, i basta! — przy-

skoczyła do niego z pięściami. — Choćbym cię miała zaprowadzić na obroży.

— Śliczne zjednywanie owieczek. Matka powinna iść do Afryki na misyonarza.

— A ty pójdiesz do domu poprawy, skończysz na katordze.

— Skończę, jeżeli stąd nie ucieknę. I nie trzeba gorszej katoggi, jak tutaj.

Pani Eleonora zwróciła się z furią do męża:

— A ty nic! Pozwalasz deptać po matce.

— Przecież ojciec pozwala deptać... i po sobie — wtrącił Jurek.

Przebrała się miara. Rozkietznany gniew osłabił nerwy pani Łuskowskiej. Padła na otomanę, ukryła twarz w poduszkach i zanosila się płaczem.

— Za drzwii, za drzwii! Precz! — wołała między łkaniami — niech cię nie widzę, bo... bo... zapomnę, że cię urodziłam. Precz!

Jurek, już po pierwszym wezwaniu, drzwi za-trzasnął.

Pan Łuskowski stał na środku pokoju, zafraso-wany, bezradny.

— Moja duszko, uspokój się — rzekł, zbliżając się ostrożnie do kanapy. — Dzisiejsze dzieci takie. Buntują ich.

Pani Eleonora zerwała się, połykając łzy niedo-płakane.

— Buntują! — wołała — a ojcowie na to patrzą, jak gawrony. I wszystko przez tę szelmę... przez tę Łopacką. To ona go podjudza! Już ja ją urządzę! Po-pamięta mnie.

— Ale, cóż znowu!

— Dużo ty wiesz... A jeżeliś taki mądry, to powiedz, gdzie oni się poznali?

— Pewno na wiecach.

— On do niej chodzi, do tej hrabiowskiej metresy. Dlatego potrzebuje tyle pieniędzy. I ten rubel...

— Jaki rubel? — podchwycił pan Łuskowski.

— Zostawiłam dziś na biurku. Już niema.

— Ja wziąłem, bo przynieśli papierosy, a zbra-kło mi właśnie rubla.

Pani Łuskowska położyła palec na ustach.

— Niechże on się nie dowie — szepnęła.

— Bo co? — spytał mąż w tym samym tonie.

— Bo mu wypomniałam, że wziął.

— Trzeba odwołać.

— Ani myślę! Niech się czuje winny.

— Toć on wie, że nie wziął — przekładał żonie pan Łuskowski.

— Cóż z tego, że wie. Mam go może przeproszać? Tego tylko braknie... A gdybyś ty mu powiedział... zobaczysz...

— Nie chcesz, to nie — zgodził się pan Łuskowski, rad, że tem ustępstwem okupi chwilę spokoju.

— Ale proszę mi rubla oddać — upomniała się pani Eleonora.

Jak zwykle, po każdym wyładowaniu pasyi, czuła się pokrzepiona i w lepszym humorze.

XIX.

Z PAMIĘTNIKA MANI.

20 września 1908 r.

...Gdyby nie mama... Bo o Rózię mniej już dbam. Złości mnie swoją głupotą. Ciągłe powtarza: »Na takiego łotra trzeba nasłać anarchistę«.

Coby to pomogło? Choćby kto ję go zastrzelił, czy m n i e przez to będzie lepiej na świecie?

Tak mi źle! Tak mi okropnie źle! A tu przed mamą udawaj. Biedna starowina! Tyle się naharowała w życiu! Po to tylko! Czasem taka wściekłość mnie ogarnia, że mi już nie żal nawet mamy.

Jak wejść do kuchni i widzę, że ona pitrasi dla stołowników, miałabym ochotę wyrwać jej z ręki warząchew i zawołać:

— Nie trzeba było napraszać się, żeby mnie wzięli darmo na pensję! Dużo mi przyszło z tej nauki wyżebranej? I lepiej było umrzeć z głodu, niż teraz po nocach gryźć ręce z rozpacz!

...Spodlałam już zupełnie, bo chwilami nienawidzę i mamy i pani Bogdańskiej. Potrzebnie nas wyciągała z biedy? Potrzebnie przysyłała te fury z węglami i zapłaciła wtenczas za mieszkanie?

25 września.

Najgłupszy są ci, którym się zdaje, że mają rozum, tak, jak ja przedtem, albo jak panna Sopocka

z tem swoim uświadomieniem. Dużo komu z tego przyszło, że nam wykladała... przyrodniczo, jak się poczyna życie? Czy to którą ustrzeże od łotra? Przeciwnie. Jemu pomoże, a nie dziewczynie. Łatwo mądrować różnym Sopockim, które albo nie miały pokusy, albo zapomniały, kiedy to było.

Niechby tak pojechała z nich która do Pohorców, niechby się na nią wzięła. Zobaczyłaby, co pomoże... uświadomienie...

O cokolwiek myśl zahaczę, ciągle i wszędzie jedno w kółko: »Co to pomoże?«

Mnie już nic nie pomoże. Nic! Nawet dobroć pani Bogdańskiej.

Taki we mnie żal. I nie tylko do niego. Do całego świata.

A co najgorzej, i do siebie.

...Bo czemu ja się gryzę? Czemu ja się wstydzę?

Wielkie rzeczy! Wczoraj jeden, jutro może być drugi. Mało się nasłuchiłam o wolnej miłości. Wartoż sobie życie zatruwać?

Po sto razy na dzień mówię to sobie, zwłaszcza w nocy, a wyperswadować nie mogę. Wolna miłość nie leży w mojem usposobieniu. Odrazu, po pierwszym pocałunku, zapragnęłam zostać żoną, a potem czułam się żoną. A teraz czuję, że choćby mnie pokochał kto inny, człowiek najlepszy, to już niczyją być nie mogę.

Wdowa — co innego. Można zapomnieć o swoim nieszczęściu; ale o poniewierce zapomnieć — nigdy.

I rozwódce nawet nie ubliża, jeśli ją mąż opuści, bo — ożenił się, więc kochał kiedyś na seryo. A ja by-

łam tylko chwilową zabawką, wyrzuconą za okno, jak wiecheć. Ktoby chciał wiecheć podnosić! Co raz zdeptane, już na nic, dla nikogo.

Tamto skończyło się, zostało daleko.

Ja wróciłam do swoich.

A teraz co?

...»To samo, co przedtem«.

Tak mi odpowiedział w naszej ostatniej rozmowie.

I czy nie prawda?

Niby tak, a nie tak.

Wróciłam do tych samych trzech pokojów w oficynie, do tej samej mamy i Rózi, do tych samych stołowników. Ale wróciłam nie ta sama.

Gdyby usta, oczy tak się zmieniły, jak dusza, toby mnie ludzie nie poznawali na ulicy.

Witają się ze mną. Mówią: »Jeszcze wyrosłaś«, albo: »wypanna i ałaś«, albo: »zbladłaś«.

I nikt nie domyśla się, że to już nie ta Mania; że z tamtej nie zostało ani odrobiny.

Bo ludzie patrzą tylko na usta, na włosy, a nie zagląдают do duszy.

Co się we mnie dzieje, poznał jeden jedyny człowiek, i to prostak. Odczuł nie tylko moją mękę, ale i mój zamiar. I temu zamiarowi przeszkodził.

Po co?

Na końcu każdej myśli to straszne pytanie.

...Czemu ten chłop nie dał mi upaść pod koła wagonu?

Co mi z tego przyjdzie, że chciał jak najlepiej!

Nie trzeba przeszkadzać śmierci tych, którym nie można pomóc do życia.

A mnie już nikt i nic nie pomoże.

...Jak ja się znalazłam w tym wagonie trzeciej klasy, nie pamiętam. Człowiek, jak nakręcona maszyna, chodzi bezwiednie, kupuje bilety przy okienku, nie wie sam, co robi, a zrobiwszy — zapomina. Tylko nie może zapomnieć, że go boli dusza.

...W drodze z Pohorców na dworzec stangret Krysztalewicz opowiadał, jak cugową klacz wyrwał z ręki koniokrada. Śmiałam się nawet. A potem, w wagonie, patrzyłam na pola i lasy, i zdawało mi się, że deszcz pada. Nie czułam, że to moje łyzy świat przyćmiewają. I w sobie nie czułam płaczu. Nagle odezwał się w duszy jakby krzyk. Coś mnie raptem szarpnęło, i wielki ciężar spadł mi z piersi. Usłyszałam w sobie głos:

— A czy koniecznie żyć?

Zerwałam się i wybiegłam na platformę wagonu.

Chwila jeszcze, a byłabym pod kołami i nie czułabym już nic. Może tylko straszny ból fizyczny, gdybym się nie zabiła na miejscu. A choćby nie zaraz przyszła śmierć, doznałabym także ulgi, bo by mnie bolała może złamana ręka, noga. I zapomniałabym, że boli dusza.

A teraz co mi z tego przyjdzie, że mam całe ręce, nogi, głowę? Tylko to, że mocniej cierpię.

...Już byłam naprzód podana.

Wtem ktoś mnie chwycił i nie puszczał.

Ogarnął mnie bezwład. I już nic, nic nie chcia-

łam. Ani życia, ani śmierci — tylko usiąść, bo raptem osłabły nogi.

Spojrzałam. Trzymał mnie stary chłop. Taki prosty, gruby chłop z ryżą brodą. Trzymał i nie puszczał, a patrzył pocziwie, serdecznie.

— Grzeszno! — mówił — stydno! Duszę chciała zagubić. Tobie jednej źle na świecie? Życie dane, tak żyj!

Wziął mnie za rękę, jak małe dziecko, zaprowadził do wagonu i posadził na ławeczce, między drzwiami a oknem, w zagłębieniu. Sam usiadł naprzeciwko i mówił szeptem, żeby nikt nie słyszał:

— Nie tobie jednej życie »nadojadło«. Ty nie myśl, że jak źle, to żyć nie można. Smutek nie wróg; a chcesz, żeby był przyjaciel, tak ty z nim idź do Boga z modlitwą, a nie do czorta ze skargą na Boga. Cierpienie wieczne gorsze, niż ten smutek. On minie. Wszystko minie. A Bóg zostaje i zawsze pocieszy, choć nie zawsze tak, jak człowiek chce. Nie tak. Inaczej, lepiej. Ty młoda, to i durna, niecierpliwa. Poczekaj. Popróbuj żyć. Zobaczysz, złe minie. Ja wiem. I ja był nieszczęśliwy. Ja z unitów. Nieraz, bywało, chciał wyrznąć żonę, dzieci, zarżnąć sam siebie. Zdało się: niema już sił żyć w takiej męce. A nieprawda, siły znalazły się. I Bóg nagrodił. Wolno już nam wierzyć po swojemu. Skończyło się złe. Tak będzie z tobą. Żyj! Po złem przyjdzie dobre. Wspomnisz mnie, zobaczysz!

Spuściłam głowę i słuchałam. Robiło mi się w duszy cicho, coraz ciszej, on mnie temi prostemi słowami kołysał jakby do snu. I ukołysał, bo zasnęłam.

Gdym się obudziła, już go nie było.

Przedtem nikt jeszcze w życiu tak do mnie nie przemawiał.

A potem — jedna tylko osoba: pani Bogdańska.

Prosty chłop i dama, prawdziwa dama — a dusze mają podobne. Wogóle mają... dusze. Bo inni...

Jeżeli na świecie są takie istoty, jak pani Bogdańska, to mogą być i takie potwory, jak... tamci, na Wołyniu. Jedno za drugie.

...Ona wie o wszystkim — pewno od wstrętnej Dady.

Wie, i mówi, że »zło da się naprawić«.

Nie da się, bo kto mi naprawi duszę? Ale, że ona tak myśli, to zdejmuję trochę ciężaru. I jak z nią jestem, jak jej słucham, ani razu nie przychodzi mi na myśl: »co to pomoże?«

2 października.

»Otwórz okno od sadu. Drzwi na klucz zamknij«.

Otworzyłam. Zamknęłam.

A potem, w cztery tygodnie, w tym samym pokoju:

...»Chyba lepiej, że ja, niż jaki urzędnik pocztowy«.

Od tego się zaczęło. A na tem się skończyło.

Czemu ja grzebię się we wspomnieniach? Co mi to pomoże?

Znowu to pytanie.

Ciągle i wszędzie.

Co mi pomoże dobroć pani Bogdańskiej? Nie wróci mi ochoty do życia.

Straciłam ją na zawsze. I to okropne, że straciłam przez byle kogo.

...Pytał mnie kiedyś, na samym początku:

»— A ja jestem byle kto?«

Myślał, że jest — Bóg wie kto. I ja tak myślałam.

A on — gorszy od byle kogo. Urzędnik pocztowy nie patrzyłby takimi oczyma stalowemi i nie mówiłby:

»— Przyznaj, że byłem ostrożny. Nie zrobiłem ci nic złego...«

Nic? A to, że rano, jak się obudzę i pomyślę, że już trzeba wstać i żyć, to mnie i rozpacz i wściekłość ogarnia. To nic?

To się nazywa, że on mi nie »zrobił nic złego«.

A gdyby mnie był zabił — nie oczyma i słowami, lecz rewolwerem, toby powiedzieli, że jest zbrodniarz — i siedziałby, nie w swoim pałacu, ale w kryminale.

... Choć niewiadomo. Oni ze wszystkiego wykpią się i wykupią.

Nie to, co my, »pracowici«.

On »urodzony«.

...Ciagle mi się coś przypomina z tego lata.

...Zawieźli mnie kiedyś do kościoła, bo wolno ludziom duszę wydłubywać, wolno krzywdzić — ale trzeba się modlić. Taki u nich zwyczaj.

Że ludzie na nich płaczą, to mniejsza. Byle ich konie co niedziela stały przed kościołem parafialnym, a oni siedzieli w ławkach i klepali pacierze, to już

wszystko w porządku. I ten ich Pan Bóg zadowolony, kontent. On z nimi zawsze trzyma.

...Ale co to ja chciałam powiedzieć? Jedna myśl nabiega na drugą, jak chmura, i coraz ciemniej przede mną i za mną i we mnie.

...Więc mnie kiedyś zawieźli do kościoła w Łucku.

Pojechałam tylko dlatego, że i on jechał. Myślałam, że będę siedzieć przy nim (siedziałam przy panie Anieli). Otóż wtedy, po nudnem kazaniu, ksiądz czytał zapowiedzi.

Słucham. Raz mówi: »urodzony«, to znowu: »pracowity«, albo: »pracowita«, »urodzona«. Nie rozumiałam, co to znaczy. Dlaczego nie każdy jest urodzony? Wstydziłam się przyznać, że nie wiem, bo już nauczyłam się od nich próżności.

Tego wieczora, w moim pokoiku — drogim i przekętym — mówię do niego, niby żartem:

»— Jak mnie ksiądz będzie zrzucał z ambony, to powie: »pracowita«, czy »urodzona?«

Pytam, a serce wali, jak młot, bo myślę, że on coś wspomni o naszych zapowiedziach.

Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i powiada:
»— Masz poźółkłe papiery rodzinne, to cię »zrzucą« jako »urodzoną«.

»— A gdybym ich nie miała?

»— Gdybyś nie miała ani żółtych, ani żadnych, byłabyś »pracowitą«.

»— A ty jesteś dwa razy, czy trzy razy »urodzony?«

...Wtedy mi się zdawało, że on musi być wszystkim najlepszem na świecie.

A on mi na to:

»— Jestem urodzony tylko raz, ale z jasnością. Gaszę tę jasność, idąc do ciebie, bo mogliby mnie zobaczyć.

»— A jak będziesz spadał z ambony?

»— To mi ksiądz tę jasność zapali«.

...Myślałam wtedy, że ją zapali — dla mnie, że spadniemy razem.

Spadłam z bardzo wysoka, ale sama.

...Więc »urodzony«, to, niby, szlachcic. A »pracowity« — chłop, albo taki sobie, ni to, ni owo.

Po co ja się urodziłam wogóle? I co mi z tego przyjdzie, że jestem »urodzona?«. Do samej śmierci będę tylko »pracowitą«.

Nie dość mieć żółte papiery (on z tych papierów pokpiwał; teraz to widzę). Do papierów trzeba jeszcze mieć »papierki«. Kiedy jest jedno i drugie, to wszystko idzie po maśle.

I jak tu niema być socyalistów, kiedy jedni po to tylko się rodzą, żeby używać, a drudzy po to tylko żyją, żeby pracować.

Krzywda, wyzysk, obrzydliwość.

I ja mam być z czasem taka, jak mama: zaharowana, zafukana!

...Zafukana, nigdy!

Ani pokorna! Ani lamentująca przed ludźmi! Nie. Ja tak, jak ojciec. Choć w duszy skowyczy, głowa do góry. Mieliby jeszcze w dodatku urągać, albo poniżać. Niedoczekanie ich!

Z jedną tylko panią Bogdańską nie nadrabiam miną. Choć »urodzona«, ale tak się umie schylać

do »pracowitych«, że wydaje się z nimi równa. A ta wstrętna Lula nie schylała się z dobrocią: przysiadła w kucki. To było poufalenie się, a nie bratanie. Dziękuję za taką łaskę.

16 października.

Wczoraj była niedziela. Pani Bogdańska wstąpiła po mnie z kościoła, bardzo wczesnie, i zabrała na spacer, daleko, za rogatki.

Jest mi z nią tak, jak gdybym głośno myślała — z tą różnicą, że słyszę nie tylko siebie, ale i jej dobre, kochane słowa. I do końca dnia lżej mi na duszy.

Morałów nie prawi, tegobym nie zniosła. Mówimy ogólnikowo o życiu. Ja bryzgam buntem na wszystko, co jest, i tu, na tym podłym świecie, i tam, gdzie niewiadomo, czy co jest. A jak z siebie wszystko wyrzucę, i żal i złość, to mi trochę lżej.

Ona słucha i nie oburza się.

Co jej przyjdzie z moich gorzkich żalów? Może ma dla mnie litość? Nie chcę nawet tego przypuszczać, bobym z nią już nigdy nie poszła na spacer i nie wygarniałabym przed nią duszy.

Nie potrzebuję jałmużny — żadnej.

Już mi strzelało do głowy, że ona chce mnie ciągnąć do kościoła, albo do ich Pana Boga. Może z niej »łowidusza« — jak mówili o dewotkach i księżkach. Choć na dewotkę nie wygląda...

23 października.

Znowu, przy niedzieli, wzięła mnie na spacer, het, aż do Wilanowa.

Jak zobaczyłam zeschnięte liście, pomyślałam, że, kiedy zaczynały się rozwijać, ja byłam jeszcze sobą, wesołą Manią. A teraz z nimi koniec i ze mną. Chwycała mnie pasya. Nie darowałam nikomu. Dostało się i niebu i ziemi...

— Jest Bóg! Jest — mówiłam — ale niedarmo każe się nazywać: Panem Bogiem. Wielki pan i dlatego z panami trzyma. Jak my do niego mówimy, to się plecami odwraca albo słucha, po to tylko, żeby dowiedzieć się, czego chcemy najmocniej, i tego właśnie nam nie dać, albo to nam odebrać, o co nam głównie chodzi. Już w czwartej klasie poznałam się na nim i przestałam wierzyć... a... tego lata coś mi przyszło, i dalejże się modlić... No i co? Ładnie się spisał.

Raptem żal mi się zrobiło. Myślę: na co ja tej kochanej pani sprawiam przykrość? Więc umilkłam, i czekam.

Kiedy, jak kiedy, ale teraz to już wyjedzie z moralami? A ona milczy. Wzięła mnie za rękę. Idziemy po zwiedłych liściach, jak siostry. Idziemy! Ja nic. I ona nic. Dopiero po długiej chwili powiada:

— Maniu, ty jeszcze kiedy zrozumiesz, dlaczego bywa źle, i kto winien.

— A pani rozumie? — zawołałam, patrząc jej w oczy.

— Nie zawsze — przyznała. — Ale my to kiedyś wszyscy zrozumiemy.

— Wtedy, kiedy nam to już tyle pomoże, co umarłemu kadzidło.

Ścisnęła mnie mocno za rękę i mówi:

— Teraz jeszcze nie, ale z czasem... przejrzysz... zrozumiesz, że i ty byłeś może trochę winna.

Aż mnie poderwało. Ona, ta dobra pani, tak mówi. Wysunęłam rękę.

— To ma być wina?! — zawołałam. — Nie, to krzywda!

Stanęła, pokiwała głową i tak mówi:

— Spór graniczny między winą własną a krzywdą od ludzi rozstrzygnąć trudno. Próbować trzeba. Próbuj, to cię uspokoi.

— Dobrze tak mówić komuś, kogo nikt nie skrzywdził — burknęłam.

— I mnie zdawała się nieraz krzywdą własna winna.

— Już ja w to nie wierzę. To pewno była krzywda. I widać jacy są ludzie! Bo żeby nawet takiej... takiemu aniołowi, nie darować, krzywdzić! — zawołałam oburzona.

Pogłaskała mnie po rękę i rzekła:

— Tyle masz w sobie siły, zapału: skruszysz zło. Pamiętaj — dwie główne rzeczy na świecie: poznać przyczynę zła i znaleźć na zło radę. Wyciągnąć z życia sens moralny. Postaraj się — prosiła mnie serdecznie.

A teraz ciągle mi chodzi po głowie ten »spór graniczny pomiędzy winą a krzywdą«.

Mało mam czasu na myślenie. Nigdy nie jestem sama. W biurze robota, a w domu Zarwańska ulica.

Dopiero, jak Rózia zaśnie... Ale i mnie wtedy sen morzy.

25 października.

...Dziś w nocy przypominałam sobie każde słowo— i tam, w ogrodzie, i w oficynie, a jak Rózia usnęła, zapaliłam świecę i wyjęłam z kuferka mój pamiętnik, pisany w Pohorcach.

Ładne uspokojenie! Aż gryzłam poduszkę, żeby głośno nie ryknąć.

Chwytała mnie i złość i rozpacz. I żal, że się to skończyło.

...Gdzie mi tam szukać własnej winy!

Tak może radzić tylko osoba starsza, która zapomniała, jak boli miłość, kiedy ją trzeba wyrzucać z serca i z myśli.

Nie, nie będę grzebać w tej ranie. Po co? To mnie nie uspokoi.

28 października.

Śliczny dzień! Jak letni. Jeszcze smutniej, kiedy na świecie pięknie i wesoło.

Prosto z biura poszłam nad Wisłę. Usiadłam przy brzegu — daleko za mostem, przy Maryensztadzie. Chciałam szukać swojej winy. A co zaczęłam myśleć, to mi stawały przed oczyma jego oczy — nie te stallowe... tamte, którymi patrzył, kiedy mnie pytał:

»— Więc jestem piękny?«

I jaki.

...Nie, ja go nienawidzę, nienawidzę!

Woda tuż. Tylko wstać, głową naprzód. I już po wszystkim.

Pójdą na dno i wspomnienia i ból... i... tęsknota.

Nagle... zdało mi się, że przy mnie siedzi dobra pani i trzyma mnie za rękę, jak wtedy ten chłop.

Zaczęłam do niej mówić półgłosem:

— Tak mi źle, tak trudno zapomnieć!

Oparłam łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Nie chciałam myśleć, wspominać. Wpatrzyłam się w wodę.

Fala gonila falę. Czasem od mostu doleciał huk, albo myśl zahuczała w głowie.

I znowu robiła się cisza — we mnie i dokoła.

Wtem jedna fala bryznęła słowami:

»— Otwórz okno. Drzwi na klucz zamknij!«

A druga syknęła:

»— I nie zwalczałem wielkich przeszkód. Sama przyznasz«.

...Nie zwalczał?

— Zastanów się! Dobrze się zastanów. Zrób to dla dobrej pani — namawiałam, prosiłam sama siebie.

I zaczęłam sobie przypominać, rozważać. Chciałam rozważać na chłodno.

...Mówił, że pokłoni się o te usta, o te oczy. To było o świcie. A już wieczorem... Pomiędzy świtem i wieczorem był cały długi dzień letni... Czy choć raz przyszło ci na myśl, żeby okna nie otworzyć, żeby drzwi na klucz nie zamknąć?

Choć raz?

Nie. Bo czy nie wszystko jedno: przedtem, czy potem — z obrączką na palcu?

Obrączka, to przesąd? Nasłuchałam się. Uwierzyłam.

A teraz co?

...Nie stawiałam przeszkód. Prawda. Ale kto wien? Czy ja? Czy tamci, ze swoją wolną miłością?

Oni głupcy, on gałgan, a ja — zgubiona, nieszczęśliwa. Gdyby tamci mówili prawdę, tobym nieszczęśliwą nie była. Gdyby on był uczciwy, toby nie korzystał z mojej głupoty. Dwa razy ode mnie starszy. Powinien wiedzieć, że panieńskie gadanie — gadaniem, a w życiu inaczej.

Mieć żal do nich wszystkich, czy do niego? Skutek ten sam.

Nie chcę tylko mieć żalu do siebie, bo gdybym i siebie znienawidziła, to co wtedy?

...Zerwałam się i wróciłam do domu. A tam był lament i gwałt.

Myśleli, że »mi się coś złego stało«.

...Nie wpadłam pod koła tramwaju. Nie wskoczyłam do Wisły. Więc nic się nie stało.

30 listopada.

Nie mogłam już z sobą poradzić.

Zdobyłam się na odwagę i, pierwszy raz, nieproszona, nie pytana, poszłam do mojej paniutki. Na szczęście była sama. Powiedziałam jej odrazu:

— Nie umiem wyciągnąć sensu moralnego z nieszczęścia.

Posadziła mnie obok siebie na kanapie, przytuliła. Siedziałyśmy, nic nie mówiąc. Nareszcie ona powiada:

— Bądź cierpliwa! To nie może przyjść odrazu. Ale przyjdzie, i wtedy lepiej ci będzie. Zobaczysz.

Nie wytrzymałam i pytam:

— Co pani na tem zależy, żeby mi było lepiej na świecie?

— To, Maniu, że ci będzie lepiej — odpowiedziała.

— Dużo pani z tego przyjdzie — palnęłam i zaraz wstyd mi się zrobiło. Pocałowałam ją w rękę: pierwszy raz. — Pani jest taka dobra nie dla czego innego, tylko z dobroci? — zdziwiłam się.

— Nie wierzysz, że przywiązałam się do ciebie? — spytała, biorąc mnie za rękę.

— Nie jestem teraz do lubienia.

— Teraz — może więcej, niż dawniej.

— Litość? prawda?

— Nie — pewność, że zasłużysz na szacunek.

— Na szacunek? Po tem wszystkim?

— Dźwigniesz się, podniesiesz, a to trudniej, niż stać... prosto.

Rzuciłam jej się na szyję i rozplakałam.

4 listopada.

Nie rozumiem, co Polsce z tego przyjdzie, że ja będę wesola. I dziwię się nawet, że osoba tak inteligentna, jak ona, mogła powiedzieć:

— Maniu, jeśli już nie dla siebie, nie dla

mamy, to dla Polski nie masz prawa poddawać się smutkowi.

— I z czego ja mam się cieszyć? Może z tego, że Towarzystwo Łomżyńskie zamówiło u nas wczoraj 15.000 kilo nasion marchwi liberyjskiej? — odpowiedziałam ironicznie.

A ona z całą powagą przytwierdziła:

— Jest z czego się cieszyć, i nawet bardzo.

— To niech się pani cieszy, bo ja nie mogę. A gdybym kochała Polskę, jak pani, tobym była jeszcze dwa razy smutniejsza.

Na to ona powiedziała mi rzecz taką:

...W czasach, kiedy jeszcze nie żyła, cały kraj nosił żałobę po ojczyźnie. Nawet dzieci ubierano w czarne sukienki. A jej ojciec właśnie kazał swoim dzieciom — jej dwu starszym siostrom — włożyć sukienki różowe. Pojechały w sąsiedztwo. Inne dziewczynki chowały się przed nimi i mówiły, że bawić się nie będą, bo one nie noszą żałoby. Wracając do domu, siostrzyczki płakały. Matka spytała je: dlaczego.

— Bo nam wstyd, że nie kochamy Polski.

— Nie kochacie? — zdziwił się ojciec.

A starsza rzuciła mu się do rąk i prosiła:

— My chcemy nosić żałobę.

Ojciec odpowiedział:

— Nosi się żałobę tylko po umarłych. Nie my umarliśmy, tylko pewne nasze nadzieje. Dużo innych żyje. A, żebyśmy nie zginęli, trzeba mieć jasność w duszy i robić jasność dokoła.

Powtarzają w rodzinie te słowa jedni drugim: starsi — młodszym, matki — dzieciom.

I wszyscy mają dusze jasne.

...Może nie wszyscy.

Kiedyśmy rozmawiały z panią Bogdańską, do pokoju wszedł jej syn. Spotykałam go już w zeszłym roku na zebraniach kółkowych, ale pierwszy raz zobaczyłam jego oczy. Nie jasno mu w duszy. Oj, nie! A i pan Bogdański zawsze smutny w biurze.

...Czemu ona im duszy nie rozjaśni swoją dobrocią? Czy oni nie chcą, czy nie mogą być weseli? Mnie się zdaje, że gdyby była moją matką, toby mi się nic złego nie zdarzyło.

12 listopada.

Nieznośna jest Różia. Coraz bardziej mnie drażni swojemi głupimi teoryami. Nachwytała je, Bóg wie skąd, i powtarza ni w pięć, ni w dziewięć. Zdaje się jej, że jest esdeczką, a jest poprostu — głupią. W dodatku zakochała się w jakimś studencie z gubernii kostromskiej i dowodzi, że tylko Rosyanie umieją się poznać na kobietach.

A niech robi, co chce! Wszystko mi jedno, tylko niech mi nie wyśpiewuje nad uszyna.

...Czy ja kiedy mogę zebrać myśli w tym rozgardyaszu! Dawniej, choć w nocy miałam spokój, a teraz ona sfiksowała na punkcie strojów: nicuje, przerabia swoje sukieneczki i zawodzi:

Ten jeden, z profilu jeden,

Ten jeden mi się podoba!

Byle nie wyszła na tym jednym, jak ja na swoim.
Ale on biedak, to może lepszy.

5 grudnia.

Dlaczego Antoś smutny? Pytałam Jurka Łuskowskiego. Mówi, że on ideowiec. Żyją ze sobą w przyjaźni. Nawet się dziwię, bo Jurek nie interesujący: wciąż jedno w kółko powtarza. Wymordowałby wszystkich rodziców. Jego matka sekutnica. Była raz w biurze. Z oczu jej patrzy, że Herod-baba, wymalowana, wykrygowana, robi damę, a wygląda na kucharkę. Wcale jej się nie ukloniłam, bo co za racya: mogę nie wiedzieć, co za jedna, a choćbym wiedziała, nie potrzebuję się płaszczyć przed pryncypałami, a jeszcze mniej przed żonami pryncypałów. Tak na mnie spojrziała, że, gdybym była trusią, poszłoby mi w piętę. Ale ja się nikogo nie ulęknię; nawet starej Pohoreckiej wygarniałam, co myślę.

...A podobno przyjechała na zimę. Czy ja też kiedy spotkam Nisię?

Nie, nie chcę, n i k o g o z nich. Dlatego przestałam chodzić do pani Bogdańskiej. Lepiej zapomnieć o wszystkim, co tam zostało. O złem i o dobrem.

A to właśnie, co mi się zdawało dobrem, okazało się złem, podłem. I przeciwnie. Mam teraz zawsze przy sobie rewolwer. Pożyczyłam od jednego stolownika.

...Czasem rano, gdy idę do biura, ni stąd, ni zowąd przychodzi mi na myśl:

— A nuż go spotkam?

I chciałabym uciekać, zamknąć się w moim pokoju i do końca życia ludzi nie widzieć, byle nie zobaczyć jego.

Zdaje mi się, że... Albo ja wiem?
Strzeliłabym... Może do siebie...

XX.

Pani Pohorecka zjechała do Warszawy dla wprowadzenia w świat Nisi, która, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, opuszczała z żalem Pohorce. Był to wprawdzie dom niewoli, lecz niewoli cichej.

Wielkoświatowy zamęt przerażał jej wrodzoną nieśmiałość. W Warszawie co krok potraçała o jakieś: »nie wypada«, przed którym musiały usuwać się w najgłębszą dal duszy jej umiłowania i pragnienia. Wiedziała, że się nigdy nie ziszczą, a jednak dzień po dniu, godzina niemal po godzinie, jakiś fakt drobny, powszedni strącał resztkę złudzeń. W dużem mieście czuła się bardziej oddaną na łaskę i niełaskę pedagogiczno-światowych formułek, matki; jeszcze bardziej osaczoną nieustanną troskliwością o swe zdrowie. A szczerę obcowanie z panną Anielą utrudniał rozmiar apartamentu, dużego wprawdzie, lecz małego w porównaniu z pałacem w Pohorcach, gdzie ścian było więcej, a jednak miały mniej uszu.

Od wyjazdu panny Łopackiej, do liczby słów, których nie wolno było wymawiać wobec Nisi, przybyło jedno: imię Mani.

W dzień jej wyjazdu pani Pohorecka strzegła pilniej jeszcze młodszej córki, nie zdołała jednak zapobiedz ani napisaniu listu, ani przesłaniu go do oficyncy przez pokojówkę; nie potrafiła też wstrzymać na ustach Luli niedomówień, półsłówek i oburzeń,

z których Nisia dowiedziała się, że Mania wyjechała, »nie kiwnąwszy nawet głową za tyle dobrodziejstw«, i że Ryś, na złość matce, zachowywał się wobec tej ordynarnej dziewczyny, jak »trubadur«.

Wielkie było jego zdziwienie, gdy tego wieczora Nisia uścisnęła mu rękę, zamiast »wsunąć mu palce w dłoń, jak widelec«. Tak charakteryzował jej zwykle *s h a k e - h a n d s*.

Spojrzał na nią, i po raz pierwszy zobaczył, że jej oczy mogą jednak coś wyrażać. Powiedziały mu: »dziękuję«. Nie zrozumiał na razie za co, ale z niebywałą wobec niej uprzejmością w przedpokoju z rąk służącego odebrał przeznaczoną dla niej butelkę z wodą emską i zaniósł ją na górę. U drzwi swego pokoju Nisia odwróciła się i nagle, z twarzą chłodną, lecz z pałającymi oczyma, rzekła do niego półgłosem:

— Ty jesteś dobry!

Zaskoczony znienacka, zdziwił się tak dalece, że nawet nie uśmiechnął się ironicznie.

A ona, nie dając mu czasu na odpowiedź, bardzo prędko i cicho rzuciła:

— Będziemy często mówili o Mani.

I zamknęła drzwi za sobą ruchem szybkim, co było sprzeczne z jej zwykłymi, automatycznymi poruszeniami.

Od owego wieczora węzeł pomiędzy tym dwojgiem młodych zacieśnił się. Ryś nie »dostawał już chryпки« na widok Nisi. Przy swych matkach stronili od siebie, jak dawniej, lecz w ciągu następnych dni w Pohorcach, a teraz w Warszawie znajdowali zawsze sposobność zamienienia paru cichych słów o Mani.

Stąd Nisia wiedziała, że ona pracuje w biurze, i że pani Bogdańska »wzięła ją pod opiekę«.

Do wyjątkowych istot, cieszących się względami pani Pohoreckiej, należała Kasia, a to głównie dzięki wybornemu załatwianiu sprawunków.

Wypadało też ją odwiedzić po przyjeździe do Warszawy; że zaś pani Pohorecka czuła się niezdrową, więc w swem imieniu posłała Nisię z panną Aniela, czem mimowoli spełniła gorące życzenie córki — po raz pierwszy w jej życiu.

Antoś, wracając ze szkoły, usłyszał w salonie rozmowę. Wpadł mu w ucho głos bezdźwięczny:

— Bardzobym chciała pannę Łopacką zobaczyć. Czy pani ją widuje?

Antoś był z natury nieśmiały i chętnie stronił od ludzi obcych. Męką wydało mu się przemówić do tej panny bladej, sztywnej, którą już poznał u pani Luli. Dlatego właśnie postanowił wejść.

Może nie tylko dlatego. Bądź co bądź, przemógł się i wszedł do salonu, a odpowiadając na zasłyszane słowa Nisi, po przywitaniu oznajmił:

— Panna Łopacka będzie tutaj w przyszłą sobotę na posiedzeniu naszego związku.

— Jaki to związek? — zagadnęła panna Aniela.

— Ćwiczmy się w tych wszystkich cnotach, których nam brak — odpowiedział.

Panna Aniela zwróciła się do pani Kasi z prośbą o udzielenie jej informacyi, potrzebnych pani Pohoreckiej. Antoś, zwalczając nieśmiałość, przysunął się z krzesłem do fotelu, na którym siedziała Nisia.

— Jest taki związek? — spytała obojętnie, ale tej obojętności zadawały kłam oczy.

— Jest i rozwija się. Przyjmujemy także kobiety.

— Ja nie mam własnej woli — odpowiedziała mu bez żalu, bez skargi, apatycznie.

— To zbrodnia — oburzył się.

— Nie moja.

— Trzeba walczyć.

— Brak mi odwagi.

— I ja nie miałem odwagi. Ćwiczę się w niej, zdobywam. I pani zdobędzie.

— Jak?

— Robiąc zawsze to, czego się pani boi zrobić.

— To niemożliwe.

— Napoleon mówił, że niemożliwość jest tylko w słowniku... Przepraszam, nie mogę dokończyć.

— Niech pan kończy.

— Nie obrazi się pani?

— Nie.

— A więc w słowniku... głupców.

— Ja głupia nie jestem, ale gorzej.

— Pani jest smutna.

Odbiegła go już nieśmiałość.

Pod chłodną powłoką odczuł w tej bladej panience duszę bratnią, zalęknioną wobec świata.

Nisia nie podniosła oczu, ale głos zniżyła.

— Ja jestem beznadziejna — szepnęła.

— Trzeba to zdławić — rzekł Antoś z zapalem.

— Nie potrafię.

— Pani musi. Kolega Wreczyński — to najrozumniejszy z nas — powiada, że beznadziejność, to odstęp-

stwo od narodowego sztandaru. I moja matka potwierdza jego zdanie.

— Pan jest dobrze z matką?

Pokazała mu oczy. Zobaczył w nich bezdeń cichego bólu.

— Ją moją matkę wielbię — szepnął, schylając głowę. Umilkli.

— Czy panna Łopacka wesola? — spytała Nisia po chwili.

— Nie. I ona bardzo smutna, ale chce do naszego związku należeć. Chce walczyć.

— Ja jej zawsze zazdrościłam.

— Pani ją zna dobrze?

— Chciałabym ją poznać lepiej.

Panna Aniela już się żegnała.

— I pani do naszego związku przystąpi — rzekł Antoś do Nisi.

— Czy ja mogę? — zwróciła się do swej nauczycielki, nie z pytaniem, lecz z prośbą o zaświadczenie tej niemożliwości.

Panna Aniela była zmieszana.

— Pomówimy o tem — rzekła.

— Na tem posiedzeniu cele naszego związku przedstawi Wreczyński — dodał Antek, zwracając się do Nisi, a tak to obwieścił, jak gdyby temi słowami wsuwał jej broń do ręki dla zwalczania wszelkich niemożliwości.

XXI.

Stare mahoniowe meble, stojące w bawialnym pokoju państwa Bogdańskich, pamiętały bardzo da-

wne czasy; słyszały niejednen hymn nadziei, wciąż zawodnych.

I oto dziś, jak przed stu laty z górą i przed pięćdziesięciu niespełna, zasiadła na nich młodzież, i dokoła wielkiej sprawy osnuwała największe, nieosobiste ukochania.

Przy ostatnim etapie zawodnych nadziei, przypuszczał do nich szturm hufiec zbrojny i liczny.

Dziś drobna garstka, przejęta zapalem nie mniejszym.

Wiec? Nie wiec? Organizacyjne zebranie związku — nieorężnego, choć bojowego, pod hasłem walki... ze sobą. Zebrali się bezdomni, wyrzuci z rodzinnego gniazda, lecz nie wyrzuci z miłości dla domostwa, z którego wicher zmiotł dach i odstąpił na pastwę żywiołów. Nachyleni nad gruzami tych ruin, miłośnie zbierają szczątki, aby z nich budować — niezdobytą fortecę ducha.

Sami szeregowcy. Nikt tutaj nie rości sobie praw do przewodu nad krajem, nikt nie rzuca wyzwania... na trzy strony świata.

Na czoło wysunął się jeden, mocą — nie własnej woli, lecz własnego rozumu, uznanego przez tamtych, którzy słuchają go w skupieniu.

A on, stojąc pośrodku nich, z twarzą rozgorzałą od zapalu, opowiada się przy swojej wierze, która jest ich wiarą, głosi hasła, będące wyrazem ich żądań.

»Wreczyński przemówi«.

Ta zapowiedź biegła z ust do ust na parę tygodni przed zebraniem. Wreczyński mówił rzadko,

lecz, gdy mówił, miał zawsze coś do powiedzenia i wypowiadał to pięknie.

Wiedziano, że obmyśla i opracowuje zasady związku, który się wykluwał długo, wśród nieporozumień, swarów, którego potrzebę odczuwał jednak zastęp coraz liczniejszy.

Wreczyński właśnie cele związku określał:

A od wielkich słów Skargi je rozpoczął, niemi je nazначył:

— »Zeszliśmy się tu w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczności koronnych, aby to, co się do upadku nachyliło, podeprzeć; co się skaziło, naprawić, co się rozwiązało, spoić«.

A potem własnymi słowami przemówił:

— Co my, z gołemi rękami, możemy podeprzeć, co naprawić, co spoić? Nie jest-że to porywanie się z motyką na słońce?

Nie. Bo my nie chcemy nic zmieniać dokoła, tylko — w sobie, a gdy w sobie zmienimy, wtedy i to, co się nachyliło, podeprzemy, i to, co się rozwiązało, spoimy.

Aby ziściła się prawda czterech słów legionisty, największych — jak powiada Witkiewicz — jakie od stu lat polskie usta wymówiły: aby Polska — nie ta od morza do morza, ale ta, co bije w każdym sercu, nie zginęła, na to trzeba, aby każde serce czuło się polskiem i w miarę siły »opatrywało niebezpieczności« udręczonego kraju; aby nad wszystkimi szlakami, po których dążymy do celów różnych, unosiło się wielkie tchnienie ojczyzny, aby było nam drogowskazem.

A dokonać tego — jak? Myśleliśmy, naradzaliśmy

się długo, czytaliśmy wiele i doszliśmy do przekonania, że o tyle będziemy działać na dobro kraju, o ile sami staniemy się lepsi. Więc pierwszą literą naszej pracy winno być — nie ulepszenie drugich, lecz ulepszanie siebie samych. Wyrabianie charakteru.

Dlatego — w tym celu, tworzymy związek. Członkowie jego muszą ślubować, że dzień po dniu poświęcać będą część swych chęci, swych przyjemności na rzecz dobra powszechnego; że codzień będą zdawać sobie sprawę z myśli, uczuć, postępków i codzień będą się brać za bary ze sobą.

Mickiewicz powiedział: »o ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle powiększycie prawa wasze i powiększycie granice«. Więc — charakter, przede wszystkim charakter, moc woli. Miętkość, to wróg ideału. Miękkim dłótem nie wyrzeźbisz, na miękkim kruszcu trwałego śladu nie zostawisz. A my chcemy rzeźbić przyszłość. Wyrobienie woli, to fundament tej budowy. Taką jest nasza idea przewodnia; lecz wszelka idea, to tylko droga do mety. Metą jest ideał.

Jakim jest nasz ideał?

Jeden dla wszystkich wspólny: praca ofiarna dla dobra kraju, praca, stojąca nie na drodze naszych życzeń, ale na drodze naszych powinności.

I niech nam w niej będą hasłem piękne słowa Andrzeja Zamoyskiego, w dniu 27-ym lutego 1861 roku wypowiedziane: »Pamiętajmy, abyśmy nic takiego nie popełnili, przez co byśmy zasłużyli być nieszczęśliwymi«.

Drugi ideał, osobisty, dla każdego jest inny. Bo słusznie Kalthoff powiada: »Mój ideał jest moim; nie

mogę go na innych przenosić, ani go innym pożyczę, ani go do drugich dopasować».

»Czem ty masz zostać, tem ja stać się nie mogę, ani ty możesz zostać tem, czem ja winienem zostać«.

Jakiż ideał każdego z nas? Dla jakiego celu chcemy w sobie charakter wyrabiać i wolę wzmacniać? Skoro mnie pierwszy głos przypadł w udziale, więc ja swój ideał określe. Moją meta — walka z pesymizmem. Zostanę literatem, chcę pisać, przyczynić się do stworzenia literatury zdrowej, do odegnania mroków, idących z Północy i Wschodu. Mam dar przekonywania. Chcę go użyć, chcę przekonywać nie tylko tych, co czytają, lecz i tych, co piszą, aby nie pisali ze zgrzytem, z rozpaczą i nie szerzyli beznadziejności. Skończyłem. Teraz kolej na innych.

Umilkł i odrazu ogarnęła go nieśmiałość. Nie czuł jej, dopóki przemawiał.

Z rozplómienną twarzą cofnął się ku drzwiom. Stał w nich, ukrywając się za plecami paru kolegów. Torturą wydały mu się oklaski; czuł, że wypada mu za nie podziękować, a nie miał odwagi. W imię rzuconych haseł, przemógł się, parę kroków naprzód postąpił. Głowę o bujnej czuprynie nachylił nisko. Spadły na nią oklaski serdeczne, gromkie. Stał pod nimi, jak pod pręgierzem, choć rozjaśniały mu duszę cichą radością zwycięstwa — idei. Po chwili znowu się cofnął i ukrył.

Podbiegł do niego Antoś.

— Cudnie to wyłożyłeś — zawołał, ściskając mu rękę. — Teraz musisz objąć prezydium.

— To twoja rzecz. Jesteś tu gospodarzem — bro-
nił się Wreczyński.

— Nie, ty, ty koniecznie — prosiło go paru.

Antoś na środek bawialni wysunął stół z nóż-
kami w kształcie liry, postawił krzesło.

— Cóż to za parada? — szepnęła do siedzącej
pod oknem Mani jej siostra, Różia, brzydka, zama-
szysta dziewczyna, z twarzą szeroką i wystającemi
kośćmi policzkowemi. Jej szare, bystre oczki biegały
ciekawie po obecnych.

— Cicho siedź! Zobaczysz — odburknęła siostra.

Wreczyński jeszcze się ociągał. Wolski i Antoś
wzięli go pod ręce i zaprowadzili do krzesła.

— Kto chce zabrać głos w tej sprawie? — pytał
i powiódł dokoła podwójną parą oczu.

Wśród zgromadzonych był i Jurek, przezwany
Kobyłą, i Kocicki vulgo Roża i Rotblatt, wabiący się
Byra, i Lipski vel Łebek, który, mimo utarczki na
ostatniem zebraniu, przyszedł uproszony przez An-
tosia. Był też i Ryś, pociągnięty przez swą kuzynkę,
Zonię Russocką. Pannie Anieli udało się przyprowa-
dzić Nisię: wszak zebranie odbywało się u pani Bog-
dańskiej. Że nie miało charakteru ściśle towarzyskiego,
o tem pani Pohorecka nie dowiedziała się nigdy.

Panienek przybyło kilka, a między niemi córka
zafrasowanej wciąż o zdrowie męża pani Niedziń-
skiej, zgoła do matki niepodobna, bardzo rezolutna.

— Kto chce zabrać głos? — powtórzył Wre-
czyński.

Zakołysały się głowy jasne i ciemne, strzyżone
czupryny i sploty.

Zrobiła się cisza. Po chwili z różnych kątów zaczęły dolatywać wezwania:

— Mów ty.

— Nie, ty zaczynaj.

Chłopcy odstępowali sobie głos wzajem. Żaden go nie zabierał.

Pierwsza wstała blada, rudowłosa panienska, nachyleniem postaci przypominająca brzozę płaczącą — Mara Rotblattówna.

— Ja w sprawie literatury — rzekła. — Chcę także pisać. I już piszę. Ale w innym duchu, niż przedmówca. Pragnę właśnie wspiąć się na wyżyny smutku — głosiła — i z tych szczytów spojrzeć wzgardliwie na rzeczywistość.

— Deklamacye! — szepnęła Mila Niedzińska.

— Proszę o głos — przerwał Antek. — Ja znajduję, że nie powinniśmy gardzić rzeczywistością — wygłosił. — Hello pisze: »Drogowskaz pracy niech będzie wbity w ziemię, lecz niech sięga i strzela w górę«.

— Rzeczywistość jest wstrętna, trzeba ją obchodzić z daleka — upierała się rudowłosa panienska. — A literatura nie może być zdrowa, bo dusze są i muszą być chore na ból życia. Inaczej sfilistrzeją.

— Proszę o głos — zapiszczał Jurek. — Panna Rotblattówna ma rację, niech przynajmniej młodzież będzie smutna. Z takich, którzy smutnymi być nie potrafią, nie będzie pożytku. To burzuje, filistry.

Wreczyński powiódł po zebranych oczyma, które przysłaśniały okulary, a ta podwójna para oczu jakby

z podwójną miłością patrzyła na jasne i ciemne głowy dokoła.

— Komu jeszcze smutno? — zapytał.

Powstali wszyscy z wyjątkiem Mili Niedzińskiej i Zoni Russockiej. Nie podniósł się też siedzący obok niej Ryś.

— Kto dzisiaj nie smutny? — odezwał się cicho Rotblatt.

— Prawie wszyscy. I ja także — przyznał Wreczyński, wstając. — Dlatego właśnie w ustawach naszego związku nie powinno być miejsca na smutek.

— Więc bawić się? Chodzić do kabaretów? — rzucił Jurek.

— Pogoda ducha a zabawa, to dwie rzeczy różne — przełożył Wreczyński. I znowu powiódł oczyma po zebranych. — Spójrzmy na siebie. Jak my wyglądamy? — mówił. — Idziemy przez świat zgarbieni, złamani. Wyprostować się! Podnieść głowy do góry! Iść w życie rażno! Mamy dusze chore. Prawda. Tem bardziej trzeba je krzepić, uzdrawiać.

— Tak, po dawnemu! Nasze staropolskie: Jakoś to będzie — wtrąciła rudowłosa Mara.

— Nie, inne hasło: »Będzie dobrze, musi być dobrze!« — zawołał Antoś.

Parlamentaryzm obrad łamał się.

— Proszę o głos — rzekła rezolutnie Zonia.

Trochę zmieszana zwróconemi na siebie oczami, podniosła główkę jasną i w milczeniu rzuciła głos dźwięczny:

— Ja może jestem głupia, i dlatego nie mam chorej duszy. Jest mi wesoło. I u nas, w naszej ro-

dzinie i w okolicy, wesoło wszystkim. A jeśli do Związku mogą przystępować tylko smutni, to bardzo żałuję, bo miałabym ochotę należeć.

— Proszę o głos! — zawołał Antek. — Proponuję, żeby przystępowali smutni, po to właśnie, aby ze smutkiem walczyć.

— To będzie najtrudniej — wygłosiła rudowłosa panienska.

— Celem związku walczyć z trudnościami — przekładał Antoś.

— Poddaję rzecz pod głosowanie — oznajmił Wreczyński.

Powstał gwar, krzyżowały się słowa, zdania:

— Ja ani myślę.

— To upadek.

— I owszem. Podniesienie ducha.

— Dziecinada!

— Spodlenie!

— Tyle ważniejszych celów.

— I ten ważny.

— Bardzo!?

Koniec końców, na szesnaście osób, przeciw smutkowi oświadczyło się tylko pięć: Antoś, Wreczyński, Zonia Russocka, Mila Niedzińska i... Mania.

— Nie uważam sprawy za załatwioną — oświadczył przewodniczący — na następnem zebraniu poddamy ją dyskusji. A teraz na porządku dziennym: przegląd osobistych dążeń każdego. W ten sposób jedni drugim możemy niejedną dobrą myśl podać i drogę wskazać.

O głos poprosił Antek.

— Nie mam jeszcze programu pracy — mówił — ale mam program ideowy.

Zaczerwienił się; widać było, że trudno mu ten program wyłuszczyć.

— Sam postanawiam — głosił — i chciałbym, żeby inni także zobowiązali się: szanować kobietę, nie robić z miłości igraszki — nigdy... ani razu... i żenić się bardzo młodo.

— Idyota! — szepnął Ryś.

Zonia zgromiła go spojrzeniem.

Rotblatt, Jurek i Wreczyński podnieśli ręce w górę.

— I my! — zawołali.

Poszedł szmer po sali.

Kocicki ramionami wzruszył. Chłopcy nachylali się ku sobie, szeptali. Oczy wszystkich pańienek były na Antosiu. Widział tylko jedno — rozgorzałe oczy Mani. Mówiły mu:

— Bądź takim! To najważniejsze! Najważniejsze!

Niewymówione słowa, krzepiąc, mąciły mu duszę. Zapomniał się, stał, wpatrzony w jej oczy. Nagle zmieszał się i drżący, spłoniony, cofnął się pod ścianę.

Wstała Zonia Russocka.

— Ja w kwestyi programu pracy — rzekła. — Uczę się towaroznawstwa i buchalteryi, bo chcę na wsi, u moich rodziców, założyć sklep wiejski współdzielczy.

Powiedziawszy to, usiadła.

Z pośród strzyżonych czupryn podniosła się jedna, kędzierzawa. Zachęcony przykładem, Wacek Rotblatt obwieścił:

— I ja chcę iść w lud. Uświadamiać go narodowo. Chcę uczyć się rolnictwa, aby ulepszać gospodarstwa włościańskie.

Po sali przebiegły uśmiechy, zatarte dyskretnie.

Wstała Mania. Butnie. Pewna była, że nikt, ani w głosie, ani na twarzy nie dostrzega jej zakłopotania. Spoczywały na niej pełne podziwu, zachwytu niemal oczy Nisi i inne, zachwycone oczy z pod ściany. Ani jednych, ani drugich nie widziała w onej chwili.

— A ja już pracuję dla kraju — oznajmiła — jestem sekretarką Spółki rolnej. »Stukam« na maszynie. Z początku mnie to nudziło. Myślałam, że to praca głupia, a jak mi ktoś... bardzo rozumny... mówił, że i tam można coś zrobić dla Polski, myślałam, że to takie gadanie. Teraz widzę, że prawda. I cieszę się, że nasza Spółka sprzedaje milion kilogramów żużłów Thomasa, i że rozsyłamy darmo nawozy sztuczne włościańskim kółkom rolniczym.

Czuła się dumną, że może świadczyć o rozległej działalności Spółki; miała jeszcze niejednen przykład w pogotowiu, ale uczuła na sobie zaciekawione oczy Rysia, który, siedząc o parę krzeseł dalej, wysunął głowę i patrzył na nią z uśmiechem zagadkowym; dostrzegła też nagle zachwycone oczy Nisi. Teraz dopiero zobaczyła tych dwoje, bo przyszła późno w czasie przemówienia Wreczyńskiego i była niem tak przejęta, że nie rozglądała się po obecnych. Straciła nagle wątek. Umilkła. A w chwili tej zerwała się Rózia; gestykulując od pierwszego słowa, zaczęła mówić głosem twardym, krzykliwym:

Różie — Ja tu nie mam nic do roboty. Przyszłam, bo mnie ona — moja siostra — pociągnęła. Ale tu, widzę, same narodowe demokraty, a ja jestem postępową i esdeczką.

Wreczyński spojrział na zaperzoną Różię i uśmiechnął się pobłaźliwie.

A ona bystremi, szaremi oczyma biegała po sali, obracając głowę, to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby wszystkich chciała wziąć na świadków swej postępowości.

Kilku chłopców parsknęło śmiechem, inni spojrzeli na nią, jak na sprzet bezużyteczny.

— Nie zatrzymujemy! — z drugiego końca bawialni krzyknął Kocicki.

— Wolna droga! — zawołał Jurek.

— Właśnie, że nie wyjdę — oznajmiła, rozsiadając się na krześle.

— Przepraszam, tu mogą być tylko osoby, które chcą przystąpić do Związku — objaśnił Wolski.

Mania pociągnęła siostrę za rękaw. Wstała zaczerwieniona i rzekła:

— Ona do nas przystąpi. Niech jeszcze posłucha. Może zrozumie.

— A niech słucha! — machnął ręką Rotblatt.

— Niby na co? — zwrócił się do niego Jurek, wzruszając ramionami.

— Przedstawiasz mnie za idiotkę — wyrzucała Różia Mani.

— Siedź cicho, albo się wynoś — zgromiła ją siostra.

— To krępuje obrady — szepnął do Antosia Kocicki, wskazując oczyma Rózię.

— Niema co na nią zważać. Idyotka!

— A jak rozpaple?

— Nie, to porządne dziewczyny — zaświadczył Jurek.

Nastrój został zmacony, urwała się myśl przewodnia; jak paciorki, rozsypał się wątek.

Wreczyński wstał od prezydyalnego stołu i oznajmił, że posiedzenie przerywa na chwilę.

Zapanował gwar rozmów i rozpraw, poszarpanych, bezładnych. Mania bardzo żywo i gniewnie przekładała coś siostrze.

Nagle spostrzegła, że dąży ku niej Nisia. Chciała zerwać się, wybiedz z pokoju, uciec z mieszkania, lecz nie miała siły wstać z krzesła.

A tymczasem Nisia podeszła do niej.

— Chciałam panią zobaczyć — rzekła.

— A ja nie — wyrwało się Mani, lecz pożałowała swoich słów, widząc zasmucone oczy panny Pohoreckiej. — Panią... i owszem — bąknęła.

— Często myślę o pani — mówiła Nisia bardzo nieśmiało. — I mnie źle bardzo — dodała cichutko.

Stały milczące, wzruszone, gdy za plecami Nisi odezwał się głos Antka.

— Jak to dobrze, że pani przyszła! — rzekł do niej.

— Dobrze, ale bezskutecznie — odpowiedziała. — Wróć do domu i wszystko pójdzie po dawnemu.

— Tak nie można. Pani przystąpi do naszego Związku.

— Nic ślubować nie mogę, bo spełnić mi nie dadzą.

— A siła charakteru?

— Nie mam jej.

— To ją pani zdobędzie.

— Jak?

— Wreczyński pani wskaże.

— Nie znam go.

— Przyprawdzą go tutaj.

— Nie, ja z nim mówić nie śmiem.

— Trzeba — odrzekł Antoś nakazująco i pobiegł po Wreczyńskiego.

Mania i Nisia zajrzały sobie w oczy i, nic nie mówiąc, jednocześnie wyciągnęły do siebie dłonie.

— To właśnie kolega Wreczyński, nasz prowodyr — mówił Antoś, przedstawiając go obu pannom.

Nisia stała przed nim zalękniona, lecz pełna cichej radości wewnętrznej.

Ośmielił ją paru słowami. Odpowiadając na jego pytania, szukała słów, zaczynała się: nie była przyzwyczajona do wyrażania swoich myśli.

— I ja... chciałabym coś... robić... działać... ale czy... czy ja-bym mogła... umiała... I co robić?... Walczyć chcę... także ze sobą... chcę z tchórzostwem moralnem. Jak?

— Porozmawiamy o tem. Dobrze?

Usiedli na uboczu.

A tymczasem Antek mówił z Manią.

— I pani smutno? — pytał.

— Panu także — stwierdziła.

— Będę walczył, przemogę się — upewnił ją, a ciszej dodał: — I pani będzie walczyła. Trzeba.

— Co komu po mnie?

— Dużo! bardzo dużo! W słowach pani było ciepło dobrej woli, była potęga serca, była siła.

— A we mnie jest — niemoc, obojętność na wszystko.

— Nie, nie!

— Tak!

— Tak być nie może. Pani pójdzie z nami ręką w rękę ku ideałowi, ku mecie.

— Jakiej?

— Właśnie będziemy nad tem radzić.

W tej chwili odciągnął go Jurek.

— Cóż ty się bawisz w rozmowy z dzierlatką! Szkoda czasu — trzeba nawiązać znowu dyskusję... A mówiłem! Odradzałem! Z babami zawsze bieda. Ja wiem — nie od dziś.

— Poczekaj. Za chwilę wrócimy do dyskusji.

— A tymczasem i Wreczyński traci czas z jakąś gęsią. Nie spodziewałem się po nim.

— Ładnie się bawicie! — wrzucił Ryś w ucho kuzynki.

— To się jeszcze naprawi. Poczekaj.

— Chcesz, to zaraz naprawię. Wstanę i powiem, że wszystko, czego oni tu chcą, nic mnie nie obchodzi. Że to dzieciństwo i bzdury.

Zonia potrząsnęła głową.

— Tego nie zrobisz, dla mnie — rzekła.

Z pod drugiej ściany dolatywał piskliwy głos Jurka:

— Jeżeli pogarda wykluczona z naszego Związku, to cały Związek na nic.

— Wykluczona! stanowczo! — dowodził Rotblatt. — Mają wstęp tylko uczucia dodatnie.

— Jakto! A nienawiść do wroga? — wpadł między nich Wolski.

— Zaprowadzimy z nim obrachunki inne: Nic nie ustępować przez opieszałość! Zdobywać, co się da — przekładał Antoś.

— I lizać mu łapę. Rzucąć mu się na szyję? Co? — krzyczał Wolski.

— Nie! zwalczać go — miłością dla swoich. W każdym paragrafie naszego Związku winna być: miłość, miłość i jeszcze miłość.

Antoś był podniecony; jego hasło padło w rozmowy, poszarpane na kawałki.

Ryś nachylił się i rzekł do Zoni:

— Nareszcie jest coś, na co i ja się zgodzę.

Wolski złowił uchem i słowa i ton drwiący.

— Możeby Rojewski zechciał wypowiedzieć się głośno — rzekł.

Ryś już otwierał usta, a z blasku oczu można było wnosić, że powie coś, co zabrzmi rozdźwiękiem nie mniejszym, jak »wyrwanie się« Rózi.

Powstrzymała go Zonia.

— On teraz nie ma jeszcze nic do powiedzenia — rzekła. — Ale się zmieni. Jestem jego kuzynką. Biorę go na siebie — oznajmiła.

— Jeżeli ty mnie bierzesz na siebie, gotów jestem ślubować, co tylko zechcą — szepnął jej z uśmie-

chem, którego nie rozumiała. A słowa wzięła z najlepszej strony.

Jurek i Rotblatt byli powarzeni. Krępowała ich obecność kobiet.

— Duch już rozbity na dzisiaj. I tak zawsze, na każdym posiedzeniu — mówił Wolski. — Z początku dobrze, potem albo się pokłóca, albo ktoś z głupstwem wystrzeli.

XXII.

Zonia Russocka była cioteczną siostrą Rysia, córką starszej siostry pana Zygmunta Rojewskiego. Przybyła z Daleszyc, w Sandomierskiem. Wraz ze swą młodszą siostrzyczką, Lusią, którą przywieziono do doktora, miała zamieszkać u pani Kasi, lecz Lula uparła się i wzięła ją do siebie. Chciała w ten sposób wytworzyć Rysiowi w domu atrakcyę i odciągnąć go od Mani, z którą pewna była, że utrzymuje stosunki potajemne i bardzo blizkie.

Tę pewność uzasadniały podejrzenia, wysnute z wyobraźni erotomanki, i tem silniejsze. Wprost niezbite.

Po naradach młodzieży, Zonia, wzięwszy poczucia społeczne Rysia na swoją odpowiedzialność, z wrodzoną sobie energią próbowała kształtować jego duszę. Z małym, co prawda, skutkiem.

Siedzą właśnie w buduaru pani Luli wystrojeni i czekają, aż ona ukończy swą toaletę. Za chwilę mają jechać na raut do pani Pohoreckiej.

— Moja babka ma wysokie ambicye — śmieje się Ryś — postanowiła, że jej salon weźmie rekord nudów. I bierze. Zobaczysz.

— Ty masz także swoją ambicyę: pozujesz zawsze na gorszego, niż jesteś.

— Wcale nie. Jestem jeszcze gorszy, niż się wydaję.

— Że tak mówisz, to tylko dowodzi twojej skromności.

Roześmieli się oboje.

— Lubię cię szalenie — oświadczył.

— I ja ciebie — zawtórowała. — Jesteśmy tacy blizcy!

— To mnie najmniej do ciebie skłania. Przeciwnie.

— Gdybyśmy byli obcy, możebyśmy się nie spotkali.

— Tego, tobym żałował.

— Widzisz!

— A odkąd zaczniesz mnie nawracać?

— Od... zaraz.

— Czy ja mam co robić, czy tylko słuchać?

— Przedewszystkiem słuchać mnie, a powtóre mówić mi wszystko, wszystko.

Spojrzał na nią z błyskiem, który natychmiast zagasił.

— To będzie trudno — rzekł.

— Trudności są na to, aby je zwalczać — wygłosiła.

— Doprawdy? Tak myślisz?

— Tak robię.

— A wiesz, ta właśnie trudność nie da się zwalczyć. W wszystkiego mówić ci nie mogę, choćbym chciał.

— Dlaczego?

— Innej wytłómaczyłbym to natychmiast.

— A do mnie nie masz zaufania? Ładnie! Proszę mi zaraz powiedzieć! Zaraz!

W jego oczach zapalił się znowu błysk, przed chwilą zgaszony.

— Bo to widzisz — rzekł z uśmiechem, który piękne jego usta oszpecił — nie wiem, czy już jesteś... uświadomioną?

Nie chciała mu okazać, że to pytanie zaskoczyło ją zniechęca i niemile. Zdecydowała się postawić odrazu rzecz na gruncie poważnym, więc spojrzała mu w oczy, prosto, śmiało i rzekła:

— Jestem... świadoma... wszystkiego. Możesz ze mną mówić, jak z kolegą.

Miał już na ustach, że o takich sprawach mówi z kobietami wyłącznie, lecz te słowa spłoszył jej wzrok jasny i czysty. Nic jednak powiedzieć nie zdążył, bo do buduaru weszła pani Lula w sukni blado-niebieskiej, mocno wydekoltowanej. Szeroka, czarna aksamitka, okalająca szyję, zwężała ją i wydłużała, a broszka brylantowa pochłaniała swymi blaskami zarysowujący się zbyt wyraźnie podbródek; nie zdołała jednak przyćmić barwy nosa. Walczył też z nią bezskutecznie blansz i puder.

Pani Lula ubierała się dziś dłużej jeszcze, niż zwykle: chciała wyglądać nie tylko młodo, lecz wprost młodziutko, tak, żeby trudno było uwierzyć, iż jest

matką ślicznego chłopca, który po raz pierwszy miał się ukazać światu.

Gdy go ujrzała we fraku — strzelistego, a już rozrośniętego, odczuła i dumę, i żal, i radość: wydał jej się mniej synem, a bardziej mężczyzną.

Na jej widok, wstał i skłonił się jej głęboko, nachyleniem głowy ukrywając uśmiech szyderczy. Gdy głowę podniósł, uśmiechu na twarzy już nie było; zastąpił go wyraz nieokreślony.

— Brat i siostra! — rzekł, stając z matką przed lustrem.

— Nie tak dalece — zaprzeczyła, uradowana.

— Tak właśnie! — upewnił ją z uśmiechem, w którym chciała widzieć uwielbienie.

— Gdzie ojciec? — spytał Ryś.

Na progu stanął bardzo wysoki szatyn. Jego bujne włosy chciały koniecznie układać się w czuprynę, a układane były na dwie strony z rozdziałkiem pośrodku głowy, co zmieniało typ twarzy, pięknej, lecz nie wymuskaną urodą. I szafirowe oczy były widocznie przerobione: w ich głębi została jeszcze wesołość, zasnuta jakby siecią pajęczyny; usta grube, ponsowe, musiały śmiać się szczerze, zanim, ogołocone z wąsów, ułożyły się do obojętnego uśmiechu. Po całej twarzy przeszedł obcy powiew.

Inny musiał być przed laty pan Zygmunt Rojewski, jeżdżący najtyczanką po Sandomierskiem, a inny ten, który za chwilę miał wsiąść do karety w Warszawie.

— Jedziemy? — zapytał żonę.

— Tak, ja jadę z Rysiem — zadecydowała.

— A my? — rzekł, patrząc na Zonię.

— Wy możecie poczekać, aż konie odeślę, albo wsiąść do dorożki.

— Jest miejsce w karecie na czworo — wsunął pan Zygmunt.

— Ale ja nie myślę jechać całą bandą, jak na imieniny księdza proboszcza — rzekła Lula porywczo.

— Więc ja zostanę — oznajmił Ryś.

— Ty? — przeraziła się wprost matka.

— Ja, i bardzo chętnie.

— To niema sensu. Ty musisz... koniecznie.

— Wiesz, że ja nic nie muszę — odpalił Ryś.

— Jeżeli nas za dużo, to ja nie pojedę — zaproponował pan Rojewski.

— Zaczniemy teraz zostawać po jednym — oburzyła się Lula.

— Właśnie chciałam powiedzieć, że ja jestem najmniej potrzebna — odezwała się Zonia.

— To ja widocznie wszystkim zawadzam.

Mówiąc to, Lula spojrzała na nią złośliwie.

— Więc jakże będzie? — pytał pan Rojewski, spoglądając na żonę.

— Rozbieram się! — zawołała, zrywając aksamitkę z szyi.

— Proszę cię, bez awantur — upomniał ją Ryś chłodno. — Pojedziemy wszyscy razem — rzekł do ojca.

— Wiem, o co ci chodzi — bryznęła gniewnie matka.

— A ja wiem, o co — tobie... Wzruszające porozumienie duchowe! — odrzekł syn, i dopowiedział resztę oczyma, w których było lekceważenie.

Siadając do powozu, pani Lula owinęła się płaszczem tak szczelnie, aby rąbek jego nawet nie dotknął płaszczyka Zoni. Ryś usiadł naprzeciw kuzynki i oczu z niej nie zdejmował. Czynił to ostentacyjnie, przekornie.

XXIII.

Salon pani Pohoreckiej uchodził wprawdzie za nudny, ale że miał piętno »wyłącznieści« i »wybredności«, nudzono się w nim chętnie — kobiety zwłaszcza, bo, wynudziwszy się w tej »filii Niepokalanek«, miały prawo tem weselej i swobodniej bawić się gdzieindziej. Dawało to patent na używanie broni w sposób legalny, czyli — w szermierce »flirtowej«. Ów patent był tarczą, przeciwstawianą pociskom opinii, albowiem pozwolenia na broń nie udziela się kłusownikom.

Mężczyźni nudzili się tu mniej chętnie, jako że legitymacya na broń do użytków legalnych jest im zgoła niepotrzebna, a z kłusownictwem umieją sobie radzić; lecz skądinąd nawiedzanie tego przybytku nudów było dla nich legitymacyą: starczyło za rodowód; że zaś liczne pokrewieństwa łączyły wielu »clubmenów« z rodziną Pohoreckich, że pan Stefan głośno się odzywał, iż przypuści obie siostry do równego działu, więc w salonie jego matki bywali ci wszyscy mężczyźni, których tylko chciała widzieć u siebie.

»Bywa — nawet u pani Pohoreckiej«.

Nie wpisywano sobie tej odznaki na biletach, ani jej wsuwano w klapę od tużurka, jak orderowego

znaczką, lecz dodawano zwykle, jako rekomendację i komentarz.

W salonie pani Pohoreckiej przesiewano przez sito... pyłek lili, udzielano dyplomów na szlachectwo na dystynkcyę, na dobry ton.

Mężatki, bez różnicy wieku, stanowiły blok odrębny, przeplatany paru sędziwemi łysinami. Orle spojrzenie gospodyni domu wywabiało wszelkie konwersacyjne dary.

Bo o czemże mówić, gdy nie wolno: o teatrze o najnowszych książkach, o plotkach, a nawet »o niczem«, to jest o najobfitszym temacie, potępianym przez panią Pohorecką.

W ciągu trzechmiesięcznego pobytu w Warszawie Nisia nie była ani razu w teatrze, gdyż, po przeczytaniu recenzji z każdej nowej sztuki, matka orzekała, że »nie jest dla panien«. Tak samo działo się z każdą nową książką.

Po parę razy na dzień Nisia musiała wysłuchiwać roztrząsań nad ważną sprawą: co jest a co nie jest przeznaczone dla jej oczu i uszu. Mogła była nabrać przekonania, że świat podzielony jest na dwie odrębne kategorye zjawisk i produkcyi ducha: takich, które są, i takich, które nie są przeznaczone dla panien.

A słuchając tych dociekań, obojętniała dla jednych zjawisk i produkcyi, zarówno jak i dla drugich.

Stałą apatyę i znudzenie przerywały chwile cichego, nieujawnionego buntu, gdy w salonie matki, oprócz nudów, zjawiał się młodzieniec »z zamiarami«. Kilku już otrzymało stanowczą odprawę, w której Nisia nie brała udziału — żadnego. Obecnie stawał

swą kandydaturę Ukrainiec, obywatel ziemski z powiatu czehryńskiego, pan Włodzimierz Narwojsz-Miłybój.

Był konkurentem — przyzwoitym, to jest poprawnym w zachowaniu i w słowach, z dobrymi manierami, z doskonałą francuszczyzną, z majątkiem — odłużonym wprawdzie, ale dużym, posiadającym piękną rezydencję. Zalecało go też wielkie przywiązanie do matki ociemniałej. Umiał słuchać uważnie, odzywał się rzadko, ale »taktownie«. Z Nisią zamienił zaledwie słów parę, z panną Anielą rozmawiał o malarstwie krajobrazowym, do którego miał wielkie zamiłowanie. Posiadał, jak mówiono, wcale ładną galeryę, a zbiory swoje wciąż powiększał.

Była to, według słów pani Pohoreckiej, mania »przyzwoita«.

Wielkim atutem w jego zabiegach konkurencyjnych było orędownictwo wuja i domniemanego spadkodawcy, starego kawalera dziwaka, pana Łukasza Nielubowicza.

Jak szeptano — nie tylko w czehryńskim, lecz i w łuckim powiecie — przed laty dwudziestu paru bywał on często w Pohorcach i należał do adoratorów cichych, lecz skutecznie wielbiących piękną panią Reginę. Gdy mąż jej umarł, sądzono nawet, że zostanie panią Nielubowiczową na Łebedynce, lecz właśnie w owym czasie stosunki ochłodziły — a odwiedziny pana Nielubowicza w Pohorcach stały się rzadsze. Bywał tam jednak raz na rok i jemu jednemu wolno było rozmawiać z Nisią bez asystencyi osób trzecich.

Nie korzystali z tego oboje. Zdarzało im się nie-

raz godzinę przesiedzieć obok siebie w milczeniu, lub odbyć spacer, nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Mimo to, podczas odwiedzin pana Nielubowicza, Nisia bywała mniej smutna, a po każdym jego wyjeździe — smutniejsza jeszcze. Nawet z panną Anielą nie mówiła o nim nigdy.

Wielkie było zdziwienie w czechryńskim powiecie, gdy pan Konstanty Nielubowicz, po latach trzydziestu, zapragnął znowu ujrzeć Warszawę. Towarzyszył mu w tej »podróży« pan Włodzimierz Narwojsz-Miłybój z Neswatkowej. Złożyli obaj wizytę pani Pohoreckiej i zostali przyjęci łaskawie.

Odtąd pan Włodzimierz bywał naprzód ze swym dziewostwem raz na tydzień, na południowych przyjęciach, potem częściej; wreszcie począł zaznaczać swe zamiary; pani Pohorecka bardzo chłodno objawiała im swą aprobatę.

Przed paru dniami, po raz pierwszy w ciągu sezonu, zjechał, wezwany telegraficznie, pan Stefan. Po długiej naradzie z matką, przy drzwiach zamkniętych, miał rozmowę na cztery oczy z Nisią.

Spytał ją, »czy nie ma nic« przeciw panu Włodzimierzowi Narwojszowi?

— Jest mi obojętny — odpowiedziała najobojętniejszym swoim głosem.

— Ale nie wstrętny?

— Nie.

— Otóż pan Narwojsz-Miłybój oświadczył się o twoją rękę. I matka i ja życzymy go sobie, a skoro i ty wstrętu do niego nie czujesz, może być uznany za konkurenta?

— Może — odparła z obojętnością niezmaconą. Poczem rozesłano zaproszenia na raut, który miał być półurzędowem obwieszczeniem tego konsensu.

Zapowiadał się bardzo nudno. Wśród mężatek, stasowanych razem bez uwzględnienia wieku, było kilka hrabin starszych i młodszych, jedna niemłoda księżna, parę nietytułowanych ziemianek i dwie tylko damy z »miasta«: pani Bogdańska, która mogła się liczyć do sfer obywatelskich, oraz adwokatowa Bełtowska, której mąż prowadził jakiś zawily proces pani Pohoreckiej o majątek, zapisany jej przez ciotkę w Hrubieszowskiem.

Lula, w epoce swej gorączki rewolucyjnej, zaprzyjaźniła się z bardzo przystojną i wesołą panią Netą Bełtowską i zawróciła głowę jej mężowi. Wtedy jeszcze miała nosek piękny — i kształtem i barwą. Potem stosunki rozluźniły się, gdyż pani Lula żywiła urazę do wszystkiego, co jej przypominało miodowe miesiące z konstytucyjną dobą.

W tym roku, zjechawszy do Warszawy na zimę, odnowiła te stosunki, zależało jej bowiem coraz bardziej na wygraniu procesu i pragnęła być uwiadomioną o wszystkich jego fazach.

Miała i cel inny. Będąc z natury zazdrosną o wszystkich i o wszystko, o to nawet, czego nie mogła mieć i o co nie dbała, przedewszystkiem była zazdrosna o męża i syna. A pan Zygmunt ożywił się zwykle w towarzystwie pani Nety. Lula podejrzewała go, zresztą niesłusznie, że ją widuje częściej, niż wymagały blizkie nawet stosunki towarzyskie.

Cechą Luli było nieustanne podejrzewanie każdego — o to zwykle, co zdolna była sama wobec każdego uczynić.

Wśród gości, przesianych ręką pani Pohoreckiej, tylko jej najbliżsi nie stosowali się do wytkniętego przez nią planu sytuacyjnego i zajmowali pozycje samowolnie.

Ryś, zamiast kierować ogólną rozmową w gronie młodzieży, śmiał się i mówił półgłosem z Zonią Russocką, co było tem bardziej niewłaściwe, że przybyli razem, z jednego domu. Stefan tak był zajęty panią Dada, że zapominał o swoich obowiązkach gospodarza. Lula rozmawiała wprawdzie z kobietą, ale, jakby na przekór, z tą właśnie, z którą można było nie robić ceremonii, gdy hrabina Korewicka, jako najstarsza matrona, miała prawo do wyjątkowych względów, nie tylko pani domu, lecz i jej dzieci...

A Lula, siedząc na uboczu z panią Neta, prowadziła indagację. Wśród rozmowy o najmodniejszych futrzanych »etolach« spytała nagle, pragnąc ją zaskoczyć znienacka:

— Powiedz mi, jak stoisz z moim mężem?

Pani Neta, uszczęśliwiona, zarówno jak i stro-piona swoim występem w wielkim, w »największym« świecie, straciła do reszty głowę i zmieszała się bardzo, utwierdzając Lulę w jej podejrzaniach.

— Nie wstydz się, powiedz otwarcie — namawiała »przyjaciółka« — nikt już nie wstydzi się kochanka. Przeciwnie. Wolę, żeby Zygmunt miał ciebie, niż inną. Niech nareszcie ma tę, lub ową. Niech mniej siedzi w domu! I ja chcę mieć większą swobodę ruchów.

Panią Netę zachwycał i oburzał niemal na równi ten cynizm.

Wrodzona próżność mieszczki, chcącej dopasować się do wielkiego świata, kazała jej tać głęboko zdumienie wobec teorii, burzących jej dotychczasowe zasady; lecz pojęcia przyjaciółki wydawały jej się postępowe i stąd nabierały ceny. W okresie porewolucyjnym nie czas było uprawiać stare cnoty.

— Niechże się raz dowiem: podoba ci się mój mąż? Tak, czy nie? — nalegała Lula.

— I owszem — mówiła wymijająco pani Neta. Chętnie bardzo przyjmowałyby hołdy pana Rojewskiego, dotychczas wszelako nie miała jeszcze sposobności ich przyjmować.

— »I owszem«, to żadna odpowiedź — podjęła Lula. — Tak albo nie? Inaczej gotowa jestem cię posądzić, że... że — kochasz własnego męża.

Te słowa, rzucone z szyderstwem, stropiły do reszty panią Netę.

— Widzisz! Mam rację — zaśmiała się Lula.

— Cóż za podejrzenie! Właśnie wczoraj...

— Wypowiedziałś mężowi »posłuszeństwo«?...

— A tak.

— I zdaje ci się, że to coś niestychanego. Z nas przecież żadna nie żyje z mężem — kłamała Lula.

— A dzieci — jakże? skąd? — dziwiła się Neta.

— Któż ma dzieci? Najwyżej — jedno, w pierwszym roku, w okresie naiwności. Potem... sztuka dla sztuki, bez tendencji.

Pani Neta zawstydzila się swoich trojga dzieci,

jakby jedzenia ryby nożem; lecz po chwili przypomniała sobie wyjątek, obalający teorię pani Luli.

— Hrabina Żurowa ma aż siedmioro — wtrąciła na swe usprawiedliwienie.

— Moja droga, można być hrabiną, a nie być wielką damą — objaśniła ją Lula.

Pani Neta wyciągnęła stąd taki wniosek: że można być panią Bełtowską, jednak dorównywać hrabiniom w dystynkcyi, a nie dorównywając im liczbą dzieci, tem właśnie je przewyższać.

Rozmawiały na uboczu głosami przyciszonymi. Lula zniżała jeszcze swój, ilekroć matka, z drugiego końca salonu, gromiła ją oczyma.

W chwili, gdy pani Neta wysnuwała taki sens moralny z aforyzmów swej przyjaciółki, do Luli przysiadł się znany sportsman i meloman, pan Godziemba. Zaczęła z nim ożywioną rozmowę, zapominając zupełnie o pani Bełtowskiej, która, dla dodania sobie kontenansu, wyrazem twarzy i uśmiechem usiłowała dowieść obecnym, że bierze udział w tym dwugłosie, coraz bardziej ożywionym i opieprzonym. Dodawały Luli humoru napomnienia wzroczne matki.

Ryś już od kwadransa nie odstępował Zoni. Rozmowa przeplatana była śmiechem, ku zgorszeniu babki.

— Straciłem jeszcze jedno złudzenie — mówił, a gdy kuzynka spojrzała zaciekawiona, objaśnił:

— Byłem pewny, że nie może być nudniej, niż w Pohorcach — a jednak...

— Postarajmy się bawić — namawiała go Zonia.

— Spróbuj. Mnie się to nie uda.

— Nawet ze mną?

— Nawet z tobą, pod okiem — babki. I tobie nie radzę się bawić. Choć właściwie, lepiejbyś na tem wyszła; straciłabyś raz na zawsze prawo nudzenia się w tym salonie.

— Więc tutaj bawić się nie wolno? — pytała.

— Moja babka nie zniosłaby tego.

— Po co ja tu przyjechałam?

— Żeby rozmawiać ze mną. To chyba dosyć.

— To bardzo dużo, ale na to nie potrzebuję wyjeżdżać z domu, od was.

— Będziesz pewno musiała — rzekł, i głosem przyciszonym dodał:

— Ty u nas mieszkać nie możesz.

— To samo sobie mówiłam, jadąc tutaj. Powiedz mi, dlaczego wujenka mnie nie lubi?

— Dlatego, że ja cię lubię za bardzo.

— Mnie za bardzo lubić nie można, bo ja sama lubię wszystkich i okropnie lubię, żeby mnie wszyscy lubili.

— Jeżeli wszyscy, to ja — nie.

— Taki jesteś przekorny?

— Taki... wyłączny.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz umilkł, bo zobaczył zbliżającą się matkę, za którą szedł pan Godziemba.

— Więc utrzymajmy salon w stylu *mil huit cent trente* — mówiła do niego. — Niech młodzież zabawi się w gry towarzyskie. *Ce sera moins ennuyeux* — zwróciła się do syna.

— My się doskonale bawimy — upewniał ją.

— Ale wartoby pomyśleć nie tylko o sobie — wygłosiła sentencyonalnie.

— I owszem, myśl. Ja ci nie przeszkadzam — odpalił i chciał znowu usiąść przy Zoni, ale krzesło obok było już puste.

Staął we drzwiach.

— Bawi mnie pani w roli matki — mówił pan Godziemba, odchodząc z Lułą do przyległego buduaru.

— Niech pan nie myśli, że tej roli nie umiem — odrzekła.

— Pewien jestem, że pani potrafi grać każdą — oprócz jednej.

— Wiem, wiem.

— Tej właśnie, w której ja chciałbym panią widzieć.

— Proszę mnie tak bardzo nie namawiać. A nuż ją przyjmę?

— Nie pożałowałyby pani tego.

— Ale pan-by mi tego nie darował.

Udał, że nie rozumie, i kończył:

— Otworzyłbym pani wrota do raj.

— Na to trzeba mieć... klucz — odpowiedziała z uśmiechem złośliwym.

Pan Godziemba, który miał opinię zdobywcy... nie mogącego już korzystać ze zwycięstw, nie dał poznać po sobie, że go dotknęła w najdrażliwszą strunę, lecz wzamian w jej strunę uderzył.

Jednym spojrzeniem dał jej poznać, że pod blanszem i pudrem dostrzega barwę jej noska.

Weszli do buduaru, gdzie pan Stefan rozmawiał bardzo żywo z Dada, a piękna adwokatowa swojemi minkami i przesadnym głosikiem drażniła nerwy hr.

Beliny, który szukał odszkodowania, przyglądając się liniom jej ramion i szyi.

Pani Pohorecka, co pewien czas przez *face à main*, spoglądała na ową grupę mężatek, które nie tylko pozwalały sobie wyjść z salonu, lecz na domiar, rozmawiały z tymi, z którymi miały ochotę rozmawiać.

A nie dość na tem, Nisia... rozmawiała już zbyt długo ze swoim konkurentem. Należało zaprowadzić sanacyę.

Pani Pohorecka wstała z kanapy i majestatycznie zdążyła do drzwi, w których stał Ryś.

— *Richard, mon enfant* — rzekła do niego — proszę cię, usiądź po drugiej stronie Nisi. *Ce tête-à-tête dure trop longtemps.*

Po »pierwszej« stronie bladej panienci zajmował miejsce p. Narwojsz - Miłybój. Był jakby jej antytezą. Rosły, barczysty, ogorzały, obok nieśmiałej dobroci miał w jasnych oczach energię i stanowczość.

Niktby nie poznał po Nisi, że jest zmieszana. Po raz pierwszy w swem życiu rozmawiała z mężczyzną prawie sam na sam. Ich cicha rozmowa wpływała do dyskretnego szmeru zapelnionych salonów, zlewając się z nim tak, że pojedynczych słów nie można było rozróżnić, jak w szmerze strumyka nie rozróżnić zlewających się ze sobą kropel.

Pan Narwojsz nie miał jeszcze dotąd sposobności porozumienia się z Nisią. Już zmiarkował, że nie jest ani tak bierna, ani tak apatyczna, jak się wydaje: te spostrzeżenia uzupełnił wuj Nielubowicz, który,

choć mało słów z Nisią w życiu zamienił, jednak znał ją prawie tak dobrze, jak panna Aniela.

Owego wieczora, dotknięta silną migreną, nie pokazywała się ona wcale.

— Nigdy jej niema, kiedy potrzebna. A ręczę, że udaje, żeby zrobić na złość. To hipokrytka — buntowała Lula przeciw niej matkę od rana, nie cierpiąc panny Anieli, jak wszystkich tych, w których nie znajdowała uwielbienia dla swojej osoby.

Czy istotny ból głowy przeszkodził nieodłącznej towarzyszce Nisi towarzyszyć jej tego wieczora, czy też był symulowany w interesie ukochanej pupilki, bądź co bądź ułatwił porozumienie dwojga młodych.

Nisia, siedząca wśród panienek, była mniej apatyczna, niż zwykle.

Odszedłszy od Rysia, Zonia zamieniła z nią słów kilka, poczem obie powstały. W chwili tej zbliżył się do nich pan Narwojsz. Dwa krzesła puste znalazły się w pobliżu, a Zonia znalazła coś bardzo ważnego do powiedzenia swej koleżance, pannie Daleckiej z Sandomierskiego.

Młodzi zajęli miejsca obok siebie i natychmiast pan Włodzimierz, szybko, niemal gorączkowo, jak gdyby się bał, że mu w tem przeszkodzą, zapytał:

— Pani wie o moich zamiarach?

A Nisia sztywna, chłodna, jak zwykle, odpowiedziała:

— Wiem.

— I jak się pani na to zapatruje?

— Dotychczas zapatrywałam się obojętnie.

— A teraz?

— Życzliwie.

— Dlaczego?

— Bo pan zapytał: co ja o tem myślę.

— I chce pani wyjść za mnie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo chcę wyjść z domu.

— Źle pani tutaj?

— Bardzo źle.

— A nie boi się pani, że ze mną może być gorzej?

— Nie.

— Znowu spytam: dlaczego?

— Bo gorzej być nie może.

Umilkli. Nie patrząc na nią, pod chłodną maską widział, że się zмага ze sobą. Wreszcie rzekła:

— I ja pana o coś zapytam.

Słucham.

— Dlaczego pan chce się ze mną żenić?

Pan Narwojsz umiał trzymać na wodzy objawy swych uczuć; w chwili tej jednak nie zdołał ukryć przykrego wrażenia. Zarysowało się drgnięciem powiek i wysunięciem naprzód dolnej szczęki. Nie odpowiadał.

— Niech pan mówi prędzej! Szczerze! — nalegała z obojętnym wyrazem twarzy, choć w głosie był lęk i prośba.

— Potrzebuję w tej chwili stu tysięcy dla spłacenia siostry.

— Pan jej nie daje czternastki?

— Nie.

— Ja... ja pewno tylko czternastkę dostanę... a moja czternastka nie wynosi stu tysięcy. Proszę się dobrze zastrzedz. Siostra, Rojewska, dostała tylko sześćdziesiąt tysięcy... Nie chcę, żeby pan miał zawód.

— Pani jest bardzo... szczerą.

— Zwykle — nie. Teraz może zanadto. Ale ślubowałam sobie zwalczać swoje wady. A moją największą wadą — brak szczerości.

— Po czym pani poznała, że ze mną można mówić otwarcie? — zapytał głosem mniej chłodnym, niż przed chwilą.

— Poznałam — po jednym błysku oczu.

— Pani w oczy ludziom nie patrzy.

— Ale wszystko widzę.

Właśnie w tej chwili, z polecenia babki, przysiadł się do nich Ryś.

Umilkli.

— To tak? Już państwu trzecia osoba zawadza? — przekomarzał się i dodał: — Upewniam państwa, że nie przychodzę z własnej ochoty. Wolałbym nie wyręczać panny Anieli. To nie zabawne. Lepiej jednak, że ja tu usiadłem, niż kto inny. Nie krępujcie się. Słuchać nie będę.

— Jeżeli usłyszysz, wiem, że nie powiesz, ani mojej matce, ani swojej.

— Tak mało z niemi mówię.

— Muszę panu dziś wszystko powiedzieć — ciągnęła dalej. — Proponuję układ taki. Panu potrzeba stu tysięcy — ja chcę doprowadzić do skutku pewne zamierzenie. Wyjdę za pana, oddam panu, bez za-

strzeżeń wszystko, co mi dadzą — oprócz... Muszę sobie zostawić dziesięć tysięcy. Koniecznie.

— Czy mogę zapytać: w jakim celu?

— Może pan: połowę na stypendya dla ubogich uczniów, trzy tysiące dla popierania nauki analfabetów i dwa tysiące na towarzystwo współdzielcze.

— Moja droga, ja muszę kiedy niekiedy się odezwać — wtrącił Ryś — inaczej spostrzegą nasz manewr.

— Dobrze — odpowiedziała i, nie zwracając się twarzą ani w jego stronę, ani ku panu Narwojszowi, rzuciła jakby w przestrzeń:

— Tyle mieć muszę. I pan powinien o tem wiedzieć z góry.

— Za trzy lata będzie pani miała u mnie kredyt nieograniczony — oświadczył, głos zniżając.

— U pana? — zdziwiła się nie twarzą, lecz głosem.

— I nie tylko na pieniądze własne... — dodał z naciskiem. — Mam fortunę dużą.

— Więc czemu pan chce się żenić ze mną? — zdziwiła się znowu.

— Przed godziną — dla tych stu tysięcy, które mi są potrzebne chwilowo. Teraz — dla pani.

Umilkli. Ryś uznał tę chwilę za stosowną dla wtrącenia nawiasu.

— Jak państwu nie będę już potrzebny, zechciejcie powiedzieć, bo mnie to nudzi.

— Ja już zaraz skończę — obiecała mu Nisia, a sąsiadowi z drugiej strony rzuciła głosem, który zdrzał: — Muszę panu jeszcze powiedzieć, że z panną Anielą nie rozstanę się nigdy — nigdy.

Wstała. I on wstał, głowę lekko nachylił, a gdy ją podniósł, zajrzeli sobie do oczu po raz pierwszy. On w jej oczach zobaczył wdzięczność. Wziął ją ze wzruszeniem.

Pani Pohorecka, zabezpieczywszy Nisię od sam na sam z człowiekiem, z którym miała zostać sam na sam przez całe życie, wróciła do pań. Skorzystały z jej krótkiej nieobecności, aby się nieco ożywić.

— On nie gra: on się wciela w »Bogatego wujaszka«. Dawno już takeśmy się nie ubawiły! — dowodziła jedna z ziemiarek.

— Pani była na tem z córką? — zdziwiła się pani Pohorecka. — Czy to sztuka dla pańien?

— Niestety, dziś już nikt nie pisuje dla pańien — biadała hrabina Korewicka.

— Ja też ani razu nie byłam w teatrze z Nisią. A recenzenci nie oburzają się nawet.

— Recenzje byłyby za długie — nadmieniła ziemiarka.

— Na afiszach powinnyby dodawać: »tylko dla mężczyzn« — rzekła pani Pohorecka. Nagle ściągnęła brwi groźnie. Nie był to wyłącznie objaw niezadowolenia ze sztuk i recenzentów.

...Jej rodzone dzieci dawały zły przykład.

Dostrzegła, że w przyległym buduaru Lula siedzi przy panu Godziembie, tak blisko, iż jej tren zakrywa mu nogi.

Wśród cichego szmeru, panującego w salonie, trudno było słyszeć, czy mówią głośno, lecz nachylenie postaci kazało przypuszczać, że rozmowa prowadzona jest szeptem.

W drugim rogu, na małej kanapce, Stefan siedział przy Dadzie.

Że pani Beltowska pozwalała hr. Belinie trzymać swój wachlarz, to było oburzające, lecz usprawiedliwione nieznaną formą towarzyskich.

Ale jej własne dzieci!...

Podtrzymując konwersację, pani Pohorecka wyteżala słuch, aby się przekonać, czy istotnie z buduaru dolatuje... cisza.

A właśnie hr. Korewiczka pogrążona była w dociekaniach: czy więcej pięknych kobiet zdobyło świat dawniej, czy też dzisiaj. Owe dociekania były prowadzone z dużą sympatią dla przeszłości, w czem utwierdzał ją argumentami i cytacjami księżę-prezes.

Do rozmowy przyłączyły się inne panie, z których kilka »zdybiło« świat swego czasu. Szala sądów skłaniała się coraz bardziej ku przeszłości. Szybowanie po jej rozległych obszarach mogło się odbywać bez udziału gospodyni domu. Skorzystała z tego, aby zatamować swobodę w buduaru. Wstała i w tę stronę skierowała swą majestatyczną postać.

Tak, nie ulegało wątpliwości. Panoszyła się tu cisza. Wszystkie trzy pary mówiły szeptem.

W tę ciszę nieprzyzwoitą pani Pohorecka wsunęła szelest swoich jedwabów. Zanim doleciał do uszu delikwentów, z jednej strony wpadły jej w ucho słowa Luli:

— Gdybym się zgodziła i... przyszła... ostrzegam, że jestem bardzo wymagająca... przyzwyczajona...

A z drugiej strony szept Stefana:

— Będę póty chciał... aż wychę...

Pod panią Pohorecką zachwiały się nogi.

...Jej własne dzieci!

Przesunęła się przez buduaręk, nie karcąco, jak zamierzała — lękliwie niemal. Bała się coś więcej usłyszeć.

Za jej czasów pożądaniami były takie same, lecz prowadziły do celu — skromnie. Nikt o tych rzeczach nie mówił.

Kazała podać kolację jak najprędzej.

XXIV.

W drzwiach od salonu do gabinetu, gdzie grano w karty, stało dwóch panów: radca Szrankowski i pan Konstanty Nielubowicz. Obaj byli szczupli, postawni, lecz gdy pierwszy, jako światowiec i bywalec, w sposobie układania bujnych jeszcze włosów i w przystrzyganiu wąsów, szedł za postępem — dziwak z powiatu czechryńskiego miał głowę urządzoną tak, jak je układali fryzyerzy z przed lat trzydziestu. Nosił długie piękne faworyty i zaczesywał na lewy bok włosy, podkręcając je żelazkiem. Swego czasu charakteryzował się widocznie na Anglika. Odbijało się to i na wyglądzie zewnętrznym i na zachowaniu. Gdy patrzył na rozmowę Nisi z siostrzeńcem, w jego małych, siwych oczach zapalały się błyski cichego zadowolenia; gasił je, lub osłaniał powiekami, a w takich chwilach, przy bladej cerze i suchej twarzy, wyglądał na nieboszczyka.

Właściwie od lat wielu żył przypadkowo, dzięki

grze w ślepią babkę ze śmiercią, która doganiała go ciągle, uchwycić nie mogąc.

Brak urody i zdrowia ostatniej latorośli pięknego i bujnego szczepu Pohoreckich utwierdzał sąsiadów z czechryńskiego a i z łuckiego powiatu w złośliwych przypuszczeniach.

— Taka sama śpiczasta, sucha, milcząca — mówiono pod sekretem.

Że jednak dużo osób udzielało sobie tego sekretu, była to poniekąd tajemnica publiczna.

Ma się rozumieć, pan Szrankowski o ukraińsko-wołyńskich domysłach nic nie wiedział.

Pana Nielubowicza poznał przed godziną i odrazu uczuł do niego sympatyę. Jej źródła należało szukać w niesłychanej małomówności Ukraińca.

Radca Szrankowski, dzięki swej opinii gaduły i nudziarza, nie łatwo znajdował uszy cierpliwe.

Jak każdy sąd ludzki, tak i ten był i słuszny i niesprawiedliwy. Radca lubił mówić długo i retorycznie, to było prawdą; lecz nie mówił nudno. Kiedyś, przed laty kilkunastu, trafił na słuchacza, który się śpieszył na kolej i nie miał czasu słuchać jego filozoficznych spostrzeżeń. Ten do niego przykleił etykietę: nudziarz. A jest to najtrudniejsza do odlepienia.

Z tą etykietą, jak ze straszakiem, chodził radca po salonach, dziwiąc się, przez lat kilkanaście, że ludzie przestali mieć czas. Każdy, do którego się zbliżył, po paru minutach rozmowy, a właściwie jego monologu — miał zawsze jakąś ważną sprawę do załatwienia, lub coś pilnego do powiedzenia — komu innemu.

Nikt nie miał czasu wystłuchiwać tego, co miał do powiedzenia radca; każdy obawiał się, że ma do powiedzenia — za dużo. A on miał — coraz więcej, w miarę, jak sposobność wypowiedania się była rzadszą dla człowieka, który za młodu słynął zawsze z tego, że umiał bawić, zwłaszcza damy.

Po tym kunszcie została mu znajomość serca kobiecego. Cóż dziwnego, że chciał ją przekazać innym. Gdyby miał taki dar pióra, jak słowa, mógłby pisywać pamiętniki i zostawić ciekawe studyum obyczajowe. Utrapieniem, i jego i jego znajomych, było, że, zamiast na papier, chciał je przelewać wprost w ucho słuchaczów.

I oto znajdował ucho cierpliwe. Nawet więcej — chętne.

Jego spostrzeżenia zainteresowały pana Nielubowicza, który owego wieczora był niezwykle rozmowny, a dawał też dowód wytrzymałości nóg, już od godziny stojąc we drzwiach i przypatrując się bacznie, jak ludzie... nudzą się w Warszawie.

— Więc w wielkim świecie jest czyściej, niż głosi opinia? — spytał po długich wywodach pana Szrankowskiego.

— Bezwarunkowo — upewniał radca — legendy o złem prowadzeniu dam z towarzystwa rodzą się w głowach mieszczek, które je sądzą po sobie. W sferach mieszczańskich... daleko brudniej, niż w naszych salonach. Różne panie Pieprzykowskie i Kratkiewiczowe myślą, że hrabinom tak łatwo, jak im, przechodzić przez świat niepostrzeżenie. Żeby mieć kochanka w mieście tak małym, jak Warszawa, na to

trzeba być — liczbą mnogą, ziarnem w korcu maku, albo — wyzywać opinię.

— Mało takich wyzywających!

— Bardzo mało. Nie naliczyłbym na palcach. Są to damy tak wielkie, że, cokolwiekby robiły i »wyprawiały«, żadne drzwi nie zamkną się przed nimi — bo we wszystkich pałacach mają krewnych i koligatów. Szary tłumek, pełen oburzonego podziwu, mnoży przez dziesięć ich miłosne przygody. Rzecz wiadoma: *on ne prête qu'aux riches*. A mężowie tych dam bywają bądź — zaślepieni, bądź... pobłażliwi, *des maris complaisants*. Tacy rekrutują się wśród zubożałej szlachty. Jest i trzecia kategoria — zupełnie na te r z e c z y obojętnych. Z powodu własnych wykroczeń lub... niezdolności, wreszcie przez zanik poczuć moralnych. Coraz mniej mężów, którzy osobiście nie lubią, a nawet bardzo nie lubią, żeby ich żony zdradzały. Nie lubią tylko, żeby o tem wiadano. A o tych rzeczach wie się zawsze.

— Można się tak urządzić, żeby nie dowiedział się nikt nigdy — wtrącił z głębokiem przekonaniem pan Nielubowicz.

— W Paryżu, w Berlinie, w Londynie — tak, ale nie na naszym partykularzu. Gdzie pan chce, żeby się taka para... kochała?

W hotelu? Chyba po to, żeby od szwajcara do numerowego wszyscy o tem szeptali — wreszcie spotyka się zawsze znajomych w chwilach nieodpowiednich. Są na to *garçonniery*? Zapewne, ale niechże hrabia X., albo księżna Ż., albo nawet bankierówna Y.,

wejdą do takiego przybytku miłości, nazajutrz wie cała kamienica, a na trzeci dzień — pół miasta.

Powie mi pan, że damy, mieszkające w pałacach, miewają apartamenty obszerne, zakamarki. Tak, ale mają za dużo służby. Niepodobna wciągać tylu konfidentów.

To jedna strona medalu — z psychologią kobiecą. Jest i druga z psychologią męską. Amatorów pokus coraz mniej. Mężczyźni albo chcą się żenić dobrze, a do tego nie pomaga stosunek z mężatką, albo siedzą w klubach, albo zajęci są gdzieindziej... bez ryzyka: mają półświatek i całą grę choreograficzno-operetkowo-farsową. Zabawa lepsza i ryzyko wykluczone. Powie pan, że miłość na ryzyko nie zważa, że gotowa stawić życie na kartę? Otóż to właśnie, że miłość zrobiła się rzadką, niepomierne zdrożała. I gdyby kobiety nie były ciekawe, niktby już dziś nie »roman-sował«, jak mówiono dawniej.

...Tak, nasze kobiety naogół są chłodne, ale pogodzić się z tem nie mogą, więc winę składają na męża, potem na pierwszego, potem na drugiego kochanka. I szukają dalej nowych dreszczów; pragną się dowiedzieć, jak kocha ten, ów, a w rezultacie dowiadują się, że nie kocha ten, ani tamten. Znowu wpadam w psychologię kobiecą, możnaby o tem mówić sto lat bez przerwy.

Pan Nielubowicz przeląkł się zapewne tej możliwości.

— Słowem — streścił — opinia tych pań jest gorsza od ich konduity?

— Upewniam pana — rzekł radca takim tonem,

jak gdyby na swoją odpowiedzialność brał i wrodzoną cnotę, i ciekawość kobiet i utrudnienia, stojące na drodze do wiarołomstwa.

Pan Nielubowicz, który chciał widocznie coś powiedzieć, ale nie znajdował na to miejsca w monologu radcy, skorzystał z chwili, gdy ten nos ucierał, aby wsunąć głosem zniżonym:

— A pani Rojewska?! I do mojej głuszy dochodzą pogłoski. Czy to prawda?

— Pani Lula chwali się przed każdym, że ma kochanka, ale ja jestem pewny, że go nie ma. Naprzód dlatego, że o tem mówi, a powtóre dlatego, że jest zanadto żywa, za mało... skromna.

Pan Nielubowicz podniósł brwi odruchem zdziwienia.

— Tak — powtórzył pan Szrankowski, rad z efektu — najniepewniejsze są właściwie te kobiety, które mają nieskalaną reputację. Jeżeli taka nie jest na wysokości swojej opinii, to bywa na najwyższym szczeblu uzurpacyi.

— Ale cóżby pani Rojewska miała w tem, żeby samą siebie oczerniać?

— U nas tutaj wszyscy coś udają — złe czy dobre.

— I złe?

— Złe nie rzadziej od dobrego. I dlatego jestem prawie pewien, że pani Lula, mówiąc o swoim kochanku — chwali się. I to mi jeszcze daje do myślenia, że zaczęła się chwalić dopiero... gdy jej nasek poczerwieniał. Przedtem czuła, że jest śliczna, że wygląda na swoją własną córkę, i nie potrzebowała lu-

dziom dowodzić, w tej lub innej postaci, że gdyby chciała — gdyby nie kochała w gruncie swego męża...

— Pan myśli, że ona go kocha?

— Podejrzewam ją o to, choć ona się tego bardzo wstydzi.

— Wstydzi się, że kocha męża, a chwali się, że ma kochanka! To u was tak?

— A tak.

— Czort wie, co za zwyczaj!

— Wielkoświatowe. Otóż myślę, że albo tego kochanka nie ma, albo miała go przedtem i nie mówiła, bo każdy mógł w to łatwo uwierzyć. A dziś mówi — żeby nikt nie wątpił. Ale starego wróbla, jak mnie, na plewy... nie weźmie. Zresztą jej mąż skończony pantofel, safandula — ale na dwóch polach mistrz: w gospodarstwie, no i... domyśla się pan... Prędeż on ją zdradza, niż ona jego... Mówią nawet o pewnej baletnicy.

Radca powiódł oczyma po salonie i osadził je w punkcie, zajmowanym przez Nisię i jej konkurenta.

— A wie pan — dodał — mniejbym ręczył za jej młodszą siostrę. Naturalnie, po ślubie.

— Mówmy lepiej o mężatkach. To ciekawsze — przerwał mu chłodno pan Nielubowicz. — Widzę, że pan Stefan przypuszcza szturm do pani Borzymowej. Cóż mu pan wróżysz?

— Jeżeli wytrwa — powodzenie. Tymczasem ona kocha się na zabój w swoim mężu. Jak się dowie o różnych jego sprawkach — po naszymu, po szlachecku, wpadnie w rozpacz. I wtedy nie ręczę... Chyba, że znajdzie pociechę w religii albo w dziecku. Ro-

jewskie dotychczas tak robiły — ale żadna jeszcze, co prawda, nie miała sposobności... zepsuć się w wielkim świecie. W dodatku pani Lula, a nawet pani Pohorecka sprzyjają tym konkurom Stefana o lewą rękę Dady — a to... ze względów oszczędności.

— Może mi pan powie, jak się nazywa ten siwiejący brunet — przerwał znowu radcy pan Nielubowicz.

— To Godziemba, domniemany kochanek pani Luli. Ten potrafi już tylko... jeździć konno. Jeszcze lat temu pięć nie byłby jej darował, ale dziś... A to jest właśnie mąż pani Dady — dodał, wskazując oczyma wygolonego szatyna o twarzy długiej, ozdobionej nosem dużym, suchym. — Teraz stoi i patrzy obojętnie, jak mu Pohorecki uwodzi żonę, a jeszcze rok temu za nią szalał i zrobił mezalians. Mógłbym i o nim dużo powiedzieć.

Ale pan Nielubowicz stracił już widocznie ochotę czerpania z bogatej skarbnicy jego spostrzeżeń.

I biedny radca utracił znowu słuchacza.

W chwili tej właśnie Nisia, po stanowczem rozmówieniu się z panem Narwojszem, wstała i, zmierzając do dalszych apartamentów, przeszła obok pana Nielubowicza. Zatrzymał ją.

— Mogę złożyć pani życzenia? — zapytał.

— Tak. Może mi pan nawet... powinszować — odpowiedziała, a jej bezbarwna twarz oświetliła się z wewnątrz, jak lampa, i rozbłysła.

— To się cieszę. To się serdecznie cieszę — upewnił ją.

O tej radości zaświadczył jeszcze wymowniej ciepły uścisk dłoni.

XXV.

Na początku zimy pan Marcelli zmienił się do niepoznania. Był wesół, dobrej myśli, opowiadał o świetnych interesach Spółki rolnej, codziennie prawie przynosił żonie kwiaty, cukierki. Nie pamiętała go takim, od czasów, gdy był narzeczonym. W domu przesiadywał wprawdzie mało — pomyślny rozwój biura wymagał nowych reform; stąd narady, sesye, zajmujące wszystkie wieczory. Przestał nawet bywać w teatrze.

Pani Kasia z początku cieszyła się tą zmianą humoru, lecz, po pewnym czasie, jej baczności nie uszło, że mąż jest raczej podniecony, niż ożywiony. Bała się, że po tej fazie niezwyklej wesołości wróci większe jeszcze przygnębienie.

Tak się też stało. Już w czasie świąt Bożego Narodzenia, przy wili, pan Marcelli nie chciał się dzielić opłatkiem, pasował się jakby ze sobą; nagle zerwał się od stołu, pobiegł do swego gabinetu i na klucz się zamknął. Słyszał było kilkakrotnie telefon i ciche słowa odpowiedzi. Już było po dziewiątej, gdy ukazał się w buduaru. Miał oczy zaczerwienione, pocałował żonę, syna i, nie tłumacząc się, wyszedł. Wrócił późno.

Nazajutrz przez cały dzień milczał, pod wieczór usiadł przy żonie, wziął ją za rękę, długo nic nie mówił, wreszcie rzekł:

— Nie trzeba było sprzedawać Wałowic!

— To cię martwi? — spytała, ujmując jego rękę w ciepłym uścisku.

Drgnął. Zerwał się i wyszedł. Znowu późno powrócił.

Spostrzegła, że w każdą niedzielę i w dni świąteczne był bardziej rozdrażniony.

Wychodził z twarzą ponurą — wracał z jasną, lecz po chwili zasępnął się znowu.

Od pewnego czasu pani Kasia przestała go pytać: dokąd idzie i skąd wraca. Spostrzegła, że go to drażni. Nie wspominał już o sesjach. Domyślała się, że ucieka przed sobą, szuka towarzystwa ludzi obcych, skrępowania, przymusu; że widzi w tem lekarstwo na rozhulanie się nerwów. Lecz i to nie pomagało mu widocznie.

Bywał — już nie smutny, jak dawniej — lecz jakby zrozpaczony. Widywano go w domu tylko w czasie obiadu. Krótki wzrok nie pozwalał żonie podchwytować na jego twarzy śladu nękających go myśli.

Zazwyczaj w okresach przygnębienia bywał milczący; ze swych udręczeń i obaw zwierzał się żonie wtedy dopiero, gdy poczynały ustępować.

Więc pani Kasia i teraz czekała. Lecz odpływ wszelkiej energii i woli trwał wyjątkowo długo. Powrotna fala nie napływała.

Po paru tygodniach pan Marcelli przestał sypiać. Leżał z otwartymi oczyma, tak bezwolny, że nie miał siły wyciągnąć ręki, aby zapalić światła. Żona, wśród ciemności, wyczuwała tę jego apatyczną rozpacz. Bała się odezwać, aby go tem jeszcze bardziej nie rozdrażnić.

Pewnej nocy zdało jej się, że słyszy cichy płacz.

Wstała po ciemku, usiadła na łóżku u jego wez-
głowia.

— Marceli — szepnęła — tak dłużej nie można.
Czy się co stało? Co się stało?

Poszukał jej ręki i położył ją sobie na ustach.
A ona przemawiała do niego, jak do dziecka:

— Jeżeli nie chcesz... jeżeli nie możesz, nic nie
mów, ale pamiętaj, że ja... jestem przy tobie... przy
tobie, całym sercem.

— Nie pytaj — szepnął, przykładając rozpalone
wargi do jej dłoni. — Może... kiedyś... sam powiem...
jak to minie. Jeżeli minie... Teraz nie... Odejdź... Nie
mogę.

Następnego dnia kazał przenieść swą pościel
z sypialnego pokoju do gabinetu. Tłómaczył, że chce
być blisko telefonu, żeby od samego rana porozumie-
wać się z interesantami. Przy śniadaniu uciekał oczyma
przed żoną. Wychodząc, powtórzył znowu to, co jej
rzucił przed paru tygodniami, niby wymówkę.

— Nie trzeba było sprzedawać Wałowic! Teraz
mi gorzej — dodał z żalem.

— Nie, mój Marceli — zaprzeczyła stanowczo. —
Przypomnij sobie, jak się męczyłeś w Wałowicach.
To było gorsze, doprawdy. Deszcz, pogoda, wszystko
cię trwożyło, bałeś się, że pójdziemy z torbami. A te-
raz — spokój...

— Spokój? Choćbyśmy wyszli z torbami, by-
łoby jeszcze lepiej.

— Więc aż tak źle?... Jakieś nieszczęście? —
podchwyciła zatrwożona.

— Nie pytaj — prosił.

— Dobrze, nie będę... ale gdyby ci było jeszcze gorzej...

— Mnie już dziś jest nie do zniesienia.

Chwycił się za głowę i uciekł z domu.

Nie wiedziała, co sądzić o tych wybuchach, tembardziej, że interesy szły znakomicie, co prawda dzięki dwu innym dyrektorom, bo pan Marcelli nawet w okresach względного spokoju ducha bróździł swoją chwiejnością, brakiem decyzji; ale pan Niedziński był wyjątkowo zdecydowanym i stanowczym, a pan Łuskowski wyjątkowo dobrym finansistą.

Chwilami przychodziło pani Kasi na myśl, że, dla zagłuszenia się, mąż jej grywa w karty i przegrywa znaczne sumy.

O straty pieniężne mało dbała, lecz, znając jego słaby charakter, obawiała się, że, gdyby takim środkiem zwalczał napady melancholii, lekarstwo mogłoby się stać chorobą, nie mniej groźną od tamtej.

A może odgania smutek morfiną? Może to jest źródłem jego kolejnych przygnębień i podnieceń?

Raczej najgorsza prawda, niż te przypuszczenia i domysły.

Pewnego wieczora pani Kasia siedziała sama w buduaru. Tu najchętniej spędzała wolne chwile, wśród książek.

Ona, nie krytykująca nigdy ani życia, ani ludzi, miała zamiłowanie do wszelkich ocen krytycznych. Lubiała przeczytać poemat, powieść, n a z a c h w y c a ć się niemi, jak mówiła, a potem dopiero dowiedzieć się, co są warte ze stanowiska ludzi, którzy oceniają

literaturę fachowo, nie unosząc się impulsem, wrażeniem.

Dla niej każda praca duchowa była dużo warta i cenna. Podziwiała w każdej wysilek woli, połot myśli, starała się odgadnąć: czem autor smucił się, a czem cieszył. Ze swych wrażeń tworzyła sobie drugą powieść, drugi poemat.

Onego wieczora przerwał jej lekturę Antoś.

Wszedł i usiadł przy niej. Milczała chwilkę. Odczuła, że jest zmieszany.

— Musiu, co będzie jutro na obiad? — rzekł nieśmiało.

— Ty się pytasz? Pierwszy raz w życiu — zdziwiła się.

— Bo... chciałbym cię prosić...

— Niezdrów jesteś?

— Nie, właśnie zanadto zdrów. Już dawno zbieram się mówić z tobą, ale nie śmiem.

— Nie śmiesz... ze mną? z przyjacielem?

Położył rękę na jej ramieniu.

— Mamuś, ty nie jesteś przyjaciel — tylko przyjaciółka. I dlatego trudno.

Ogarnęła go spojrzeniem oczu jasnych i słodkich. Nie dostrzegła wyrazu jego twarzy. Lecz wzrok jej sięgnął do jego duszy.

Na jej czole, pomiędzy brwiami, myśl skupiona wyżłobiła brózdę.

— Tak, jesteś... synem. Rozumiem — szepnęła pani Kasia po chwili.

— Mamuś, ty czasem mi masz to za złe?

— Antolku... Jabym przecież i córki nie mogła

kochać więcej... I właśnie chciałam ci powiedzieć. W twoim pokoju — na stole widziałam książkę...

Zarumienił się.

Nie dostrzegła tego, lecz to odczuła.

— Słuchaj, ja się nie dziwię, nie gorszę — jej głos był tak ostrożny, jak ciche kroki w pokoju chorego. — Rozumiem, że ty chcesz, że powinienesz wiedzieć. I lepiej, że pytasz autorów poważnych, niż kolegów... Tylko... chciałabym, żebyś i mnie pytał, żeby to nie stawało między nami przegrodą.

Antoś zarzucił jej ręce na szyję. Z głową na jej ramieniu powtarzał:

— Dziękuję! Dziękuję!

Nieprędko znalazł słowa inne.

— Ja już wiem — ja wiem wszystko — mówił przy jej uchu — o nic ciebie pytać nie chcę. Ale... dziękuję, że ty ze mną pierwsza mówić o tem zaczęłaś. Dziękuję... Lżej mi.

Pocałowała go w czoło.

— A nie mówiłeś z ojcem? — spytała.

— Wstydzę się. Z tobą — łatwiej.

Zobaczył, że jej to sprawiło przykrość.

— Sam tego nie rozumiem, ale tak jest — mówił z ręką w jej rękę. — I czy to dziwne? Ty jesteś i dobra i rozumna. Teraz będę ci mówił wszystko.

Zamyślił się.

— Powiedz — spytał po chwili — czy to prawda, że młody chłopak... że mężczyzna... musi kalać ducha, żeby ciało było zdrowe, syte?

Pani Kasia nie odpowiedziała odrazu.

— Dobrze nie wiem — rzekła po rozwadze —

na to trzeba znać fizyologię i dużo innych rzeczy, ale przypuszczam, że chyba nie może być potrzebne i konieczne jednemu to, co jest krzywdą drugiego.

— Musiu, ty wszystko zawsze bierzesz od strony serca.

— Bo zastanów się sam: ty i inny, dla zdrowia — z potrzeby, może urojonej... a ona... a ta lub inna — z nieszczęścia, bo jeśli nawet z ochoty... albo dla pieniędzy, to także nieszczęście dla niej.

— A u nas, w szkole, zdania różne: Lipski, Kocicki dowodzą, że inaczej być nie może i że nikt nie jest poszkodowany.

— Obie strony, Antosiu, wierzaj mi: obie strony.

— I ja tak myślę. A nie tylko ja... Wreczyński, Wolski, Jurek. Związaliśmy się we czterech przysięgą — ślubem, że będziemy kochali tylko nasze żony. Przedtem i potem żadnej kobiety.

— Mój ty drogi, tak postanowiliście?... To dobrze! To bardzo dobrze!

— I właśnie dlatego, dla zwalczania w sobie zwierzęcia, chcemy używać dużo ruchu — bo to i wolę wzmacnia; chcemy czytywać same książki wartościowe, no... i jadać mało mięsa. Już dawno chciałem cię prosić i jakoś było mi wstyd. Możebyś tak dysponowała obiady...

— Ależ z radością, naturalnie!

— Tylko Musieczka tak urządzi, żeby ojciec nie spostrzegł.

— Antolku, czemu ty nie masz zaufania do ojca?

I onby cię zrozumiał — jeszcze lepiej, bo daleko rozumniejszy ode mnie.

— Nie. Nie. Ty jesteś najrozumniejsza na świecie, rozumniejsza od uczonych, bo wyrozumiesz każdego: i dorosłego i dziecko, i chłopca i dziewczynę... I pannie Łopackiej pomagasz żyć. Ona ma jakieś zmartwienie... ja to widzę w jej oczach. Do ciebie przychodzi po moc ducha... Takiej, jak ty, Musiu, drugiej na świecie niema.

— Dziecko, czemu ty ojca tak nie kochasz, jak mnie? — zagadnęła znowu.

— Kocham go inaczej, z pobłażliwością nie z zachwytem...

— Czasem, jakby — z lekceważeniem... Nie masz do tego prawa.

— Bo ja w mężczyźnie, no i w kobiecie także, cenię przede wszystkim siłę charakteru, a ojciec — słaby, jak dziecko.

— On sam to czuje, ale nam nie wolno mu tego okazywać. To go martwi.

— Wszak on się martwi wszystkim i ciągle, od rana do wieczora. I mam do niego żal, że tobie życie zatruwa, a mnie przekazał swój smutek... Ale ja nie chcę być melancholikiem bezwolnym. Nie chcę... i nie będę... choć tylu nieszczęśliwych na świecie... Musiu, ty nie myśl, że tylko starsi są nieszczęśliwi... I u nas każdy prawie ma swój ból. Jurek gardzi rodzicami, a Wacek Rotblatt zgodziłby się nawet na takich rodziców, jak Jurka, byle nie być Żydem. Wolski cierpi nad tem, że mu dają naukę darmo. Ale ten nie zamieniłby się z nikim, choć nieraz obiadu nie je, bo

kocha ideę i chce jej oddać całe życie... Wiesz, Musiu, nawet Lipski, nawet Kocicki, choć zdawałoby się, że im wystarczy mieć zgrabny mundur i lakierki — i tacy nie czują się szczęśliwi, i tacy nie są zadowoleni ze swego losu. Powiem ci... nawet Ryś...

— A wszyscy, gdyby się zamienili jeden na drugiego, doznaliby zawodu. Jest nawet takie podanie w Talmudzie... Opowiadał mi je kiedyś stary Żyd, Lejba, sadownik z Puław. Ludzie skarżyli się wciąż Jehowie. Każdy chciał zrzucić z siebie ciężar swoich kłopotów. Każdy zazdrościł drugiemu. Jehowa słuchał, kiwał głową i myślał: ilu to ludzi szczęśliwych na świecie, skoro każdemu czegoś zazdroszą. Myślał tak, ale, że jest rozumny, głośno nie powiadał, bo toby nikogo nie pocieszyło, a pewnego razu rzekł sobie: »Poczekajcie, może się znajdzie rada«. I zdjął ludziom ich smutki i kłopoty, jak się zdejmują ciężki wór z pleców, i położył jedne przy drugich, a potem rzekł ludziom: »Idźcie i wybierajcie. Zazdrościliście sobie wzajem, teraz możecie się zamieniać, z kim chcecie«. Ludzie szli, przyglądali się cudzym zmartwieniom i kłopotom, kiwali głowami, i każdy co prędzej chwycił z powrotem swoje własne i odchodził. Nawet kłopoty bogaczy pozostały nietknięte.

Antoś słuchał w zadumie.

— I ja czasem chciałbym się zamienić — rzekł — ale tylko z jednym na świecie: z Wreczyńskim. I nie odstraszyłyby mnie jego smutki, bo są piękne, bo ogarniają ludzkość. Nie masz pojęcia, jaki on jest wielki! A ja, ja?... Coś się we mnie dzieje takiego, sam nie wiem co to... Chciałbym się z czemś potykać,

walczyć... poświęcać... I tak chwilami duszno, taki strach przed życiem... przed ludźmi... Nie chcę ich poznawać... chcę wierzyć w dobro i chciałbym... coś dla siebie wyłącznie, a wstyd mi, że o sobie myślę, kiedy inni... Nie tylko Wreczyński, Wolski... wszyscy lepsi ode mnie...

Ukrył twarz w dłoniach. A matka otworzyła szeroko swe oczy małowidzące i patrzyła na tę drogą głowę. Myśli jej, uczucia przejrzała — sercem.

XXVI.

Pan Marceli Bogański lubił rozpraszać swą neurastenię wesołością, którą się kupuje przy kasowym okienku teatrów. Unikał zebrań towarzyskich, bo tam trzeba coś z siebie wysnuwać i coś wnosić z sobą. Wolał siedzieć wygodnie w fotelu teatralnym i przez cały wieczór dawać swą duszę do rozbawiania ludziom, których fachem jest bawić i rozrywać.

Że zaś chciał być nie tylko rozrywany, lecz i rozweselany, więc bywał wyłącznie na farsach i operetkach.

Pewnego wieczora, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Mania Łopacka weszła do biura Spółki rolnej, pan Bogdański poszedł szukać wesołości — aż na Olimp. Rozproszyły jego melancholię utrapienia »Orfeusza w piekle«.

W chwili, gdy wszyscy bogowie i boginie dworują niedyskretnie z Jowisza wobec zazdrosnej Junony, w chwili, gdy każą mu »pamiętać o tem przecie, jak

łabędzia postać brał« — pan Marcelli musiał się nachylić, bo siedząca obok dama upuściła lornetkę. W tym samym akcie musiał jeszcze nachylić się po raz drugi, bo ręce damy były widocznie słabe, niezdolne udźwignąć ciężaru — nie tylko lornetki, lecz i wachlarza.

Dziękowała mu coraz uprzejmiej. Za trzecim razem pan Marcelli wraz z batystową chusteczką podniósł oczy, i zobaczył osobę młodą, która w pierwszej chwili nie wydała mu się nawet przystojną, lecz odrazu pociągnęła go wyrazem oczu, rozbłysłych wesołością.

Miała usta za duże, nos za mały, wystające kości policzkowe, ale było w niej coś — pieprzyk, jak mówił jej wielbiciel, pan Fetkowski, urzędnik z telegrafu, nie znając na to »coś« francuskiego określenia: *du chien*. Twierdził nadto, że ma w oczach graj-carki. On pierwszy je spostrzegł, a doświadczył na sobie, że umieją wwiercać się w serce.

Już podczas drugiego aktu doświadczył tego i pan Marcelli.

Wstał, dążąc do *foyer*. Dama podniosła się, aby go przepuścić. Zauważył przytem, że ma wzrost piękny i figurę pełną ponęt, tak ze względu na kształty, jak i na kształtów obfitość. Spostrzegł, że ma na sobie suknię ciemno-ponsową, przy której czarne włosy i śniada twarz odbijają korzystnie.

Gdy wrócił, po wypaleniu papierosa, dama w ponsowej sukni, wstając znowu dla utorowania mu drogi łańcuszkiem od zegarka zahaczyła o guzik przy jego tużurku.

Poczęła rozplątywać to powikłanie, przyczem bujna pierś falowała silnie.

Pan Marceli, mocno zmieszany, nachylił się, aby jej pomódz, a gdy dotknął ręki dużej, lecz kształtnej, uczuł, że pod białą rękawiczką zlekka drżą palce i, zamiast odczepić łańcuszek od guzika, wytwarzają jeszcze większą gmatwaninę.

Wreszcie, przy usiłowaniach wspólnych, doszło do rozplątania powikłań.

Pan Marceli, wracając na swe miejsce, uklonił się, nieznajoma skinęła głową i uśmiechnęła się kącikami ust. Błysnęły białe, duże zęby. Usiedli obok siebie, zaniepokojeni widocznie tak blizkiem sąsiedztwem. Pan Marceli w życiu swem nie odezwał się pierwszy do kobiety nieznanej.

Dama była widocznie bardziej obyta z mężczyznami, niż on z kobietami.

Po chwili, przybliżając profil, bardzo wyraźnie zarysowany, rzuciła pytanie — nie w bok ku niemu, lecz przed siebie, jakby w powietrze:

— Pan pierwszy raz na »Orfeuszu«?

Pan Marceli tak się stropił, że mu głosu zabrakło. Musiał odchrząknąć.

— Istotnie, pierwszy raz — przyznał się mocno zawstydzony, i tem, i swoją nieśmiałością.

...Bo to kochał żonę, a od wszystkich innych kobiet stronił. Przez lat dwadzieścia — od ślubu, do dziś dnia, swej Kasi był wierny, jak sądził — z przywiązania, a w istocie z nieśmiałości i z braku inicjatywy.

Nieznajoma nie poprzestała na jednym pytaniu.

— Wszak pan nie tutejszy? — usłyszał jej głos bliżej swego oblicza, niż przed chwilą.

I znowu nie odpowiedział odrazu, lecz już miał gardło mniej ściśnięte, gdy oznajmił, że jest z Warszawy.

— A ja myślałam, że ze wsi — zauważyła dama takim tonem, jakby stałe przebywanie pana Marcelgo w stolicy sprawiało jej przykrość.

Odczuł jej zawód i pośpieszył go złagodzić, dodając, już bez odchrząknięcia, że mieszka w Warszawie... od niedawna.

— To zaraz widać — odrzekła dama, wyraźnie tem ucieszona. — Ludzie wiejscy mają wrodzoną dystynkcyę — dodała w formie objaśnienia. — Znać zaraz, że przywykli być na swoich śmieciach, rozkazywać.

Pan Marceli nie umiał nigdy rozkazywać nikomu, zwłaszcza sobie, więc ta charakterystyka sprawiła mu tem większą przyjemność.

— Ja bo zawsze poznam szlachcica wśród tysięcy — mówiła nieznajoma, zwracając się już wprost do sąsiada i pokazując mu trzy czwarte twarzy z jednym okiem, bardzo wymownem.

On odczuł raczej, niż wziął z niego bezpośrednio zachętę, bo choć miał jeszcze oczy spuszczone, ale już widział, że sąsiadka ma usta bardzo ponsowe, szyję okrągłą i stanik wycięty w mały ząbek, odsłaniający... bardzo ładne rzeczy...

Pan Marceli nie domyślał się ładniejszych rzeczy... ukrytych, bo wogóle nie miał lotnego umysłu, ani wyobraźni, wyćwiczonej w tym kierunku.

To, co dostrzegł, nie ucieszyło go zbyt, jednak dostrzegł, i sam się temu dziwił.

Po chwili uczuł ramię nieznaomej bardzo blisko swego ramienia.

— Ach! przepraszam — szepnęła, odsuwając się tak raptownie, jak gdyby ją ramię pana Marcelego sparzyło.

Uznała za właściwe pierwszy i drugi odruch objaśnić.

— Z temi szwaczkami zawsze bieda — szepnęła. — Rękaw za ciasny pod pachą — i to właśnie od strony pana. Szukam wygodniejszej pozycji. To było niechcący.

Toaletowe zwierzenia zafrasowały tak bardzo pana Marcelego, jak gdyby on był ową nieudolną szwaczką.

Górna warga ze spuszczoneymi na dół węsami podniosła się nagle w górę i opadła równie gwałtownie, co u pana Marcelego znamionowało wielkie zakłopotanie. Ręce mu zaczęły zawadzać, przebierał palcami po kolanach, nie wiedział co robić, co mówić.

Dama spostrzegła to i, dla przywrócenia mu równowagi, wyjaśniała dalej sytuację.

— Pan dziwi się zapewne, że mówię z nieznanym — rzekła.

Chciał zaprzeczyć. Nie dała mu na to czasu.

— Bo to widzi pan, jestem bardzo zażenowana. Pierwszy raz zdarza mi się być w teatrze, jak palec, bez kompanii. Umówiliśmy się z przyjaciółką. Powiedziała jej, który mam numer. Miała kupić krzesło obok. Widocznie ją uprzedzili: siedzi ktoś inny.

Pewno rękaw zaczął uwierać znowu, bo przysunęła się jeszcze bliżej, nachyliła się tak, że pan Marceli widział już oboje oczu i szyję w całej okazałości.

— Panie — szepnęła mu prawie na ucho — pan mnie odda wielką usługę. Prawda? Widział pan tego pana, co siedzi przy mnie z drugiej strony?

Pan Marceli w czasie spektaklu nie zwrócił na niego uwagi, a teraz widzieć go nie mógł, bo krzesło było puste.

— Ja muszę to panu zaraz powiedzieć, zanim on wróci — szepnęła dama. — On mnie ciągle trąca kolanem. Siedzę, jak na żarzących węglach.

Pan Marceli poruszył się na krześle. I jemu się zdawało, że siedzi na żarzących węglach.

— Niech pan się ze mną zamieni na miejsce — poprosiła go nagle, wstając.

Niepodobna odmówić takiej przysługi napastowanej kobiecie, choćby się ją widziało po raz pierwszy.

W wążkiem przejściu między krzesłami nieznaną nie zahaczyła już o pana Marcelego żadną z akcesoryi swej jaskrawej toalety, lecz jej biust wydatny musnął przelotnie kamizelkę uprzejmego sąsiada, a pod kamizelką, bądź co bądź, była krew — nie woda.

Na nowem miejscu, dama, uwolniona od obawy, stała się skłonniejszą jeszcze do zwierzeń.

— Pan jest człowiek wiejski, dystyngowany, pan nie wie, jacy u nas są mężczyźni — zaczęła mu opowiadać; ale w tej chwili wrócił na swoje miejsce jej dawny sąsiad.

Przysunęła się jeszcze bliżej do chudego pana Marcelego i, z twarzą przy jego twarzy, szepnęła:

— Widzi pan, jaki on wściekły, że pan mnie od niego przegrodził. Taka panu jestem wdzięczna!

W oną podziękę wpadł suchy trzask pałeczki dyrygenta. Podniosła się kurtyna. W ciągu trzeciego aktu drugi rękaw, prawy, zaczął uwierać nieznajomą. Kręciła się, poprawiała na krześle. Znalazła wreszcie wygodną pozycję — pulchnem ramieniem przywarła do chudego ramienia pana Marcelego.

Siedział zrezygnowany, a może wzruszony swoją rolą opiekuna młodej kobiety. Po skończonem przedstawieniu, w chwili, gdy pan Marceli podawał jej okrycie w kontramarkarni, dama okazała wielkie zafasowanie.

— Mój Boże, jak ja się dostanę do domu? — rzekła i nagle przysunęła się do pana Marcelego, chwyciła go pod rękę. — Widzi pan — mówiła z zapartym oddechem — on mnie z oka nie spuszcza, chce mnie zaczepić, czeka tylko, żeby pan odszedł... Na miłość boską, niech mnie pan nie opuszcza!

Pan Marceli nastroszył wąsy, popatrzył groźnie na przysadzistego jegomościa, który wdziewał palto, nie mogąc sobie poradzić z rękawem.

— Rozpustnik! Widzi pan, jak mu się ręce trzęsą — szeptała dama, owijając głowę ponsową gazą.

Wśród zmagania się z rękawem, tłusty jegomość nie widział groźnych spojrzeń pana Bogdańskiego. Przed teatrem mąż pani Kasi skinął na parokonną drożkę.

— Co to, to nie! — zawołała ponsowa dama. —

Nie chcę, żeby mi pan fundował, a ja nie mogę przecież fundować — panu. Więc pójdziemy pieszo. Ale nie wiem, z kim... mam zaszczyt.

Pan Marceli uchylił kapelusza i wymienił swoje nazwisko.

— Damy nie prezentują się — mówiła, idąc obok niego — ale myśmy się poznali w takich niezwykłych okolicznościach — chcę, żeby pan wiedział, kto jestem.

Powiedziała mu wszystko, »jak na świętej spowiedzi«: imię, nazwisko, stan cywilny, zwierzyła mu się z terażniejszości, przeszłości, z nadziei, z zawodów.

Pan Marceli z wielkiem współczuciem dowiedział się, że »życie nie usłało jej drogi różami«, lecz że wzmian »Bóg dał jej moc ducha i ukochanie cnoty — bo czy może być co piękniejszego i miłszego nad cnotę?« Rodzice stracili majątek, »wyprzęgli«, a ona z poświęcenia — taka głupia natura — żeby im dach nad głową zapewnić, wyszła za starego. Pięć lat jej dokuczał, podejrzewał, zazdrościł, nareszcie umarł, dwa lata temu. Ale ona nie skarży się, bo zostawił jej »słodką dziecinę«. Żyje teraz dla niej.

— Dwadzieścia pięć lat to przecież nie starość, a jednak... — zwróciła się nagle do towarzysza z niedokończoną skargą.

Wzruszony jej smutnymi dziejami, pierwszy raz spojrzął na nią wprost i począł bąkać nieśmiało:

— Pani jeszcze... bardzo... bardzo młoda... i...

— I co? — spytała, stając i wypuszczając jego ramię.

— I szlachetna...

— I co jeszcze? — dopytywała.

Stał przed nią, jak winowajca.

— I... bardzo brzydka? — pytała z uśmiechem.

Nic nie odpowiedział, lecz, gdy wsunęła mu znowu rękę pod ramię, przez jesienne palto odczuła jego drżenie.

Po chwili stanęła przed szarą, niską kamienicą przy ulicy Pańskiej.

— Już tutaj — oznajmiła z żalem widocznym i wyciągnęła rękę.

Pan Marcelli ujął ją w swoje dłonie, wahał się krótko, do ust podniósł i pod węsami przytrzymał dłużej, niż jakąkolwiek dotychczas obcą rękę kobietą.

Ogarnęła okiem jego postać szczupłą, wyniosłą, lecz jakby przytłoczoną ciężarem.

— A pan? — rzegła nagle. — Pan także nieszczęśliwy?

Otrząsnął się.

— Nie, nie — zaprzeczył.

— O! ja to czuję. Tyle panu mówiłam o sobie. A pan... nie ma do mnie zaufania. To bardzo brzydko.

Położyła dłoń na jego ręce i trzymała ją długo, starając się jednocześnie wytrzymać jego spojrzenie, które próbowało się wymknąć.

— Pan był dla mnie taki dobry! — zawołała nagle.

Ujęła jego rękę i ścisnęła mocno, a w oczach, w głosie miała łzy.

Zdjął kapelusz, nachylił się znowu nad jej ręką. Patrzyła na niego — z uśmiechem dziwnym.

— Panie — zawołała nagle — niech pan będzie dobry do końca. Jestem taka sama na świecie! Niech

pan przyjdzie do mnie jutro o 5-tej na dalszy ciąg gawędki... Przyjdzie pan? Słowo? Szlacheckie?

Zanurzała w nim swoje »grajcarki«.

Stropił się. Milczał... Westchnęła.

— Tak, wiem, pan pewno przyzwyczajony do dostatków... do zbytków — to zaraz widać. Ja miałam już czas odwyknąć. U mnie skromnie, ubogo.

— Jak pani może! — przerwał z oburzeniem.

— A więc pan przyjdzie?

— Przyjdę.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Proszę dobrze zapamiętać numer domu. Lewa oficyna, trzecie piętro. Niech pan stróża nie pyta. U mnie nikt z mężczyzn nie bywa. Byłyby zaraz plotki... Pan rozumie...

Wbiegła w bramę tak pośpiesznie, jakby się bała wybuchnąć płaczem.

Nazajutrz pan Marceci przyszedł bardzo punkualnie i przekonał się, że można znaleźć rozrywkę nie tylko na operetce.

XXVII.

Sąsiadka pana Marcelego z teatru, pani Stefania z Dobosiewiczów Ciaputowska, przez bliższych znajomych zwana Fafą, już od kwartału nie mieszkała w lewej oficynie szarej, dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Pańskiej; zajmowała cztery ładne, niegustownie umeblowane pokoje na drugim piętrze od frontu przy ulicy Smolnej z oknami i balkonem na aleje Jerozolimskie.

I dawniej ubierała się »twarzowo«, ale dziś ubierała się elegancko, miała nawet jeden kostyum spacerowy od samego Hersego — cel marzeń długoletnich. Napelniał ją taką radością i dumą, że naumyślnie chodziła przymierzać gotowe bluzki, by módz zdejmować żakiet i rozkładać go tak, by każdy mógł zobaczyć »firmę«, przyszytą pod kołnierzem. Osiągnęła też szczyt innych marzeń — nad wążiutką ślubną obrączką miała pierścionek z szafirem, okolonym brylantami. To znowu skłaniało ją do zdejmowania rękawiczki lewej w kościele, w tramwaju i we wszystkich sklepach.

Miała i kapelusz z prawdziwym piórem strusiem, drugi z egretą, i trzewiki z najcieńszej skórki giewzowej na wysokich obcasach; szła ulicami, szumiąc jedwabną halką i patrząc na przechodniów z góry; każdym ruchem zdawała się im mówić: »Patrzcie, otom ja, ubrana od stóp do głów w najlepsze gatunki. Patrzcie i podziwiajcie«.

Dużo mężczyzn było posłusznych temu niememu wezwaniu — po części dla owych strojów »gatunkowych«: bo mężczyźni, ci nawet, którzy najlepiej lubią kobiety zgoła bez sukien, patrząc na kobietę po raz pierwszy, widzą przedewszystkiem, czy jest dobrze czy źle ubrana.

Panią Fafę ubierała — dobrze każda suknią, lecz, oprócz stroju, przyciągały męzkie spojrzenia owe grarki. W oczach jej był jakiś punkcik, który zahaczał mężczyzn i budził w nich nadzieje... daleko idące. Najdalsze nawet spełniały się niekiedy.

Pan Marcelli nie odrazu pozwolił sobie na na-

dzieje, a nawet, gdy dopuścił ich możliwość, nie ziściły się odrazu. Musiał wpierw »pokochać« dziecko w imię przyszłości »małej«, bardziej nawet, niż dostatniej »przyszłości« matki, dać jej lepsze warunki życia, bo przecież »duszyčka dziecięca powinna się rozwijać bez troski o chleb powszedni«.

Dzięki temu wszelkie kłopoty finansowe zostały zdjęte z barków pani Fafy, która po śmierci nieboszczyka Ciaputowskiego nie mogła znaleźć odpowiedzianego opiekuna. Pan Fetkowski nie miał kwalifikacji finansowych do tej roli, zamożny oficer, który przez kilka miesięcy pozwolił jej zapomnieć o — smutnem jutrze, odwołany na Daleki Wschód, mimo płomienych obietnic, nie dawał znaku życia, może dlatego, że je postradał. A wśród ogólnego zastoju, wszelkie transakcye były utrudnione. Pan Marcelli zjawiał się w porę.

Pani Fafa była z początku uszczęśliwiona, ba, nawet oszolomiona szczęściem, przychodzącem w okresie porewolucyjnej drożyzny.

Lecz każde szczęście, jak mitologiczny Janus, ma dwa oblicza, a mówiąc bez mitologicznej przenośni — ma wierzch i podszewkę. Po kilku miesiącach, pani Fafa, oswoiwszy się z meblami, mieszkaniem, Hersowskim kostyumem i szafirem w pierścionku, dojrzała — tę drugą stronę i zapragnęła współczucia.

Na razie mogła je znaleźć jedynie w skromnej powiernicy, która od lat kilku była dyskretnym zbiornikiem jej zwierzeń i nieraz gotowością swą do wszelkich usług opromieniała jej »ciężkie« życie małżeńskie, a bardziej jeszcze wdowie.

— Potrzeba świętej cierpliwości z tym głupim nudziarzem — skarżyła się pewnego dnia pani Kukulska, która przychodziła już nie raz na tydzień, jak dawniej dla cerowania bielizny i do przeróbek, ale codzień dla załatwiania różnych komisów i obszywania córeczki pani Fafy. Dla niej samej robiła najwyższej szlafroki, halki, lub bluzki.

Pani Kukulska nie z jednego pieca chleb jadła, znała dobrze ludzi, a panią Fafę — na wylot. I teraz ogarnęła okiem taksatora jej bujne kształty i rzekła:

— On wcale nie głupi, kiedy poznał się na paniusi.

— Mogłabym mieć stu takich — ale nie chcę... z dobroci serca. To mnie zawsze gubiło i gubi. I co ja mam za to?

Pani Kukulska nie mogła odpowiedzieć, że ta dobroć w walucie, mającej obieg w kraju, przynosi pani Fafie po dwieście rubli miesięcznie do ręki, nie licząc innych drobnych korzyści.

Nie przekładając tych myśli na słowa, obejrzała się mimowoli po jadalnym pokoju.

Pani Fafa dojrzała to spojrzenie i odgadła myśl, która je posłała na lustracyę dębowego bufetu i dębowych krzesel.

— Gdyby mnie złotem zasypywał, to jeszczeby się nie opłaciło za takie nudy — rzekła w odpowiedzi. — Siedź z nim całymi wieczorami i słuchaj, jak wzdycha... Ani do teatru, ani na koncert. Boi się tej swojej starej jędzy i nie chce pokazywać się ze mną... Próbowałam posunąć naprzód jego zegarek. Raz się

udało — wyszedł o dziewiątej, mogłam jeszcze polecieć na »Piękną Helenę«. Ale już nazajutrz nastawił swój zegarek według »Głuchoniemych«. Ranki mam wolne — prawda — póki on w biurze. Ale co z rankami robić? Wszyscy zajęci. A czasem i z biura wpadnie, przed swoim obiadem. Jeszcze mu mało wieczorów. Istna pańszczyzna. Doprawdy, gdyby tak człowiek nie miał tego utrapionego bębna, to lepiej jedna suknia na grzbiecie i bez mięsa na obiad — byle swoboda. Ale czego matka z siebie nie zrobi!

Pani Fafa ciężko westchnęła i bezpośrednio potem, przechodząc w ton poufny, spytała:

— Cóż? Widziała pani tego studenta?

— A jakże. Wczoraj wychodzę stąd wieczorem. On stoi na chodniku przed domem. Zobaczył mnie i mówi: »Czemu p a n i się nie pokazuje? Dwa dni już nie była w cukierni«.

— A pani Kukulska jemu co na to?

— Mówię: »Pani bardzo zajęta, ma mordęgę z dzieckiem«. — »A jak się dziecko położy?« — on pyta. Powiedziałam: »I wtedy jest co robić«. On uśmiechnął się.

— Prawda, jakie on ma śliczne usta? Uch! Ja bym go zjadła, a tamtego tobym wypluła, jak gorzki migdał.

— E, niech pani nie wydziwia. Ma piękny wzrost, figurę! Cóż z tego, że nie pierwszej młodości. P a n zalatuje od niego o pół mili — adwokatowała za panem Marcelim Kukulska, której się ta akcja obrończa opłacała sowicie.

— Co tam będziemy mówić o starym pierniku — przerwała jej Fafa. — Czy tamten co jeszcze powiedział?

— A no mówił: »Nie możnaby czasem tego zajęcia przerwać na jeden wieczór? Niech pani spyta i powie, że ja bardzo proszę«.

— I pani Kukulska siedzi już od godziny i teraz dopiero z tem wyjeżdża? — zawołała oburzona Fafa. — A co jeszcze mówił?

— A nic więcej, tylko podał mi rękę...

— I co jeszcze?

— W rękę miał trzy ruble, jak Bożę kocham.

— Ciągłe o tych rublach. Nabuchała się już dosyć pani Kukulska. A mało się pani ciastek najadła po cukierniach — choćby w sobotę?

— I Pan Bóg nagrodził... Poznała pani tego ślicznego studenta... Pan Bóg zawsze nagradza dobre uczynki — dodała sentencyjonalnie pani Kukulska, bo w tej chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi. Do jadalnego pokoju wbiegła dziewczynka ośmioletnia, w brudnym fartuszk, narzuconym na aksamitną sukienkę. Miała twarzyczkę ładną, oszpeconą rozbieganiami ciekawie i chytrze oczyma.

— A ty tu po co? — krzyknęła na nią matka.

— Przyszłam się zapytać...

— Nie pora na pytania. Siedzieć w swoim pokoju... Powtarzać lekcye do panny Józefy... Bierze sześć rubli za twoją naukę, a ty zbijasz baki. Nie wiesz, że Pan Bóg stworzył człowieka do pracy. Z każdej chwili trzeba będzie zdać rachunek. Co powiesz, jak ciebie zapytają na Sądzie Ostatecznym: co robiłaś

w piątek 28-go stycznia 1908 roku pomiędzy jedenastą a dwunastą?

— Powiem, że uczyłam się geografii i że przyszłam spytać mamusi: co znaczy przesmyk?

— Nie zawracaj głowy. Wiem, co to za przesmyk. Podśluchiwałaś pode drzwiami. Ja ciebie znam... Skaranie boskie z tem dzieckiem. Co tylko najgorsze, to jej się trzyma; już taka podła natura... I w kogo!... Czy widziałaś, żeby mamusia...

— O widziałam, widziałam, jak mamusia sypała oko do tego studenta w cukierni...

— Ach, ty wyrodku!

Pani Fafa podskoczyła do córeczki z oburzeniem i z podniesioną ręką.

— Jak mnie mama palcem ruszy, to powiem temu... panu. I nie to tylko. Zobaczymy!

Podniesiona ręka nie opadła wprawdzie na Linkę, ale, dla honoru domu, padła groźba.

— Precz do budy! — wrzasnęła pani Fafa, tupiąc nogą. — Zmiataj mi zaraz, bo mnie dłoń zaczyna swędzić!

Linka nie czekała na uśmierzenie tego świerzbu, znała bowiem siłę prawicy swojej rodzicielki.

— No, słyszała pani? A to bestya sprytna! — szepnęła po jej zniknięciu pani Fafa nawpół z oburzeniem, nawpół z podziwem i ciągnęła dalej indagację przerwana.

— I cóż on jeszcze powiedział? Dowiem się, czy nie dowiem?

— Powiedział: »o 2-giej dziś w cukierni — w tej samej«.

— O 2-giej! Teraz mi pani dopiero mówi!

— Chyba czas! Niema jeszcze dwunastej.

— Ale ja muszę się ubrać, uczesać... nie mogę iść, jak czupiradło.

Istotnie, w czerwonej flanelowej halce, w wytuszczonym kaftanie barchanowym i z włosami zakręconymi na szpilkach nie była podobna do strojnej damy, za którą mężczyźni oglądali się na ulicy.

XXVIII.

Pani Eleonora z Gontarków Łuskowska znalazła dobrze nieboszczyków Dobosiewiczów. Jej ojciec i ojciec późniejszej pani Fafy Ciaputowskiej kolegowali w magistracie w wydziale paszportowym. Lecz pan Gontarek umiał załatwiać szybciej formalności i tem samem cieszył się większem uznaniem i większymi dowodami wdzięczności publiki, która na krócej, lub dłużej pragnęła opuścić rodzinne pielesze. Dzięki tym objawom wdzięczności, panna Eleonora zrobiła świetną partyę, wychodząc aż za buchaltera kolejowego pana Łuskowskiego. Stanowisko męża nie pozwalało jej żyć na dawnej stopie z Dobosiewiczami, lecz, odwiedzając swych rodziców, spotykała u nich Stefkę.

— Dyabelnie sprytna i szykowna dziewczyna — albo wyjdzie za mąż za jakiego obywatela, albo zostanie pierwszorzędną kokotą — mawiała o niej protekcyjonalnie pani Eleonora, a nie będąc pewną, którą z tych dwóch dróg Stefka obierze, zachowywała wo-

bec niej postawę, odpowiednią do przysłowia: na dwoje babka wróżyła.

...A nuż Stefka zostanie obywatelką? Marzeniem pani Eleonory było oprzeć się bodaj zdaleka, bodaj pośrednio, o sfery obywatelstwa wiejskiego. Obywatelstwo miejskie — własność nieruchoma, posiadanie jakiegokolwiek kamieniczki przejmuje zwykle niższe sfery miejskie — zazdrością; lecz obywatelstwo wiejskie, najmniejsza bodaj własność ziemska wzbudza w nich — podziw i cześć, jak brylanty, oglądane nie przez szybę sklepową, lecz na szyi dam prawdziwych, które ich nie kupiły, lecz wzięły aż po prababkach. Tego nie można dostać za pieniądze. A mieszczuch, wysoko ceniąc pieniądź, wyżej jeszcze ceni to, czego w sklepie, za żadną cenę, dostać nie można.

Więc pani Eleonora, zostawszy panią naczelnikową — jak kazała się nazywać służącej rodziców i znajomym — raczyła niekiedy pogłaskać Stefę po twarzy, a raz nawet darowała jej swój stary, zeszlóroczny kapelusz, odjąwszy z niego pióro strusie. Kapelusz sprawił Stefie bajeczną uciechę. Przefasonowała go, przepięła, zrobiła go »twarzowym«. W tym kapeluszu zobaczył ją po raz pierwszy — pan Ciaputowski, urzędnik pocztowy, przy sprzedaży marek. Był młody, ubierał się elegancko, miał trochę oszczędności, obiecywał, że weźmie trzy pokoje z dwoma wejściami, słowem podbił serce Stefy. Mimo lat siedmnastu, dokuczyło już jej siedzieć w dwóch norach z kupą dzieciaków. Nie chciała czekać dłużej Boskiego zmiłowania. Taki urzędnik pocztowy ma przecież dochody, a jeszcze mówił, że będzie przynosił do domu na

dwadzieścia cztery godziny wszystkie żurnale mód, krajowe i zagraniczne... byle nie rozcinać kartek.

Pani Eleonora wdzięczna była swej przezorności, że jednak nie zaangażowała się ze Stefką.

— Człowiek ma ciągle zawody na ludziach — mówiła do męża, zasłyszawszy o jej mariażu. — Głupia dziewczyna! Nie mogła to poczekać? Nie, ona musi wyjść za pierwszego lepszego. Pamiętaj, żebyś jej nie widział na ulicy. A nużby się kto zapytał: komu się kłaniasz? Pani Ciaputowska: ładnie brzmi, prawda.

Więc po ślubie Stefy kontakt pomiędzy nią a panią naczelnikową przerwał się tak dalece, że pani Eleonora przestała widzieć na ulicy nie tylko panią Ciaputowską, ale i panią Dobosiewiczową i pana Dobosiewicza i młodszą Dobosiątką. Mimo to wiedziała najdrobniejsze o nich szczegóły, jako, że lubiła zdaleka i zblizka interesować się losami swoich bliźnich. Mimo, że z fikcyjnego naczelnika mąż jej został prawdziwym dyrektorem w Spółce rolnej, panią Eleonorę zajmowały dalsze losy córki przyjaciół. Gdy w parę lat po ślubie pan Ciaputowski umarł na tyfus, ucieszyło ją to szczerze. Miała nadzieję, że, nabrawszy rozumu, Stefa pozna swoją wartość i zrzuci z siebie to głupie nazwisko. Kiedy jak kiedy, ale teraz może zostać obywatelką ziemską.

Nie zanosilo się na to jednak, Stefie brakło nie-raz na obiad, co prawda jadła kolację — w gabinetach.

— A nie mówiłam? — powtarzała mężowi pani Eleonora. — Stefa zaczyna się już puszczać. Ja pierwsza poznałam się, że to nic dobrego. Zobaczysz, ona się jeszcze będzie rozbijać na gumach.

O pierwszej wizycie pana Marcelego przy ulicy Pańskiej dyrektorowa wiedziała już nazajutrz i bardzo trafnie przewidziała jej wynik, określając niemal co do rubla cyfrę, która w następstwie wyrażała jego zachwyty.

Z chwilą, gdy Fafa zamieszkała przy ulicy Smolnej w czterech pokojach, pani Eleonora zaczęła ją znowu poznawać na ulicy, a nawet kiedyś, spotkawszy ją, zatrzymała się, aby z nią zamienić słów kilka. Ten dowód łaski powtórzył się — raz, drugi i trzeci. Pani Eleonora nie cierpiała całego gniazda Bogdańskich i wszystko, co mogło zmącić spokój tej przykładowej i cnotliwej rodziny, upajało ją radością złośliwą.

Tego samego dnia, w którym — nie bezskutecznie — piękny »student« czekał o 2-giej na panią Fafę w cukierni, spotkała ją miła niespodzianka i zaszczyt nielada. »Młodsza« zameldowała jej panią dyrektorową Łuskowską.

— Co za gość drogi! — wołała, wybiegając naprzeciw niej Fafa, uszczęśliwiona tym dowodem, że i ona coś znaczy na świecie. Domyślała się zresztą, że odwiedziny nie są »bez kozery«, i była ciekawa.

— Nie trzeba, nie trzeba! Nie postarzaj mnie! — mówiła pani dyrektorowa, broniąc ręce od pocałunków, którymi w dzieżczna Fafa zasypywać je chciała.

— Pani miała zawsze złote serce. Pamiętam.

— No, no, niema o czym mówić. Taka jestem. Kogo polubię, to już na śmierć i życie! Dawno wybierałam się do ciebie — ale obowiązki. — Mój mąż ciągle cherla. — Muszę pilnować syna, żeby się nie wdał w byle jakie towarzystwo. W dzisiejszych czasach o to nie trudno... I gdyby nie moja czujność...

A przytem stosunki towarzyskie... Prowadzenie domu na wielką stopę... Kto u mnie nie bywa!? — to wszystko zajmuje dużo czasu... Ale cóż u ciebie słyhać?

Rozglądała się po salonie.

— Przyzwóicie mieszkasz... Bardzo przyzwóicie! — orzekła. — Zawsze mówiłam, że nie zginiesz.

— Nabiedowałam się dosyć, ale teraz, dzięki Bogu... Umarł stryj — obywatel z Podola — zapisał kilkanaście tysięcy mojemu dziecku. Szkoda, że mała wyszła z boną... Zaprezentowałabym pani dyrektorowej.

— Cieszę się, że masz przyszłość zapewnioną. Ale taka młoda kobieta powinna się trochę rozezwiać... widywać ludzi... mieć jakieś odpowiednie towarzystwo...

Serce zabiło mocniej w piersi Fafy. Czyżby pani dyrektorowa chciała ją zaprosić na swoje salony? Lecz pani Eleonora rozwiała szybko to złudzenie.

— Słyszałam, że bywa tu wspólnik mojego męża, pan Bogdański? — zagadnęła.

...Więc o to chodzi — pomyślała sprytna pani Fafa, a wnioskując z samego faktu odwiedzin, że pani Łuskowska nie potępia tej... znajomości, postanowiła rzucić na ten stosunek światło odpowiednie.

— Tak, bywa — przyznała — pokochał moją córeczkę. Całemi godzinami z nią się bawi. Miły człowiek, elegancki, tylko smutny.

— Moja droga, nie dziw: kto ma taką żonę!

Dotychczas jeszcze Fafa wiedziała bardzo mało o rodzinie swego wielbiciela — trochę plotek od pani

Kukulskiej. Nadarzała się wyborna sposobność powzięcia informacyi bliższych.

— Podobno starsza od niego? — spytała, ukrywając zřęcznie swą ciekawość.

— Gdybyż tylko! To sekutnica. Zadziera nosa, niewiadomo z czego, jak gdyby ona jedna na świecie była obywatelską córką. A zazdrosna! Robi mężowi sceny o ciebie.

— O mnie! Że też ludzie oplwają najidealniejszy stosunek! — oburzyła się Fafa.

— Od tego ludzie... Myślisz, że i do mnie nie doszły plotki.

— Mój Boże! — przeraziła się Fafa — więc wycierają sobie, z przeproszeniem, gęby młodą, bezbronną kobietą.

— Ma się rozumieć. Ale ja właśnie powiedziałam sobie: na złość wszystkim, na złość tej jędzy — pójdę. Cóż to, żeby człowiek starszy, poważny nie miał prawa porozmawiać z kobietą młodą, inteligentną, dobrze wychowaną, zwłaszcza, że w domu ma święte nudy. A tutaj przynajmniej odpocznie, wytchnie, rozerwie się. Toć rodzina powinna cię po rękach całować. Dawniej chodził, jak sum, ze zwieszoną głową, z opuszczonymi wąsami — kandydat na samobójcę. A teraz, dość na niego spojrzeć. Ożywiony, wyświeżony... Ta głupia żona umie tylko klepać pacierze. Ani z nią wesoło pogadać, ani pośmiać się... Stara kwoka. I on przy niej postarzał, opuścił się... Mówiłam właśnie mężowi: »Bogdański powinienby tu przyprowadzić swojego gagatka, niechby i on się trochę rozruszał«...

Twarz Fafy oświetlił błysk tryumfu, lecz zaraz przystroiła ją w smutek.

— Tego się pewno nie doczekam! — westchnęła z rezygnacją.

— Nie doczekasz się, jeżeli dasz za wygraną. Ale, pamiętaj, nie trzeba nigdy dawać za wygraną.

— On mi nie mówi o rodzinie.

— Taak? I ty się na to zgadzasz! Nie rozumiesz, że to zniewaga, policzek...

Pani Fafa rzuciła się do rąk swej opiekunki.

Mówiły jeszcze długo. I obie rozstały się zadowolone, choć bez złudzeń co do siebie wzajem. Jedna zrozumiała, o co chodzi drugiej.

Tego samego dnia około 7-mej w przedpokoju mieszkania przy ulicy Smolnej rozległ się dzwonek. Pani Fafa, wbrew zwyczajowi, poszła sama drzwi otworzyć, jak w czasach, gdy musiała to czynić, nie mając stałej służącej.

— Serce mi powiedziało, że to mój Kot — szepnęła, tuląc głowę do piersi pana Marcelego. — Bo właśnie leżałam przed chwilą na szeszlongu i myślałam o tobie, o nas!

Pan Marceli obejrzał się.

— Możemy się nie krępować — mówiła, domyślając się, o co mu chodzi. — Mała poszła ze szwaczką na cały wieczór do znajomych, nie wróci przed dziesiątą. Służącą wyprawiałam z listem do ciotki na Leszno. Umyślnie daleko, żeby wróciła późno. Chcę być z tobą sam na sam. No, chodź, nie będziemy stali w przedpokoju. Chodź, ty mój pieszczochu.

Prowadziła go do buduaru, upragnionego od lat wielu.

Panował w nim wykwint i gust odpowiedni do estetycznych ideałów pani Fafy oraz jej podobnych Faf i Fafeczek.

— O tak, tak, usiądź tu przy mnie. Bliżej! Jeszcze bliżej! — szeptała, prowadząc go do otomany.

Patrzył na nią, jak na rozkoszne dziecko, i drżał na samą myśl, że za chwilę wejdzie do krainy szczęśliwości. Wiodła go po wszelkich jej zakamarkach, zgoła pani Kasi ani żadnej uczciwej kobiecie nie znanych. Nie dziwił się, skąd je zna Stefunia, przejęty szczęściem, że on wraz z nią zwiedzać je może.

— No powiedz, że Stefa jest miła dla Kota, że Kot nie ma do niej wstrętu? Powiedz!

Pan Marceli, w odpowiedzi, smutnymi, obwisłymi wąsami wodził po całej ręce pani Fafy, od paluszków do łokcia i powyżej.

— Moja ty... moje ty szczęście! — szeptał.

— Dobrze ci u mnie? — dopytywała, palcami drugiej ręki muskając jego bujną jeszcze czuprynę. On milczał, przejęty tem, co robił.

Namyślała się, czy już zacząć; gdy stawał się coraz czulszy, westchnęła nagle i odsunęła się od niego.

— Och! nie! Dzisiaj jestem smutna, zboląła. Opadły mnie wspomnienia. Dziś rocznica śmierci mojej matki. Przypominałam sobie, jak mnie uczyła pacierza... I ja, z takiego domu — ze dworu, doszłam do... tego...

— Stefuniu! — przerwał jej z wyrzutem.

— Wiem, jesteś szlachetny, delikatny, ale być w takiej roli dla kobiety uczciwej — to okropne!

Chwyił ją za ręce i okrywał pocałunkami.

— Jednego tylko pragnę: żeby ci było u mnie dobrze! — mówiła głosem stłumionym.

— Ty czujesz, jak mi jest — odpowiedział i ukląkł przy niej.

— Ale w domu ci lepiej — szepnęła, zrzucając mu ręce na szyję.

Zerwał się i podszedł do okna.

Nie od dziś spostrzegła, że na wzmiankę o rodzinie, o domu, posępnieje odrazu i że nic już nie zdoła go wyprowadzić z cichej, milczącej rozpacz.

— Ja wiem, ja wiem — mówiła, odsuwając się od niego — ty tamtą kochasz; do mnie tylko... się palisz. Oddałam ci wszystko — wszystko: dobre imię, serce... A co wzamian? Co? Ostatnia ulicznica ma to samo. To nie jest uczucie, to zmysły. Ja nie chcę! Nie chcę!

Ukryła twarz w dłoniach, przez palce wydobył się jęk. Pan Marcelli siedział z głową spuszczoną, nieszczęśliwy, bezradny wobec tego bólu.

Po chwili przysunął się do niej, chciał ją objąć, lecz odtrąciła go i, stojąc przed nim, mówiła patetycznie:

— To kara zasłużona. Nie trzeba było zbaczać z drogi prostej, ciernistej. To się mści. Wiedziałam. Miałam przecucie. Dlatego tak długo nie mogłeś mię zdobyć, choć odrazu, od pierwszego rzutu oka wzięłeś moje serce.

Zakryła znowu twarz i, jak przed chwilą jęki, tak teraz słowa rzucała przez białe palce, utrzymane starannie.

Pan Marcelli już nie pamiętał, że »długi opór« trwał aż dni dziesięć — czuł się zbrodniarzem, i względem żony i względem tej drugiej ofiary.

Pani Fafa umilkła, nie mogąc jakby wydobyć słów skargi i żalu.

Całym ciężarem runęła na szezlong, obity atłasem ponsowym. Po chwili »wytworny« buduarek nappełnił się fonetycznymi objawami żalu do świata i ludzi.

Pan Marcelli nie mógł znieść ani widoku, ani odgłosu łez. Odczuwał ból kobiety, która, chcąc dla ukochanego mężczyzny być wszystkim, całego świata przysłonić mu nie mogła.

— Stefuniu! — szepnął.

Ale ona odsunęła go ruchem łagodnym.

— Nie, nie — jęczała, pokazując mu twarz zaczerwienioną — dziś już z nikim mówić nie mogę, nawet z tobą... Idź, idź, najdroższy — dodała, ogarniając go słodkimi, zrezygnowanym spojrzeniem, które, przesunąwszy się boleśnie po jego zbrózdzonej twarzy, spoczęło w mgnieniu oka na zegarze, stojącym wprost szezlonga.

— Idź! idź! — zawołała z nagłym przyływem energii. — Pęka mi głowa. Spokoju! ciszy!

On, zafrasowany, zbolały, nie stawiał oporu, nie śmiał nawet dotknąć jej ręki.

Szła za nim do przedpokoju; ruchem służebnicy kornej a miłującej podała mu palto. W chwili, gdy

ręka jego spoczęła na klamce, pani Fafa nachyliła się i przywarła do niej ustami.

Pan Marceli chwycił ją w ramiona i tulił, wzruszony.

— Moje ty skarby najdroższe! — wsunął jej w ucho.

— Najdroższe? — podchwyciła, ogarniając go tęsknym spojrzeniem.

— Najdroższe — powtórzył.

Widocznie pasowała się ze sobą.

— Jutro nie przychodź — rzekła ze smutkiem — ja to muszę w sobie przetrwać. To wzbierało dawno... dawno... Nurtowało... aż wybuchło. Nie wracaj... dopóki nie napiszę... Nie wrócisz... słowo?

Pan Marceli spojrział na nią trwożnie. Ukąsiło go złe przeczucie... Gotowa go opuścić... na zawsze, odejść w krainę śmierci, aby go nie odrywać od domowego ogniska.

Chciał paść przed nią na kolana, lecz nie dała mu na to czasu.

— Idź już, idź! — powtarzała gorączkowo. — Ja już sił nie mam. Oj! życie ludzkie!

Otworzyła mu drzwi. Jeszcze się wahał. Ściskając mu silnie rękę, szepnęła:

— Daleś słowo. Będziesz czekał. Ja napiszę... jutro, może pojutrze.

Zajrzał jej w oczy i uspokoił się. Była w nich obietnica.

Pan Marceli schodził, szarpany uczuciami sprzecznymi, które nie mogły się pomieścić w jego smutnej duszy. Co robić? Jak te dwie miłości pogodzić? Jak?

Po raz dziesiąty może powtarzał sobie to pytanie, gdy na dole, we drzwiach od schodów, z wielkim rozmachem wpadł na niego młody chłopak.

Pan Marceli był tak osłabiony walką wewnętrzną, że zachwiał się, jednocześnie głowę podniósł i ujrzał przed sobą — Rysia.

Zawstydził się tak, jak młoda panienka sroma się, gdy ją kto podpatrzy w kąpielu. I jemu zdało się, że stoi przed siostrzeńcem nagi.

— Cóż ty tutaj? — zapytał, nie mogąc swego zmieszania ukryć.

— A co wuj? — odpowiedział Ryś pytaniem i podkreślił je uśmiechem dwuznacznym.

— Ja, ja — do... kolegi... — bąkał pan Marceli blady, drżący.

— I ja do kolegi — odparł mu Ryś.

Uśmiechnął się, niebieską czapczkę mundurową uchylił i, przesadzając po dwa stopnie, wbiegł na schody.

Pan Marceli nie mógł się ruszyć z miejsca. Stał wsluchany w odgłosy kroków młodzieńca. Zdawało mu się, że depcą po jego drażliwym, a słabym sumieniu; że rozlegają się po całym domu, po całym mieście; że nie umilkną nigdy. Jednak ucichły. Nie zmiarkował, że ucichły na wysokości drugiego piętra...

XXIX.

...Może Antoś z Wreczyńskim tworzyć jakiś nudny Związek udoskonalania, czy samoulepszenia,

czemużby nie miało powstać kółko, w którym nie będzie mowy o żadnych nudnych rzeczach, tylko o miłości?

Takie zamiary zrodziły się w ładnej, ufryzowanej główce Mili Niedzińskiej na posiedzeniu, w którym Wreczyński wyłuszczył cele Związku samoulepszenia.

Mila odezwała się raz tylko i nawet bardzo trafnie. Jednym słowem: »Deklamacya!« oceniła przemówienie Mary Rotblattówny. Na zwrócone wprost do siebie pytanie: jaki jest jej ideał? — odpowiedziała milczeniem i rumieńcem, bo przecież głośno powiedzieć nie mogła, że jej ideałem był — Ryś Rojewski. Nie zmuszano jej do wynurzeń, i tajemnica pozostała jej osobistem dobrem, dzielonym z kilku przyjaciółkami. Ryś miał nieraz sposobność tej tajemnicy się domyślić, że jednak Mila interesowała go mało, więc nie próbował się utwierdzać w swych przypuszczeniach. Gdy w parę dni po raucie zaręczynowym u pani Pohoreckiej Zonia spytała go, czy zechce pójść na zebranie młodzieży do państwa Niedzińskich, zgodził się, z tem większym zapałem, że Zonia nazajutrz po owym raucie, bez żadnego oporu ze strony jego i pani Luli, zatrzymywana tylko przez pana Zygmunta, przeprowadziła się do cioci Kasi, gdzie już od kilku tygodni bawiła jej młodsza siostrzyczka, Lusia.

Ryś z Antosiem towarzyszyli Zoni na organizacyjne zebranie nowego kółka.

Weszli w chwili, gdy Mara Rotblattówna staniała się pod suchym szelestem okłasków, jak brzoza pod wiatru podmuchem.

— Autorka! Autorka! Bis! — wołała młodzież, siedząca dokoła stołu, zastawionego ciastkami i cukierkami.

Mara złamała się znowu w pasie, nachylona nad czekoladkami rzuciła jedno słowo:

A b y!

A potem zaczęła głosić:

Aby się myśli wdarły w górne loty
I aby serce biło w takt ochoczy,
Do tego trzeba jednej twej pieśczoły,
Do tego trzeba — spojrzeć w twoje oczy.
I abym serce znalazł tu bez cieni,
To szczęście, które życie nam zaślania,
Do tego trzeba wiosny — nie jesieni,
Do tego trzeba twojego kochania. *)

Znowu ugięła się pod oklaskami. Ryś spojrzął na Zonię i zapytał:

— Dlaczego ona przedrzeźnia mężczyznę?
Zdziwiła się oczyma.

— No tak, czemu nie mówi od siebie?

— Bo się pewnie żenuje — objaśniła go poważnie Zonia.

Zmrużył jedno oko i uśmiechnął się.

Gdy zapanowała względna cisza, skorzystał z tego Lipski, aby głos zabrać:

— Koleżanka doskonale określiła, czego do szczęścia potrzeba — rzekł. — Podczas rewolucyi nie było na to czasu, ale teraz — nic nie przeszkadza do zabawy.

*) Wiersz młodziutkiej poetki, A. S.

— Kochanie — zabawą? — przerwał z oburzeniem Antoś.

— Mój drogi, jeżeli chcesz wyjeżdżać z moralami, to lepiej się wypisz z naszego kółka, zanim się do niego wpiszesz — odparł Kocicki.

Antoś powiódł oczyma dokoła stołu i, prześliznąwszy się po kilku twarzach bezmyślnych, spotkał nagle oczy Mani, które potwierdziły, że miłość — nie jest zabawą.

Chciał pójść za radą kolegi i odrazu opuścić zebranie, bo zmiarkował, że nie odpowiada jego ideałom, lecz pozostawała Mania, więc i on pozostał.

— Zielone serduszko. Doskonale! — wołano przy bocznym stolczku.

— Mamy już nazwę dla naszego kółka. »Zielone serduszko« — oznajmiła Mila, podchodząc do dużego stołu.

— Doskonała nazwa — podchwycił Ryś — tylko dlaczego zielone i dlaczego serduszko?«.

— »Serduszko«, bo zrzeszamy się dla wzajemnej miłości, a »zielone«, bo to kolor nadziei i młodości — wyluszczał jasnowłosy chłopiec, wstając od bocznego stolika, przy którym odbył się chrzest nowego kółka. Młodzieniec, widocznie ojciec chrzestny tego osobliwego serduszka, zdawał się być obrażony pytaniem.

— Jeżeli tak, to dobrze — odpowiedział mu Ryś z szyderczą powagą.

Antoś znowu spojrzął na Manię i zobaczył, że nie podoba jej się ta zabawa.

Inni byli z niej radzi.

— Tak! tak! Zielone serduszko! — wołano przy większym stole.

— A czy nas jest dosyć? — spytał Kocicki. — Musi być do pary, bo inaczej...

— Niekoniecznie — zaśmiała się Mila. — A kochać się po dwu w jednej — nie łaska?

— A po dwie w jednym? — przekomarzał się Lipski.

— Więc wolno kochać się tylko w kółku? — spytała poetka, rumieniąc się.

— Tak, wszystko siłami miejscowemi — orzekł poważnie Kocicki.

Zmartwiło to widocznie autorkę wiersza: »Aby«.

— I owszem, można poza kółkiem, ale jeden warunek: żeby wciągnąć do kółka tego, kogo się kocha — pocieszyła ją Mila.

— Im więcej członków, tem lepiej — orzekł jasnowłosy młodzieniec.

— Czy starczy kochać — czy trzeba być kochanym? — dowiadywał się chudy kawaler z czarnymi wąsikami.

— My właśnie chcemy i pocieszać i leczyć zakochanych nieszczęśliwie — przekładała Mila. — Będą specyjalni lekarze... lekarki... A wszyscy nazwiemy się — k o c h a c z a m i.

— Ślicznie! — zawołał Kocicki.

Maryan Lipski był mniej zachwycony.

— To brzmi trywialnie — nadmienił.

Przekrzyczano go.

— Czy mamy się wpisać, czy możemy i bez tego? — zapytał.

Intonacya głosu była żartobliwa, lecz oczy mówiły jej, że to nie żarty, że poczyna się między nimi rzecz wielka i piękna.

Zonia nie spuściła wzroku pod jego spojrzeniem, szafirowemi źrenicami powiedziała mu to, o czem nie wiedziała jeszcze sama.

Ciche porozumienie tych dwojga spłoszyło hasło, rzucone przez Kocickiego.

— Społem — serca!

— Szkoda, że tu niema Onufra — nadmienił Lipski — onby nam zaraz przełożył znaczenie ekonomiczne tego zespołu i z pewnością radziłby nazwać nasze kółko: kooperatywą serc.

Po twarzy Antosia przeszedł cień. Wydrwiwanie wszelkich ideałów i ukochań brał on zawsze jakby osobistą obrazę.

Znowu spojrzął ukradkiem na Manię. Zapatrzona przed siebie, odbiegła widocznie daleko od tego bawienia się w miłość. Było coś nieudolnie tragicznego w wyrazie jej twarzy, nie urobionej jeszcze do tragizmu.

Korzystając z ogólnej wrzawy i krętaniny, wstał i podszedł do niej. Nachylił się nad jej krzesłem.

— Może panią stąd wyprowadzić? — zapytał.

Nie podnosząc oczu, rzekła:

— Dziękuję. Chciałam właśnie wyjść — bez zwrócenia uwagi.

— Ja to pani ułatwię — szepnęła. — Wszyscy są teraz zajęci »Zielonem serduszkim«. Widzi pani, tamci z drugiego stołu wstają i podchodzą do

naszego. Panna Mila rzuca im cukierki — w lot chwytają. Nikt nie zauważy, żeśmy wyszli.

Byli już we drzwiach od przedpokoju. Mania szukała gorączkowo swego okrycia. Zarzuciła je na ramiona. Wybiegła na schody.

— Nie mogę. Doprawdy nie mogę — mówiła, pędząc na dół. Bała się, że ją zechcą zawrócić.

— Pani jest nieszczęśliwa — rzekł do niej w bramie.

— Jestem — przytwierdziła obojętnie.

— A ja nic pomódz nie mogę?

— Mnie już nikt nie pomoże.

Stanął.

— Niech pani tak nie mówi!

W głosie jego była prośba wylękniona.

— Pan... jak matka, jak pani Bogdańska... prawie słowo w słowo — rzekła, ogarniając go spojrzeniem smutnem. — I pan jest dobry. Dla mnie być dobrym nie warto — dodała ostro, niemal gniewnie.

— Niech pani tak nie mówi — powtórzył swą prośbę. — Ja tego słuchać nie mogę... Jabym chciał, żeby pani było na świecie tak dobrze, jak nikomu.

— To się już skończyło na zawsze.

— Nie, nie, nie! — przeczył z zapalem.

— Do widzenia... chcę być sama! — zawołała i wyszła szybko.

Puścił za nią oczy w pogoń. Ulica wydała mu się nagle ciemniejsza, noc nieprzenikniona. Późnym wieczorem wrócił do domu. Przeszedł na palcach koło drzwi sypialni, choć przez szybę we drzwiach padało światło. Nie chciał widzieć nawet matki. Doznawał ta-

kiego uczucia, jak gdyby niewidzialna ręka odbierała mu coś, czego jeszcze nie miał.

W rozbawionem kółku nie spostrzeżono wyjścia tych dwojga.

Dostrzegła je tylko Zonia. Podniosła się i stanęła we drzwiach, aby ich odwrót osłonić. Wacek, siedzący przez cały czas na uboczu, widząc, że opuściła swe miejsce obok kuzyna, szybkim krokiem przeszedł przez salon i do niej się zbliżył.

— Muszę z panią porozmawiać — rzekł głosem przyciszonym, tragicznym.

Do Rysia podchodziła właśnie Mila.

— Pan, naturalnie, zapisze się do naszego kółka?

— A jakie wpisowe? — zapytał w tonie żartobliwym.

Przechylając główkę, odpowiedziała figlarnie:

— Miłość!

— Jeżeli tylko tyle, jestem już członkiem nadhonorowym. Pani wie, że ja się w pani Kocham do szaleństwa.

— A, to doskonale! — zawołała, udając, że ją to bawi; lecz ucieszyło ją to bez miary.

— A pani? — zapytał wesoło.

Była z natury przytomną i rezolutną, więc zapanowała szybko nad wzruszeniem i wygłosiła tonem wiecowym:

— A ja? Ja przyjmuję to do wiadomości.

— Nie udzieli pani innej odpowiedzi... przedmówcy? — dostroił się do jej stylu.

— Wpiszę tę deklarację do protokołu.

— Tylko do protokołu? A może i do pamięci?

— Może.

— I do »Zielonego Serduszka«?

— No tak, naturalnie.

A tymczasem we framudze okna Rotblatt w żywej utarczce z Zonią rozkładał ręce ruchem, świadczącym o jakiejś niemocy, to znów podnosił je do czoła i wodził po niem z desperacją.

— Bo niech pani wejdzie w moje położenie — mówił.

— Nie chcę wchodzić. Pan mi dał słowo, tego słowa panu nie zwrócę — przekładała mu stanowczo.

— Bywają sytuacje, w których wolno złamać słowo — dowodził Wacek.

— Nie, nie, takich sytuacji niema dla człowieka honoru...

— Chodzi właśnie o mój honor. Jestem w okropnym położeniu. Wszystkim już zapowiedziałem, że się zastrzelę... nie śmiem im spojrzeć w oczy, a co dzień któryś pyta mnie: »Jeszcze żyjesz?« W takich chwilach chciałbym się schować pod ziemię.

— Właśnie, że nie. Trzeba podnieść głowę i odważnie, szczerze odpowiedzieć: »Żyję i żyć będę«.

— E! Pani o tem nie ma pojęcia. Pani nigdy nie była mężczyzną i nigdy nie miała pani kolegów.

— Ale miałam koleżanki, i wiem, że każda, najgorsza nawet, szanuje odwagę cywilną, odwagę przekonań. Tak już jest na świecie. Mój dziadek zawsze powtarza: »Głowa do góry i opowiadać się przy swojej prawdzie wewnętrznej — przeciw tysiącom bodaj«.

— Pani mnie nie rozumie: chodzi nie tylko o ho-

nor. Mnie już ta miłość strawiła. Od miesiąca nie śpię, ciągle mam panią przed oczyma... a pani przed chwilą mówiła o mnie z tamtym... wyśmiewaliście mnie. Prawda?

— Panie Wacławie, jak pan może nawet przypuszczać!

— Bo jestem przyzwyczajony. Drwią ze mnie i w szkole i wszędzie... na każdym kroku. Pani nie wie, co to za nieszczęście być Żydem... Kochać ten kraj, czuć się jego synem, a być zawsze tylko... pasierbem... poniewieranym. Ja i dlatego żyć nie chcę. Mam dosyć.

— Odwagi! — szeptała Zonia. — Zwalczy ich pan tylko odwagą. Nie wstydzić się! Nie dać im się poniewierać! Trzeba ich nauczyć, że jesteśmy wszyscy równi obywatele... Ja już o tem mówiłam z Antkiem, z Rysiem... Obaj są mojego zdania. A pan Rysia tak źle sądzi...

— Pani go tak gorąco broni!...

— Bo nie znoszę niesprawiedliwości.

— Czy tylko dlatego, panno Zoniu?

Smętne, a badawcze spojrzenie Rotblatta, zaglądnąjąc w głąb jej duszy, wyłoniło z niej powód inny, przed chwilą jej samej nieznanym.

Zadumała się. Jej szafirowe oczy poszły za Rysiem. Żartował z Miłą.

Nie przestając śmiać się, spojrzął na Zonię — króciutko. I nagle wydał jej się inny, nie kuzyn, a jednak jeszcze bliższy — swój. Wstrząsnęła głową, okoloną jasnymi warkoczami, jak gdyby chciała coś od siebie odgonić, i zwróciła się do swego towarzysza.

— Nie! nie! — rzekła gorączkowo — nie tylko pana ze słowa nie zwalniam, ale żądam, żeby pan przysiągł, że... pan sobie życia nie odbierze — dodała ciszej, uroczyście, tak, jak się wymawia rzeczy wielkie i święte.

Wstała i wyciągnęła rękę, a gdy Wacek dłoń na jej dłoni położył, uścisnęła ją mocno, serdecznie i rzekła, patrząc mu w oczy:

— Zatem pan przysięga?

— Na co ja mogę przysięgać? — odpowiedział z goryczą.

— Na Polskę.

— I na panią — dodał cicho.

— Jużście skończyli? — wpadł w tę rozmowę Ryś, podchodząc do Zoni.

Wacek zaraz się usunął, we framudze ukrył swe zmieszanie.

— Udzielałaś mu chrztu, czy rozgrzeszenia? — spytał Ryś z szyderczym uśmiechem.

— Wiesz, że nie lubię cię takim — rzekła.

— A jakim mnie lubisz? — podchwycił.

— Dobrym.

— To znaczy, że masz do mnie stałą antypatyę.

— Znowu się obmawiasz. I tego nie lubię.

— A czy wolno mi powiedzieć, czego ja nie lubię?

— Mów.

— Nie cierpię, kiedy się rozmiennasz na drobną monetę i z byle kim zadajesz.

— Miałabym ochotę ci odpowiedzieć, że mnie rodzi zwykła Rojewska, a nie hrabianka Pohorecka.

— Ale mi tego nie powiesz i dobrze zrobisz, bo na to nie zasłużyłem.

— Zasłużyłeś. Traktujesz... wy wszyscy traktujecie Rotblatta, jak paryasa.

— A on chowa się pod twoje skrzydła. Niejednemu dla tego samego zniósłby prześladowanie. Ja pierwszy.

— Tybyś się prześladować nie dał.

— To niechże i on — nie da się. Patrz: stoi we framudze i oczy ociera. A zdaje mi się, że ta desperacja ma jeszcze inną przyczynę. Ten idyota zakochał się w tobie.

— Dlaczego zaraz: idyota?

— Bo trzeba być idyotą, żeby takie cebulaste oczy podnieść aż tak wysoko.

— Znowu miałabym ochotę ci przypomnieć, że ja jestem zwyczajną sobie panną Russocką.

— A on — Rotblatt... Wiesz, prawdę ci powiem, ta żydowska miłość w moich oczach cię obniża.

— Jeżeli tak, to zacznę mniej dbać o twoje oczy.

— No, naturalnie, uważasz sobie za święty obowiązek być zagorzałą demokratką — filosemitką.

— Gdybym to robiła z obowiązku, z doktryny, wtedy mogłoby mnie to obniżyć w twoich oczach.

— Ty to robisz z miłości bliźniego — wiem — i tego właśnie w tobie nie lubię... Jesteś za ładna, za młoda na takie cnoty... Zostaw to cioci Kasi...

— O, przepraszam! jeżeli zaczniesz mówić w tym tonie o cioci Kasi, to rozgniewam się na dobre.

— Rozgniewaj się, moja droga. Będziesz mniej podobna do bohaterki powieści dla dorastającej młodzieży.

— Czy myśmy tu przyszli, żeby się kłócić?

— Ja nie zaczynam, ale jak dajesz powód...

— To mi się podoba! ja dałam powód, ja! — zaperzyła się Zonia.

— Nareszcie? Niecierpliwisz się. Przystaniesz mnie nudzić.

— Ja ciebie nudzę?

— Chwilami — okropnie, i jeżeli ci chodzi o mnie, to sobie zapamiętaj: nudzisz mnie zawsze, kiedy jesteś... doskonałą.

— Dzięki Bogu, nudzę cię bardzo rzadko — roześmiała się.

I z jego twarzy znikł nagle grymas szydery, piękne usta rozchyliły się w uśmiechu.

— Więc zgoda? — zawołała — ale musisz mi obiecać, że nie będziesz dokuczał Rotblattowi.

— Nic ci nie obiecuję, bo nie lubię się krępować słowem, nie lubię wogóle krępować się niczem, a w dodatku mam już dosyć Rotblattów: w szkole, na koleżeńskich zebraniach! Dajże ty z nim pokój, bo...

— Bo zerwiesz ze mną stosunki — podchwyciła wesoło.

— Bo przestanę cię uważać za najmilszą z kuzynek... za najmilszą... na świecie — dodał przyciszonym głosem i objął ją oczyma. Był w nich mimowolny zachwyt i zupełnie świadome uznanie jej wdzięku i urody — jasnej, barwnej.

Ten zachwyt rzucił promień na jej złotą główkę,

rozświetlił jej szafirowe oczy, nadał żywszy jeszcze koloryt jej twarzy, jak słońce dodaje blasku łąnowi żyt, usianemu w chabry i maki.

XXX.

Ośmioletnia Lusia Russocka od paru miesięcy bawiła w Warszawie. Dziecku, przyzwyczajonemu do przestrzeni, duszno było w murach.

— Ciocinko, chodźmy tam, gdzie niema domów— prosiła panią Kasię, gdy z nią po raz pierwszy wyszła na miasto.

— Trzebaby iść za daleko na twoje małe nóżki— przekładała jej ciotka.

— To może chodźmy nad Wisłę. Ja ją dobrze znam. Pozbieram kamyki na brzegu, jak w Daleszycach.

Nieprędko zrozumiała, że w Warszawie »dużo rzeczy nie tak, jak w Daleszycach«.

— Tutaj, to wtedy tylko widać, że wiatr wieje, jak wywieszają te chorągwie na balkonach — dziwiła się.

I nie mogła pojąć, że za wszystko trzeba płacić, »nawet jak się jedzie końmi«.

Na początku jesieni chodziła z ciotką do Łazienek, zbierała tam kasztany i liście zwiędłe.

— A czy i za te liście trzeba płacić w tramwaju? — pytała, zdziwiona tem, co ją otaczało.

Matka przywiozła Lusię do Warszawy, gdyż dziewczynka po szkarlatynie chorowała na uszy i musiała być przez czas dłuższy pod obserwacją lekarską.

Jasną buzią i uśmiechem rozpraszała nawet ponurość pana Marcelego. Czasami zostawał dłużej wieczorem, aż do chwili, gdy ułożyła się do snu.

Przypominała mu Kasię z czasów, gdy ją kochał jeszcze jako 15-letnią dziewczynkę, z dużymi blond warkoczami na plecach.

Takie same złote warkoczki spadały teraz na plecy Lusi. Patrząc na nie, pan Marceli pierwszy raz zastanawiał się: dlaczego Kasia była już siwa, gdy jej matka i starsze siostry świeciły jeszcze złotem? Nigdy nie przyszło mu na myśl, że jego smutek, jego ustawiczne przeczucia, których żona nie brała nigdy do serca (o co nieraz miał do niej głęboką urazę), że to wszystko, spadając przez szereg lat na tę jasną głowę, prószło ją z wolna szronem, jak płatki śniegu, padając na liść zielony, odejmują mu barwę.

Kiedyś słyszał, że w Chinach na głowę skazańców spuszczają wodę, kropla po kropli, i że ta kropla, zwana chińską, jest jedną z większych tortur.

Od pierwszego dnia przybycia Lusi widok jej złotych warkoczów przywiódł mu na myśl opowieść o tej kropliczce chińskiej.

Przez lat dwadzieścia szedł pan Marceli przez życie obok tej głowy, która, wchodząc z nim na ścieżkę wspólnej drogi, była jasna, a teraz pojaśniała jeszcze bardziej. Wszak zima jasnością bieli przytłacza różnobarwność natury.

On był dla niej tą zimą. Zwarzył pogodę jej wewnętrznego życia. Dotychczas dręczył ją bezwiednie, a teraz krzywdził świadomie.

Dziecko, któremu zawdzięczał to gorzkie pozna-

nie swego samolubstwa, stało mu się drogie i blizkie, jakby rodzone.

Jedno słowo Lusi zdolne było zatrzymać go w domu, w chwilach nawet, gdy go oczekiwała »stęskniona« pani Fafa.

— Niech wujcio nie odchodzi, niech wujcio z nami zostanie. Pobawimy się w ślepą babkę — prosiła Lusia pewnego wieczora.

Został. Pozwolił sobie oczy zawiązać i gonił dziewczynkę po wszystkich pokojach. Była uszczęśliwiona. Po ślepej babce grała z wujciem w forteczkę i osaczyła go dwa razy, ku nadzwyczajnej swej radości. A dnia tego, na specjalne wstawiennictwo wujka do cioci, poszła spać o dziesiątej.

* * *

Lusia układała się do snu rozbawiona. Klęcząc w dużym łóżku pana Marcelego, które zajęła po jego wyprowadzeniu się do gabinetu, odmawiała zwykły pacierz wieczorny.

— »Módl się za nami grzecznemi, którzy się do ciebie uśmiechamy« — prosiła zawieszoną nad łóżkiem Matkę Boską Częstochowską.

Tak, po raz pierwszy, powtórzyła te słowa za matką, i tak je powtarzała dwa razy na dzień dotychczas, bo pani Russocka nie chciała zacierać tego uśmiechu, posyłanego co wieczór Matce Boskiej w dani.

Rozbawiona Lusia tego wieczora wyjątkowo usnąć nie mogła. Leżała cichutko z zamkniętymi oczyma, a dziwne myśli przelatowały przez jej główkę.

...Dziś dopiero było jej zupełnie dobrze w tym domu, tak, jak w Daleszycach, gdzie był tatuś, mamusia, Zonia, Janka, Geńcio i Stefek.

Leżąc z zamkniętymi oczyma, przypominała sobie, że, gdy była »ślepą babką«, schwyciła wujka za kolano, a on podniósł ją, postawił na stole i całował w główkę; potem, gdy jej zdjęli chustkę z oczu, zobaczyła, że wujek zmienił się.

— Jaki wujcio jest dziwny! — zawołała.

Wujcio śmiał się oczyma. Objęła go za szyję i pocałowała.

Teraz usnąć nie mogła. Przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej paliła się lampka, migotliwym, krwawym blaskiem przerywając ciemność. Dziewczynka podniosła się, przeskoczyła na łóżko cioci i, wspinając się do obrazu, ucałowała go i szepnęła, jakby pod sekretem:

— Proszę cię, Matko Bosko, niech będzie wszystkim wesoło.

Słyszając swój szept, zrozumiała nagle, co tutaj jest inaczej, niż w Daleszycach.

Tutaj było... smutno.

Myśli dziecinnej objawiło się pojęcie nowe, zgoła nieznane. Wiedziała już, że jest na świecie ból, choć go jeszcze nie oglądała oczętami modremi; ale dotychczas nie wiedziała, że bywa smutno.

Nowe pojęcie zrodziło w Lusi nowe uczucie.

Nigdy jeszcze nie leżała tak długo w łóżeczku z otwartymi oczkami. Coś jej przeszkadzało pod powieką, aż wreszcie wytrysnęły z pod niej łzy i po-

woli spływały na różową buzię. Pierwsze łyzy od czasu jak była »maciutką«, »maciupeńką« i »mazała« się w kołysce — pierwsze kobiece łyzy współczucia.

XXX.

W parę dni po rozmowie z Zonią sytuacja stała się dla Rotblatta wprost krytyczną.

Umarł jego dziadek. Klepsydry na rogach ulic i nekrolog w poczytnym dzienniku obwieszczały, że »b. p. Salomon Rotblatt po długich i ciężkich cierpieniach zakończył życie« i że »wyprowadzenie zwłok na cmentarz wyznania Mojżeszowego« nastąpi tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie, »o czem stroskane dzieci i wnuki zawiadamiają krewnych i przyjaciół«.

W dniu, w którym ukazało się to obwieszczenie, Wacek nie chciał iść do szkoły, wiedząc, co go czeka, lecz odwagi dodawało mu wspomnienie rozmowy z Zonią Russocką.

Poszedł. Dwie pauzy minęły spokojnie. Już przypuszczał, że będzie mógł wrócić do domu z niezużytym zapasem odwagi. Martwiło go to i cieszyło porówno. Lecz i zmartwienie i radość były przedwczesne.

Nadeszła duża pauza.

Opustoszały klasy, zapelniły się korytarze. Rotblatt chciał zbliżyć się do Antosia, aby mu powiedzieć, że: »stanowczo, choćby go mieli napiętnować, życia sobie nie odbierze« — gdy zastąpił mu drogę Kocicki i z uprzejmym uśmiechem zapytał:

— Czy i ja jestem proszony na wyprowadzenie zwłok na cmentarz wyznania Mojżeszowego?

Z drugiej strony zbliżył się Lipski i z uśmiechem nie mniej miłym informował się:

— Czy wolno mi zaliczać się do krewnych czy do przyjaciół b. p. Salomona Rotblatta?

— A proszę cię — dorzucił Kocicki — chciałbym się też raz dowiedzieć, co znaczy: *b. p.* Czy że wam wszystkim bardzo pilno na ten cmentarz?

— Nie zanadto, skoro b. p. Salomon Rotblatt dożył lat 84 — wtrącił Lipski.

Oczy drwiące wbijały się w Wacka, jak gwoździe, i zdawały się go przykuwać do ściany, o którą się oparł.

Przechodzący uczniowie, widząc zmieszana, zbolałą twarz Rotblatta i uśmiechy jego prześladowców, zdjęci ciekawością, otoczyli ich półkolem; do tych pierwszych przyłączyli się inni, jak zwykle w zbiegowiskach.

Odczuli, że dzieje się tu coś niezwykłego, i, nie wiedząc o co chodzi, czekali.

Prześliznęły się po nich oczy Rotblatta i refleks ciekawości kolegów odbił się w nich — naprzód lękiem, potem zawstydeniem, wreszcie bólem. Nagle spojrzenie Wacka oparło się na oczach Antosia. Odrazu ustąpił z nich lęk i wstyd. Nie ustąpił tylko ból. Antos stał za innymi, lecz że był od innych wyższy, więc jego płowa czupryna, wyniosłe czoło i smutne oczy górowały nad wszystkimi głowami. Słyszał zaczepkę, ale, wbrew zwyczajowi, nie występował w roli obrońcy. Stał i czekał, a oczyma zdawał się mówić: »Sam się obroń! Dotrzymaj placu!«

Wacek zrozumiał, co mu powiadają te oczy niebieskie, ale nie odrazu w sobie samym znalazł odpowiedź. Jak zwierz zbiera się do skoku, tak on zbierał się do, obcej mu jeszcze, odwagi. Znalazł ją wreszcie, wyłowił z dna duszy, czy też siłą postanowienia wyrobił. Kędzierzawą głowę odrzucił, bolesne oczy w czerwonych obwódkach zczepił z litościwymi oczyma Antosia i, na niego tylko patrząc, jemu wyłącznie głośił:

— Tak, mój dziadek pojedzie na kirkut! Był Żydem i ja jestem Żydem, choć — wychrzczonym.

Sam dźwięk słów wymawianych zdawał się go przerażać, lecz gdy je usłyszał — po raz pierwszy z ust własnych, nie obcych, które zwykły rzucać mu je z pogardą — te słowa wydały mu się zgoła inne, chlubne niemal; bolały go, nie jak policzek, ale jak stygmat męczeństwa.

— Tak, jestem Żydem — powtórzył z większą mocą — Żydem, który czuje po polsku. Według was to grzech pierworodny. Nie zmazuje go nawet — chrzest. A ja wam powiadam, że to nieszcęcie. Jestem chrześcijaninem, chcę być Polakiem, a do śmierci pozostanę Żydem... — skończył ze łzami w głosie.

Antoś precisnął się przez coraz liczniejszą gromadkę i przy Wacku stanął, gotów stawić czoło całej szkole z nim razem i w jego imieniu. Lecz nie miał z kim się potykać. Krąg, otaczający Rotblatta, zacieśnił się. Zanim nawet otworzyły się usta, po tem zbiegowisku przeszedł powiew — już nie szyderstwa, lecz życzliwości, współczucia. I nie zaraz odezwały się głosy. Wpierw krótkie, zgodne milczenie powiedziało Wackowi, że wstrząsnął sercami.

A potem — nagle i tak samo jednozgodnie, jak przed chwilą milczenie — rozbrzmiały nie słowa, lecz wśród ogólnego gwaru jakby jeden wspólny krzyk serdeczny — ciepła nuta. Niepodobna było rozpleść pojedynczych zgłosek tego dźwięku, lecz wtórowały mu twarze zawstydzone, wzruszone, i ręce, wyciągające się do złamanej, wątłej postaci, którą Antoś musiał podtrzymać, aby nie runęła, zwalona poprzednim wysiłkiem woli i tym niespodziewanym objawem życzliwości.

Antek wziął Wacka pod rękę i slaniającego się prowadził do pustej klasy. Gromadka rozstępowała się przed nimi z szacunkiem i znowu w milczeniu.

— A widzisz! Tylko odwagi! Odwaga zwycięża nawet złość i uprzedzenie — mówił Antoś, sadzając Rotblatta na katedrze.

Prześladowcy rozchodzili się wśród ciszy, nie patrząc sobie wzajem w oczy: jeden wstydził się drugiego; tylko Lipski wzruszył ramionami wzgardliwie, a Kocicki mruknął:

— Jeden komedyant!... a drugi Don Kiszot.

I uczuł osobistą urazę do obydwu.

* * *

Nad miejskim brukiem zafalował jakby łań cha-brów, powiało świeżością wiosenną. To uczniowie wylewali się z podwoi jednej ze szkół polskich.

Równocześnie z przeciwległej kamienicy wyszedł pies ogromny, zwykły towarzysz zabaw, oczekujący zawsze o tej godzinie przed bramą swych państwa

na »wstępniaków«. Rzucali się na niego odrazu, próbowali go dosiadać, ciągnęli za uszy, wpadali mu między łapy. On nie bronił się, nie odpędzał ich. Z radosną powagą machał ogonem i dobrotliwie znosił te bolesne dowody przyjaźni.

— Dar! — Dar! — wołali malcy. Każdy chciał go zwabić do siebie.

W chwili tej właśnie na podwórzu kamienicy ukazała się dama, raczej wystrojona, niż strojna. Przejście było zagrodzone przez malców i czworonożnego ich przyjaciela. Dama zachnęła się niecierpliwie.

— Że też na to pozwalacie! — rzekła wyniośle do stróża, który trzepał dywany na podwórku.

— O! jęzda! — rzucił jej przekornie jeden z chłopców.

— I taka będzie się jeszcze stawiać! — mruknął stróż.

Udała, że nie słyszy, i weszła na ulicę, rozglądając się wśród błękitnych czapek.

— Widzisz! to ona — szepnął Kocicki do Lipskiego. Szuka »hrabiczka«... Umówili się pewno w Udziałowej. Chcesz? Pójdziemy... zepsuć im frajdę...

— Także pomysł! — odrzekł na to Lipski — mało mam własnych randek, żeby przyglądać się cudzym! Dziwne amatorstwo!

Wymijał ich właśnie Antoś.

Kocicki, udając, że go nie widzi, zwrócił się znowu do towarzysza, i głosem, niby przyciszonym, ale doniosłym, mówił:

— A ta brunetka, widzisz, ta, co idzie przed nami, z takim piórem na kapeluszu — wiesz, kto

to? — i znowu głos niby zniżył — to metresa staro-
rego Bogdańskiego. On jej kupuje te pióra, a inni
darmo...

Antoś usłyszał te straszne słowa, ale nie zaraz
je zrozumiał, a gdy zrozumiał, na razie odczuł je tylko
fizycznie. Zdało mu się, że niebo zimowe zniża się,
a ziemia z pod nóg mu się usuwa; że konie zjeżdżają
z ulicy na chodnik, a turkot nagle zwiększył się, jak
gdyby przejeżdżały nie dorożki, lecz wagony i szu-
miące lokomotywy.

Kocicki mówił dalej — wciąż niby pod sekretem:
— Stary ją nudzi. Romantyk! Nie wie, że z ko-
bietami...

Słowa ćwiczyły Antosia, jak krwawa dyscyplina;
kłuły go, paliły, wżerały mu się w mózg. Miał ochotę
uciekać przed niemi, a szedł dalej i słuchał rozpacznie...

Lipski wskazał go oczyma koledze.

Kocicki udał, że tego nie widzi, i mówił dalej:

— Szlachcic wygłodził się na wsi, a teraz pu-
szcza się. Niech-no tylko dowie się żona!...

Wzmianka o matce otrzeźwiła Antosia. Staął.
Odwrócił się. Spojrzał prosto w oczy Kocickiemu,
wytrzymał go tak chwilę i rzucił mu wzgardę — na-
przód spojrzeniem. Potem dopiero rękę podniósł.

— Wstyd! Uczniowie szkoły polskiej! — rzucił
jakiś przechodeń.

— Panowie, nie róbcie z siebie widowiska —
zawołał idący za nimi nauczyciel. Wziął obu za rękę,
i tak przedzielonych prowadził do dwu dorożek. Wsa-
dził jednego, potem drugiego. Antoś chciał wyskoczyć,
ale nagle znalazł się przy nim Ryś.

— Daj pokój — szepnął, przytrzymując go. — Bez awantur! Zastanów się. Zrób to dla matki.

Antoś padł na poduszki i dał się odwieźć. Po drodze nie odezwali się do siebie ani razu, lecz, wysiadając z dorożki przed domem, Antoś uścisnął rękę Rysia bardzo mocno. Pierwszy raz odczuł w nim pokrewieństwo prawdziwe.

Przy obiedzie Antoś był tak widocznie wzburzony, że nie uszło to nawet uwagi pana Marcelego.

— Co tobie? — spytał zaniepokojony.

— Nic mi nie jest — odpowiedział syn ostro i chłodno.

Po obiedzie, gdy ojciec poszedł na drzemkę — bo w nocy źle zawsze sypiał i wczesnie się budził — matka, po raz pierwszy w życiu zgromiła Antosia.

— Istotnie, co się tobie stało? Jak ty się odzywasz do ojca? — rzekła z wymówką, a jednocześnie, zaniepokojona, zbliżyła się, aby zobaczyć, czy jest blady.

Położyła mu rękę na czole. Było rozpalone.

Antek nie miał jeszcze szkarlatyny. Widmo jej stanęło przed oczyma pani Kasi.

— Ty jesteś chory? — szepnęła z lękiem.

— Nie, nie, mameczko — uspokajał ją — nic mi nie jest.

— Więc dlaczego ojcu tak odpowiadasz? — rzekła już łagodnie. — Takiemu dobremu ojcu!...

Nie dał jej dokończyć. Chwycił jej rękę i całował długo.

Pani Kasia uczuła na palcach łzy. O nic już nie pytając, tę ukochaną głowę przygarnęła do piersi.

Jego ból nieznany, niewiadomy, odzywał się w jej macierzyńskim sercu.

Siedzieli przy sobie, nic do siebie nie mówiąc. Wśród tego milczenia, w tym uścisku milknął bunt w młodej duszy.

— A może to nieprawda — myślał Antoś — Kocicki zepsuty. Wszędzie zło widzi. Powtarza jakąś plotkę.

— Pewno błahostka — pocieszała się w myśli matka, tuląc jedynaka. A to przypuszczenie nie zmniejszało jej współczucia: bo przecież nie chodzi o powód bólu, lecz o sam ból.

Gdy tak siedzieli obok siebie na kanapie: jasna czupryna przy głowie sprószonej srebrem, do pokoju weszła Lusia. Modre oczęta ogarnęły tych dwoje i odrazu pochowały się dołeczki na buzi. Dziewczynka podeszła cichutko, na palcach i usiadła u nóg ciotki. Złote warkoczki rozsypały się po dywanie.

I ona nie wrzuciła ani słowa w to milczenie. Instynktem małej kobietki odczuła, że nic tu mówić nie trzeba. Położyła główkę na kolanach ciotki, a ta przygarnęła ją drugą ręką. Wszyscy troje w tej zadumie stracili miarę czasu. Po długiej chwili, do pokoju wszedł pan Marceł.

— Co wy tu robicie po ciemku? — zapytał zdziwiony.

W istocie mrok już się kładł w pokoju, cienie pełzły, zaczajały się po kątach, ostatni blask dzienny padał jeszcze na głowę jasną ze srebrnym połyskiem i przytuloną do niej płową czuprynę. Tylko poniżej złota główka Lusi roztapiała się już, jak we mgle.

Na dźwięk głosu ojca, Antek wzdrygnął się i wybiegł z pokoju.

Pan Marcelli stanął zdziwiony. W ostatnich czasach tak mało w domu przebywał, że nic o synu nie wiedział. Zgoła się nim nie zajmował. W chwili tej, obok zdziwienia, odczuł wyrzut, zwrócony ostrzem ku sobie.

— Co się z tym chłopcem dzieje? Czy ty nie wiesz? — pytał bezradnie, siadając na miejscu Antosia przy żonie.

— To jakieś chwilowe rozdrażnienie. Oni teraz tworzą organizację koleżeńską, wiem, że są wśród nich rozterki... Antoś jest bardzo wrażliwy...

— Przeczulony! — I źle robisz, że go psujesz.

— Antosia trzeba psuć. On taki dobry! — odezwała się nagle Lusia, o której państwo Bogdańscy zapomnieli, pogrążeni w swych niepokojach.

— Oj, ty! ty! mała kobietko! — rzekł wuj, kładąc rękę na jej głowie.

— Antoś się rozweseli. Ja do niego pójdę — zawołała nagle i, zrywając się z posadzki, wybiegła.

— Byleby się on nie zmarnował — mówił do żony pan Marcelli, pochłonięty nową troską.

— On się zmarnować nie da — odpowiedziała z głębokim przekonaniem.

— Moja droga, tyłu się zmarnowało po rewolucyi!

— Ale nie takich. On ma charakter.

— Daj Boże, aby się wdał w ciebie! — rzekł głosem przyciszonym i głowę spuścił.

W chwili tej rozległ się na korytarzu tupot nóżek i wbiegła Lusia. Na jej twarzyczce odbijało się zdziwienie.

— Ciociu! Antoś leży odwrócony do ściany i nawet ze mną mówić nie chce — oznajmiła, polykając łzy.

— Ja do niego pójde — zdecydował się nagle pan Marcelli z niezwykłą u niego stanowczością.

Lecz wpoprzek tej decyzji stanął niespodziewany upór.

— Nie, mój drogi — rzekła pani Kasia — jeżeli nie chce mówić n a w e t z Lusią — dodała z uśmiechem — to trzeba go w samotności zostawić. Niech z sobą załatwi tę jakąś sprawę, która mu leży na sercu.

XXXI.

Po owym wybuchu żalu pani Fafa była jeszcze tkliwsza, jeszcze serdeczniejsza, lecz smutna, w sobie skupiona. Co wieczór bolała ją głowa. Pan Marcelli musiał ją żegnać przed dziesiątą. Wyprosił sobie natomiast, że będzie przychodził wcześniej.

Owego wieczora niepokój o syna zagłuszył miłosne porywy. Nie uszło bystremu oku Fafy, że jej »Kot« jest roztargniony.

— Ty masz jakieś zmartwienie? Czemu nie powiesz? czemu nie zwierzysz się? — pytała, tuląc się do niego.

Zmieszał się. Nigdy jeszcze nie mówił z nią o rodzinie.

— Mam kłopoty — rzekł wymijająco.

— Może i n t e r e s źle idzie? — podchwyciła zaniepokojona.

— Nie, wcale nie — zaprzeczył.

— Więc cóż ci jest? Nie masz do mnie zaufania... Bo cóż ja jestem dla ciebie?...

Chwycił ją w objęcia. Uczuł mocne falowanie bujnych piersi.

— Ja o nic nie pytam — mówiła, z twarzą ukrytą na jego ramieniu, głosem zdyszany. — Nie mam prawa nic wiedzieć...

Przed chwilą obejmował ją, jak mężczyzna — pożądliwie, teraz przygarnął się do niej, jak dziecko wyleknione.

Zdało mu się, że stoi nad przepaścią. Potrzebował silnej dłoni.

Dotychczas na myśl panu Marcelemu nie przyszło mówić o rodzinie... tutaj. Gdy go Stefunia zagadnęła, w pierwszej chwili nie przypuszczał nawet, że zdoła odpowiedzieć. Jej łzy tłumione oświeciły sprawę z innego punktu. Czyż ma z nią dzielić tylko rozkosz! Wszak była i na wysokości smutku. Więc powoli, zachęcony jej pytaniami, począł jej wynurzać swe niepokoje o syna. Pierwsze słowa wydobywał z siebie z bólem, ze wstydem. Ale najtrudniej było zacząć. Pani Fafa miała nie tylko w oczach grajczarki. I słowami potrafiła świdrować, wyciągać z pod duszy to, o czem chciała wiedzieć.

Jakoż dowiedziała się niebawem: ile Antoś ma lat, jaki wzrost, jakie oczy, jakie włosy. Usłyszawszy nazwę szkoły, w której pobiera naukę, zerwała się z otomany.

— Już wiem — zawołała — mogę ci powiedzieć,

co się stało twojemu synowi. On wczoraj... pobił się z kolegą.

— To być nie może! To do niego niepodobne! — zawołał pan Marcełi z oburzeniem.

— A ja ci mówię, że tak jest — twierdziła Stefunia.

— Skądże ty wiesz?

— Na własne oczy widziałam. Tak! zupełnie taki sam uczeń! Wysoki, z szafirowemi oczyma, nos prosty, usta ładne... Szłam właśnie, kiedy oni wychodzili ze szkoły... nie zwracałam uwagi... zrobiło się zamieszanie... Odwracam się i widzę, że twój syn — to z pewnością był on — rzuca się na drugiego... Tamten był daleko mniejszy, brunecik różowy na twarzy. Rozrywali ich, wsadzili do dwu dorożek. Z twoim synem usiadł drugi uczeń... blondyn — także wysoki... i ma oczy szafirowe — trochę nawet do niego podobny — utwierdziła się w swych spostrzeżeniach pani Fafa.

Pan Marcełi nie zwrócił uwagi na dokładność opisów i trafność porównań.

— Antoś? Nie, to chyba ktoś podobny... może Ryś — mówił zaniepokojony.

— Co za Ryś? — podchwyciła.

— Mój siostrzeniec.

— Jak się nazywa?

— Ryszard Rojewski.

— To on twój siostrzeniec? — wyrwało się z ust pani Fafy.

— Znasz go? — zdziwił się z kolei pan Marcełi.

— No, tak, pokazywała mi go znajoma na ulicy, jako najpiękniejszego z tej szkoły... Wcale nie znaj-

duję... Ot, sobie. Nawet twarz niemiła — uśmiech, jak u starego wygi.

I znowu nie uderzyła pana Marcelego tak dokładna charakterystyka fizynomii Rysia. Wogóle tego wieczora był roztargniony i wyszedł zaraz po dziewiątej, mimo próśb i nalegań pani Fafy, która zatrzymywała go wyjątkowo, pragnąc skorzystać z jego niebywalej otwartości i dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie i koligacjach.

Wróciwszy do domu, poszedł prosto do pokoju syna.

Antoś leżał na wznak, z oczyma, utopionemi w suficie. Ujrawszy ojca, odwrócił się do ściany.

— Ładnych rzeczy dowiaduję się o tobie — rzekł pan Bogdański, stając nad nim. — Cóż ty wyprawiasz? Bójki uliczne?...

Antoś zerwał się.

— Powiedzieli ojcu, że uderzyłem Kocickiego — mówił, a trzęsła mu się broda i głos mu drżał. — A czy ja mam ojcu powiedzieć, za co ja go uderzyłem... Co on mnie powiedział?...

— Naturalnie... Może cię to usprawiedliwi — rzekł już łagodniej pan Marceli.

— Ja się wcale usprawiedliwiać nie chcę i... nie potrzebuję — zawołał chłopak, podrzucając głowę butnie.

— Co się tobie stało? — pytał ojciec, przerażony takim zachowaniem syna.

— Co mi się stało? Czy mam powiedzieć?

— Mów.

— To będzie bardzo bolesne dla ojca.

W oczach pana Marcelego zadrżała trwoga.

Antoś ją dojrzał i rzekł chłodno:

— Muszę wpieryw o coś zapytać! Czy mi ojciec powie prawdę?... Całą prawdę?

— Antoś!... Co ty sobie myślisz?

— Myślę, że mam prawo upominać się... o...

Nie miał siły dokończyć, bo jeśli to plotki... Ogarnęły go nagle wątpliwości. Wstydził się podnieść oczu...

— Nie, nie, to nie może być prawda — zawołał i rękę do ojca wyciągnął.

Ale pan Marcelli nie podał mu swojej.

Antoś zrozumiał to tak: że ojciec jest nań urażony.

— Przepraszam — zaczął i podniósł oczy, pełne skruchy. Na twarzy ojca zobaczył zmieszanie i wstyd.

— To nieprawda! Powiedz, ojcze, że to nieprawda!

Przyskoczył do niego, chwycił za rękę, mocno ją cisnął w swych dłoniach. Pan Marcelli ruchem gwałtownym wyrwał rękę z uścisku syna i do okna się odwrócił.

— Więc to prawda? — zawołał Antoś z rozpaczą. — Jak mogłeś! Jak mogłeś! — powtarzał.

Nagle pan Marcelli odwrócił się.

— Dziecko jesteś — szepnął. — Ty tego nie rozumiesz.

— I nie chcę zrozumieć — nigdy... Taką mamę... poprostu świętą!...

Ukrył twarz w dłoniach. Cały drżący padł na łóżko, bo uginały się pod nim nogi.

Ojciec usiadł przy nim.

— Antosiu — mówił cicho — myślisz, że mnie

z tem dobrze? I jak źle! Nie możesz mnie sądzić srożej, niż ja sam siebie.

— Więc czemuż?

— Obyś tego nigdy nie zrozumiał!

— Ale chcesz, żeby się to zmieniło? — pytał chłopiec, biorąc znowu ojca za rękę.

— W tej chwili oddałbym za to życie!

— Więc zerwiesz? Dobrze? Postarasz się, ojczyzna... prawda? Ja ci dopomogę!

W tem młodzieńczem zaufaniu we własne siły taka była moc, że bezwolny pan Marcelli znalazł w niej otuchę.

— Synu — szepnął łękliwie — miej dla mnie... pobłażanie... Zrób to dla matki.

— Zrobię — przyrzekł Antoś, z naiwną wiarą, że dokonać tego zdoła.

Uścisnęli sobie dłonie.

Po raz pierwszy mąż z synem mieli przed panią Kasią tajemnicę. Martwiło ją to głęboko. I pierwszy raz w swem życiu poddawała się złym przeczuciom. Zaglądały jej w oczy różne widma. Starła się je odganiać. Wracały.

— Zaczynam być nerwową. Tego jeszcze nie było — myślała ze zdziwieniem i postanowiła wziąć się w kluby.

Nie pozwalała nigdy rozkrzyzczyć się swoim nerwom. Broniła się przeciw tęsknocie za wiejskim zaciszem, do którego była dopasowana duszą, przyzwyczajeniem, rodzajem pracy i rodzajem obywatelskich poczuć. Lecz duszę można było ujarzmić silną wolą. Trudniej było zagłuszyć naturę fizyczną, która tęskniła

za zielonością, za świeżem powietrzem, za przestrzenią.

Więc pani Kasi bywało smutno, gdy obudziwszy się, zamiast drzew ogrodu, dostrzegła miejskie podwórko, a poza niem — okna oficyny.

Przybywszy do miasta, chciała zamieszkać przy ulicy Wiejskiej, mając do niej sympatyę, i dla jej nazwy i dla jej drzew. Pan Marceli oparł się temu stanowczo. On właśnie chciał otoczenia, któreby mu nie przypominało dawnych utrapień. Gwar i ruch wielkomiejski rozrywały mu myśli. Więc zamieszkali przy Nowym Świecie, w kurzu, w hałasie i rozgardyaszu, na Zarwańskiej ulicy, jak mówiła przywieziona ze wsi Jagusia.

Ta hałaśliwa gwara wielkiego miasta — dzwonkami tramwajów, kłopotem dorożek, piskiem, rykiem i krzykiem uderzała o skronie pani Kasi; przyprawiając ją o nieustanny ból głowy, robiła wyłom w jej zdrowiu.

W dodatku trapił ją niepokój o męża i syna.

Działo się z nimi coś niepojętego.

Pan Marceli, po rozmowie z Antosiem, przez cztery dni był nieobecny. Wyjechał do Lublina w interesie Spółki. Ten interes mógł równie dobrze, a może nawet lepiej załatwić każdy z urzędników, ale wyjazd był chęcią oderwania się od Stefuni.

Zamiast dwu dni, zabawił cztery, które mu zeszyły na zmaganiu się z tęsknotą i bezradnością.

Po powrocie, zastał w biurze ośm listów od Stefuni. Wszystkie były przesiąknięte werweną i wyrzutami.

»Rozpacz! Co się stało mojemu Kotowi? — pisała w ostatnim. — Czy go kto zbuntował? Czy go kto więzi i każe zapominać o Tej, która za nim szaleje i miejsca sobie znaleźć nie może? Przywołuje całą sobą niewdzięcznika, usta wysuwa do pocałunku, ręce wyciąga do uścisku. A tu nikogo — i nic, nawet jednej literki. Mogłabym przez ten czas umrzeć i niktby się nie zatroszczył. Taki już los mój od urodzenia! Na chwilę zabłysło szczęście i znowu zgasło. A może tylko zaszło za chmury i pokaże się znowu? Niech się pokaże prędko i w całym blasku! Niech mój Kot wskoczy mi na kolana, niech mnie upieści, utuli, niech swoją białą łapką zetrze łzy, które spływają d z i u r k i e m po twarzy! Ja już zbladłam i zbrzydłam z tej tęsknoty, z tego niepokoju. Już sił nie mam i łez mi zbrakło. Wyschły, jak studnia wysycha, jeżeli nikt z niej nie czerpie. Przyjdź, zaczerpnij miłości u Tej, która cię kocha, jak nikt na świecie.

Zapomniana, Opuszczona i Zrozpaczona, Twoja
na zawsze

Stefunia.

Pan Marcelli chciał biedz zaraz, ale zobowiązanie, powzięte wobec syna, trzymało go równie i mocno, jak tęsknota własna i myśl o tamtej tęsknocie. Miał odpisać, że ważne interesy zmusiły go wyjechać z Warszawy i... że znowu wyjeżdża na tydzień — tak bowiem postanowił, jak wszystkie słabe natury, odkładając decyzję stanowczą na czas nieograniczony. Właśnie, siedząc w biurze, układał mozolne rusztowanie wykrętów, przeplatając je wybuchami szczerzej

chęci ujrzenia najdroższego Kotka, gdy zameldowała się u niego pani Kukulska.

Wbiegła z lękiem na twarzy, a skoro tylko drzwi się zamknęły, ręce załamała i, przyskakując do biurka, złowróżbnym szeptem rzuciła:

— Panie, co robić? Nieszczęście!

Pan Marceli porwał się przerażony.

— Nieszczęście? — Jakie? — pytał.

— Siedziałam w jadalnym pokoju, przy dużym stole i krajałam fartuszek. Wtem otwierają się drzwi. Wchodzi pani. Chciała widocznie coś mi powiedzieć wedle fartuszka.

— Mniejsza o fartuszek. Co się stało?

— A no, zrobiła dwa kroki — może trzy. Patrzę, aż tu pada... mdleje. Uderzyła się czołem o kant stołu... szczęście, że się nie zabiła... leży jeszcze...

— Leży... sama? Bez pomocy?

— Kazałam Kostusi nie odchodzić i przybiegłam do pana.

— Nie było jeszcze doktora?

— A — no, nie. Straciliśmy głowę.

Pan Marceli był już w paltocie, w kapeluszu. Za minutę był w dorożce.

Stał u drzwi Fafy bojaźliwie. Poza niemi słychać było krzyk raczej, niż płacz dziecka, krzątanie, podniesiony głos służącej i jęki.

Nigdy jeszcze żadna kobieta nie zemdląła ani dla, ani przez pana Marcelego, więc go to napęliło trwogą i dumą w równej mierze. Odezwał się dzwonek, naciśnięty ręką drżącą. Krzykliwy płacz

dziecka, ciężkie kroki służącej i jęki wybuchły piskliwiej, hałaśliwiej i rzewniej.

Drzwi otworzyła Kostusia i wprowadziła pana do jadalni. Z głową już owiązaną ponsowym fularem, leżała pani Fafa. Miała oczy zamknięte; piersi — wynurzające swą bujność i śnieżną biel ze szlafroka, rozpiętego widocznie przy cuceniu — podnosiły się i opadały w tempie kilkakroć szybszem, niż tego wymaga oddech prawidłowy.

Pan Marceli ukląkł przy tem ciele bezwładnem. Nachylił się i pocałunkami przywoływał je do życia. Pod ich tchnieniem opadała zwolna wzburzona fala białych piersi. Pan Marceli zapamiętywał się, tak dalece, że już nie myślał o cuceniu. Zresztą użyte przez niego środki okazały się zupełnie skuteczne. Z trudem podniosły się powieki, wionęła z pod nich rozkoszna omdlałość; wyciągnęły się ręce, w których był jeszcze bezwład, pełen obietnic. Pan Marceli nie chciał czekać na ich spełnienie. I nie czekał... — ani minuty.

Pani Kukulska, posłana po lekarza, szukała go bardzo długo. Wreszcie przywiozła młodego przystojnego daktora, który często, w innej zupełnie roli, odwiedzał panią Fafę. Powitał jednak pacjentkę, jak gdyby ją widział pierwszy raz w życiu. Dr. Jadczak stwierdził duże zmęczenie po wzruszeniach... nerwowych. Zranione czoło, od chwili do chwili, przypominało się boleśnie, wywołując stłumiony jęk i podniesienie ręki do obrażonego miejsca.

Szczegółowa auskultacja okazała się konieczną.

Pan Marceli, przedstawiony jako... brat, musiał wyjść z pokoju. Gdy go przyzwano z powrotem, do-

wiedział się, że organizm Stefuni jest bardzo wyczerpany, że przez parę dni trzeba będzie poleżeć w łóżku, a potem — zobaczy się. Na wszystkie pytania i objawy braterskiego niepokoju lekarz odpowiadał:

— To się okaże. Zdaje mi się jednak...

— Chyba nie suchoty... ani rak? — przypuszczał ze śmiertelną trwogą pan Marceli.

— Że nie rak, mogę upewnić. I za suchoty rękę — odpowiedział doktor i, patrząc na pana Marceliego ze schowanym pod wąsem uśmiechem, pytał:

— Czy w rodzinie państwa nie było chorób sercowych?

Pan Marceli zapomniał na razie, że jest bratem Stefuni, i nie zrozumiał, jaki to pytanie może mieć związek z jej nagłym zaśląbnięciem.

— Trzeba się z tą biedaczką obchodzić, jak z rozpieszczonem dzieckiem — mówił doktor. — Niczego jej nie odmawiać. Przez parę dni poleży, następnie: ruch umiarkowany, dużo snu. Powinna kłaść się już o dziewiątej. To bardzo ważne — dodał z naciskiem.

Sprzeczne uczucia szarpały duszę pana Marceliego: naprzód doznał radości, że ma jednak serce mocniejsze od Stefuni; potem zmartwił się, że ona ma serce słabsze od niego; wreszcie poczuł się zbrodniarzem... skruszonym, na myśl, że to słabe serce swą kilkodniową nieobecnością jeszcze osłabił. Niepomny na zalecenia lekarza, zamącił znowu spokój swej ofiary. Klęcząc przy jej łóżku, oblewał łzami jej pulchne ręce i w sercu swem — osłabionem, lecz bez wady — znajdował tylko jedno słowo: »Przepraszam! Przepraszam!«

— Nie mówmy o tem — odpowiedziała słodko —

nie robiłam ci wymówek. I nie mam prawa! Tylko mnie nie porzucaj. Jabym tego nie przeżyła. Nie, nie — upewniała go, przyciskając go coraz mocniej do białych piersi.

Tego dnia i następnych pan Marcelli był nawpół przytomny. Nic nie jadł, unikał widoku żony, a zwłaszcza syna. W domu usiedzieć nie mógł. Doktor pozwalał spędzać przy chorej godzinę najwyżej. Resztę dnia pan Marcelli trawił w biurze, zgoła beczynnim, wieczory znowu w teatrze. I tak przez dni cztery. Piątego dnia Antoś spotkał ojca na schodach. Pan Marcelli szybko wyminął syna, ręką drżącą drzwi z klucza otworzył, poczem zatrzasnął je przed Antosiem, jak gdyby chciał się od niego odgrodzić jakąś zaporą.

* * *

Nazajutrz, krótko po ósmej, pani Kasia usłyszała pukanie do drzwi łazienki.

— Kto tam? — spytała.

Za drzwiami rozległ się głos syna:

— Chciałbym cię pocałować przed wyjściem.

— Poczekaj chwilkę. Zaraz wyjdę z kąpieli...

— Śpieszno mi...

— To idź. Pocałujesz mnie, gdy wrócisz.

Usłyszała jego kroki na korytarzu i nagle ogarnęła ją lęk. Wyskoczyła z wanny, odziała się bardzo szybko i wybiegła. Antosia już w domu nie było.

Gdy się ubierała, aby wyjść z Lusią, brzmiał jej wciąż w uszach głos syna — dziwnie smutny, drżący.

*

— Proszę pani, posłaniec przyniósł list.

Takiem oznajmieniem powitała służąca panią po jej powrocie ze spaceru.

Zobaczywszy pismo, pani Katarzyna zbladła. List był od Antosia... Może poszedł godzić Jurka z rodzicami? A może na narady Związku z delegatami z prowincyi?

Pani Katarzyna szła z listem do sypialni. Instynktownie nie chciała otwierać go przy ludziach.

Wyjęła z koperty ćwiartkę papieru, wydartą z zeszytu i zapisaną ołówkiem.

— Píše tak długo, tak długo! — myślała z przerażeniem, wodząc oczyma po literach, które, związane w słowa, nie mówiły jej — nic.

— Co on pisze? Czemu on pisze tak długo? Czemu? — dziwiła się boleśnie, nie mogąc jego słów powiązać myślą, zrozumieniem.

Zaczęła znowu od pierwszego i przeczytała do ostatniego. Teraz dopiero przemówiły do niej zrozumialej. Brała w serce każdy wyraz, brała go z udręczeniem i męką, ale oczy pozostawały suche.

Antoś pisał:

»Mamuś, nie miej mi za złe i nie bądź o mnie niespokojna. Odchodzę. Na jak długo — nie wiem. Na świecie nie jest tak, jak sobie wyobrażałem, a z tem, co jest, pogodzić się nie chcę i nie mogę. Muszę dużo przemyśleć, przetrwać w zupełnej samotności. Będiesz płakać po mojem odejściu. Ta myśl jest mi straszną.

Ale gdybym został, płakałabyś częściej. Chcę być zawsze takim, jakim Twój syn być powinien. Mamciu, ja chcę być silny, pogodny, jak Ty, a jestem słaby i smutny. Taki smutny! I tak mi źle!

Bądź o mnie spokojna. Ślubowałem być odważnym. Skupię się w sobie, wzmocnię w odosobnieniu zupełnem. I wrócę — może nieprędko, a może bardzo niedługo. To nie ode mnie zależy. A teraz daj mi słowo, że mnie szukać nie będziesz, i ojcu nie pozwolisz. Gdyby próbował — znikłbym na dłużej i zatarłbym wszelkie ślady. Biorę oburącz Twoją siwą głowę i usta do niej przykładam ze czcią nabożną.

Twój kochany i kochający

Syn.

Pani Katarzyna oczyma suchemi wpatrywała się przed siebie. I tak, jak w życiu codziennem nie widziała nic o parę kroków, tak teraz nie dostrzegła przed sobą — nic; a to, co było poza nią, wydało jej się odrazu inne, niż przed chwilą.

...Krótkowzroczne były nie tylko jej oczy; krótkowzroczny był i umysł — powiadała sobie — skoro nie potrafił zajrzeć do duszy własnego dziecka, nie potrafił jej przeniknąć i tak jej ran opatrzeć, aby ucieczka w samotność dla ich wygojenia była zbyteczną.

Nieraz — jakże często! — odczuwała takie same pragnienia. Rozumiała je tem snadniej, że nie mogła ich nigdy zadowolić. A teraz myśl, że żadne jej starania, że najsilniejsza jej wola nie zdołają zmniejszyć

duchowej męki jej syna — dręczyła ją niemniej od myśli drugiej: że on cierpi.

I znikąd ratunku!

Kolana jej ugięły się nie tylko z cielesnej niemocy, lecz i z duchowej potrzeby, a oczy, wciąż jeszcze suche, szukały, nie widząc go, szerniałego, pokierszowanego oblicza na tle złotem.

— Matko Dobrej Rady! Matko Dobrej Rady! — powtarzała rozpacznie, bezradnie, korząc się przed tym wizerunkiem.

Gdy tak klęczała przy łóżku, z twarzą osłoniętą rękoma, uchylły się drzwi sypialni. Cicho, na palcach, wszedł do pokoju pan Marcei.

Wzrokiem mętnym od łez patrzył na złamaną postać żony. Na twarzy jego, obok cierpienia, odbijała się walka wewnętrzna. Nie śmiał przystąpić do tej cierpliwiej, do tej słodkiej, której przez lat dwadzieścia odbierał radość życia, a teraz — odbierał.. syna. Nigdy jeszcze wstręt do siebie nie był w nim tak silny i nigdy on sam nie czuł się słabszym. W milczeniu ukląkł pokornie przy niej, ramieniem ją otoczył i z głową przy jej głowie załkał cicho.

— On wróci! On wróci! — szeptał.

Podniosła głowę. Zajrzała mężowi w oczy głęboko, do dna.

— Skąd ty wiesz? — spytała.

Przeląkł się, jak gdyby to pytanie było czerns nieslychanem i potwornem.

Po długiej bardzo chwili zdobył się wreszcie na odpowiedź.

— On i do mnie napisał — rzekł.

— Co pisze?

Musiła czekać na odpowiedź.

— Pisz pewno to samo, co do ciebie — odezwał się wreszcie pan Marceli.

— Pokaż mi list — prosiła, podnosząc oczy, pełne — nie łez, lecz bólu. Jego wylęknione spojrzenie uciekło przed tym bólem.

— Kazał mi list spalić — tłumaczył się ojciec.

— Ale pamiętasz chyba każde słowo... Co było w tym liście? Co?

— Zapewne to samo, co i w twoim — powtórzył znowu.

— Marceli! Zlituj się, powiedz, co on pisał? — prosiła go. — Ty coś przede mną ukrywasz. Dlaczego on uciekł? Dlaczego, Marcysiu? Ty wiesz, prawda?

Odpowiedział wymijająco:

— Nie wspominał mi o tym zamiarze.

— W liście do ciebie była jakaś tajemnica. Ja to czuję. Ty już oddawna jesteś dziwny, a on... w ostatnich czasach także. To musi być w związku. Teraz dopiero zestawiam... ale jeszcze nie rozumiem.

Wstał, przeszedł się po pokoju. Ostatnie miesiące nie nauczyły go jeszcze kłamstwa.

— Ja myślę, że on wróci bardzo prędko — szepnął — może dziś — dodał jeszcze ciszej.

— Nie! — zaprzeczyła pani Kasia — gdyby odchodził na kilka godzin, takby nie pisał.

— Co on do ciebie napisał? — zaniepokoił się nagle pan Marceli.

Wskazała mu list oczyma. Wziął go i czytał długo. Każde słowo brał, jak policzek.

— On pisze, że powrót nie zależy od niego — przerwała mu zadumę głosem cichym, bolesnym. — Powiedz mi jedno tylko: czy wiesz, od kogo to zależy? — prosiła, ujmując obie jego ręce.

Wyrwał je ruchem tak gwałtownym, że aż się zatoczyła.

— Ty wiesz! — zawołała. — Wiesz — powtórzyła cicho, podchodząc znowu do męża. — Nie możesz wpłynąć na tego człowieka, żeby nam wrócił syna? — spytała nieśmiało, trwożnie.

Przyciągnęła go do siebie. Już jej nie odtrącał.

— Zrób, co tylko w twojej mocy — prosiła.

Głowę odwrócił. Patrząc na żonę nie śmiał.

— Zrobię! — zawołał z postanowieniem nagle, a tak silnem, jakiego nigdy jeszcze nie miał w duszy wątpliej.

Krokiem przyśpieszonym odszedł do swego gabinetu, drzwi na klucz zamknął i opadł ciężko na fotel, przy biurku. Słowa obu listów syna pełgały mu przed oczyma, jak ogniste języki, paliły go, przysłaśniały arkusz papieru, który wyjął, aby na nim złożyć ofiarę ze swych namiętności.

»Stefuniu« — zaczął.

Przekreślił.

»Pani, słodka, szlachetna«.

Łzy zgasiły pełgające płomyki.

Uczuł się nieszczęśliwym, opuszczonym. Przez długą chwilę nie mógł myśleć o nikim, tylko o sobie, a gdy chciał o sobie zapomnieć, ujrzał zboląłą twarz —

nie żony, ale tamtej, i oczy »grajcarki«, które mu już przewierciły serce do dna. Mógł ukoić jeden ból, nie inaczej, jak zadając ból inny. Znowu chwyciła go bezradność. Walczył z nią, aż wreszcie znowu ku pierwotnemu postanowieniu się zwrócił. Wziął nowy arkusz papieru, pisał, pisał z długimi przerwami, z ciągłym wahaniem.

»Traf nas złączył... Dał mi szczęście, za które do końca życia wdzięczny będę. A jednak nie możemy już być szczęśliwi. Powstała przeszkoda niezwalczona. Musimy wybierać pomiędzy szczęściem własnym a cudzem.

»W sercu najszlachetniejszej z kobiet wahania być nie może; ale w sercu mojem była — jest jeszcze — walka okropna, a pozostanie na zawsze — rozpacz«.

Zadzwoił na służącego i kazał mu sprowadzić posłańca — zaraz, natychmiast. Ujrzawszy go po bardzo krótkiej chwili, przeraził się tak, jak gdyby to ukazanie się było niespodziewaną katastrofą.

Posłaniec stał we drzwiach i czekał. To pana Marcelego drażniło. Chciał go się pozbyć jak najprędzej. Dla odsunięcia chwilowej, doraźnej przykrości, gotów był zawsze narazić się na stokroć większą. Jego teść mawiał o nim, że, chcąc dogodzić swojemu: dzisiaj, dokuczaj swojemu: jutro. Tak się też stało i obecnie.

Naprzód kazał posłańcowi zamknąć drzwi, potem zbliżyć się do biurka; wreszcie nieśmiało, cicho

objaśnił go, gdzie ma iść, i, po raz ostatni szanując wolę Stefuni, zabronił mu pytać o nią stróża.

— Czy mam czekać na odpowiedź?

Pan Marceli nie był przygotowany na takie pytanie. Otwierało przed nim furtkę nadziei w chwili, gdy własną ręką zatrzaskiwał główną bramę szczęśliwości.

— Poczekasz — rzekł.

Nic mu już nie przeszkadzało posłać Antosiovi *poste restante* to jedno słowo: »Wracaj«. Zwlekał jeszcze, wmawiał w siebie, że należy czekać na posłańca.

Wyjął z kieszeni i położył na biurku list Antosia — bo listu nie spalił: schował go, jako podporę swej słabości.

Znowu, po raz setny może, oczy jego szukały w nim mocy.

A list Antosia był taki:

»Nie powiedział mi nikt, nie śledziłem ojca, ale wiem napewno, że ojciec słowa nie dotrzymał. Wczoraj, na schodach powiedział mi to sam ojciec... swoim zmieszaniem. Dlatego odchodzę. Nie chcę, żeby mama spostrzegła, że ja dla ojca — chwilowo — szacunku... nie mam. Nie tracę nadziei, że tylko chwilowo, że ojciec przestanie krzywdzić — drogą, świętą mamę. Dopóki trwać będzie ta krzywda, dopóty ja do domu nie wrócę. Zadaję mamie ból straszny. Będzie potrzebowała opieki, serca i chyba je znajdzie u ojca. Proszę zrozumieć, że ja bardzo musiałem cierpieć, jeżeli na taki krok się zdobywam. Innego sposobu nie widzę. Ojciec jest słaby, potrzebuje środ-

ków gwałtownych. To ojca otrząśnie. Czekam z upragnieniem i rozpaczą na jedno słowo: W r a c a j. Proszę je posłać *poste restante* pod imieniem: »Katarzyna«. Drogie jest nam obu. Prawda, że obu? List odbierze ktoś zaufany. Tylko proszę go nie śledzić, proszę bardzo. Toby się na nic nie zdało, bo i tak nie wrócę przed czasem. Mama nie powinna niczego się domyślać. Proszę jej powiedzieć, że ten list kazałem spalić. I proszę go spalić naprawdę. A jak otrzymam od ojca to słowo, wrócę i będę ojca kochał i szanował.

Bardzo biedny

Syn«.

Teraz dopiero, po odczytaniu tego listu, pan Marcelli go spalił, bo zdjął go lęk, że w chwili bezradności gotów pokazać go żonie.

Samotność, której zawsze unikał, jak wroga, w chwili tej wydała mu się wprost straszną.

Poszedł do żony. Siedziała na krześle, przy łóżku, z rękami zwieszonymi i głową spuszczoną.

— Zdaje się, że Antoś wróci, niedługo, dzisiaj. Może za godzinę — oznajmił, siadając przy niej, na łóżku.

— Doprawdy? — zawołała radośnie.

Pan Marcelli wziął rękę żony i po raz pierwszy od pięciu miesięcy spojrzął jej wprost w oczy.

— Antoś wróci — powtórzył.

Pierwszy raz od chwili, gdy przysięgli sobie, »że się nie opuszczą aż do śmierci« — nie żona jemu, lecz on jej dodał otuchy.

Za drzwiami rozległ się głos służącego, Karola:

— Proszę pana, posłaniec wrócił.

Pan Marcelli zerwał się, wybiegł do przedpokoju:

— I cóż?... Masz odpowiedź? — szepnął lękliwie.

— Służąca poszła z listem do pokoju. Ja czekałem w kuchni. Wróciła i powiedziała: »Może posłaniec wracać, skąd przyszedł. Nijakiej odpowiedzi niema«.

Pan Marcelli był pewien, że otrzyma list szlachetny, ze słowami gorącego pożegnania, z błogosławieństwem na drogę, wskazaną obowiązkiem. Już w myśli rozczulał się nad wielkodusznością Stefuni, a tymczasem: nic z ust służącej.

Odprawiwszy posłańca, wrócił do swego gabinetu; ogarnęła go i zwykła obawa samotności i lęk przed tak niespodziewanym wynikiem listu.

— Co się tam dzieje? — myślał zatrwożony. Nagle odezwał się telefon.

Po pierwszych słowach, które usłyszał, w oczach pana Marcelego odbiło się przerażenie.

— Nieprzytomna! — jęknął.

Chwycił się za głowę i począł krążyć po gabinecie. Wreszcie wybiegł do przedpokoju. Ubierał się pośpiesznie.

— Powiedz pani, że wrócę za godzinę — rzucił służącemu, który w przyległej jadalni nakrywał do stołu.

Postanawiał, że, cokolwiekby tam się zdarzyło, on wróci prędko i zaraz napisze do syna. Już na schodach »zaraz« zmieniło się na »dziś«, w bramie na »jutro«, wreszcie w dorożce — na termin nieokreślony... gdy tamta biedaczka odzyska siły do zniesienia ciosu.

Ale tamtej biedaczki nie pozwolono mu

nawet widzieć. Stojąc przy drzwiach od sypialni, słyszał tylko ciężki oddech, co pewien czas poszarpany jękiem.

Musiały się tam dziać rzeczy straszne.

— Życie wisiało na włosku — wedle słów pani Kukulskiej, która oznajmiła panu Marcelemu bardzo stanowczo, że doktor cuci i nie pozwolił wpuszczać nikogo, nawet dziecka, bo i »przelatująca mucha może paniusię zabić«.

Wrzaski dziecka za drzwiami były widocznie mniej groźne od szelestu muchy, bo nikt na nie uwagi nie zwracał.

Na widok pana Marcelego, Linka rozkrzyczała się jeszcze przeraźliwiej.

— Pan zabił moją mamusię! Pan gałgan! Ja pana nienawidzę. Ja pana zakłuję na śmierć — wołała, usiłując, bez zwłoki, wprowadzić w czyn pogroźkę. Z rzuconego na fotel kapelusza matki wyciągała długie, mordercze szpilki.

— Na rany Chrystusowe! Linko!

Pani Kukulska odводziła ją od tych zbrodniczych zamiarów, szamocąc się z dzieckiem, które ją kopało i wyrywaną szpilkę zwracało ku jej oczom.

Pan Marceli nie widział tej walki; nie rozumiał, że jest jej przedmiotem; nie słyszał pogroźki.

Usłyszał, zrozumiał i odczuł jedno tylko słowo: Gałgan! Szumiało mu wciąż w uszach i zdawało mu się, że je rzuca nie tylko Linka, lecz i syn, i żona, i Stefunia.

Wszyscy, wszyscy cierpieli przez niego!

Długo był tak zboląły i odrętwiały, że nie mógł myśleć o niczem; dopiero gdy ochłonał z żalu, przy-

pomnił sobie, że tam żona czeka powrotu Antosia. Czyż mógł teraz zobowiązywać się wobec syna, że porzuci kobietę, której życie wisiało na włosku?

Zerwał się, pobiegł do biura, żeby stamtąd zatelefonować do żony. Z mieszkania kochanki nie chciał. Nie mógł.

— Czy co złego z Antosiem? — pytała trwożnie pani Katarzyna, gdy jej oznajmił, że zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

— Nie, daję ci słowo honoru, że przeszkoda jest poboczna.

— Przeszkód pobocznych być nie może. Trzeba go ratować.

— Ta przeszkoda jest bardzo ważna, niezwalczona na razie. Przebacź!

Odeszła od telefonu z głębokim żalem do męża — pierwszym w życiu.

Nie tylko niepokój, nie tylko rozpacz, lecz i zwątpienie zmąciło do dna jej duszę.

...Opuszczał Antosia. A ona? Nie wiedziała, co począć wobec tej jakiejś strasznej tajemnicy, nie mogła jej zażegnać: spętana prośbą syna, nieświadomością tego, co zaszło, tego, co się dzieje.

Siedziała przy biurku męża tak, jak usiadła, aby odpowiedzieć na telefon. Teraz dopiero łyzy poczęły zalewać jej twarz pobladłą.

W przedpokoju rozległy się kroki i głos Lusi. Już za drzwiami uchylonemi zaczęła:

— Ciociu, Karol pyta...

Gdy wbiegła do pokoju i zobaczyła twarz ciotki, nie dokończyła pytania Karola.

— Dlaczego ciocia płacze? Czy dlatego, że wujek nie przychodzi na obiad, i Antoś?... — domyślała się.

Pani Kasia przygarnęła dziewczynkę i szepnęła:

— Antoś... nie przyjdzie.

— Nie przyjdzie na obiad? — zdziwiła się Lusja.

— Ani na obiad, ani potem.

— Wyjechał? Biedna ciocia! — mówiło dziecko, przykładając swą buzię do twarzy ciotki. — I ze mną się nie pożegnał? A! brzydki! Jak wróci, to mu powiem, że ciocia na niego płakała. On już tego nigdy nie zrobi. Niech mu ciocia przebaczy. Niech ciocia będzie znowu dobra — prosiła.

Te słowa naiwne szły przez ból, jak cichy, słodki głos fujarki przez burzę.

— Ciocinko, Antoś wróci — twierdziła Lusja z taką pewnością, jak gdyby widziała już go idącego. — Wróci może wieczorem, a może jutro. Niech ciocia nie płacze. Niech ciocia myśli, że ja jestem — nie siostrzeniczka, ale córeczka. Mama się o to nie pogniewa.

— Moja ty, moja córuczko — szepnęła pani Kasia, biorąc ją na kolana.

Zamiast, jak zwykle, przytulać się do ciotki, Lusja tuliła ją do siebie; rączką, trochę spoconą ze wzruszenia, głaskała ją po twarzy i ocierała łyzy, płynące cicho. A dla dobrego przykładu sama płakać nie chciała, mruganiem powiek zgarniała łyzy, wiszące na rzęsach. Bardzo poważnie dostrajała się do roli pocieszycielki. Próbowwała myśleć, kombinować. Przypominały jej się różne rzeczy.

Niegdyś mówiono przy niej o jakiejś wojnie. Może

Antoś na tę wojnę poszedł. Przecież jest duży, może być nawet żołnierzem. A kuzynek Władzio Różycki — taki sam duży, jak Antoś, tylko z wąsami — ożenił się i przyjechał do nich z ładną panią i mówił, że »przywiózł do Daleszyc swoją żonę, aby ją pokazać wujostwu«. Może Antoś ożenił się... Ale czemu nie pokazał żony swojej mamie?

*

*

*

Do wieczora Lusia chodziła od okna do okna, wyglądając kuzynka z żoną. Wieczorem, przed ósmą, usiadła w przedpokoju i czekała na powrót Zoni, która odbywała praktykę w jednym ze sklepów spożywczych z zamiarem otworzenia wiejskiego sklepiku współdzielczego w Daleszyczach. Od tygodnia, z powodu sporządzania inwentarza, Zonia wychodziła przed ósmą rano, a wracała po ósmej wieczorem; chodziła na obiad do Mili, mieszkającej bliżej sklepu, tak, iż nic o zniknięciu Antosia nie wiedziała.

Siostrzyczka, wspinając się, aby ją pocałować, szepnęła jej do ucha:

— Coś ci powiem.

Zaprowadziła ją do gabinetu, posadziła na kanapie i, siadając przy niej, bardzo poważnie, głosem przyciszonym, zaczęła:

— Ty nic nie wiesz: mamy wielkie zmartwienie. Antoś pewno ożenił się, ale nie pokazuje żony. I ciocia bardzo smutna. I płakała na tym fotelu. A ja nie, choć bardzo chciałam. I jak mówiłam z ciocią, to się pocieszyła, ale teraz znowu smutna. I nie wiem już

co robić. Bardzo na ciebie czekałam. Musimy się z sobą poradzić. Wujcio na obiad nie przyszedł, ciocia także nie jadła. I mnie się nie chciało, ale musiałam zjeść trochę kury, bo ciocia bardzo mnie prosiła. Ty jesteś starsza, może co pomożesz. Ale cioci o Antosia nie pytaj, bo jak ja spytałam, to rozplakała się. Wujcio poszedł po Antosia. Nie wraca. I u nas bardzo, bardzo smutno.

Z dziecinnych zwierzeń Lusi, Zonia zrozumiała to tylko, że Antosia niema. Zatrwożyła się i o niego i o niepokój ciotki.

Biorąc siostrzyczkę za rękę, poszła z nią do buduarku, gdzie siedziała pani Katarzyna.

Zonia w milczeniu objęła ciotkę za szyję.

Wzięły ją między siebie, jakby chciały nie dać do niej dostępu złemu.

Wszystkie trzy milczały.

Słowa nie łagodziły bólu w tej rodzinie.

Po długiej chwili w tę ciszę wpadł głos dzwonka, dolatujący z przedpokoju. Pierwsza zerwała się Lusia. Za nią wybiegła Zonia. Pani Katarzyna wstała, lecz opadła znowu na kanapkę. Nie chciała witać syna przy świadkach.

Dziewczynki nie wracały. Przyptyw nadziei odpłynął, wróciła wezbrana fala niepokoju.

Ten dzwonek nie zwiastował powrotu Antka. Obwieścił przybycie Rysia.

Od kilku dni Zonia spodziewała go się co wieczór i co wieczór doznawała zawodu. Dziś po raz pierwszy zapomniała o nim zupełnie.

— Ach, to ty! — zawołała, gdy drzwi się otwo-
rzyły.

— Ładnie mnie witasz — odpowiedział trochę
zmieszany.

— Bo... spodziewamy się Antka — objaśniła.

— Czy on ma obowiązek wracać zawsze przed
dziewiątą? — zadrwił.

— Mój drogi, daj dzisiaj pokój swoim żartom.
Lusiu, wracaj do cioci — rzekła. — Powiedz, że przy-
szedł Ryś i że ja z nim rozmawiam.

Wprowadziła go do ciemnego salonu.

Z zapalonej lampy nad stołem jadalnym wpa-
dało doń światło, nie przenikając jednak do kąta,
w którym usiedli.

— Cóż się stało? — zapytał.

— Coś złego z Antosiem, ale nie wiem co. Nie
śmiem pytać cioci, a Luscia opowiada trzy po trzy.
I wujaszka niema.

— Ach, prawda! Przypominam sobie. Antek nie
był dziś w klasie.

— Czy ty nie domyślasz się, co się stało?

Ryś milczał.

— Pewno wiesz? — zawołała Zonia, biorąc go
za rękę.

Milczał.

— Musisz mi powiedzieć! Musisz! — nalegała.
Wciąż milczał.

Przysunęła się do niego i zajrzała mu w oczy.
To tylko mogła dojrzeć, że osłonił je nagle powiekami.

— Ty coś przede mną ukrywasz! — szepnęła. —

I prawda! Dlaczego nie przychodziłeś przez dzień dni?

— Liczyłaś — rzekł, sięgając po jej rękę.

Cofnęła ją.

— Nie, nic ci nie dam, dopóki mi nie powiesz wszystkiego. Ja nie przez ciekawość.

Ryś spuścił nie tylko powieki, lecz i głowę.

Nigdy jeszcze nie widziała go takim.

— I tobie coś się stało? — zaniepokoiła się nagle o niego. — Jakiś tajny spisek? I ty należysz? Czy to dla Polski? — pytała z twarzą przy jego twarzy.

W zwykłym czasie bryznąłby żartem, za który zgromiłaby go ostro, ale teraz milczał. Położyła główkę na jego ramieniu.

— Nie, nie — rzekł, wstając — ty mnie się nie dotykaj. Nie jestem wart. Gdybyś wiedziała!

— Więc mi powiedz. Poszę. Żądam — mówiła, stając przed nim.

— Jedno mogę ci powiedzieć, że jestem... ostatni... ostatni łotr.

— I dlatego nie przychodziłeś?

— Dlatego.

— Wstyd ci było?

— Wstyd.

— Widzisz, jaki ty jesteś... niemądry. Trzeba było właśnie przyjść. Do wszystkiego się przyznać. Jabym ci przebaczyła... może. A tybyś się poprawił, przestał być... łotrem. Choć nie wierzę, że jesteś. Pewno ci się tak tylko zdaje. To są skrupuły sumienia. I mnie się zdarza.

— Ty się ze mną nie porównywaj! — zawołał

z wybuchem. — I nie przebaczyłybyś mi z pewnością. Miałybyś do mnie wstręt, pogardę. Bo ja zgrzeszyłem przeciw tobie. Głównie... wyłącznie przeciw tobie.

Przerażona tem wyznaniem, bała się już pytać, aby nie dowiedzieć się czegoś strasznego, po czem nie mogłaby naprawdę go... kochać.

Tak, teraz dopiero czuła, że go kocha, nie jak kuzyna, ale jak obcego.

— Takie to okropne? — spytała cichutko, lękliwie.

— Obrzydliwe.

— Aż obrzydliwe? — przeraziła się. — To mi lepiej nie mów!

Myśli jej zatrzepotały, jak ptaki wylęknione. Odgoniła je wszystkie. Przyzwała jedną — nie osobistą.

— Tylko mi powiedz: czy dlatego Antoś zniknął?

Pytanie zaskoczyło go niespodzianie. Myślał tylko o sobie i o niej.

Zastanowił się, czy zniknięcie kuzyna może być w jakimkolwiek związku z jego, Rysia, odwiedzinami u pani Fafy?

— To możliwe — przyznał.

— Możliwe! — zmartwiła się.

W jej głosie była młoda rozpacz, nie znajdujaca jeszcze właściwego dźwięku — bardzo szczerą, a wyrażającą się falsetem.

— Gdzie on jest? — spytała po chwili.

— Nie wiem — odpowiedział.

— A masz sposób, żeby go tu sprowadzić?

Rozważał długo, wreszcie rzekł:

— Ja z nim jestem zdaleka. Zbliżyliśmy się do-

piero dziesięć dni temu, kiedy byłem tutaj ostatnim razem. On wtedy nie wiedział, jaki ja jestem. Może teraz wie i gardzi mną. Ale dlatego przecież nie uciekł.

— Nie dlatego? — podchwyciła z radością. — Więc nie przez ciebie?

— I ja się może przyczyniłem... ale... Wyjaśnić nie mogę.

— Powinieneś. Bo muszę go odnaleźć. Ja go przywiozę... przyprowadzę.

— Nie, Zoniu, ciebie on nie posłucha.

— A kogo posłucha?

— Może Wreczyńskiego. A najpewniej Mani.

— To ja zaraz do niej pójdę.

— Pójdziemy oboje.

Przeszli kilka ulic w milczeniu; gdy już byli blisko mieszkania pani Łopackiej, Zonia zwróciła się do Rysia i rzekła, nie patrząc mu w oczy:

— A gdybym ja się dowiedziała o tej obrzydliwości, czybym także tobą wzgardziła?

Nie chciał odpowiadać.

— Czy mam prawo tobie rozkazać? — spytała, szukając jego oczu.

— Masz — odpowiedział bez wahania.

— To ci rozkazuję odpowiedzieć na jedno tylko: czy chcesz... się zmienić? Czy chcesz nie robić żadnych... obrzydliwości?

— Chcę — szepnął takim głosem, jakiego nie słyszała nigdy w jego ustach.

Wzięła go pod rękę. Idąc z nim dalej, mówiła cicho:

— Bo, widzisz, ja muszę ciebie szanować.

— Pomimo tego, co zrobiłem?

— Jeżeli się poprawisz, to nawet pytać nie będę. I wiedzieć nie chcę. Byleś ty tylko się zmienił. I nie był obrzydliwy.

Uszli parę kroków w milczeniu.

— Zoniu, choćbyś się kiedy dowiedziała, choćbyś zrozumiała, że tak bywa, pamiętaj, co ci powiem teraz: nigdy nikogo tak, jak ciebie, kochać nie będę... i wiem, że ty mnie także kochasz, jak nikt. Ale ja nie jestem wart takiej miłości.

— Będziesz wart — rzekła z mocą.

— A dlaczego mnie już o nic nie pytasz? Boisz się? — mówił wzruszony.

— Sama nie wiem — przyznała — może dlatego, że musi być bardzo przykro... do obrzydliwości się przyznać i że... gdybyś się przyznał, to... może nie mogłabym cię już kochać.

— A chcesz?

— I chcę... I muszę...

— Zoniu! Zoniu! Gdybym był zawsze z tobą, to... może stałbym się wart...

— Więc bądźmy zawsze razem — zawołała, ścisnąc mu rękę. — Poczekam, żebyś skończył nauki, i potem zostanę twoją żoną, choćby wujenka nie chciała... Przekonamy ją, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Dobrze?

— Moja ty śliczna! — szepnęła.

— Zgadzasz się? — pytała, biorąc go pod rękę i zaglądając mu w oczy.

— I ja o tem myślałem — rzekł — ale... długo czekać. A tymczasem...

— Tymczasem będziesz myślał o mnie.

Byli już przed domem, w którym mieszkała pani Łopacka.

Na schodach Zonia stanęła, odwróciła się i, po krótkim wahaniu, spytała:

— Ale ty więcej skrzywdziłeś Antosia, niż mnie?

On, idąc za nią, objął ją; głowę, omotaną złotym warkoczem, przechylił. I już nie myślał ani o krzywdzie, ani o winie. Wzięła to za odpowiedź... dla siebie — dobrą.

* * *

Wieść o zniknięciu Antosia wzbudziła w Mani wyrzut i trwogę.

...Nic innego, tylko dowiedział się o jej upadku, o jej nieszczęściu. I może już nie żyje.

Myśl była tak straszna, że Mania w jej głąb zajrzeć nie chciała.

— Nie, onby śmierci nie szukał — wmawiała w siebie. — Kocha nie tylko mnie, ale matkę, więcej nawet. Więc czemuż uciekł?

Przypomniała sobie rozstanie z nim na ulicy, po wyjściu od Mili.

Jak mogła tak wyraźnie, tak brutalnie dać mu poznać, że jest nieszczęśliwą, beznadziejną? że on nic w życiu jej nie waży? To go doprowadziło do rozpaczki, a może i do czegoś gorszego.

Nie słuchała, co mówi Zonia; w myśli obracała te przypuszczenia i obawy.

Ryś patrzył na jej wystraszony niepokój i uśmiechał się.

...Więc już zapomniała o wuju Stefanie. I dla kogo? Dla takiego mazgaja. A wujowi się zdaje, że tam, gdzie on przeszedł, trawa już nigdy nie wyrośnie — myślał ze złośliwą uciechą.

— Kiedy zniknął? — spytała nagle Mania.

— Wszak mówię ci, że dziś rano.

— I rodzice nie domyślają się, gdzie mógł pójść? pojechać?

— Zdaje się, że nie.

— Jakto: zdaje się?

— Nie śmiałam pytać cioci. Wuja nie widziałam.

— A koledzy? Łuskowski?

— Tak, on pewno wie — potwierdził Ryś.

— Niechże pan do niego leci, zaraz... natychmiast. Niech go pan tu przyprowadzi.

W zwykłym czasie Ryś odpowiedziałby drwiną, ale dziś gotów był nawet iść pod komendę.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, wsunęła głowę Różia.

— Co się stało? — pytała ciekawie.

— Wracaj do kuchni, a pod drzwiami nie podsłuchuj! — zgromiła ją niecierpliwie siostra.

Choćby nawet Różia nie zastosowała się do tego nakazu, jej ciekawość nicby nie wskórała.

Zonia siedziała na wygniecionej kanapie i przypominała sobie każde słowo Rysia. Mania, z rękoma skrzyżowanymi na plecach, biegała dokoła jadalnego stołu.

Chciała myśleć o sposobach ratunku, a do oczu, do duszy zaglądały jej myśli inne.

...Czemu życie nie zbliżyło ich wcześniej. Ten

kochałby ją pięknie, szlachetnie. I ona, gdyby nie znała tamtego... pokochałaby Antosia.

Takie były myśli Mani.

— On lubi się oczerniać — myślała Zonia. — To tylko dowód jego szlachetności. Dużo od siebie wymaga. I dlatego potępia się za ostro. Ta jakaś obrzydliwość to pewno nic tak okropnego. Ale co to jest? Co to być może?

Ryś wrócił po kwadransie. Przez cały ten czas ani jedno słowo nie padło między dwie dziewczyny.

Okazało się, że Jurka w domu niema. Służący powiedział, że panicz wyszedł niedawno i że nigdy nie bywa w domu wieczorem. Wraca dopiero po zamknięciu bramy.

— Musi pan iść do Wreczyńskiego — zdecydowała Mania.

— Choćby wiedział o kryjówce Antka, mnie nie powie — odrzekł jej na to Ryś z uśmiechem pogardliwym.

— Więc ja pójdę — oświadczyła Zonia.

— Przepraszam. Jesteś pod moją opieką. A ja na to nie pozwolę — orzekł stanowczo.

— W takim razie ja pójdę — ofiarowała się Mania.

— I pani nie radzę. Wreczyński jest na jakimś posiedzeniu. Organizuje. Przewodniczy. Zrzesza. Zbawia Polskę.

— To pójdę do Wolskiego.

— Jaka pani jest naiwna! Żaden działacz nie spędza wieczorów w domu, a dziś są specjalne narady.

— Więc cóż robić?

— Czekać do jutra. To jedyna rada — odrzekł Ryś.

— A ciocia Kasia? Nie możemy pozwolić, żeby ona przez całą noc się dręczyła.

— Nie możemy, choćby przyszło chodzić od domu do domu — zawołała Mania.

— Skoro innej rady niema — przekładał Ryś.

— Ja pójdę przed dom, gdzie mieszkają Łuskowscy. Będę czekać na Jurka, bodaj do rana.

— Stara jęzda wypatrzy i nie zostawi na pani suchej nitki.

— Na mnie już i tak suchej nitki niema — odpowiedziała Mania, podnosząc na Rysia oczy beznamiętnie smutne.

Wyszli we troje. Ryś odprowadził Zonię.

* * *

Gdy pan Marcelli wrócił z biura na Smolną, doktor — ten sam, który niósł ratunek w omdleniu, wychodził właśnie z sypialni pani Fafy. Był tak widocznie zafrasowany, że pana Marcelego obległy najgorsze przeczucia.

Stosunek pokrewieństwa został już snadź »wyprowadzony na czysto« — jak mawiała pani Fafa. Lekarz objaśnił pana Bogdańskiego, już nie jako brata, lecz jako sprawcę owej katastrofy — że stan chorej jest poważny, nie tylko z powodu sercowego ataku. Ostrożne obchodzenie się z pacjentką było nie-

odzwonne, inaczej może nastąpić... chybione powiększenie ludności miasta.

Ta wieść padła na zwieszoną bezradnie głowę pana Bogdańskiego i spętała mu ręce.

— Wolno do chorej? — pytał zawstydzony.

— Ja nie pozwalam, ale ona chce koniecznie pana widzieć... Trudno walczyć z kobietą rozkochaną.

Rozmowa pana Marcelego ze Stefunią przeciągnęła się daleko dłużej, niż na to pozwalał stan osłabienia chorej, a jednak, zamiast szwanku, przyniosła jej ulgę, a i panu Marcelemu pokrzepienie. Z tego łoża boleści wyniósł przekonanie, że dzieci nie mają prawa stawiać warunków rodzicom i że niewiadomo, jakie obowiązki są ważniejsze: te, które narzuca kościół, czy też te, które człowiek przyjmuje dobrowolnie. I czyje prawa są większe: rodziny, bronionej przez ustawy państwowe, czy tej, którą broni tylko sumienie i uczciwość nieprawego męża i ojca?

Pan Marcelli od Stefuni musiał wyjść o 7-mej wieczorem, ze względu na zalecony jej spokój, lecz do domu wracać nie śmiał. Bał się smutnych oczu żony, które żałośniej od słów pytać go będą: Gdzie Antoś? Kiedy wróci?

Cały wieczór przesiedział pan Marcelli u pana Niedzińskiego. Z początku mówili o interesach, potem złożyła się partyjka i przeciągnęła do 1-szej po północy. Domyślał się, że, mimo późnej godziny, żona nie śpi, i cichutko, niemal bezdźwięcznie, zakradał się do mieszkania, potem do swego gabinetu. Rozebrał się po ciemku.

Pani Kasia słuchem, zaostrzonym przez ciągle nasłuchiwanie, złowiła szelest otwieranych drzwi. Zerwała się z kanapki w buduaru i biegła naprzeciw męża, naprzeciw syna. Czające się kroki, ciemność powiedziały jej to, czego nie chciała dosłyszeć ani dojrzeć przez lat dwadzieścia.

Właściwy charakter pana Marcelego ukazał jej się — nie w jasnej smudze, rzucanej nań przez pierwszą i jedyną miłość, przez wrodzoną potrzebę opieki nad słabszymi.

...Gdybyż był tylko słabym! Nie, on jest tchórzliwym, gorszym od człowieka złego: może być okrutnym, choć czuje swe okrucieństwo. W błysku nagłego przeczucia, zrozumiała, że przeszkodę, leżącą na drodze powrotu Antosia, wytwarza on właśnie, że pragnąłby ją usunąć, lecz mu sił braknie. Po raz pierwszy uczuła dla słabości męża nie litość, lecz wzgardę.

Jaką jest ta przeszkoda? Czy ona zdoła ją zwalczyć wbrew ojcu? I jak? skoro jej nie zna i gdzie jej szukać, nie wie.

Szukała w myśli przez noc całą.

Nie znalazła, bo szukała — w myśli czystej.

XXXIII.

Mania przeszła już pięć razy w jedną i drugą stronę wzdłuż domu, zaopatrzonego numerem 18, przy ulicy Żórawiej, gdy z bramy jego wyszedł... pan

Łuskowski. Nie zdążyła odwrócić się. Spozrzegł ją i zdziwił się.

— Co pani robi w naszych stronach? — zapytał.

— Czekam na koleżankę — odpowiedziała, nie znajdując innego pozoru.

— Czemu pani do koleżanki nie wejdzie?

— Bo ona jest u osób, których nie znam. A muszę się z nią widzieć, mam ważny interes.

— Ten interes... może panią narazić na nieprzyjemność.

Nie zważając na tę przepowiednię, długo jeszcze krążyła dokoła domu, odchodząc coraz dalej, żeby nie zwracać uwagi; wreszcie dała dziesiątkę stróżowi z przeciwka i prosiła, aby jej pozwolił przysiąść w sieni. Uśmiechnął się porozumiewająco, dziesiątkę wsunął do kieszeni kożucha i podał jej zydelek.

Przesiedziała na nim godzinę, nie spuszczać z oka bramy naprzeciwko. Wchodziło do niej dużo ludzi, ale nie Jurek. Oczywiście go szukała, myśli jej nie brały w tem udziału, biegły torem kolei nadwiślańskiej do wiśniowego sadku; zawracała je ku mieszkaniu przy Nowym-Świecie, w którym siedzi kobieta zrozpaczona i czeka.

— Panienko! proszę się zabierać. Jedenasta. Zamykam bramę. Obcym ludziom nie wolno tu siedzieć.

Mania ocknęła się. W grubą rękę, wysuniętą po zydelek, wsunęła znowu drobną monetę i wyszła.

Na ulicy było pusto. Niepodobna dłużej czekać. »Zabrała się« i wracała do domu powoli, wciąż rozglądając się za Jurkiem — bezskutecznie. Nazajutrz rano posłała do niego list.

Bardzo szybko stawił się na wezwanie.

Znowu w pokoju jadalnym odbywały się narady. Pani Łopacka przez drzwi od kuchni słyszała piskliwy głos Jurka:

— Nie! Za nic nie mogę!

Mania coś mu przekładała po cichu.

Potem słyhać już było tylko szepty, a w niepełna dziesięć minut Mania biegła z nim po schodach, że aż dudniło.

— A wróć-że się, zapomniałaś wziąć butersznyt — wołała na nią matka przez lufcik.

Ani się obejrzała, jak gdyby nie do niej mówiono. Pani Łopacka miała złe przeczucia. Co prawda, nie był to wyjątkowy stan jej umysłu. Od chwili powrotu Mani z »pałaców« biedna wdowa była w ciągłych, niezrozumiałych dla siebie samej obawach.

— Mówię pani, tak mi jest, jak gdyby lada chwila sufit miał się zapaść — zwierzała się sąsiadce. A choć sufity, odnawiane podczas lata, nie zarysowały się nawet, pani Łopacka widziała, że coś się zawala i kruszy w Mani, i gryzła się tem, bojąc się pytać ukochanej córki, czemu nie śmieje się od rana do wieczora, dlaczego mówi głosem nie swoim i patrzy nie swojemi oczyma.

— Mani coś jest — mówiła do Rózi.

— Tak, jest to, że jej się w głowie przewróciło: robi hrabinę. Nawet klócić się nie chce. Zaczynałam, ani rusz. Do ładu z nią nie dojdiesz. Wstrętna burżujka!

XXXIV.

Antoś ukrył się w gmachu instytucji kredytowej, w której ojciec Wolskiego był woźnym. W tej izdebce na strychu składano niepotrzebne krzesła, stoły, był też i tapczan.

Wyszedłszy z domu, Antoś podążył wprost do Wolskiego i poprosił go o klucz od izdebki.

— Dziś nie będę w szkole. Może i jutro — oznajmił. — Nie mów nikomu, gdzie jestem, tylko Łuskowskiemu.

Dał mu parę rubli i prosił, aby Jurek po trzy razy dziennie posyłał na pocztę z zapytaniem, czy niema listu pod imieniem: Katarzyna. Posłaniec miał przynieść odpowiedź Jurkowi, nie zaś Wolskiemu, a to dla zmylenia tropu. Gdyby list nadszedł, Jurek miał mu go odnieść natychmiast.

Po godzinach biurowych, gdy na korytarzach i schodach było już pusto, Wolski zaniósł mu kwartę wody i kawał chleba z mięsem, odjęty od ust własnych. Stanąwszy przed drzwiami, zapukał w sposób umówiony. Antoś poskoczył z twarzą rozjaśnioną. Pewien był, że idzie naprzeciw upragnionemu: »Wracaj«.

— Nie, niema listu. Przyniosłem ci... — zaczął Wolski, rozwijając papier.

Antoś odsunął jedzenie, wziął kwartę i usiadł znowu na opuszczonym przed chwilą zydelku.

— Może chcesz książki? Mam wyborną.

Antoś głową wstrząsnął.

— Postanowiłeś nie jeść i milczeć?

Ruch głowy potwierdził ów domysł.

— Rozumiem i pochwalam. Wytrwaj — rzekł Wolski.

Antoś istotnie postanowił nie mówić i nic do ust nie brać, aż do chwili, gdy będzie mógł odezwać się do ojca.

W pierwszej godzinie tego dobrowolnego wygnania pewien był, że lada chwila otworzą się drzwi, że ojciec wejdzie, rzuci mu się w objęcia i zaprowadzi go do domu... oczyszczonego ze śmieci. Każda następna godzina zabierała okruchy tej nadziei, a wzmian niosła mu żal, gorycz i bunt. Licząc na to, co mu kazano kochać, w co wierzyć, przeliczył się.

Buntował się jeszcze przeciw własnemu buntowi, przekładał sobie, że nie ma prawa wątpić, że odpowiedź nadejdzie lada chwila. Lecz ogarniały go wątpliwości inne: Czy miał prawo przemawiać w tym tonie? Może to właśnie oburzyło ojca, zacięło go w uporze.

Wpojony od dzieciństwa szacunek nie dawał się zepchnąć, odtrącić, a milczenie ojca mówiło mu, że nic nie wskórał dyktowaniem warunków.

Udręczona myśl błędziła, nie dostrzegając, jaką drogą iść należy, aby matce zapewnić — bodaj spokój, na złudzeniu oparty.

Gdzie znaleźć radę mądrą, skuteczną?

Gdyby chodziło o drogę do górnej mety, u Wreczyńskiego szukałby wskazówki; ale Wreczyński sprawiał szyki, nieoreźne hufce zbroił dla Polski. Niepodobna go było obarczać troskami jednego szeregowca. On to zejście ze wskazanego sobie szlaku nazwałby może odstępstwem. Chorążemu, niosącemu sztandar,

nie wolno opuszczać szeregu, choćby dla ratowania matki rodzonej. A dziś i dni następnych odbywały się właśnie narady ważne. Zjechali delegaci kółek samoulepszenia, pod przewodem Wreczyńskiego utworzonych na prowincyi. Miały się toczyć dyskusye, w których potrzebnym, niezbędnym może był głos Antosia, jako jednego z bardzo nielicznych obrońców wiary. Winien był o własnym bólu zapomnieć, aby do ustaw Związku intromitować to drugie miłowanie, ukrzepić, podeprzeć niem miłość dla kraju. Na równi z ziemią, na równi z jej honorem i chlubą praojcowie bronili wiary, dla niej zaścielali głowami bojowiska pod własnym i cudzem niebem. Stali przy niej ławą. Hartowała stal ich oręża.

...Więc on był odstępca. Cierpienie, ze stanowiska ogólnego małe i nikłe, było mu wielkiem, bo je widział nie z oddali, lecz z blizka; mała drzewina, stojąca na jego drodze, zasłaniała mu szczyty.

Tak sobie przekładał i, po długim zmaganiu się, postanawiał iść na to zebranie. Lecz myśl odrywała się i biegła znowu ku domowi, ku matce. Przedewszystkiem czuł się jej obrońcą. Nie miała innego na świecie.

...Wszak był dziadek Rojewski? W ciągu nocy, poprzedzającej ucieczkę Antosia z domu, wśród wahań się i zmagañ, postanowił jechać do Czerniewic. Wstrzymała go myśl, że cudzej tajemnicy nie ma prawa odsłonić przed nikim, a może najmniej przed tym rozumnym i szlachetnym starcem, tak blizkim krwią i duchem jego matce, lecz tak dalekim od ojca.

Więc po radę do niego się nie zwrócił. Do Czerniewic nie pojechał.

Chciał własną wolą podeprzeć słabość ojca.

Teraz, leżąc na tapczanie, z oczyma wbitemi w ciemność, wpatrywał się w swą bezradną rozpacz. Zmęczona, zboląta myśl odwróciła się wreszcie od tego bólu, na który nie znajdowała lekarstwa, i pobięła do Mani.

...I ona nieszczęśliwa. I jej życie odebrało jakąś wiarę. Ale jaką? Pewno w miłość ukochanego.

Teraz właśnie, wśród tej udręki, dusza Antosia nieświadomie zapragnęła czegoś dla siebie, oderwała się od cierpienia. Z pierwszym odblaskiem zimowego słońca i do niej zająztał promień. I jak tęcza jest nadzieją ziemi, z łez zrodzoną, tak wykąpana we łzach, bólu i męce nad udręczoną duszą rozpięła swój łuk — nadzieja.

Chłopak, znużony i podniecony bezsennością, znalazł ostoję. Uśmiechnął się do myśli, że nieszczęśliwa miłość Mani nie jest bezwzajemną, lecz — dumną i szlachetną: nie chce stawać w poprzek drogi, wiodącej do wyższego ideału. Nabierał pewności, że ta miłość ogarnia... jego. W nawpół już sennej myśli wszystko układało się przedziwnie, wszystko pasowało do tego radosnego domysłu: i coraz radsze odwiedziny Mani w ich domu, i jej smutek, i jej unikanie dłuższej z nim rozmowy.

Po chwili Antoś przekonany już był głęboko, że dwie nieszczęśliwe miłości stoją naprzeciw siebie, we wzajemnej przed sobą obawie, że dość będzie

słowa, aby je zamienić w jedną — szczęśliwą. To słowo rzuci między nich ta najlepsza, jedyna.

Gdy słońce, muskając dachy miejskie, pierwszy swój pocałunek złożyło na poddaszach, z ust Antosia wzięło cichy szept: — *Mamo!* — i na ten szept położyło złotą pieczęć.

Obudził się około dziesiątej. Nie zdążył jeszcze zdać sobie sprawy, gdzie jest, gdy za drzwiami usłyszał kroki, cięższe i lżejsze, najwyraźniej męskie i kobiece.

Zerwał się. Odrazu do świadomości jego zakolały wrażenia, myśli, uczucia, które go dręczyły i koily przed zaśnięciem.

Czyżby szli do niego... oboje rodzice? I matka? Stał przy drzwiach. A serce biło mu tak głośno, że obawiał się, aby nie zdradziło jego obecności... Bo jeżeli to kto inny, obcy?

Kroki zatrzymały się u drzwi. Dwa przytłumione, bardzo ciche szepty, a potem pukanie i głos Jurka:—
— Otwórz.

Antoś obrócił klucz w zamku.

Weszła Mania.

Nie zdziwił się, dlaczego tu przychodzi i jakim sposobem dowiedziała się o jego kryjówce. Ucieszył się gwałtownie, silnie.

Widząc nagły błysk jego oczu i radosne wyciągnięcie rąk, Mania zapomniała także o swojej misji. Podbiegła, obie jego ręce ucisnęła długo, serdecznie. Ciesząc się z nim razem, zapomniała zupełnie, że jest nieszczęśliwą.

Nigdy jeszcze Antoś nie widział jej taką. Od jego roziskrzonych oczu, jak od promieni wschodzącego słońca, zabarwiła się jej twarz blada i szara, a rumieniec zmienił całą jej postać, orzeźwił ją, wyprostował.

Była to piękna chwila dla obojga. Przeleciała szybciej nad Manią. On jeszcze zapamiętywał się, gdy ona już sobie przypomniła, po co tu przyszła. Rozplotła uścisk rąk.

— Czy wolno tak? — szepnęła z wyrzutem.

Milczał. Oczy od jej twarzy oderwał z bólem, jak się odrywa kojący balsam od rany. A ona zawołała:

— Jak pan śmie dręczyć taką matkę!

Jasna czupryna spadła, pochyliło się czoło.

— Chodźmy — rzekła Mania, biorąc go za rękę.

Nie wątpiła, że pójdzie za nią. On stał i milczał.

— Prędzej — nagliła.

Nie ruszał się z miejsca.

— Będzie się pan jeszcze upierał? Rozkazuję, i koniec — żartowała, oglądając się za czapką i szynelem.

Znowu oczy na nią podniósł, do piersi ją niemi tulił. A milczał.

— Cóż to, pan oniemiał? — dziwiła się.

A gdy jeszcze nie odpowiadał, fuknęła:

— Dość już tej komedyi! Odezwie się pan narreszcie?

Spuścił znowu głowę.

— Łuskowski czeka na nas... n a n a s — powtórzyła z naciskiem. — Przejada się pewno ciastkami w cukierni naprzeciwko. Chce pan, żeby się spóźnił do szkoły? Pan tego chce najwidoczniej.

Patrzył na nią i milczał.

— Wziął pan wody do ust, czy co? Ach, prawda! — zawołała, uderzając się w czoło — mówił mi Łuskowski: pan ślubował milczenie. Ależ to głupstwo — perswadowała mu.

Potrząsnął głową.

— Panu się zdaje, że to czyn bohaterski. Bo pan dzieciak. Duży dzieciak. Już wysypują się wąsy, a w głowie jeszcze pstro. Niech mi pan wierzy, że to dzieciństwo — przekładała mu, wpadając w ton poważny. — Niech pan m n i e wierzy. Ja jestem od pana starsza. I daleko lepiej znam życie.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Daleko lepiej — powtórzyła, spoglądając na niego z pobłażaniem i współczuciem. — Zresztą, nie chce pan mówić, Bóg z panem — rzekła po chwili. — Tu o gadanie nie chodzi. Ale do domu pan wróci... zaraz. Nie odejdę stąd, choćby mi przyszło czekać do wieczora. Pan mnie nie zna. I ja potrafię się uprzeć.

Odpięła kapelusz, rzuciła go na stół, zdjęła rękawiczki. Usiadła na krześle.

— Gotowa jestem czekać do wieczora. Zostanę w futrze, bo tutaj zimno, a i panu radzę wziąć szynel. Potrzebny jeszcze katar w dodatku... może zapalenie płuc, żeby matce do reszty życie uprzyjemnić? No, proszę wziąć. Nie tak. Na rękawy — gderała żartobliwie. — I cóż? Będziemy siedzieć, jak dwa Eskimosy, i patrzeć na siebie? Miła zabawa.

Staął przed nią i ręce szeroko rozłożył.

— Nie chce pan ze mną iść — przetłómaczyła to na słowa. — Rozumiem. Pan matki nie kocha. Takiej matki! — bryznęła mu z oburzeniem.

On za głowę się chwycił i padł na tapczan.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Tak się nie godzi — szeptała — niech pan pomyśli, niech pan się zastanowi. Każda chwila uporu, to dla niej chwila cierpienia.

Załkał. Usiadła przy nim. Wzięła go za rękę.

— Nie chce pan mówić, to ja będę pana pytać. Może się domyślam. Pan uciekł od ludzi, nawet od niej, bo powiedziałam, że jestem nieszczęśliwa, bo pana to zabolalo?

Pochyliła się nad nim.

— Prawda? — pytała.

Żadnego poruszenia, nic. Wciąż nad nim pochylona, ujrzała po chwili, że głową przeczy.

— Więc nie o mnie chodzi — mówiła, jak do chorego dziecka. — To już wiem. Jurek domyślał się... ja nie chciałam wierzyć.

Antoś podniósł głowę. Usiadł. Pokazał jej oczy zdumione, wylękle.

Wzięła z nich odpowiedź.

— To tak? — To dlatego. — Ale czemuż uciekać z domu? Niepokoić matkę? Budzić jej domysły?

Rękoma zatrzepotał.

— Naturalnie, że to obudzi jej podejrzenia — mówiła. — To ją zmusi szukać przyczyn... Pan głową kręci, nie wierzy, bo pan życia nie zna. Matka dobra, święta, ale wie chyba, że dzieją się takie rzeczy. A o tem, co się dzieje... na Smolnej, wiedzą i w biu-

rze, i na mieście. Może się znaleźć ktoś, kto jej powie.

Antek drgnął.

— A co pan myśli? Mało na świecie gałganów i plotkarek! Pierwsza Łuskowska. To okropna baba!

Na twarzy Antka odbiło się przerażenie.

— Na to pan chce matkę narażać? A może być jeszcze gorzej. Ona gotowa przypuścić, że to pan... wdał się w taką awanturę i dlatego uciekł.

Rękę jej mocno ścisnął, jak gdyby szukał w niej oparcia.

— Sam pan uznaje, że trzeba wracać.

Silnem odrzuceniem w tył głowy zaprzeczył. Wyrwała mu rękę. Wstała.

— Teraz już wiem, jaki pan jest — zawołała zniecierpliwiona. — Egoista, uparty i ciasny w poglądach i... nieinteligentny, a w dodatku... dzieciuch.

Rzuciła mu słowo po słowie, unosząc się coraz bardziej.

Słuchał z rozrzewnioną pokorą, ale wciąż milczał. Oburzenie jej wzrastało. Spojrzała na niego wyzywająco, hardo.

— A jakie pan ma prawo sądzić? potępiać? Jakie? — rzuciła ostro. — Czy pan wie, jak trudno opierać się... oprzeć się pokusie? Co pan o tem wiedzieć może?

Smutnemi oczyma w nią uderzył.

— Niech pan tak nie patrzy, a lepiej przyzna, iż mam rację.

Pokiwał głową.

— Panu się zdaje, że pan wie. Nieprawda!..

Ślubowaliście czystość. I dlatego sądzicie innych. A sami... czy możecie ręczyć, że nie złamiecie ślubu?

Zerwał się. Z oczu jego biło przeświadczenie własnej mocy.

— Pan sobie wyobraża, że dość postanowić, przysiąc, a każdą pokusę można zwalczyć? Dzieciak! — mówiła z uśmiechem gorzkim.

Usiadła na krześle, odwrócona do niego plecami. O stół się oparła. Myślami odbiegła od tej izdebki, od niego.

Jej nachyloną głowę objął miłośnie i całował oczyma. A widział ją coraz niewyraźniej; wreszcie przestał ją widzieć, roztopiła się we mgle jego oczu. Osunął się na kolana i swoją jasną głowę na jej kolanach złożył, ustami do jej zwieszanej ręki przywarł. Myśl jej zawrócił z drogi, po której błędziła rozpacznie.

— Biedne dziecko! — szepnęła i drugą rękę położyła na jego płowej czuprynie. — Biedne dziecko! — powtórzyła szeptem. — W życiu nie tak, jak sobie wyobrażamy. Oj, nie tak! Ja już wiem. Poznałam złe... Najgorsze.

Zalaną łzami twarz podniósł ku niej. Zanurzyła w niej źrenice, zbolale od patrzenia w ranę swej duszy. Z jego oczu wyłowiła strach przed tem, co nadchodzi, i prośbę, aby tajemnica pozostała tajemnicą. Lecz wahanie ustało już z serca Mani.

— Niech pan nie sądzi. Niech pan nie potępia — mówiła twardo, groźnie, i dodała szeptem: — Niech pan to zrobi dla mnie, bo ja potrzebuję także... litości.

Strach błagalny zatrząsł się w jego źrenicach i drżał w nich, jak łza, nim spłynie. Ona zajrzała w głąb tego lęku, tej prośby. Nie mogła ich ukoić. I nie chciała.

— Tak. I ja.

Rzuciła mu te słowa, jak głąz.

Przytłoczył jego jasną głowę, odtrącił go od jej kolan.

Już ani oczu, ani twarzy widzieć nie mogła, ale widziała, że ból, idący od tego słowa, jak rana od strzały, nie może się pomieścić w młodej piersi, ani ta myśl straszna w młodej głowie.

— Tak, tak — powtarzała Mania. — Niech mnie pan nie kocha.

Nachylała się nad jego raną; nie chciała jej opatrzyć, lecz właśnie wypalić: zadając ból straszny, uzdrowić na zawsze.

Przeliczyła się jednak ze swemi siłami. Ten ból zatargał i jej sercem.

— Przebacz — powiało na niego szeptem rozpaczonym — przebacz, i mnie, i ojcu. Zrób to dla mnie.

Odczuwał i jej mękę, tak niemal dotkliwie, jak własną. To podwójne cierpienie powaliło go o ziemię. Zgięty, skurczony leżał u jej nóg, z głową wtuloną w dłoń. Wstyd oczy mu przysłaniał. Milczenie przytłoczyło ich oboje, jak głąz; konały pod niem dwa serca. Wtem wezbrana fala bólu ten głąz odważyła, jak wody wiosenne zrywają skały.

— Czemu, czemu! — załkał Antoś.

Jej oczy, suche, objęły miłosiernie jego spuszczoną głowę.

— Czemu? — powtórzyła za nim rozpacznie.

A po chwili usłyszała ciche, zawstydzone:

— Kochałam.

Ten szept przeproszał go i wykladał: czemu.

Jego ramionami, jego plecami zatargał dreszcz, a potem przyszła znowu martwość bólu i długi powiew milczenia. Mania przerwała je żalosnym pytaniem, rzuceniem przeszłości:

— Czemu nie pokochałeś mnie pierwej?

Ciężkie było zmaganie się młodej duszy z nawalnicą, która wrywała czystą, niewinną wiarę w kobietę kochaną, w kobietę wogóle.

Naprzód nie mógł zgoła zrozumieć, że tak bywa, a potem nie mógł się pogodzić, że to się stało, że to jest, że on już tego zmienić nie zdoła.

Myśl dręczona biegła, tuliła się do jedynej istoty, która nigdy w niczem nie zawiedzie. Ona jedna jedyna na świecie. I jak owego poranku z nadzieją, tak teraz przyzywał ją z rozpaczą.

— Mamo! — szepnął, nie czując nawet, że pada z ust jego to wezwanie.

— Mama wie — usłyszał w odpowiedzi.

— Wie! — zawołał, podnosząc głowę, i teraz dopiero odważył się spojrzeć na Manię.

Poza jej twarzą szarą i wyblakłemi oczyma widział twarz inną, inne oczy, które witała go przed chwilą. Tamten obraz duszę jego napełnił wdzięcznością. Przyszła tu dla niego i jemu w ofierze złożyła to wyznanie.

— Mama wie i mówi, że dźwignąć się można — szeptała Mania. — Ale ona święta. I ona kobieta, to

zupełnie co innego. Rozumiem, że... pan ma do mnie wstręt... pogardę... obrzydzenie.

Ukląkł i, nie podnosząc głowy, ręce jej ujął.

— Nie wstręt, nie pogardę, nie obrzydzenie — mówił z wysiłkiem. — Tylko trudno pogodzić się.

— Niepodobna — przyznała. — Kochać mnie nie możesz. Ale ojcę przebac. Ja mojego ojca kochałam bardzo. Gdyby on żył, nie stałoby się to nigdy.

Rękę jej chwycił, lecz zaraz ją wypuścił. Zerwał się. Czowała, że jest mu w tej chwili nienawistną. Chciała uciec, nie zadawać mu bólu swoim widokiem. Dla niej, dla dobrej pani, została. Nie mogła stąd wyjść, bez niego. Siedziała, pełna wstydu przed nim, pełna żalu do tamtego, do siebie. Od owej nocy, gdy wbiegła w wiśniowy sadek, przebyła dużo chwil ciężkich, ale ta chwila była najcięższą do udźwignięcia, bo przynosiła podwójny ból serc dwojga.

W nim rozkrzyczał się bunt, a miłość cicho, pokornie, wstawiała się za tą nieszczęśliwszą od niego: on stracił wiarę, jej sponiewierali pierwszą miłość. Wstręt i oburzenie przekrzykiwał bunt inny. Nad wszystkimi uczuciami zaskowyczała nienawiść do tego, który przyszedł pierwiej i rzucił w błoto, skałał, zdeptał to, co on przycisnąłby do serca.

— Czemu! Czemu! — łkało w duszy młodzieńczej.

Ale im bardziej tamtego nienawidził, tem litował się nad nią silniej. Napływała powrotna fala miłości, niosła żal — nie ten, co się skarży, lecz ten, co się lituje.

...I matka nie potępiła: mówi, że można się dźwignąć.

Można i trzeba. Któż dźwignie, jeśli nie ten, kto kocha, kto gotówby życie oddać, aby cofnąć to, co już wrócić się nie da?

...Ale łatwiej życie oddać, pozbyć się go, jak ciężaru, niżeli je poświęcać dzień po dniu, dźwigać je w górę, za dwoje, dla dwojga. A nie jest to ofiara. To obowiązek.

...Jakże trudny do spełnienia!

On tę dziewczynę i kochał i czcił, na równi niemal z matką.

Inaczej, jak ze czią, kochać nie umiał. Teraz dopiero uczył się innej miłości, uczył się w męce.

W pierwszej chwili bólu zdało mu się, że nad tą miłością przeszedł huragan, że ją wyrwał z korzeniami, że jako ślad burzy została jeno pogarda dla niej i nienawiść do tamtego. Lecz oto miłość zdeptana prostowała się, rosła.

Tyle sprzecznych uczuć! Jak je rozplątać? Ni matki, ni Wreczyńskiego dla wskazania drogi. Musiał jej szukać sam i wejść na nią, zaraz, bez zwłoki.

Wstał, objął spojrzeniem nachyloną głowę Mani, jej zgarbione plecy.

...Choć go nie kocha, bez wahania poniosła ofiarę dla niego, a on pełen jest uczuć przyziemnych. Pełzną ku niemu, syczą, trują duszę gadzinowym jadem.

Nie zatrują.

Krokiem stanowczym do Mani przystąpił i stanął za zydłem, na którym siedziała.

— To... zerwane? — zapytał.

Pochyliła głowę jeszcze niżej.

— Tak. Czy nie? — nalegał ostro.

— Tak. Na zawsze.

W głosie jej była moc niezłomna.

Zmierzył izdebkę krokiem porywczym. I znowu do Mani wrócił.

— Ja ciebie kocham — obwieścił gniewnie.

— Jeszcze? — zdziwiła się smutnie, głowy ani ramion nie podnosząc.

— Tak, kocham i kochać będę zawsze — rzucił jej, jak wyzew.

— Nie. To musi minąć — prosiła go.

— Nie minie — zaprzeczył stanowczo.

— Musi minąć — powtórzyła rozkazująco.

— Będę kochać tak samo, zupełnie tak samo — upewniał ją.

— To niemożliwe! — zawołała, prostując się. — Tak myślisz. Tak się mówi, ale życie powie inaczej.

— Gdybym się sprzeniewierzył sobie, żyćbym nie chciał.

— A jednak — ja żyję.

— Żyć będziesz... dla mnie, dla mojej miłości — rzekł, stojąc wciąż za nią, bo w oczy spojrzeć jej nie chciał. Ręce na jej ramiona opuścił i tak je trzymał.

Ona się nie odwracała. Mówiła przed siebie:

— Zniknę ci z oczu. Postarasz się zapomnieć. Dasz mi słowo.

Ramiona jej mocno przyciskał. Czuł potrzebę coś kruszyć, coś przygniatać.

— Nie zapomnę! — oburzył się. — I mama nie potępia. I ja przebaczam — mówił poważnie, takim głosem, jak gdyby z tą chwilą obejmował w posia-

danie jej przeszłość i przyszłość. — Zostaniesz moją żoną.

— Nigdy! — krzyknęła, zrzucając ciężar rąk jego. Zerwała się przerażona.

Uderzyło to w niego, jak cios, zadany znie-nacka. Pewien był przed chwilą, że go już nic gor-szego spotkać nie może. Pewien był, że dalsze jej życie ma w swych rękach, a ona jego życie trzymała w swoich i odrzuciła je daleko od siebie. Lecz młody był; mimo dwu ciężkich zawodów, wiary w moc wła-snego uczucia nie stracił. Tego wyroku za nieodwo-łalny brać nie chciał. Odrzucał słowo okrutne, które chciało mu odebrać to, co zdobył dla siebie i dla niej w męce buntu.

— Nie mów tak — rzekł, podnosząc na nią oczy. Mógł już je pokazać. Zwycięstwo nad pogardą, nad nienawiścią, było pełne.

— Mówię tak, i tak będzie — zaprzeczyła.

— Będę cię kochał, i ty mnie pokochasz.

— Już nie mogę — przeciął jego słowa szept smutny.

— Nie żądam zaraz, ani prędko, ale kiedyś, po ślubie.

— Dziecko miłe, dobre — mówiła powoli z ręką na jego ramieniu. — Zastanów się. Ty, mężczyzna... ślubowałeś czystość, a ja... kobieta.

Szarpnął się gniewnie.

— O t a m t e m nigdy między nami ani słowa! — zawołał. — A co do ślubowania, to właśnie... Dla męż-cyżny — to upadek, zwycięstwo zwierzęcia; dla ko-

biety — to nieszczęście. Winien jest zawsze mężczyzna. Kobieta ponosi skutki winy.

Chwyciła jego rękę, położyła ją sobie na ustach i trzymała długo.

— Syn... dobrej pani — usłyszał po chwili szept wzruszony.

Od tego szeptu na jego twarz padła rzewność.

— I moja matka powie tak samo... Mówiliśmy o tem. Jej własne słowa powtarzam. Na niej się nie zawiodę: u niej słowa i czyny to jedno.

— Wiem, na niej nie zawiedzie się nikt. Ona jedna taka na świecie. Ty drugi. Ale ja nie tylko dla niej i nie dla ciebie tylko, Antosiu. Ja i dla siebie... nie mogę.

— Ty jeszcze kochasz — syknął Antoś i, nachylając się nad nią, w oczy jej zajrzał.

Nie uciekła spojrzeniem. Z wylęknionych źrenic brał wyznanie, brał jej wstręt do tej prawdy sromotnej, która w chwili tej dopiero wychodziła z głębin jej duszy, podnosiła się, zdeptana, zraniona, a jednak żywa.

— Zapomnieć nie mogę — pełzło ku Antosiowi wyznanie zawstydzone, lękliwe. — Nienawidzę go... życzę mu śmierci. A gdyby umarł, możebym i ja... Nieraz w nocy leżę i widzę wszystko, co było, i czuję tak, jak czułam wtedy. Nie chcę... kochać. Gardzę sobą, a muszę.

Rozplotły się ich ręce. Rozszczepiły się ich spojrzenia. On za głowę się chwycił i, trzymając ją oburącz, w kąt izdebki się wtulił. Ona poszła za nim oczyma. Przesunęły się nad tą płową czupryną i po-

biegły dalej, a gdy wróciły do izdebki, usłyszał znowu jej szept zdławiony:

— Nie zapomnę: nie umiem, nie mogę. Taka już jestem.

Po nachyleniu jego pleców spostrzegła, że ją słyszy.

Jej oczy ogarnęły tę biedną, udręczoną głowę i już w dal nie odbiegły. Nakaz chwili obecnej odgonił przeszłość. Pamiętała już, dlaczego tu przyszła i z czym ma odejść.

Antoś stał jeszcze, wtulony w kąt, w który życie postawiło go, jakby na pokutę, za jego młodzieńcze wiary i złudzenia.

— Chodźmy — szepnęła z oddali, nie śmiejąc zbliżyć się do niego. — Trzeba iść do niej! Zapomnieć!

Odwrócił się. Miał twarz zbrózdzoną, postarzałą.

— Nie mogę — tłómaczył się żałośnie. — Teraz nikogo widzieć nie chcę. Proszę jej to powiedzieć ode mnie.

Już nie nalegała. Czowała, że on potrzebuje samotności. Chciała jak najprędzej zostawić go z nią razem. Nakładała kapelusz, rękawiczki, zapinała okrycie. Szła już ku drzwiom, gdy przypomniała sobie jeszcze jedno.

— A ojcu, czy mam co powiedzieć? — spytała.

Popatrzył mętnie. Jakże daleko poza nim było oburzenie, które przyprowadziło go tutaj! Jakże był jeszcze szczęśliwym, gdy zawód przysłał mu świat z jednej tylko strony!

— Wszystko mi jedno — odpowiedział apatycznie.

XXXV.

Każda godzina była znaczone cichą męką pani Katarzyny. Gdy wieść o zniknięciu Antosia pochyliła jej głowę, zdawało jej się, że już miara cierpienia przebrana, a w ciągu nocy i nazajutrz przekonywała się, że można cierpieć jeszcze silniej.

Byle tylko, wraz z nadzieją, nie odstąpiła jej moc panowania nad rozpaczą.

Broniła się przeciw temu, spełniając swe obowiązki. Drugiego dnia nieobecności Antosia przypadała wizyta u doktora z Lusią. Pani Katarzyna przypomniała to sobie nagle, w ostatniej chwili. Nie było czasu na wahanie, na dawanie folgi swym wstrętom.

Choć już konsultacya była skończona, lekarz przyjął swoją ulubioną pacjentkę. Znalazł ją niezwykle nerwową; miała podniesioną temperaturę.

— Nie rozumiem powodu — dziwił się.

Lusia spojrzała na ciotkę.

— Panie doktorze, ja już będę zdrowa — upewniała go. — I nawet zaraz, jak tylko wrócę do domu, bo... bo mnie tam czeka coś dobrego — mówiła, patrząc wciąż na ciotkę.

A w drodze powrotnej siedziała przytulona do niej; ściskając jej rękę z całej siły, szepnęła:

— Ja się tak śpieszę, tak śpieszę, żeby Antos prędzej wrócił. On pewno już na nas czeka.

Przepowiednie Lusi sprawdziły się. Na panią Katarzynę czekała... wieść o Antosiu.

W bramie domu ktoś zastąpił jej drogę.

— Paniutku, paniutku jedyna — szepnęła Mania. — Wracam od niego. Zdrów.

Pani Katarzyna ścisnęła mocno jej rękę.

Chciała pytać, lecz przyśpieszone tętno serca odbierało jej słowa. Uczuła niemoc i resztką sił oparła się o Manię.

Z drugiej strony Lusja trzymała ciocię mocno, wyobrażając sobie, że ją prowadzi na schody. Słowa Mani utwierdziły ją w domysłach: Antoś pewno ożenił się z tą panią i zaraz przyjdzie. Lecz Lusja wiedziała już, że starsi nie o wszystkim mówią przy dzieciach, więc, doprowadziwszy ciotkę na pierwsze piętro, zostawiła ją z Manią, a sama pobiegła do sypialnego pokoju, żeby zobaczyć, czy ukochana lalka, Florcia, nie wyszła z domu bez pożegnania, jak Antoś.

* * *

Mania stała oparta o poręcz schodów. Przed chwilą uciekła przed dobrocią pani Katarzyny.

A teraz stoi i zbiera w sobie moc, aby odejść daleko od tych dwojga, którzy chcieli być jej blizcy, najbliżsi na świecie.

Oboje chcieli. I matka także.

...Trudno uwierzyć. Bo co innego podtrzymywać dobremi słowy dziewczynę obcą, która, biegnąc ku szczęściu, stąpiła w próżnię, w przepaść; a rzecz inna, taką... z przepaści chcieć za synową.

A jednak ona mówiła:

— »Nie myśl, że ten sam czyn jest inny, gdy go spełni swój, a inny, gdy obcy«.

I mówiła:

— »Przez te pół roku szłaś ciągle wzwyż, mimo wielkiego ciężaru. Zdejmiemy ciężar z twoich ramion. Iść będziemy razem we troje, a potem pójdiesz dalej z moim synem, ręka w rękę«.

...Żeby nie brać ich dobroci, będzie iść dalej w górę — ale sama.

Taka unurzana nie stanie obok czystości tego chłopca.

A ciężaru z jej ramion nie zdoła zdjąć nikt. Nawet oni.

Przed chwilą, za temi drzwiami, przyciskała rozpacznie do piersi głowę siwą. Teraz, wdzięcznością wzruszona, klęczy u nóg matki, która nie przez swoją miłość dla syna, lecz przez szacunek dla syna swego miłości, nie odtrącała jej — upadłej, lecz podnosiła, tuląc do piersi.

Mania wyrwała się z jej ramion, zatrzasnęła drzwi, odgrodziła niemi wzniosłość tamtych dwojga od... własnej nikczemności.

I nie czuje, że sama w tej chwili jest wzniosłą.

Czuje tylko, że jest bardzo słaba, że gdyby te drzwi otworzyły się...

...Nie! Nie! O nim tylko myśleć powinna. Jego ratować, nie siebie.

* * *

Przyszła do biura koło 1-szej. Pan Łuskowski nie odpowiedział na jej powitanie. Pan Niedziński, ujrawszy ją, wysunął się z pokoju. Na jej biurku nie było papierów do przepisywania.

— Co mam dziś robić? — spytała.

— Co się pani podoba. Może pani pisać liściki do młodych chłopców, albo czekać na nich przed bramą. Lecz pani woli to robić nie w biały dzień, a w nocy — odpowiedział z urągliwą grzecznością.

— To znaczy, że mam się stąd wynosić. Dobrze się składa. I ja właśnie chciałam się podać do dymisy — rzekła, patrząc mu w oczy śmiało.

Pan Łuskowski miał rolę wyreżyserowaną znakomicie przez żonę. To harde oświadczenie, na które nie był zgoła przygotowany, odjęło mu sposobność do ironicznej oceny wszystkich kroków Mani, wytropionych przez panią Eleonorę i zaopatrzonych obficie jej domysłami i uzupełnieniami.

Nie mógł jej objaśnić: że biuro Spółki Rolnej zostało utworzone dla celów zgoła innych, niż dawanie pracy osobom, które znajdują większe daleko zarobki na innych polach; nie mógł udzielić jej rady, aby na przyszłość poprzestała na grubych rybach a zaniechała połowu kielbików.

To wszystko pozostało dla Mani stracone, gdyż w mgnieniu oka włożyła zdjęty przed chwilą kapełusz, wciągnęła okrycie i, nie pożegnawszy nikogo, opuściła na zawsze biuro, w którym przez pół roku, określając w cyfrach płody ziemi i produkty kultury rolnej, usiłowała cieszyć się ilością sprzedawanych włóścianom narzędzi, superfosfatów i nasion.

Zonia była zajęta w sklepie segregowaniem towaru, gdy weszła Mania, blada, z gorejącymi oczyma.

— Chciałabym z tobą pomówić na cztery oczy — rzekła odrazu.

Wyszły do pokoju za szafami.

— Zakładasz sklep wiejski w Daleszycach?

— Tak.

— Potrzebujesz pomocnicy?

— Czy możesz mi kogo polecić?

— Mogę.

— Z dobrymi rekomendacjami?

— Z dobrą wolą.

— Znasz tę osobę?

— Zdawało mi się, że ją znam wybornie. Widzę, że się omyliłam.

— Na złe, czy na dobre?

— Na... inaczej.

— Któż to taki?

— Ja.

— Ty, Maniu?

— Jaką jestem, weź mnie. Zlituj się, nie odmawiaj. Weź mnie na początek darmo, za byle jaki kąt i kawałek chleba. Na wszystko się zgadzam, byle wyjechać z Warszawy zaraz, jutro. Moja droga!

Zonia zrozumiała, że zaszło coś ważnego, i postanowiła odrazu dopomóc koleżance do wyjazdu. Ale trzeba było obmyślić sposób.

— Nie możesz tego zrobić? — zaniepokoiła się Mania wobec jej milczenia.

— Naturalnie, że mogę. Tylko rozważam, jak zrobić. Niema jeszcze pomieszczenia na sklep. Prze-

budowują chatę nocnego stróża. — Zafrasowanie Zoni oświecił nagły błysk. — Miałaś wyborny pomysł! — zawołała. — Przydasz się ogromnie. Dopilnujesz rzeźmieśników, bo marudzą. Tatuś nie ma czasu tem się zająć, a i mama także. Ty dojrzysz, żeby wszystko było gotowe za miesiąc. Mogę spokojnie odbywać tutaj praktykę. Powoli, bez gwałtu, bez pośpiechu będę ci nadsyłała towar. Rozpakujesz, poukładasz. Ależ to znakomicie! — Rzuciła jej się na szyję. — Okropnie się cieszę, że mi pomożesz, bo przyznam ci się, na mnie jedną byłoby za dużo. Chcę uczyć Stefka i Genia, przygotować ich do szkoły.

— Tak? Ja to jeszcze lepiej potrafię. Umiem sobie radzić z największymi łobuzami, dawałam już korepetycje, będąc w czwartej klasie. Ja doprawdy jestem zdolna i umiem przejmować się tem, co robię.

— Widzisz, jak się doskonale składa!

— I będę mogła wyjechać jutro?

— Ma się rozumieć. Zatelegrafuję zaraz o konie. Mania uścisnęła jej rękę.

— I o nic nie pytasz. Dziękuję. Wiedziałam, że na ciebie liczyć można.

— A co najważniejsza, nie zawieść się.

Szepczące panienki obejrzały się. Zonia odrazu poznała głos Rysia.

— Spiskujecie? Naturalnie przeciwko mężczyźnie. Gdzie tylko dwie kobiety mówią po cichu, można ręczyć, że potem coś złego spotka mężczyznę.

— A widzisz, że nie — przekomarzała się Zonia.

— Pan Ryszard ma może rację — wtrąciła Mania z zadumą.

— Nie może, ale napewno i zawsze mam rację.

— Ale to, co na razie wydaje się złem, okazuje się dobrem w skutkach, i odwrotnie — snuła dalej myśl swoją Mania, pomijając słowa Rysia.

A Zonia zgromiła go:

— Znowu jesteś zarozumiały!

— Nie mam powodu przestawać. Teraz zwłaszcza...

— Dlaczego teraz?

— A ty jesteś znowu ciekawa. To tylko ci powiem, że Antoś jest już zapewne w domu.

— Doprawdy? Nie mogłeś powiedzieć odrazu! Mania ocknęła się z zamyślenia.

— Wrócił? — zawołała, a w głosie jej było tyle niemal trwogi, ile radosnego zdumienia. Nie żegnając się, wybiegła ze sklepu.

...Uciec z Warszawy jak najprędzej! Zdało jej się, że gdy znajdzie się w domu, gdy zacznie układać rzeczy w kufrze, to pomiędzy nim a sobą zwiększy przestrzeń.

* * *

To, czego Ryś nie chciał opowiedzieć Zoni, rozegrało się przed chwilą w gabinecie biurowym pana Bogdańskiego.

Kładł właśnie swój podpis na różnych listach i umowach, nie obznajmiając się z ich treścią, bo jego myśli roztrzęsione tułały się od smutnego mieszkania przy Nowym Świecie do smutniejszego jeszcze — jak myślał — przy ulicy Smolnej. Wtem woźny zameldował mu pana Ryszarda Rojewskiego.

Pan Marceli chciał od tych niespodziewanych

odwiedzin zastąpić się — nieobecnością, lecz, zanim ją woźnemu obwieścił, do pokoju wszedł już Ryś. Udawał, że rozgląda się ciekawie.

Na twarzy, jak pieczęć, położył uśmiech szyderczy. Ale pieczęć jeszcze nie ostygła i nie przytłoczyła wzruszenia.

Choć powtórzył sobie, nie raz i nie dwa, każde słowo, zbrakło ich jednak w chwili wykonania zamiaru.

— Przeszedłem do wuja — objaśnił głosem ochryplym.

— Proszę cię, siadaj. Masz interes? Pewno ojciec przysyła cię w sprawie nasion buraczanych.

Ryś zdołał już ostudzić swe wzruszenie.

— Ojciec załatwia sam swoje interesy, a ja sam... swoje — odpowiedział chłodno. — Przeszedłem w sprawie osobistej... drażliwej, tyczącej się mnie i wuja.

— Nas obu razem?

— Tak.

— Cóż to za dziwna sprawa?

Pan Marceli nie lubił ani Rysia, ani jego rodziców: Luli — z powodu lekceważącego obchodzenia się z rodziną, zaś pana Zygmunta — za jego safandulstwo: bo jako człowiek słabego charakteru nie przebaczał innym braku woli. Ryś drażnił go swoim ironicznym »tonikiem«.

— Sprawa jest istotnie dziwna i, jak powiedziałem, drażliwa — odrzekł ze spojrzeniem, już dopasowanym do chłodnego wyrazu twarzy.

— Słucham — rzekł pan Bogdański, przybierając minę urzędową.

— Przyszedłem do wuja...

— Żeś przyszedł, to widzę, a po raz trzeci już słyszę.

— A zatem bez wstępów i bez ogródek.

Ryś wstał, oparł się o biurko, popatrzał na pana Bogdańskiego wyzywająco i zaczął mówić powoli, dobitnie, urywając po każdym słowie:

— Uważam za stosowne... za potrzebne oznajmić, że... że — tu zahaczył się, odchrząknął i kończył — mam zaszczyt znać panią Fafę równie blisko, jak wuj.

Pan Bogdański zerwał się od biurka, ale musiał go się chwycić, gdyż pokój wraz z Rysiem, wydał mu się ruchomym. Wśród tego wiru on sam zdrętwiał.

Nagle coś nim szarpnęło. Odrętwieniem zatargał gniew. W rzadkich jego napadach pan Marcelli zapamiętywał się do utraty przytomności.

— Kłamiesz, smarkaczu! — krzyknął tak głośno, że siedzący w drugim pokoju pan Łuskowski nastawił ucha; przypomniał sobie nagle o ważnych papierach i zbliżył się do półki przy drzwiach, aby tych papierów szukać skwapliwie.

Ryś był już zupełnie spokojny. Znieruchomił znowu pana Marcelego spojrzeniem, które padło na jego gniew, jak strumień wody na iskrę.

— Uwzględniam zdziwienie z tak przykrej niespodzianki... ale nie uwzględniam jego objawów — mówił, cedząc słowa. — Jestem... niepełnoletni, jakby powiedziano w dobrem towarzystwie...

Brwi pana Marcelego drgnęły, a Ryś kończył:

— Tak, to prawda — dlatego...

Wybierał w myśli najdotkliwsze ciosy.

— Dlatego — kończył — nie mogłem otwarcie należeć do spółki z panem, występowałem, jako cichy wspólnik. Wszak to się tak nazywa w handlu?

Pan Marceli spuścił głowę.

— A nuż to prawda? — błysło w jego myśli udręczonej, i ogarnął go lęk przed cierpieniem nowem.

Tyle już się na niego zważyło — nie urojonych, jak dawniej, lecz prawdziwych. Nie umiał sobie z niemi radzić, tembardziej, że musiał radzić sam.

Ryś, już nieubłagany, mówił:

— A nie brakło i cichych wspólników... pełnoletnich... Że wymienię bodaj doktora Jadczaka... To chciałem powiedzieć. I to jeszcze: że nie kłamię nigdy. Dlatego tylko, że mi się tak podoba.

Chciał coś jeszcze dodać, ale ogarnął okiem zbrózdzoną twarz pana Marcelego i pomyślał, że nie warto pastwić się nad tak słabym przeciwnikiem. Powoli przesunął oczy po całej postaci, która wisiała na pochylonym kręgosłupie, jak na złamanych szaragach. Uczuł — nie litość, lecz politowanie wzgardliwe. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

XXXVI.

Antoś nie wiedział, że już od dłuższej chwili nie jest sam w izdebce. Leżał na tapczanie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Bolało go nie to, co w nim zo-

stało, lecz to, co od niego odeszło bezpowrotnie. Nie uczucia, lecz pustka po nich. Dalszą drogę młodego życia zawaliły szczątki wierzeń. Przejść po nich nie mógł, ani ich ominąć. Mógł tylko z drogi się cofnąć, wejść na szlak, z którego niema już powrotu, gdzie urywa się cierpienie, jak zrąb skały nad przepaścią. Jeszcze dziś rano na tym szlaku widział — jasność wiekuistą.

I ona już gościła.

Nie mówiły w nim ani żale, ani rozpacz, tylko zawód, jak cień rzucony przez złudzenie, słał się nad jego duszą.

I nagle w tę drętwotę myśli i uczuć padły słowa:

— Uważasz, że ci wolno cierpieć?

Głos, dobrze znany, budzący go nieraz, jak surma bojowa, doleciał go teraz z poza zgliszcz i rumowisk. I pozostawił obojętnym.

— Antoni — mówił Wreczyński, nachylając się nad nim — mamy posiedzenie delegatów prowincjonalnych. Czekaemy na ciebie.

— Nie czekajcie — poleciały ciche słowa przez palce.

— Czekaemy, i przyjdiesz — oznajmił mu Wreczyński.

On podniósł głowę, spojrział oczyma, zamglo-nemi od wpatrywania się w męty świata, i rzucił:

— Sobie samemu jestem na nic, a ty chcesz...

— Kiedy się tak myśli, najwięcej dokazać można — przekonywał go Wreczyński.

Dawniej, nie tak dawno — jeszcze dwa dni temu — byłby go zapytał: jak on to rozumie? Teraz, cokol-

wiek mówił i jakkolwiek to rozumiał, było mu obojętne.

Wreczyński nie czekał, aż się w nim zainteresowanie obudzi.

— Słuchaj — rzekł — a proszę cię, zechciej odebrać myśl od siebie. W człowieku zrozpaczonym jest siła i trzeba ją spożytkować.

— We mnie już niema nic — ani rozpacz, ani siły, tylko bezwola, jak w ojcu.

— Co ty mi się ojcem zaślaniasz! — wybuchnął Wreczyński. — Dziedziczność, to broń tchórzów.

— Ja jestem tchórz.

— Nie waż się tego mówić, bo gotówbyś jeszcze uwierzyć w tę potwarz. Nie wolno bezcześcić innych, ani siebie.

— Mnie już wszystko wolno. Dostałem rozgrzeszenie od życia, dostanę i... od śmierci.

Wreczyński nachylił się nad nim, szukał jego oczu. Znalazł je. Przytrzymał spojrzeniem.

— Chcesz być, jak Precler — cisnął mu w twarz. — Uciekasz... z rupieciarni. Nie znajdujesz nic lepszego do zrobienia...

Chwycił go za ramiona.

Antoś próbował zrzucić jego rękę, i ten wysiłek wzmocnił go.

— Józef! — rozległ się szept cichy, nabrzmiały skargą i wyrzutem. — Józef, przebacz! Ja jestem słaby z natury.

Ale on przebaczyć nie chciał.

— Dziedziczność? Znowu? A! dość już mam tego! — zawołał gniewnie. — Przetrzyj oczy — rozejrzyj

się po nas wszystkich, zobacz... Jurek podobny do swoich rodziców? Prawda? Wolski kark zgina, jak ojciec... Co? Rotblatt będzie handlował bydłem? A chcesz wiedzieć? Nikomu nie mówiłem — tobie dziś powiem. Mój ojciec służył w cyrkule — brał... łapówki.

Antoś zerwał się.

— Józef! Józef! — mówił, czepiając się jego rąk.

Zwisły dwie młode głowy. Dwie młode piersi dyszały ciężko.

— A jednak ja chcę żyć — szepnął Wreczyński — dlatego właśnie. Trzeba dług spłacić... Ty masz dług mniejszy, a... tchórzysz. My przecież powinniśmy być lepsi od naszych rodziców. A w przyszłości — nasze dzieci od nas...

— Choćbym był najlepszy, nie będę lepszy od mojej matki — przerwał mu Antoś i uczył, że coś odżywa wśród rumowisk; ale jednocześnie uczył, że odżywa i ból.

— Każesz mi chodzić, a ja mam nogi zdrętwiałe — bronił się.

— Chodząc, rozprostujesz je, wzmocnisz.

— Albo je złamię. Pozwól, niech się załatwię sam z mojem cierpieniem.

— Nie pozwalam. Musisz twój ból osobisty wrzucić do ogólnej skarbony nieszczęść.

— I zwiększyć je.

— Nie, — umniejszyć. Zresztą rozumować z tobą nie będę. Przypomnę ci tylko, żeś ślubował, przyśiągł...

— A cóż znaczą przysięgi? Już wiem, że ich nie dochowuje — nikt.

— Żaden... szubrawiec.

Antoś zachwiał się.

— Józef! — wyrzeźił — ty mnie masz za... szubrawca?

— Jeszcze nie. Rękę ci podaję — przyjąć jej nie chcesz. Strzeż się... bo ją cofnę na zawsze.

— Na zawsze! To dla mnie bardzo krótko — to może chwila.

— Ty, obrońca wiary?...

— Ja już niczego nie obronię, bo w nic nie wierzę.

— Prędko to przyszło i — łatwo.

— Łatwo?! — westchnął Antoś.

Wreczyński machnął ręką.

— Nie o to chodzi — zawołał. — Pomyśl, czy masz prawo wskazywać taką drogę innym — ty właśnie?

— Więc niema ucieczki — tu ani tam?

— Tu jest... służba, a tam — lata służby policzone.

Antoś już czuł, że jego bezwola łamie się, że Wreczyński, zwyciężając go, w jego imieniu zwycięża.

— Daj mi jeszcze pogadać z sobą samym, odpocząć — prosił.

— Nie dam. Teraz albo nigdy. Jeżeli stąd odejdziesz bez ciebie, jesteś zgubiony. Tam czekają. Powiedziałem, że przyjdziemy. Antoś, chodź.

Nie podnosiła się jeszcze głowa zwieszona, ale podniosły się powieki i oczy zczepiły się z oczyma

w których było przypomnienie, że kraj potrzebuje każdego syna.

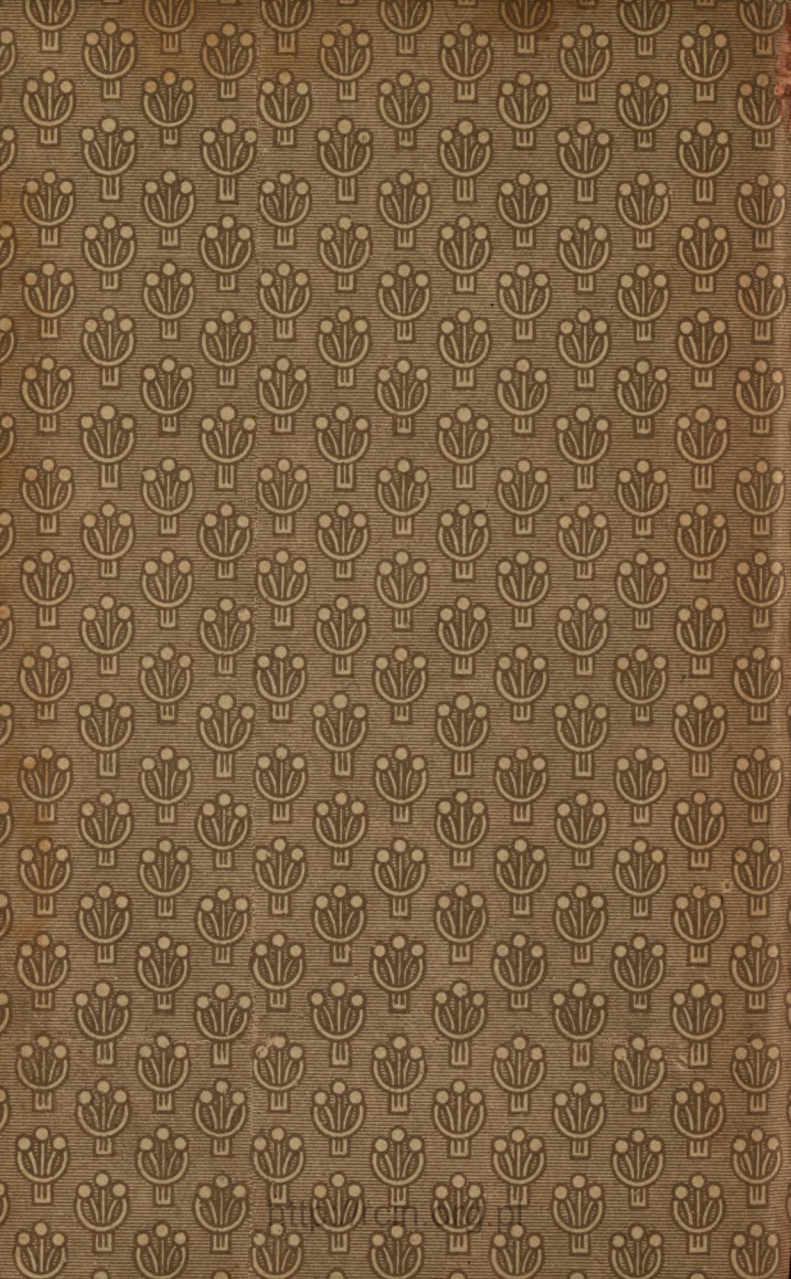
— Antoś, chodź — powtórzył Wreczyński. —
Tam czeka służba.

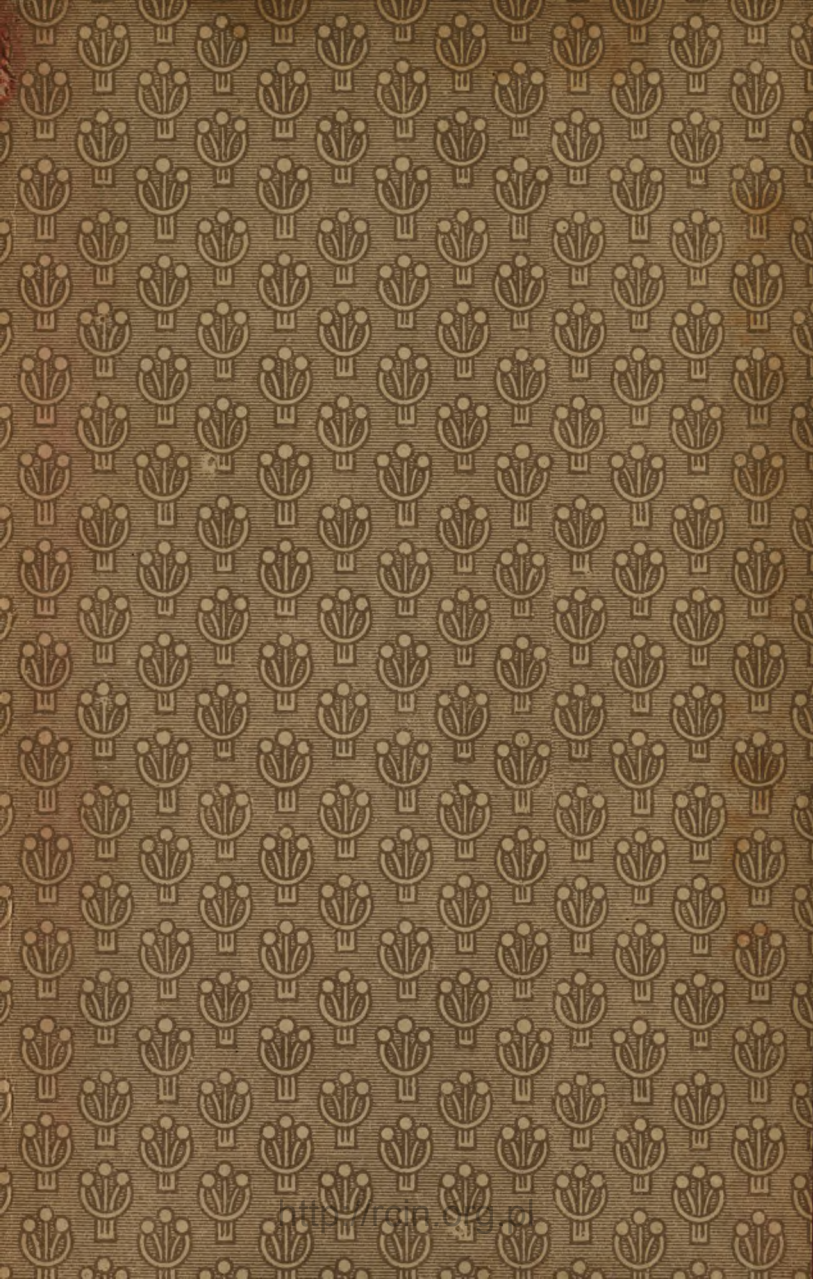
— Idziemy!

I obaj wyszli z izdebki.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
40-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68





K
535